

KWARTALNIK O TRADYCJI I CHWALE POLSKIEGO ORĘŻA

Człowiek sumienia
JÁNOS ESTERHÁZY

ZYCIORYSY HEROICZNE

PŁK JAN MALISZEWSKI
Dowódca doskonały

**POLSKA
ZBROJNA**

NR 3 (15) 2020
www.polska-zbrojna.pl

CENA 9,99 ZŁ (w tym 8% VAT)
ISSN 2543-8735

Z DZIEJÓW CHWAŁY

Gen. August Emil Fieldorf
Stał prosto, o łaskę nie prosił

Z DZIEJÓW HAŃBY

Helena Wolińska
Czerwona prokurator

LIKWIDACJA PO NIEMIECKU

Zagłada więzienia
w Radogoszczu

Bolesław Kontrym
„Zmudzin”
od Armii Czerwonej
do Armii Krajowej

Czy desant żołnierzy
gen. Stanisława Sosabowskiego
na pomoc walczącej Warszawie
był jednak możliwy?

WRZESIEŃ '39

Czy można było uniknąć
wojny na dwa fronty?



ZAWALCZMY DLA NICH!

WALCZYLI DLA NAS...

DSGN

Silence.
studio

PPŁK HENRYK
FILIPSKI
PS. „JEREMI”
POWSTANIEC
WARSZAWSKI
NARODOWE
SIŁY ZBROJNE

W BOŻONARODZENIOWA PACZKA DLA BOHATERA

ORGANIZATORZY



ZBIÓRKA ŻYWNOSCI
I ARTYKUŁÓW CHEMICZNYCH
DLA KOMBATANTÓW

11 LISTOPADA - 18 GRUDNIA A.D. 2020

f PACZKADLABOHATERA

f BAZAREK.PACZKADLABOHATERA

PATRONATY



Ministerstwo
Spraw Wewnętrznych
i Administracji



MINISTERSTWO
EDUKACJI
NARODOWEJ



POLSKA
ZEROLINA

FOT. CEZARY POMYKAŁO



ANNA PUTKIEWICZ REDAKTOR NACZELNY

CO WAM Z TEGO, SKORO MACIE TAKICH SĄSIADÓW JAK MY I NIEMCY. NIKT NIE MA LITOŚCI DLA SŁABSZYCH. POŁYKAJĄ WAS REKINY

Pierwszego sierpnia 1938 roku wśród pasażerów transatlantyku „Batory” znajdowała się polska delegacja. Przyjemną podróż dyplomatów udających się do Kopenhagi zakłóciła depeza, którą otrzymał minister Józef Beck. Dotyczyła Czechosłowacji zagrożonej poważnie wkroczeniem wojsk niemieckich. Kazimierz Krasicki, ówczesny sekretarz ministra, przytacza w swych wspomnieniach wyrażoną wówczas opinię szefa polskiego MSZ, że wojna wybuchnie z całą pewnością, „a wówczas cała Polska spłonie, a z nią pół Europy”. Na przytomne pytanie młodego urzędnika, czy nie można zatem połączyć swych sił z Niemcami lub Rosją, by uniknąć tragicznego scenariusza, Beck odrzekł: „Niemcy żądają zagwarantowania przemarszu wojsk III Rzeszy na Rosję Sowiecką, a Sowiecom musielibyśmy dać bazy na naszym terytorium. Gdy raz obce wojska wkroczą do kraju, jest to równoznaczne z utratą niepodległości. (...) Opinia kraju byłaby podzielona, a naród polski rozbity”.

Rok po tej rozmowie na terytorium Polski wkroczyły armie obu mocarstw. Naród został rozbity, a opinia kraju podzielona jest po dziś dzień. Już ponad 80 lat nurtuje nas pytanie, czy Polska miała inną drogę niż tę, którą zdecydowała się pójść na wojnę w 1939 roku? Prezentujemy Państwu dwa punkty widzenia – prof. Mariusz Wołos analizuje kurs przyjęty przez polskich polityków i scenariusz, który znamy, natomiast dr Krzysztof Rak idzie tropem pytania zadanego polskiemu ministrowi spraw zagranicznych przez jego sekretarza.

W przytoczonej rozmowie Krasickiego z Beckiem minister nakreślił dalej ogólny scenariusz polskiej racji stanu na czas „W”: „Nasza armia około miliona powinna dać pierwszy opór. To będzie bilet wizytowy naszej niepodległości. Potem powinniśmy czekać końca wojny, zachowując nasz wielki dorobek dwudziestu lat, jakim jest młodzież”. Założenie było ze wszech miar słuszne, tyle tylko, że w tym czasie przemysł zbrojeniowy III Rzeszy deklasował poziom uzbrojenia wszystkich naszych sojuszników razem wziętych. Minister Józef Beck wskazał największy potencjał naszego państwa, jakim była patriotyczna młodzież. Jego tragiczny los i przedwczesna śmierć na obczyźnie oszczędziły mu oglądania z oddali stopniowej zagłady tego wspaniałego pokolenia. Za kilka lat w piekle Gułagu gorzko wybrzmi echo pobożnych życzeń ministra: „Jesteście szaleni Polacy, zawsze umieracie za ojczyznę” – Anna Adolfówna, dziennikarka z Leningradu z sympatią i zdziwieniem patrzy na Fullę Horak, polską współwięźniarkę. Ta przedstawicielka lwowskiej inteligencji, postać bardzo zresztą ciekawa i tajemnicza, próbuje wyjaśniać naturalne dążenia człowieka wewnątrz wolnego, co tamta punktuje prostą diagnozą: „Co wam z tego, skoro macie takich sąsiadów jak my i Niemcy. Nikt nie ma litości dla słabszych. Połykają was rekiny”. Rozmowie przysłuchuje się profesor Uniwersytetu Leningradzkiego Katarzyna Porfirowna i mówi krótko: „Jesteście ludźmi innej od nas miary”. Zanim rekiny ostatecznie się nasycą, młody poeta Światopełk Karpiński, barwna postać bohemy warszawskiej, przywdziewa mundur i bierze udział w obronie Warszawy. Jego koledzy redakcyjni robią to samo. Na murach przeżywającej kolejne w swych dziejach oblężenie stolicy pojawia się numer „Kuriera Warszawskiego”. Wydanie ma jedną stronę, a na niej widnieje wiersz Karpińskiego „Biała flaga”: „Warszawo. Nim najeźdźców buty / Twój bruk ujarzmią w defiladzie, / Sowiński broni swej reduty, / Generał Bem z kartaczów kładzie... Białoczerwony sztandar trzeba / Nad pożar wznieść, by go ujrzeli, / Choć czerwień ogniem mknie do nieba, / Choć coraz więcej trupiej bieli.” Światopełk Karpiński zginie za pół roku w Wilnie.

Warszawa jaką znali i doświadczony minister, i młody poeta, przetrwa jeszcze pięć lat. Dzieje miasta nękanego przez stulecia konfliktami w pełni uzasadniają jego przydomek „niezłomne”. Przypominamy je w „Kalendarium Warszawskim”.

Zapraszam do lektury.



OKŁADKA: FOT. MICHAŁ NIEWIĄZ

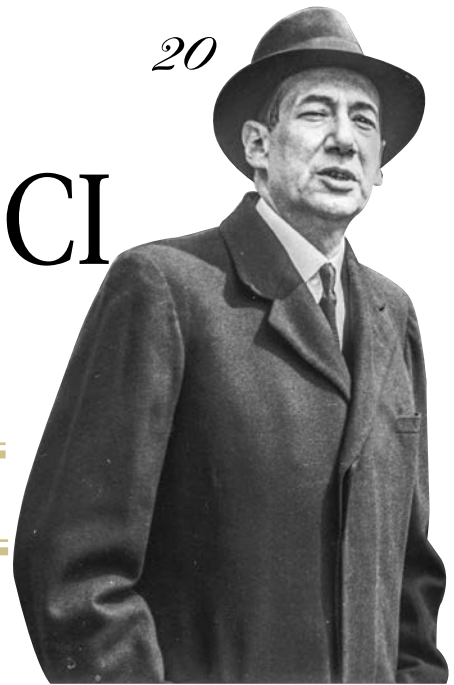
142



nr 3

20

SPIS TREŚCI



Świadkowie

PIOTR KORCZYŃSKI

14 Ducha nie wolno tracić
Rozmowa z prof. Stanisławem Michnowskim

Wojna i polityka

PIOTR PODHORODECKI

20 Bez alternatywy
Rozmowa z prof. Mariuszem Wołosem

TOMASZ CZAPŁA

26 Zaproszenie do krucjaty
Rozmowa z dr Krzysztofem Rakiem

MAŁGORZATA ŁĘTOWSKA

30 János Esterhazy. Człowiek sumienia
Rozmowa z dr Imre Molnárem

DOMINIK KAŹMIERSKI

40 Kłamstwo

PIOTR KORCZYŃSKI

60 Desant na pomoc stolicy
Rozmowa z Jerzym Kirszakiem

TOMASZ CZAPŁA

140 Robotnicy kontra bolszewicy

Sztandary Wojska Polskiego

JAROSŁAW PYCH

41 Wrześniowe orły w obronie stolicy

Bitwy zapomniane

ANDRZEJ ŁYDKA

44 Akcja na fabrykę

Kalendarium warszawskie

51 Warszawa w ogniu

Biografie ocalone

TADEUSZ ZYCH

66 Hrabina na barykadzie

WITOLD PASEK

124 Po trupie Polski...



Mroki historii

KAROL JADCZYK, DARIUSZ MARCINIEC

70 Likwidacja po niemiecku

BOGUSŁAW KOPKA

96 Krzesimów był pierwszy

Z dziejów chwały

PAWEŁ SZTAMA

78 Stał prosto, o łaskę nie prosił

Z dziejów hańby

PAWEŁ SZTAMA

88 Czerwona prokurator

Życiorysy heroiczne

JERZY KIRSZAK

102 Dowódca doskonały

Marynarka Wojenna

ANDRZEJ W. ŚWIĘCH, RADOŚLAW BIZOŃ

110 Polskie wraki w Norwegii –
ORP „Grom” i MS „Chrobry”

Motoryzacja

JAN TARCZYŃSKI

116 Gdyby nie wojna...

Kapelani Wojska Polskiego

MAREK MIŁAWICKI

134 Ochotnik

Orzeł Biały

TOMASZ ZAWISTOWSKI

142 Żołnierskie orły z wyprawy
na Moskwę



150



70

Konstruktorzy broni

PIOTR KOCYAN

146 Broń biżuterijna z polskim rodowodem

Klub garnizonowy

ANDRZEJ ŁYDKA

150 Ciężki samopał wz. 08

Ceremoniał wojskowy

MARIUSZ KUBAREK

154 Zwierzchnik sił zbrojnych

Kawalerowie Virtuti Militari

ANNA DĄBROWSKA

160 Brawurowy, choć rozważny

Notatnik kolekcjonera

ANDRZEJ WITKOWSKI

162 Świat filokartystyki



51



wiw
WOJSKOWY INSTYTUT
WYDAWNICZY

WOJSKOWY INSTYTUT WYDAWNICZY
Aleje Jerozolimskie 97, 00-909 Warszawa

DYREKTOR WOJSKOWEGO INSTYTUTU WYDAWNICZEGO
Maciej Podczaski,
tel. 261 849 008, faks 261 849 459;
sekretariat@zbrojni.pl

POLSKA ZBROJNA. HISTORIA

REDAKTOR NACZELNY
Anna Putkiewicz, tel. 261 849 264;
pzhistoria@zbrojni.pl

ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO
– SEKRETARZ REDAKCJI
Małgorzata Łętowska, tel. 261 849 165;
pzhistoria@zbrojni.pl

REDAKCJA
Piotr Korczyński
tel. 261 849 356;
pzhistoria@zbrojni.pl

GRAFIKA

Marcin Dmowski (kierownik),
Marcin Izdebski (projekt szaty graficznej i opracowanie),
Andrzej Witkowski (fotoedytor), tel. 261 849 498

STALE WSPÓŁPRACUJĄ:

Anna Dąbrowska, Mariusz Borowiak, Maciej Chilczuk,
prof. Andrzej Gąsiorowski, Jarosław Godlewski, dr Grzegorz
Jasiński, Łukasz Jędrzejczak, dr hab. Jerzy Kirsza,
ks. płk dr Zbigniew Kępa, Wojciech Krajewski, Mikołaj Kubacki,
płk Mariusz Kubarek, prof. Mirosław Lenart, ppłk Andrzej Łydko,
Michał Mackiewicz, dr Mariusz Niestrawski, dr Konrad
Paduszek, dr Anna Pastorek, prof. Bogusław Polak,
prof. Wojciech Polak, dr hab. Jakub Polit, Paweł
Rozdźstwieński, Paweł Sztama, dr Jan Tarczyński,
prof. płk Juliusz S. Tym, dr Krzysztof Wielgus,
prof. Wojciech Włodarkiewicz, Tadeusz Wróbel,
Łukasz Zalesiński, Tomasz Zawistowski

KWERENDA FOTOGRAFICZNA: Dominik Kaźmierski

OPRACOWANIE STYLISTYCZNE

Beata Stadryniak-Saracyn,
January Szustakowski

MARKETING I PROMOCJA

Piotr Zarzycki, Patryk Czarnowski, Agnieszka Karaczun,
Anita Kwaterowska (tłumacz), Małgorzata Szustkowska,
Marta Szulc,
tel. 261-849-387, 261-849-496, 261-849-457,
faks 261-849-459; reklama@zbrojni.pl

DRUK:

ARTDRUK, ul. Napoleona 4,
05-230 Kobyłka, www.artdruk.com

PRENUMERATA

Zamówienia na prenumeratę wydań papierowych
„Polski Zbrojnej. Historia” można składać pod adresem:
sklep.polska-zbrojna.pl

KOLPORTAŻ I REKLAMACJE

Punkt Pocztowy Włocławek
nac ul. Duninowska 9a, 87-823 Włocławek
tel. 885 870 509, tel. kom. 502 012 187;
elzbieta.kurlapska@poczta-polska.pl

PARTNER

Narodowe Archiwum Cyfrowe.
170 tysięcy zdjęć online na www.nac.gov.pl

Treść zamieszczanych materiałów nie zawsze odzwierciedla
stanowisko redakcji. Tekstów niezamówionych redakcja
nie zwraca. Zastrzega sobie prawo do skrótów i zmiany tytułów.
Egzemplarze kwartalnika w wojskowej dystrybucji wewnętrznej
są bezpłatne. Informacje: tel. 261 840 400.
Zasady przekazywania redakcji kwartalnika
„Polska Zbrojna. Historia” materiałów tekstowych i graficznych
opisuje regulamin dostępny na stronie głównej portalu polska-
zbrojna.pl.

HISTORIA
POLSKA
ZBROJNA



Porucznik Józef Rewerski, ur. 9 lutego 1903 r., poległ w obronie Modlina 25 września 1939 r. Zdjęcie z Brześcia w 1932 r. To mój wujek. Znałam go z opowieści mamy i cioci Wisi – jego siostr. Mama, ciocia Wisia i wuj Józef mieli jeszcze trójkę rodzeństwa. Najstarszy, Kazimierz, zginął w obozie koncentracyjnym w Dachau w 1940 r. Był urzędnikiem w magistracie w Zgierzu; wydawał fałszywe dokumenty Żydom, żeby mogli opuścić Polskę. Jadwiga (Wisia) zaangażowała się w tajne nauczanie. Po Józiku był Stanisław, który przeżył obozy koncentracyjne. Przedstawiam tę rodzinę, patrząc na zdjęcie z 1912 r. Na kolanach mojego dziadka Bronisława siedzi moja pięcioletnia mama Bronka (Basia), łączniczka Armii Krajowej, a na kolanach babci Rozalii roczna Helusia. Babcia zmarła w czasie I wojny światowej, w 1917 r., na gruźlicę.



Moja mama ze swoim starszym bratem, a między nimi, jak oni – na ławce, pies wujka. Bo pies w 1939 r. ruszył z domu na poszukiwanie swojego pana na jego szlaku bojowym z 84 Pułkiem Strzelców Poleskich z Pińska pod Radomsko, a potem do Modlina. Wujek z Pińska ruszył chyba w marcu z całym pułkiem; kapłanem jednostki był Jan Zieja. Psa-bohatera, uradowanego spotkaniem, zostawił u moich rodziców w Warszawie. A on skorzystał z czyjejś nieuwagi i ponownie uciekł z domu z piątego piętra. Pierwszy zginął „Stradivarius”, potem pies, wujek zaś 25 września 1939 r. w Kazuniu Niemieckim. Zdjęcie od Marka Siedleckiego.

Wisia, Józik i Staś uczyli się grać na skrzypcach. Tata grał na skrzypcach „Stradivarius”. Wisiały zawsze tuż przy drzwiach. Po powrocie z pracy, na wejściu do domu, brał skrzypce i grał. Grał, gdy do dzieci przychodzili koledzy i koleżanki, na ich prośbę, do tańca. Śpiewał, śpiewały i dzieci. Józik zaś miał ładny głos i grał, jak mówił nauczyciel, sercem. Wstąpił do Legionów Polskich. Pomaszzerował w trepach na drewnianej podeszwie. Józik pozostał w wojsku. Ożenił się, miał dwoje dzieci, bliźniaki – Zbyszka i Zosię. Na odbitkach zdjęć, które oglądałam u syna Zosi, Marka Siedleckiego, odczytywałam miejscowości: Kolno, Brześć, Grajewo, Pińsk. To pewnie miejsca postoju. Zdjęcie od Jacka R., wnuka Józefa, syna Zbyszka.

Maria Polakowska

Fot. Archiwum rodzinne Marii Polakowskiej



KAROL NAWROCKI

DYREKTOR MUZEUM II WOJNY ŚWIATOWEJ W GDAŃSKU

Nasze wspólne Westerplatte

Agresja Niemców na Polskę, która nastąpiła 1 września 1939 r., rozpoczęła najtragiczniejszy konflikt w historii cywilizacji: II wojnę światową. Z datą jej rozpoczęcia łączy się Westerplatte – niewielki półwysep, wówczas polska enklawa otoczona

zdominowanym przez niemieckich nazistów (wolnym tylko z nazwy) miastem Gdańsk.

To właśnie tam przez siedem wrześniowych dni 1939 r. ponad 200 polskich żołnierzy broniło honoru i niepodległości Rzeczypospolitej w obliczu ataków III Rzeszy z morza, lądu i powietrza. Obrona Westerplatte stała się synonimem męstwa, bohaterstwa i oddania Ojczyźnie, a także archetypem polskich postaw w czasie II wojny światowej – gotowości do obrony najważniejszych wartości nawet w obliczu przeważających sił wroga.

Na przestrzeni kolejnych dekad obrona Westerplatte stanowiła temat rozpraw naukowych, inspirację artystycznych utworów, kanwę fabuł filmowych. Niestety, na skutek zdominowania Polski przez komunistów w latach 1945–1989 ten epizod polskiego bohaterstwa poddawano propagandowej obróbce. Tym samym do dziś rzeczywisty stan wiedzy o obronie Wojskowej Składnicy Tranzytowej pozostaje niepełny. Powierzchowność świadomości jednej z najważniejszych cezur w polskiej historii skłania nie tylko do refleksji o stanie powszechnej wiedzy, ale też zmusza do wyężonej edukacyjnej i muzealnej pracy wokół narodowego symbolu.

Jednym z nadrzędnych celów Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku jest opowieść o polskim doświadczeniu z lat 1939–1945. W tym kontekście Westerplatte to nie tylko doskonały przykład heroicznej postawy, zbiór ważnych narodowych wartości, konstytuujących niepodległą Rzeczpospolitą, ale także przestrzeń bitewnego pola. Prowadzone przez Muzeum od sześciu sezonów badania archeologiczne na półwyspie dowodzą, że upór w przywracaniu pamięci Westerplatte przynosi bezcenne efekty. Najważniejszym rezultatem jest odnalezienie po 80 latach szczątków dziewięciu polskich obrońców. Doniosłości momentu dopełniło wręczenie rodzinom tych żołnierzy not identyfikacyjnych przez prezydenta RP Andrzeja Dudę podczas uroczystości na Westerplatte 1 września 2020 r.

Kolejnym etapem przywracania pamięci będzie budowa plenerowego Muzeum Westerplatte i Wojny 1939. Placówka stanie się nie tylko trwałym śladem pamięci historycznej, muzealną opowieścią o sprawcach i bohaterach, ale także instytucjonalnym zadośćuczynieniem za lata zaniedbań, niemocy i chaosu. Muzeum rodzi się z myśli stworzenia wyraźnej cezury najtragiczniejszego konfliktu w historii cywilizacji, który wyznacza atak Niemców na Wojskową Składnicę Tranzytową. Przesłanie placówki odwołuje się do triady wartości płynących z historii tego miejsca – autentyzmu pola bitwy, symbolu początku II wojny światowej oraz wyrazu gotowości polskiego żołnierza do obrony ojczyzny. Wspomniana triada uzupełniona zostanie o kontekst miejsca, opierający się na osi militarnej, rekreacyjnej, gospodarczej i symbolicznej. Pierwszym obiektem przygotowanym dla zwiedzających będzie budynek Elektrowni. Cmentarz, na którym zostaną pochowani obrońcy, stanie się memoratywnym sercem Westerplatte. Na kolejnych etapach działaniom konserwatorskim zostaną poddane relikty Wojskowej Składnicy Tranzytowej i towarzyszący im krajobraz przestrzenny. Wszystko to sprawi, że będziemy mogli z dumą powiedzieć, iż mamy nasze wspólne, polskie Westerplatte. Westerplatte heroizmu, chwały i symboliki Rzeczypospolitej, Westerplatte naszej wspólnej narodowej pamięci. ■

Kampament na polach Królikarni 31 lipca 1732 r.



LIPIEC

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14



Od czasów najdawniejszych o wartości armii decydowało jej wyposażenie i wyszkolenie. Dzisiejsze pokazy sprawności armii i manewry na wielką skalę, tzw. prężenie muskułów, mają zademonstrować innym krajom siłę wojska. Organizatorzy oficjalnych pokazów często zapraszają w charakterze obserwatorów wojskowych innych krajów. Nie inaczej było w czasie kampaментów organizowanych przez Augusta II Mocnego.

Pierwsze polskie pokazy wojskowe nazywano „kampaментami” (od słowa campus – pole) lub „okazowaniem”. Określenia te oznaczały popis rycerstwa, przegląd wojska lub ćwiczenie wojenne. Rewie, znane z późniejszego okresu, wprowadził dopiero król August II Sas, lubiący popisywać się wojskiem przed cudzoziemcami. Terminu „rewia” nie zapożyczono jeszcze wówczas od Francuzów, używano wtedy określenia „kampaмент”.

Pierwszy kampaмент na terytorium Rzeczypospolitej odbył się w dniach 31 lipca – 18 sierpnia 1732 r. Był on niejako kontynuacją pokazów sprawności armii Wettinów z 1730 r., gdzie pod Zeithain i Muhlbergiem August II Mocny zorganizował pokaz sprawności bojowej wojsk saskich. Do Warszawy ściągnięto część wojsk polskich i litewskich oraz tylko niewielką liczbę grenadierów saskich, gdyż prawo z 1717 r. zabraniało wprowadzania wojsk saskich do Polski, z wyjątkiem 1200 ludzi gwardii przybocznej. Kampaментом dowodził przybyły ze Lwowa regimentarz generalny koronny Stanisław Poniatowski, ojciec późniejszego króla Stanisława Augusta, a za stronę finansowo-organizacyjną odpowiadali podskarbi nadworny Jan Kanty Moszyński i August Heinrich hrabia Friese. Wydarzenie miało olbrzymie znaczenie dla króla, a jego zadaniem było pokazanie przybyłym posłom i oficerom zagranicznym możliwości bojowych oraz wyszkolenia armii polsko-saskiej. Oba kampaментy osiągnęły cel, ponieważ aż do lat sześćdziesiątych XVIII w. jednostki saskie uznawano za bardzo dobrze wyszkolone i bitne.

Rewia warszawska trwała 20 dni, ale tylko 7 dni przeznaczono na ćwiczenia wojskowe. Wówczas pierwszy raz kirasjerzy sascy przebrani zostali na wzór husarski. Pokaz obejmował między innymi manewry jazdy, w których wszelkie ewolucje wykonywano na sygnał bębnow i trąbek, oraz ćwiczenia kompanii grenadierskich dowodzonych przez Augusta Czartoryskiego. Były także walki piką i kopią zorganizowane przez gen.-mjr. Jana Joachima Kampenhausena, który jest znany ze swojego traktatu wojskowego Chwała i apologia kopie i pik cum refutatione niektórych zarzutów przeciwko nim.

Był to przede wszystkim pokaz sprawności w szybkim manewrowaniu wojsk na polu bitwy i w użyciu granatów. Główną atrakcją stanowił popis husarski przeprowadzony przez gen. Weichamnna Klingenberga. Regimenty kirasjerskie zostały wówczas uzbrojone na wzór husarii wraz z kopiami. Z siedmiu kompanii regimentów gwardii i następcy tronu oraz z dwóch kompanii grenadierów konnych uformowano pułk, składający się z dziewięciu chorągwi, przebrany po husarsku. Każda kompania odgrywała rolę innej chorągwi, otrzymując kopie z proporczykami we własnych barwach. Przebranie jazdy saskiej za polskie chorągwie husarskie uznano wówczas za najlepsze rozwiązanie, ponieważ rodzime jednostki postrzegano jako słabo wyszkolone i niezdiscyplinowane.

Kampaмент pod Warszawą miał być manifestacją sił armii Augusta II Mocnego, dlatego został utrwalony na obrazie Jana Christiana Mocka Kampaмент wojsk polskich i saskich na polach Królikarni i Czerniakowa, 1732. Malarz upamiętnił to wydarzenie, portretując różne osoby, między innymi płk. Andrzeja Rolę-Rożecckiego, późniejszego generała i szefa regimentu dragońskiego imienia królowej, oraz malując scenki takie jak atak „husarii” i manewry na polu bitwy. Innymi pamiętkami, które można wiązać z kampaментом warszawskim, są ślady w postaci obiektów w muzeach państw Europy Zachodniej lub hełmów husarskich ze „skrzydełkami” pojawiających się na rynkach antykwarycznych. Jest to świadectwo, że o warszawskiej rewii głośno było w ówczesnej Europie, a wojskowi i politycy z wielu krajów uważnie obserwowali możliwości bojowe armii Wettinów. Dzieje się tak i dziś, gdy są organizowane duże manewry armii, a wnioski z ich obserwacji rzutują na prowadzoną politykę przez rządy państw. ■

JAROSŁAW GODLEWSKI absolwent Instytutu Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego, kustosz w Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie, specjalista od epoki nowożytnej, autor publikacji dotyczących wojskowości XVI–XVIII w.

Nazwa „ryngraf” pochodzi od niemieckiego ringkragen; w staropolszczyźnie funkcjonowało słowo szkaplerz. Ryngraf wywodzi się z obojczyka, rodzaju uzbrojenia ochronnego noszonego pod szyją. Od końca XVII w. przyjął rolę odznaki ogólnoofficerskiej, następnie stał się wyróżnikiem piechoty. Najbardziej jednak znane są ryngrafy z okresu Konfederacji Barskiej (1768–1772), na których wówczas zaczęto umieszczać wizerunki Matki Boskiej. Pewnego rodzaju kontynuacją tradycji były ryngrafy pamiątkowe z okresu II Rzeczypospolitej. Nieujęte żadnymi przepisami normującymi ich wygląd i okolicznościami wręczenia, stały się formą uznania koleżeńkiego.



*Ryngraf oficera gwardii
z okresu panowania saskiego
w Polsce.*
Zbiory Muzeum Wojska Polskiego

Bitwa pod Żyrzynem

8 sierpnia 1863 r.

Szabla powstańcza z inskrypcją: „Za wiarę, kraj, żonę, dzieci! Na stu uderz, sto łbów zleci!”.

Zbiory Muzeum Wojska Polskiego



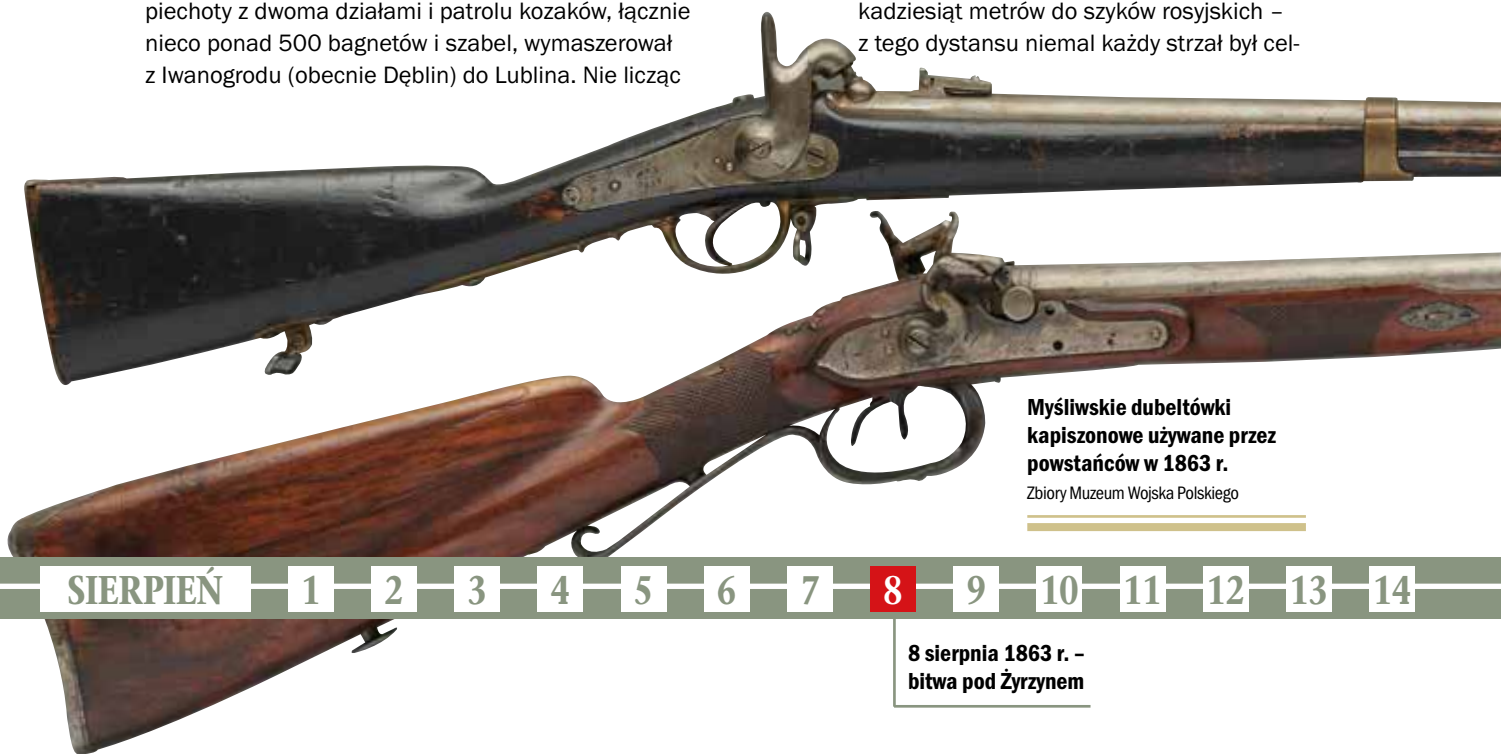
Powstanie, które wybuchło nocą z 22 na 23 stycznia 1863 r., było – mimo wyjątkowo niesprzyjających okoliczności – najdłuższym trwającym zrywem narodowym na ziemiach polskich w XIX w. Przewaga sił rosyjskich szybko zmusiła tajne władze powstańcze do rezygnacji z otwartej, regularnej walki na wzór wojny polsko-rosyjskiej z 1831 r. na rzecz działań partyzanckich. Ich celem było przetrwanie i jednocześnie ciągłe niepokojenie nieprzyjacielskich wojsk i zadawanie uderzeń tam, gdzie wróg najmniej się tego spodziewa. Świetnym przykładem tego typu akcji była bitwa pod Żyrzynem.

O świcie 8 sierpnia por. Laudański, Polak w służbie rosyjskiej, na czele eskorty złożonej z dwóch kompanii piechoty z dwoma działami i patrolu kozaków, łącznie nieco ponad 500 bagnatów i szabel, wymaszerował z Iwanogrodu (obecnie Dęblin) do Lublina. Nie licząc

się z obecnością oddziałów partyzanckich w okolicznych lasach, Rosjanie maszerowali szosą, poprzedzani jedynie przez patrol kozacki, a eskortowali przecież dwa furgony z 200 tys. rubli w złocie i w asygnatach. Nagle padł strzał.

Dowódca rosyjski nie wiedział, że kilka godzin wcześniej płk Michał Heydenreich „Kruk”, naczelnik wojskowy województw podlaskiego i lubelskiego, a ongiś oficer carski, przechwycił szyfrowaną depeszę, z której dowiedział się o mającej nadejść kolumnie rosyjskiej z cennym transportem. Plan był prosty: gdy jeden z oddziałów powstańczych zablokuje trasę, po której mieli maszerować carscy żołnierze, pozostałe siły uderzą na Rosjan z obu stron drogi i pozbawią ich możliwości odwrotu. Pułkownik „Kruk” wiedział, że musi szybko pokonać przeciwnika, ponieważ dysponował skromnym zapasem amunicji.

Strzał z pikiety powstańczej zaalarmował „Kruka” o zbliżaniu się nieprzyjaciela, a Rosjanom uświadomił, że gdzieś w pobliżu znajduje się nierozpoznany oddział powstańczy. Wywiązała się walka między pikietą powstańczą a patroliem kozackim. Porucznik Laudański, nie zdając sobie sprawy, że natknął się na kilka razy liczniejsze oddziały powstańcze, rozkazał nacierać na Polaków. Cześć polskich sił wsparła zaatakowanych, natomiast pozostałe obeszły Rosjan i zbliżyły się na kilkadziesiąt metrów do szyków rosyjskich – z tego dystansu niemal każdy strzał był cel-



Myśliwskie dubeltówki kapiszonowe używane przez powstańców w 1863 r.

Zbiory Muzeum Wojska Polskiego

SIERPIEŃ

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

8 sierpnia 1863 r. –
bitwa pod Żyrzynem

Płat chorągwi nieznanego oddziału polskiego z czasów Powstania Styczniowego z charakterystycznym trójpolowym herbem z godłami Polski, Litwy i Rusi (Ukrainy).

Zbiory Muzeum Wojska Polskiego

**WOLNOŚĆ CAŁOŚĆ
NIEPODLEGŁOŚĆ**

ny. Cały oddział rosyjski został osaczony i unieruchomiony, gdy zabito ich konie ciągnące furgony. Porucznik Laudański, przekonany, że przybierająca na sile palba karabinowa zaalarmuje okoliczne oddziały rosyjskie, trwał w beznadziejnej obronie. Mimo przedłużającej się walki, pomoc dla rzednących szeregów Rosjan jednak nie nadchodziła. Po kilku godzinach walki porucznik zdecydował się zagwoździć działa i wycofać do Iwanogrodu. Udało się to zaledwie dowódcy i niespełna setce żołnierzy. Reszta nadal się broniła. Jej opór zламаł dopiero brawurowy atak kosynierów. Poległo niemal 200 żołnierzy rosyjskich, ponad 130 odniosło ra-

Skutki tej bitwy okazały się daleko ważniejsze niż jej znaczenie militarne. Wieści o dotkliwej porażce rosyjskiej dotarły zarówno do europejskich stolic, których obywatele zaczęli domagać się aktywnego wsparcia dla polskiego powstania, jak i do Petersburga, gdzie zwyciężyła ostatecznie koncepcja bezkompromisowego zduszenia narodowego zrywu Polaków. Wyrazem tej decyzji było zastąpienie na stanowisku namiestnika Królestwa Polskiego łagodnego księcia Konstantego Romanowa brutalnym gen. Fiodorem Bergiem, który doprowadził do ostatecznego upadku Powstania Styczniowego. ■

ny, a 150 się poddało. Część z nich wstąpiła później do oddziału partyzanckiego. Poza wartościowym ładunkiem, jakim było 140 tys. rubli, powstańcy zdobyli nie mniej cenną broń – ok. 400 karabinów rosyjskich. Wszystko to za cenę 10 zabitych i 50 rannych.

MIKOŁAJ KUBACKI absolwent Instytutu Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego. Pracownik Muzeum Wojska Polskiego, napoleonista, pasjonat dziejów militarnych od XVIII do początków XX w.

Bitwa nad Mozgawą

13 września 1195 r.

W Krakowie 5 maja 1194 r. zmarł książę Kazimierz II Sprawiedliwy. Pozostawił dwóch nieletnich synów: starszego Leszka, zwanego potem Białym, i Konrada, późniejszego księcia mazowieckiego. Rządy w imieniu małoletnich władców sprawowali wdowa po Kazimierzu, Helena znojemska, biskup krakowski Pełka i wojewoda Mikołaj Gryfita.

Z przejściem władzy przez Leszka Białego nie pogodził się książę wielkopolski Mieszko III Stary. Zażądał on tronu dla siebie, powołując się na zapisy w testamencie Bolesława Krzywoustego, które jasno precyzowały, że władzę w stołecznym Krakowie ma sprawować najstarszy z dynastii Piastów. Moźni małopolscy odmówili spełnienia żądań Mieszka, pamiętali bowiem jego autorytarne rządy jako księcia zwierzchniego w latach 1173–1177.

Po zerwaniu pertraktacji obie strony rozpoczęły akcję zjednywania sobie sojuszników. Po stronie Leszka Białego opowiedzieli się moźni z Małopolski, ziemi sandomierskiej i Mazowsza, wsparcia udzielił mu również książę włodzimiersko-wołyński Roman I (cioteczny brat Leszka). Mieszko III zgromadził siły z podległej sobie Wielkopolski i przeciągnął na swoją stronę książąt śląskich: Mieszka Płatonogiego i Jarosława opolskiego.

Do starcia obu armii – liczących zapewne po kilka tysięcy zbrojnych – doszło 13 września 1195 r. nad niewielką rzeką Mozgawą, między Jędrzejowem a Pińczowem. Opis bitwy można odnaleźć w kilku kronikach z XII i XIII w. (*Kronika wielkopolska*, *Kronika polska* Wincentego Kadłubka, *Latopis kijowski*), ale na podstawie ich lapidarnych i schematycznych narracji nie sposób dokładnie zrekonstruować jej przebiegu.

Wojskami wielkopolskimi dowodził Mieszko III Stary i jeden z jego synów, Bolesław. Armią wierną Leszkowi Białemu dowodzili wojewoda Mikołaj Gryfita i książę Roman. W krwa-



wym starciu zginął od ciosu włócznią Bolesław, syn Mieszka III, a sędziwy władca (miał ok. 70 lat) odniósł ciężkie rany i musiał zostać wyniesiony z pola bitwy. Armia małopolsko-mazowiecko-ruska także poniosła dotkliwe straty, poległo wielu Rusinów, a książę Roman został ranny. Obie strony, nie mogąc przełamać linii przeciwnika, wycofały się z pola bitwy.

Reprodukcja fragmentu rysunku Jana Matejki: *Leszek Biały* z cyklu *Poczet królów i książąt polskich*.

Fot. Domena publiczna

Miecz z XIII w.
Zbiory Muzeum Wojska Polskiego



Miecz z XIII w.
Zbiory Muzeum Wojska Polskiego

*Miecz datowa-
ny na koniec
XIII w.* Zbiory
Muzeum Wojska Polskiego

Rysunek Jana Matejki: *Mieszko III z cyklu Poczet królów i książąt polskich*. Fot. Domena publiczna

Tego samego dnia po południu nad Mozgawę dotarły spóźnione siły sojuszników Mieszka III – książąt śląskich Mieszka Piłtonogiego i Jarosława opolskiego. Zaskoczyły je mniej liczne oddziały z ziemi sandomierskiej pod wodzą wojewody sandomierskiego Goworka, stronnika Leszka Białego, który także nie zdążył przybyć w czasie głównego starcia. Pierwsze chwile bitwy były dla Goworka pomyślne, wykonał on bowiem niespodziewaną dla książąt śląskich szarżę. Po początkowym zamieszaniu, wykorzystując przewagę liczebną, wojska Mieszka i Jarosława otoczyły hufiec sandomierski, doszczętnie go rozbiły i wzięły Goworka do niewoli. Starcie to nie miało jednak większego znaczenia. Siły Mieszka III były mocno przeredzone, a sam władca, ranny, wycofał się do Wielkopolski. Po tej krwawej bitwie obie zwaśnione strony wróciły do stołu rozmów.

Doszło do ugody: Mieszko III otrzymał dożywotnio władzę w księstwie krakowskim, ale w zamian musiał oddać Kujawy, które stały się domeną brata Leszka Białego – księcia Konrada Mazowieckiego. Po śmierci Mieszka III w 1202 r. i po negocjacjach z jego synem Władysławem Laskonogim władzę jako księżę zwierzchni przejął Leszek Biały i sprawował ją aż do śmierci w 1227 r.

ŁUKASZ JĘDRZEJCZAK absolwent Instytutu Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego. Pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie, mediewista i rekonstruktor historyczny.

DUCHA NIE WOLNO TRACIĆ

- W 1939 r. kiedy obwieściłem, że idę na front, mama, która bardzo mnie kochała, zbladła, opuściła ręce i cicho powiedziała: „Idź, Stasiu”. Ojciec w milczeniu mocno mnie przytulił na pożegnanie – wspomina prof. Stanisław Michnowski.

Panie Profesorze, Pański dziadek był powstańcem styczniowym. Czy w przekazie rodzinnym przetrwały szczególnie jego powstańczy losów?

Nie tylko mój dziadek, Józef Michnowski, ale i jego bracia walczyli w Powstaniu 1863 r. Pradziadek – Michał Michnowski – miał sześciu synów, z których czterech wzięło udział w walce powstańczej. Józef i jego bracia przeżyli powstanie. Dziadek służył w zgrupowaniu gen. Mariana Langiewicza. Nie znam szczegółów jego służby, ale w przekazach rodzinnych zachowała się historia z okresu jego ukrywania się po powstaniu. Którejś nocy do drzwi domu na Młodzawach (dziś część Skarżyska-Kamiennej) zakolatali dwaj Kozacy. Dziadek był krępy i silnym mężczyzną, więc po otwarciu zdeterminowany do obrony chwycił pierwszego Dońca za pas, uniósł w górę i dosłownie wsadził głową w dół za wielką beczkę z kiszoną kapustą, która stała w rogu sieni. Niestety, drugi Kozak, który w tym czasie wszedł do sieni, ciął wtedy dziadka szablą przez twarz. Dziadek choć cały zakrwawiony,

miał jednak jeszcze siłę wyrwać się oprawcy i uciec w zarośla, a następnie ukryć się w rowie.

Nie był ścigany, gdyż Kozak zajął się wyciągnięciem swojego towarzysza z za beczki. Niechybnie zginąłby w tym rowie z upływu krwi, gdyby nie odwaga jego żony Petroneli. Babcia w nocy odszukała męża i opatrzyła go. Jakiś czas się ukrywali. Po tym zdarzeniu dziadek miał pamiątkę na całe życie w postaci potężnej blizny po cięciu kozackiej szabli.

Dziadek starał się nadal prowadzić pracę patriotyczną. Między innymi wysyłał swemu synowi, a mojemu ojcu Wawrzyńcowi polskie książki do Odessy. Ojciec tam odbywał pięcioletnią służbę w carskim wojsku. Rozczytywał się w dziełach polskich wieszczów narodowych. Zaszczepił w nim to mój dziadek Józef, który odziedziczył bibliotekę po swym ojcu Michale.

We wrześniu 1939 r. jako ochotnik znalazł się Pan w Grupie Operacyjnej „Dubno”, dowodzonej przez płk. Stefana Hanke-Kuleszę. Jak do tego doszło?

Wybuch wojny zastał mnie w Skarżysku-Kamiennej na wakacjach u rodziców. Byłem wtedy studentem Wydziału Elektrycznego Politechniki Warszawskiej. Już po pierwszych czterech dniach września 1939 r. pancerne zagony niemieckie zbliżyły się do Skarżyska. Dotarło wtedy do nas polecenie przez radio, żeby wszyscy mężczyźni zdolni do noszenia broni udali się na wschód. Pamiętam moment pożegnania z rodzicami. Kiedy obwieściłem,

że idę na front, mama, która bardzo mnie kochała, zbladła, opuściła ręce i cicho powiedziała: „Idź, Stasiu”. Ojciec w milczeniu mocno mnie przytulił na pożegnanie.

W drodze starałem się wstąpić do wojska, ale nie udawało mi się to. Kiedy dotarłem do Lublina, w tamtejszej Rejonowej Komendzie Uzpełnień także nie chciano mnie przyjąć. Po wyjściu z budynku RKU nadleciały nad miasto niemieckie samoloty i zaczęło się bombardowanie. Pamiętam, jak leżałem przy krawężniku ulicy, a nade mną fruwały deski i cegły z walących się od bomb kamienic. Nic nie wskórałem też w Zamościu i Włodzimierzu. Posuwałem się dalej na wschód.

I tutaj muszę opowiedzieć zdarzenie, które pokazuje zbrodniczy charakter działania Luftwaffe.

Kiedy na jednym z postojów odpoczywałem na skraju lasu, widziałem przed sobą duże stado krów



PROF. STANISŁAW MICHNOWSKI urodzony w 1918 r. w Skarżysku-Kamiennej, żołnierz Września '39, a następnie Kedywu Okręgu Radomsko-Kieleckiego. W Powstaniu Warszawskim walczył w Zgrupowaniu „Obroża”. Po wojnie poświęcił się pracy naukowej, m.in. w Instytucie Geofizyki Polskiej Akademii Nauk i na Politechnice Warszawskiej.

Fot. Michał Niwicz

NAGLE NADLECIAŁA ESKADRA NIEMIECKICH MYŚLIWCÓW. LOTNICY NIEMIECCY DOBRZE WIDZĄC, KOGO ATAKUJĄ, ZACZĘLI NA BEZBRONNYCH CYWILÓW RZUCAĆ BOMBY I STRZELAĆ DO NICH Z KARABINÓW MASZYNOWYCH. SZOSA ZAŁAŁA SIĘ KRWIĄ ZABITYCH I RANNYCH.

Heinkel He 111 w akcji nad polską drogą we wrześniu 1939 r.

Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

pasione przez chłopca na rozległej łące. Chłopiec mógł mieć 12–13 lat. Trochę dalej szosą jechały furmanki załadowane uciekającymi ludźmi i ich dobytkiem – pieprzami, garnkami i innymi sprzętami domowymi. Nagle nadleciała eskadra niemieckich myśliwców. Lotnicy niemieccy dobrze widząc, kogo atakują, zaczęli na bezbronnych cywilów rzucać bomby i strzelać do nich z karabinów maszynowych. Szosa zalała się krwią zabitych i rannych. Nie dość tego, jeden z samolotów odłączył się od eskadry, nadleciał nad pastwisko i zaczął ostrzeliwać chłopca. Kiedy pastuszek się podniósł, Messerschmitt nawrócił i znowu puścił serię do dziecka. Chłopiec znowu się podniósł do ucieczki, więc lotnik po raz trzeci nawrócił i w locie koszącym zamordował to dziecko serią swoich kaemów. To było niestychane okrucieństwo i przejaw nienawiści.

Po tym nalocie, w nocy na miejscowym cmentarzu uczestniczyłem w pochówku zamordowanych przez Luftwaffe ludzi. Kiedy tak stałem obok małego chłopca płaczącego nad zmasakrowanym kulami ciałem matki, ta krzyżąca zbrodnia uświadomiła mi, że trzeba walczyć z bronią w rękę przeciw pełnej nienawiści agresji wroga niosącego nam śmierć i zniszczenie. Po tym wydarzeniu z jeszcze większą determinacją starałem się dołączyć do walczących żołnierzy. Gdy dotarłem do Łucka, spotkałem tam Janka Brzezińskiego, maturzystę i syna miejscowego organisty. Dzięki jego znajomo-

ściom razem przyjęto nas do ochotniczego oddziału zgrupowania płk. Stefana Hanki-Kuleszy. Uzbrojono nas w broń po oddziałach policji, a umundurowano w drelichowe uniformy. Noce były już chłodne, więc wybraliśmy większe rozmiary i założyliśmy na cywilne ubrania. Wysłano nas na krótkie przeszkolenie wojskowe na południe. Niespodziewanie którejś nocy dostaliśmy rozkaz natychmiastowego powrotu do Łucka. Kiedy tam dotarliśmy, w mieście panowała ponura cisza. Jego mieszkańcy wiedzieli już o zbliżaniu się Sowieci. Nasze dowództwo postanowiło, że będziemy walczyć nadal i posuwać się neutralnym pasem, który wyznaczyły obie najeżdżące armie, by nie wchodzić sobie w drogę. Pułkownik planował przebić się tym pasem do granicy węgierskiej.

Jednak po kilku dniach drogę na południe zagroziło nam silne zgrupowanie niemieckie i 21 września doszło do zwycięskiej dla nas bitwy pod Kamionką Strumiłową. Pierwsza w moim życiu bitwa zrobiła na mnie wstrząsające wrażenie. Do dziś pamiętam pobojuwisko pełne trupów w niemieckich i polskich mundurach.

Co nastąpiło po bitwie?

Posuwaliśmy się dalej i w lasach pod Rawą Ruską otoczyły nas dywizje niemieckie. Nasz ochotniczy oddział był ceniony przez płk. Hanke-Kuleszę i wykorzystywał nas do zadań specjalnych. Pod Rawą Ruską utkw-

Płonące polskie miasteczko po zbombardowaniu przez samoloty Luftwaffe, wrzesień 1939.

Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

to mi w pamięci szczególnie wydarzenie, kiedy dowódca zgrupowania besztął jednego z oficerów za niezajęcie odpowiedniego punktu obserwacyjnego przez kierującego ogniem artylerii. Ze zdumieniem rozpoznałem w nim oficera, który prowadził z nami zajęcia w Legii Akademickiej. Nie lubiliśmy go, gdyż wyjątkowo mocno dawał nam się we znaki, ucząc nas musztry wojskowej i karząc za drobne niedociągnięcia. Zawsze zapięty na ostatni guzik, gonił nas niemiłosiernie po placu apelowym za każdy źle zasznurowany but i niedopięty pasek. Nazywaliśmy go „Picuś glancuś”, gdyż jego oficerki zawsze były wyglancowane na błysk. Przyznam, że ze zdumieniem, ale i z satysfakcją przyglądałem się tej scenie. Nagle usłyszałem „Padnij!” i odruchowo rzuciłem się na ziemię, kątem oka tylko dojrzałem jak nieopodal mnie zakotłował się piasek od kul karabinów maszynowych. Okazało się, że pułkownik dojrzał błysk nieprzyjacielskiego cekaemu i zdołał szybciej wydać rozkaz niż kule do nas doleciały. Gdyby nie nawyk wyniesiony ze znienawidzonych ćwiczeń ordynowanych przez „Picusia glancusia”, już bym nie żył.

Niestety, pod Rawą Ruską okazało się, że nie mamy szans na przedarcie się do Węgier i pułkownik zdecydował o kapitulacji. Z kilkoma kolegami za radą oficerów ściągaliśmy wojskowe drelichy i w cywilnych ubraniach próbowaliśmy przedrzeć się do domu. Po wielu perypetiach udało mi się wrócić do Skarżyska.

Po powrocie do domu przystąpił Pan do miejscowej konspiracji, ówczesnie jednej z prężniejszych nie tylko w regionie, ale i w skali całego kraju.

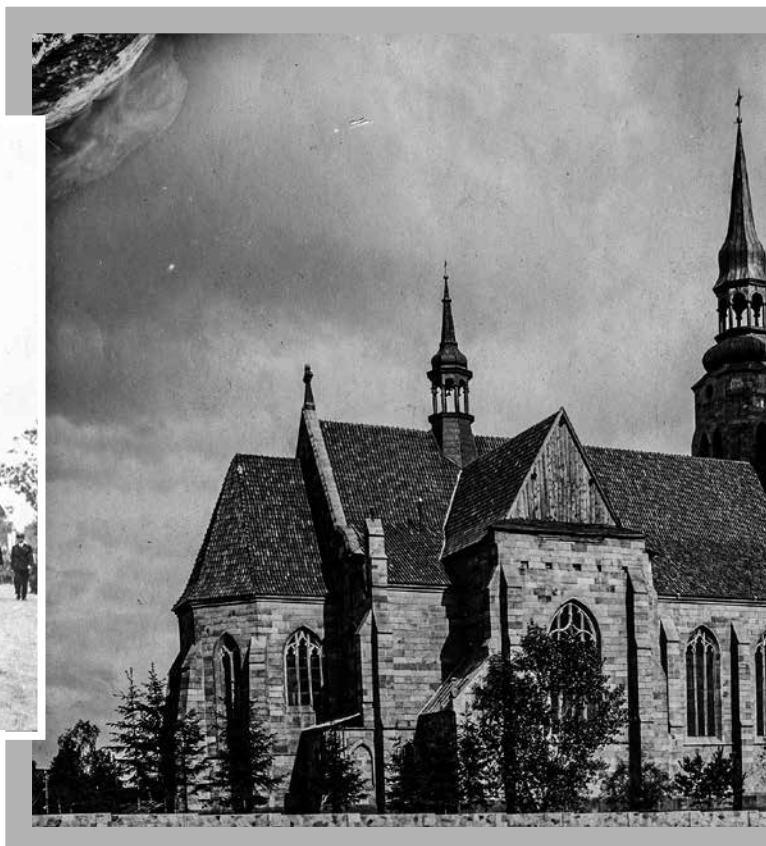
Gdy wróciłem z frontu, od razu zetknąłem się z tzw. pracą konspiracyjną. Na samym początku polegała ona na zbieraniu, konserwowaniu i ukrywaniu broni, którą można było znaleźć w okolicznych lasach. Powstawały pierwsze grupy konspiracyjne złożone przeważnie z harcerzy, kolejarzy, pracowników miejscowej fabryki amunicji i byłych członków Polskiej Organizacji Wojskowej, „Sokoła” lub „Strzelca” – słowem: ludzie o patriotycznych przekonaniach. Po niedługim czasie doszło do konspiracyjnego spotkania przedstawicieli w mieszkaniu dentysty Henryka Gąsiewicza przy ulicy Podjazdowej 5 w Skarżysku. Wtedy postanowiono o ich scaleniu, a na wspólnego dowódcę tej konspiracji wybrano kpt. rez. Ludwika Milkego. Kapitan Milke miał kontakty z Warszawą i tamtejszą konspiracją podległą Naczelnemu Wodzowi i premierowi, gen. Władysławowi Sikorskiemu, który ze swym rządem rezydował we Francji.

Kapitan Milke znał moją rodzinę. Mój brat Wojciech był jego bezpośrednim podkomendnym. Do organizacji zaprzysiął mnie gwardian klasztoru Franciszkanów w Skarżysku, o. Teodor Filip. W listopadzie 1939 r. otrzymałem od niego odpowiedzialne zadanie. W tymże miesiącu przyjechał do Skarżyska emisariusz z Warszawy, przedstawiający się jako kpt. Zbigniew Przeździecki ▶

POWSTAWAŁY PIERWSZE GRUPY KONSPIRACYJNE ZŁOŻONE PRZEWAŻNIE Z HARCERZY, KOLEJARZY, PRACOWNIKÓW MIEJSCOWEJ FABRYKI AMUNICJI I BYŁYCH CZŁONKÓW POLSKIEJ ORGANIZACJI WOJSKOWEJ, „SOKOŁA” LUB „STRZELCA” – SŁOWEM: LUDZIE O PATRIOTYCZNYCH PRZEKONANIACH.



Zjazd legionistów w Krakowie, 6 sierpnia 1939 r. Defilada. Pierwszy z prawej płk Stefan Hanka-Kulesza. Na trybunie marsz. Edward Śmigły-Rydz. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe



„Gryf”, wysłany przez zwierzchnictwo w Warszawie. Moje dowództwo postanowiło zweryfikować te informacje i mnie powierzono tę misję, podając odpowiednie adresy i hasła konspiracyjne. Miałem spotkać się z adwokatem Losmanem, urzędującym w biurze przy ulicy Żulińskiego 7. W czasie spotkania okazało się, że kapitan „Gryf” był rzeczywiście wystannikiem zwierzchnictwa z Warszawy. Adwokat Losman musiał być wysoko postawiony w jego strukturach, bo sprawę tę załatwił od ręki i przy tej okazji zaproponował poważną funkcję w Warszawie. Zrobił to na podstawie pisemnej opinii o mnie, którą mi dano w Skarżysku dla ułatwienia kontaktu. Nie przyjąłem propozycji i wróciłem do Skarżyska, do rozpoczętej tam pracy konspiracyjnej.

Przy tej okazji pragnę sprostować utarte opinie, że konspiracja w Skarżysku była organizowana przez ośrodki z Kielc i Krakowa, czyli zwierzchnictwo organizacji o nazwie „Orzeł Biały”. Zgodnie z tym, co powiedziałem, kierownictwo organizacji dowodzonej przez kpt. Milkego było w Warszawie i podlegało gen. Sikorskiemu.

W lutym 1940 r. nastąpiło potężne uderzenie niemieckie wymierzone w konspirację skarżyską. Wjazd i wyjazd do miasta zablokowali żołnierze Wehrmachtu, a w mieście gestapo zorganizowało masowe aresztowania. W ich następstwie doszło do egzekucji w lasach przy osiedlu Bór pod Skarżyskiem. Wśród 360 zamordowanych znaleźli się między innymi wszyscy franciszkanie wraz z o. Teodorem Filipem. Natomiast kpt. Milke, po brutalnym śledztwie i torturach, został stracony na Firlēju koło Radomia.

Drugiego masowego aresztowania Niemcy dokonali w czerwcu 1940 r. i przeprowadzili je w ramach tzw. akcji AB. W lesie Brzask nieopodal Skarżyska 29 czerwca zamordowali około 760 ludzi, w tym wielu moich kolegów i krewnych, między innymi brata Wojciecha. Ocalałem jako jeden z nielicznych i musiałem się ukrywać. Później, kiedy sytuacja się uspokoiła, przystąpiłem do tajnej organizacji wojskowej Polska Niepodległa, która działała w Skarżysku. Złożyłem przysięgę na ręce tamtejszego dowódcy, Romana Suligowskiego „Jastrzębia”. On też delegował mnie w 1942 r. do szkoły podchorążych Armii Krajowej w Skarżysku.

Kiedy skończyłem szkołę, jej komendant Kazimierz Kurowski „Piotr” wydał mi rozkaz, żebym przygotował i wykonał akcję zniszczenia stacji przekaźnikowej w niemieckiej telefonicznej linii frontowej przy ulicy Łowickiej. W budynku tym kwaterował oddział żandarmerii niemieckiej liczący 23 żołnierzy. Miałem tylko dwóch ludzi i jeden pistolet oraz obietnicę pomocy. Całymi dniami głowiłem się, jak mam wykonać to zadanie, ale rozkaz to rozkaz. Chodziłem jak struty, póki nie spotkałem byłego towarzysza broni z pierwszej konspiracji, Feliksa Konderkę. Jemu także udało się przetrwać aresztowania i wstąpić do oddziału partyzanckiego słynnego Jana Piwnika „Ponurego” działającego w Górach Świętokrzyskich. Pamiętam, jak zwierzyłem mu się w czasie naszego spotkania z mojego problemu i zapytałem: „Feluś, co ja mam zrobić?”. A on, partyzant z doświadczeniem, walnął mnie pięścią w plecy i wypalił: „Wszystko da się zrobić!”. Od razu w kilku zdaniach nakreślił mi cały plan akcji. Uwierzyłem, że



Parafia Najświętszego Serca Jezusowego w Skarżysku-Kamiennej.
Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

po zebraniu kilku uzbrojonych ludzi z zaskoczenia wykonam to zadanie. Ostatecznie jednak do niego nie doszło, gdyż przeniesiono mnie wtedy do Kierownictwa Dywersji Komendy Głównej Armii Krajowej (Kedywu).

Znalazłem się w ochronie sztabu Okręgu AK Radom-Kielce przeniesionego w owym czasie do Skarżyska. Moim bezpośrednim przełożonym został Feliks Bernas „Ryszard”. Do zadań mojej siatki należało zbieranie informacji o poczynaniach gestapo, żandarmarii i śledzenie ruchu wojsk niemieckich.

Jak długo trwała Pańska praca w skarżyskim Kedywie?

Do pierwszych miesięcy 1944 r. W tym czasie na trop mojego dowódcy „Ryszarda” wpadło gestapo i musiał on uciekać ze Skarżyska. Wcześniej zdołał mi przekazać dokumenty i kontakty z dowództwem, więc moja działalność nie została przerwana. Systematycznie przekazywałem meldunki do skrzynki kontaktowej, która znajdowała się w domu na Posadaju.

W tym okresie gestapo ponownie uderzyło w naszą konspirację. Któregoś dnia po całonocnych aresztowaniach, o których nic nie wiedziałem, poszedłem z meldunkiem do skrzynki kontaktowej. Przed domem udało mi się rozeznać, że obstawili go Niemcy, a w mieszkaniu zastawili na mnie kocioł. W tej sytuacji musiałem uciekać ze Skarżyska. Wyjechałem do Warszawy. Zamieszkałem w domu kolegi ze studiów, Jana Sikor-

za zadanie walczyć na przedpolach stolicy. Przygotowywaliśmy się do powstania, produkując granaty ręczne i zdobywając broń. Mnie osobiście ze Stefanem udało się zdobyć na Niemcach jeden pistolet i karabin.

Po wybuchu powstania wyruszyliśmy z Ursusa do Lasów Sękocińskich, gdzie dołączyliśmy do oddziałów naszego zgrupowania. Dotarli do niego też oddziały wykrwawione nieudanym atakiem na lotnisko w Okęciu. Po kilku dniach walk z Niemcami w tych lasach otrzymaliśmy rozkaz rozproszenia się, gdyż okazało się, że przeciw nam ściągnięto z frontu 1 Dywizję Pancerno-Spadochronową „Herman Göring”. Dywizja ta okrążyła nas i zaczęła zaciskać żelazny pierścień.

Dzięki umiejętnemu dowodzeniu kpt. „Janosa” udało nam się przedrzeć przez pancerny kordon, między innymi przeskakując w nocy będącą pod ostrzałem dzisiejszą szosą E-7. Zdołaliśmy z bronią w ręku wrócić do Ursusa. Niestety, nie mogliśmy się już przedrzeć do samotnie walczącej stolicy. W Ursusie mieszkalem u cioci Stefana Bernasa i przeżyłem tutaj łapanki. W jednej z nich Niemcy mnie aresztowali i skuty kajdankami stałem pod ścianą pilnowany przez feldfebla. W tym momencie ciocia Stefana podbiegła do niego i wcisnęła mu coś do ręki. Dowiedziałem się potem, że był to złoty zegarek. Dzięki temu żandarm puścił mnie wolno.

W Ursusie zastało mnie wejście Sowietów i pierwsze aresztowania. Uwięzili kpt. „Janosa” i po torturach wywieźli do łagru za Ural. Zaczęły się też aresztowania moich kolegów, postanowiłem więc uciekać do Skarżyska, chociaż i tam nie było dla mnie bezpiecznie, gdyż nadal byłem poszukiwany przez gestapo. Ukrywając się przed gestapowcami, doczekałem zajęcia miasta przez Armię Czerwoną w styczniu 1945 r. Znowuż mu-

siałem się ukrywać, ale tym razem przed NKWD i funkcjonariuszami Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, należałem przecież do Kedywu, byłem więc narażony na aresztowanie. Ale dzięki Bożej Opatrzności przeżyłem i ten trudny okres. Jesienią 1945 r. postanowiłem w inny sposób służyć Polsce – wróciłem na Politechnikę Warszawską i ukończyłem przerwane studia.

Rozmawiał Piotr Korczyński

W LUTYM 1940 R. NASTĄPIŁO POTĘŻNE UDERZENIE NIEMIECKIE WYMIERZONE W KONSPIRACJĘ SKARŻYSKĄ. WJAZD I WYJAZD DO MIASTA ZABLOKOWALI ŻOŁNIERZE WEHRMACHTU, A W MIEŚCIE GESTAPO ZORGANIZOWAŁO MASOWE ARESZTOWANIA.

skiego, który pomógł mi w tej trudnej sytuacji, utrzymując mnie i udostępniając swoje mieszkanie.

Jakie były Pańskie losy w Powstaniu Warszawskim?

W dniu wybuchu powstania byłem w domu gimnazjalnego kolegi, Stefana Bernasa „Brata”. Jego narzeczoną była córka kpt. Mariana Krawczyka „Janosa”, Halina. A tenże „Janos” dowodził oddziałem „Kordian” ze Zgrupowania „Obroża”, które po wybuchu powstania miało

Bez alternatywy

Za rozpętanie największego konfliktu w dziejach ludzkości, którym była II wojna światowa, ponoszą odpowiedzialność dwa państwa totalitarne: Związek Sowiecki i III Rzesza – mówi prof. Mariusz Wołos.



Minister spraw zagranicznych Józef Beck na pogrzebie hrabiego Maurycygo Zamoyskiego.

Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Panie Profesorze, niedługo ukaże się pierwsza akademicka biografia Józefa Becka autorstwa Pana i prof. Marka Kornata. Bohater książki kojarzy się głównie z polityką międzynarodową. Kim był Beck przed objęciem stanowiska ministra spraw zagranicznych?

Józef Beck był przede wszystkim wielkim polskim patriotą, który uczestniczył w walkach o niepodległość, choć zaryzykowałbym twierdzenie, że przed 1914 r. większe zaangażowanie w przygotowania do walki zbrojnej przejawiał jego ojciec, Józef Alojzy Beck (Bek), który w Limanowej organizował Polskie Drużyny Strzeleckie. Młody Józef Beck przystąpił do walki o niepodległość dopiero w sierpniu 1914 r. W czasie I wojny światowej służył w Legionach Polskich. Za udział w bitwie pod Kostuchnówką otrzymał z rąk Józefa Piłsudskiego Krzyż Virtuti Militari. Walczył w szeregach 1 Pułku Artylerii LP i – co ciekawe – nigdy nie służył w I Brygadzie. Był jednak zdeklarowanym piłsudczykiem, ideowym pierwszobrygadowcem, co wynika z naszych badań. W czasie wojen o granice – ze wskazaniem na konflikt polsko-sowiecki – był jednym z kluczowych oficerów wywiadu, który przekazywał precyzyjne informacje na temat ruchów Armii Czerwonej. Był wykorzystywany przez Naczelnika Państwa do specjalnych misji dyplomatycznych o charakterze konfidencyjnym. Pierwsza była misja do Rumunii na początku 1919 r., gdzie oprócz stosunków z tym państwem, należało również nawiązać kontakty z tamtejszą Francuską Misją Wojskową. Druga – do regenta Węgier adm. Miklósa Horthyego jesienią 1920 r. Trzecia – kto wie, czy z punktu widzenia Józefa Piłsudskiego nie najistotniejsza – była misja do Brukseli wiosną 1921 r. Beck prowadził tam rokowania wojskowe nad tekstem konwencji wojskowej z Litwą. W misjach szlifował się jako dyplomata, a dokumenty ukazują Becka jako postać zdecydowaną o bardzo dobrym oglądzie rzeczywistości, potrafiącego skomplikowane zagadnienia problematyki międzynarodowej ująć w sposób niezwykle treściwy, celny i zarazem lapidarny. Przez prawie dwa lata był on pierwszym attaché wojskowym Rzeczypospolitej we Francji. Przed objęciem stanowiska ministra spraw zagranicznych w 1932 r. był dobrze do tej roli przygotowany. W latach 1930–1932 pełnił funkcję wiceministra spraw zagranicznych, a wcześniej pomiędzy majem 1926 r. a sierp-

niem 1930 r. – szefa gabinetu ministra spraw wojskowych Józefa Piłsudskiego. Należy pamiętać, że był to najważniejszy gabinet w II Rzeczypospolitej. Przez biurko Becka przechodziły arcyważne dokumenty dotyczące polskiej polityki zagranicznej i spraw wewnętrznych.

Jakim człowiekiem był Józef Beck?

Był przenikliwym obserwatorem życia politycznego o wielkiej inteligencji i błyskotliwości. Oceniał wydarzenia właściwie, co można zweryfikować z perspektywy historycznej. Bardzo dobrze rozumiał intencje rozmówców. Jak każdy człowiek miał przywary. Nie stronił od alkoholu. Trudno też powiedzieć, aby zasklepił się w rodzinie. Miał dwie żony. Pierwszą, Marię Stomińską, gdy była w zaawansowanej ciąży, pozostawił dla innej kobiety, późniejszej pani Beckowej – Jadwigi Salkowskiej, primo voto Burhardt-Bukackiej. Był jednak bardzo ciepły w stosunku do pasierbicy, z którą utrzymywał świetne relacje. Jego niespełnionym marzeniem było studiowanie na którejś z politechnik niemieckich. Czuł się niezwykle dobrze jako konstruktor okrętów i żeglarz. Kochał morze, a Joseph Conrad (Józef Korzeniowski) był jednym z jego ulubionych autorów. Bliscy nazywali go Jim od Lorda Jima. Czytał kryminały, lubił także oderwać się od rzeczywistości, wypływając łódką i łowiąc ryby. W sprawach publicznych okazywał wielkie poczucie godności oraz honoru i nie była to bynajmniej cecha banalna. Uwidoczniła się podczas najsłynniejszego przemówienia w Sejmie 5 maja 1939 r. Druga żona Becka napisała już po jego śmierci, że za tą powagą, za tą przytłaczającą polityką, który był postrzegany jako osoba kostyczna, nadzwyczaj poważna, trzymająca ludzi na dystans, krył się człowiek po ludzku raczej wstydliwy. Przybierał maskę po to, aby tego nie okazywać, podczas gdy na zewnątrz wydawał się spiżowy. Jak wielu przedstawicieli polskiej inteligencji był dość blisko z bohemą artystyczną. Przyjaźnił się ze skamandrytami, jest często wymieniany w *Dzienniku* Jana Lechonia.

Jaka była pozycja Becka w obozie pomajowym?

Dokumentów na temat relacji: Józef Piłsudski – Józef Beck jest w gruncie rzeczy niewiele, zwłaszcza dla okresu przed objęciem steru dyplomacji polskiej. O tym, kim Józef Beck



MARIUSZ WOŁOS historyk, eseista, pracownik Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie i Instytutu Historii Polskiej Akademii Nauk w Warszawie, w latach 2007–2011 dyrektor Stacji Naukowej PAN w Moskwie i stały przedstawiciel przy Rosyjskiej Akademii Nauk. Autor ok. 250 prac naukowych z zakresu dziejów stosunków międzynarodowych i historii dyplomacji w XX w., biografistyki, irredenty, historii historiografii.

był w obozie pomajowym, świadczyło przede wszystkim czterolecie pełnienia funkcji szefa gabinetu ministra spraw wojskowych. W tym czasie stał się najbliższym współpracownikiem Komendanta, który miał wpływ na podejmowane decyzje. Marszałek wiele kwestii omawiał z Beckiem w tym okresie i pozytywnie odnosił się do jego opinii, bo gdyby tak nie było, Beck nie zrobiłby takiej kariery. To Piłsudski mianował go szefem Ministerstwa Spraw Zagranicznych i ten fakt wpłynął na bardzo wysoką pozycję Becka, także po śmierci ukochanego Komendanta.

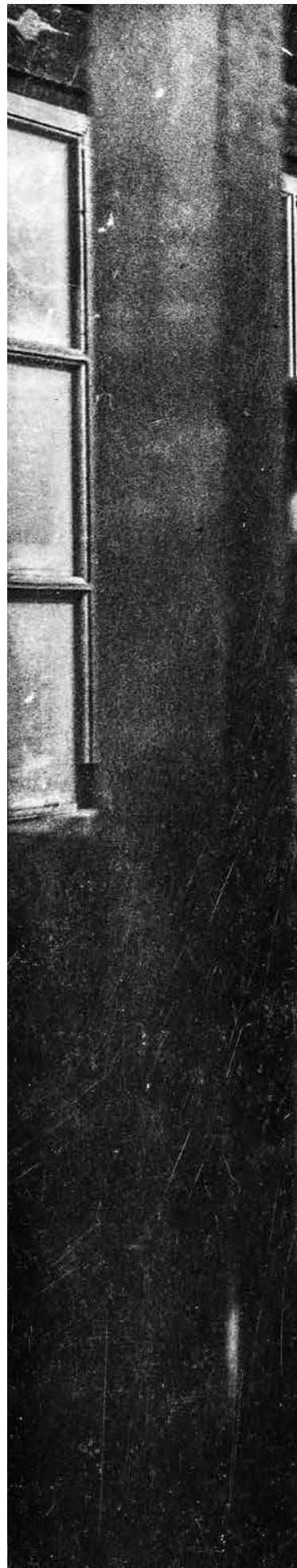
Minister Józef Beck został internowany we wrześniu 1939 r. w Rumunii, gdzie 5 czerwca 1944 r. zmarł. W jakich warunkach żył w tym okresie?

Na początku był internowany w miejscowości Braszów, gdzie warunki były godziwe. Mieszkał w dobrym hotelu. Przyczynił się do tego minister spraw zagranicznych Rumunii Grigore Gafencu. Beck mógł przyjmować gości, a inwigilacja ze strony służb rumuńskich była niewielka, choć bacznie obserwowali go Niemcy z miejscowego konsulatu. Po wybuchu kampanii niemiecko-francuskiej w maju 1940 r. oraz po usunięciu Gafencu warunki internowania uległy pogorszeniu. Mieszkał w willi nad jeziorem Snagov, gdzie rygor był dużo większy. Stamtąd podjął kilka prób ucieczki. Najlepiej znany tę najbardziej zaawansowaną z października 1940 r. Po aresztowaniu Becka udającego obywatela Wielkiej Brytanii – Brytyjczycy pomogli w wyrobieniu i dostarczeniu paszportu – doświadczył trudnych warunków więziennych. Przesiedział tak kilka dni gryziony przez szczury. Wyciągnięto go stamtąd także dzięki stanowczej interwencji żony Jadwigi, ale warunki internowania były odtąd coraz gorsze. Mieszkał w Bukareszcie w willi pilnowanej przez kilkunastu ludzi. Nie miał możliwości wychodzenia poza posesję. Mógł spacerować jedynie wokół zabetonowanego basenu. Po wielkich trudach rodzinie i przyjaciołom udało się załatwić wizyty u lekarza. W 1942 r. stwierdzono u niego gruźlicę, a jego stan zdrowia pogarszał się z miesiąca na miesiąc. Gdyby uwolniono go wówczas, prawdopodobnie miałby szansę wyzdrowieć. Jednak rząd na wychodźstwie kierowany przez gen. Władysława Sikorskiego nie zaangażował się w jego sprawę. Jeden z przedwojennych se-

kretarzy Becka – Ludwik Łubieński – usłyszał od Sikorskiego w Gibraltarze w 1943 r., że Beck zostanie uwolniony, ale było to tuż przed katastrofą. Jeszcze w połowie lat dwudziestych Józef Beck z pierwszą żoną przychodził na herbatki do państwa Sikorskich. Gdy był attaché wojskowym w Paryżu we wrześniu 1922 r., gen. Sikorski podczas swojej oficjalnej wizyty w stolicy Francji jako szef Sztabu Generalnego wszędzie go ze sobą zabierał. Ich relacje były serdeczne, jednak z czasem drogi się rozeszły, na trwale zaś po przewrocie majowym. W ostatnich dniach życia Rumuni wywieźli Becka do małej wioski Stănești, gdzie ulokowali go w opuszczonym budynku szkoły wiejskiej. Gdy był deszcz, jego łóżko przesuwano, aby krople nie padały na pościel. Józef Beck zmarł w tych tragicznych warunkach 5 czerwca 1944 r. w wieku niespełna 50 lat. Umierał na obczyźnie w dużym stopniu dlatego, że rodacy nie chcieli mu pomóc, a jeszcze w 1940 r. istniała możliwość wydostania go z internowania. Zaryzykuję stwierdzenie, że dyplomacie amerykańska i brytyjska włożyły więcej wysiłku w próby uwolnienia Józefa Becka niż polski rząd emigracyjny.

Przeciwnicy Becka mówią, że odzyskanie przez Polskę części Śląska Cieszyńskiego w 1938 r. było błędem politycznym, który w przekazie informacyjnym w Europie uczynił z Polski sojusznika Hitlera w rozbiórze Czechosłowacji. Jak silny był ten przekaz i czy miał on rzeczywisty wpływ na losy Polski w 1939 r.?

Przekaz był silny, ale wpływu decydującego nie miał. Przy ocenie zajęcia Zaolzia w 1938 r. nie sposób pominąć tego, co miało miejsce w 1919 r., czyli agresji czechosłowackiej na te ziemie. W listopadzie 1918 r. podpisano umowę pomiędzy Czeską Radą Narodową a Polską Radą Narodową Śląska Cieszyńskiego. Miejscowe władze obu stron знаły doskonale rozmieszczenie mieszkańców i były świadome, że ta część Śląska Cieszyńskiego należy się Polsce. Praga nie zaakceptowała jednak tego rozwiązania i bardzo brutalna agresja wojsk czeskich – dowodzonych między innymi przez ppłk Josefa Šnejdárka – doprowadziła do zajęcia tych ziem siłą. Podczas interwencji miało miejsce mordowanie jeńców polskich. Nawet narodowi demokraci w 1938 r. nie krytykowali rządu polskiego za





Powrót ministra spraw zagranicznych Józefa Becka z sesji Rady Ligi Narodów w Genewie. Minister z małżonką Jadwigą przy wyjściu z Dworca Głównego w Warszawie.

Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

zajęcie Zaolzia. Do kwestii tej powrócono w okresie II wojny światowej w związku z inną interpretacją tych wydarzeń przez gen. Sikorskiego i jego otoczenie. Jest to porównywalne ze współczesną rosyjską polityką historyczną, której twórcy utrzymują, że Polacy wraz z Hitlerem dokonali rozbioru Czechosłowacji. Przemilczają jednak, że nie patrzono wtedy z perspektywy Berlina, tylko Warszawy. W Polsce pamiętano wydarzenia z lat 1919–1920, gdy strona czechosłowacka obawiała się plebiscytu na tych ziemiach. Józef Beck wiedział również, że Piłsudski chciał odzyskania tych terenów. Marszałek, przyjmując delegację Polaków ze Śląska Cieszyńskiego, powiedział, że Polska się o nich upomni i jeśli nie za jego życia, to później zrobią to „jego chłopcy”. Beck traktował takie słowa jako niepisany testament Komendanta. Sam ten punkt widzenia podzielał.

W ostatnich latach coraz częściej pojawiają się zarzuty, że polityka równych odległości do Moskwy i do Berlina doprowadziła do agresji na Polskę dwóch totalitarnych sąsiadów we wrześniu 1939 r. Czy była alternatywa dla tej polityki?

Alternatywy dla polityki Józefa Becka nie było. Można zastanawiać się i rozpatrywać szczegóły, rozważać pewne elementy, doszukiwać się błędów, jak choćby niezachwiana wiara w zachodnich aliantów, zwłaszcza Wielką Brytanię. Pójście z Hitlerem na Wschód oznaczało coraz większą podległość Polski w stosunku do III Rzeszy. Dziś każdy oponent Becka podnosi, że można było się zachowywać jak Węgrzy, Bułgarzy czy Chorwaci. W przypadku Polski nie można było, gdyż byliśmy na drodze do niemieckiego Lebensraumu. Adolf Hitler patrzył na Polaków jak na podludzi. Nacjoniści ukraińscy byli wiernymi sojusznikami III Rzeszy na długo przed 1939 r. i mimo że w 1941 r. we Lwowie witano



1



2

1. Marsz. Józef Piłsudski w towarzystwie ppłk. Józefa Becka podczas obchodów Święta Niepodległości w Warszawie.

Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

2. Jedna ze scen szopki politycznej wystawionej w Warszawie w 1937 r. Widoczne kukielki teatralne przedstawiające Hermana Göringa i Józefa Becka.

Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

wkraczający Wehrmacht jak sojuszników, Hitler Ukraińcom państwa nie podarował. Krytycy Becka twierdzą, że można było pójść na pewną formę współpracy i pokonać komunizm, który był największym złem. Jednak, aby zawrzeć umowę, należało mieć po drugiej stronie przynajmniej jedną, dwie, trzy postaci lub środowiska, które byłyby nastawione propolsko. Proszę wskazać w Republice Weimarskiej, a zwłaszcza w III Rzeszy propolskie środowisko lub propolskiego polityka, który miał jakikolwiek wpływ na kurs polityki zagranicznej. Nie jest prawdą, że o wszystkim decydował Hitler i gdyby nakazał pojednanie z Polską, to miałyby to miejsce. W Niemczech była wielka niechęć i pogarda dla Polaków

oraz olbrzymia wola posiadania Wolnego Miasta Gdańska, Pomorza, Wielkopolski, Górnego Śląska. Nie wyobrażam sobie, że Hitler stanąłby na przepełnionym stadionie podczas wiecu partyjnego (Parteitag) albo w czasie przemówienia w parlamencie Rzeszy (Reichstag) i nakazał pojednanie z Polakami. Tym by się skompromitował. Führer musiał się liczyć z nastrojami swoich rodaków, mógł je co najwyżej w jakimś stopniu ukierunkowywać i tłumaczyć zaufanym, że zbliżenie z Polską ma charakter taktyczny, celujący w to, aby ofiara sama weszła do paszczy lwa. To są życzenia ludzi, którzy – nie wiem, z jakich powodów – mimo wszystko uważają, że byłaby to poważna alternatywa. Beck powtarzał, że przyjęcie warunków postawionych przez stronę niemiecką oznaczałoby wejście na równię pochyłą ku coraz większemu uzależnieniu się od Niemiec, ku utracie suwerenności, podmiotowości i wolności. Hitler podpisanych umów nie dotrzymywał, czego Czechosłowacja jest najlepszym przykładem. Podpisanie układu sojuszniczego obliczonego na tzw. junior-partnerstwo – co postulują zwolennicy tej teorii – nie musiałyby być dotrzymane, bo Niemcy były o wiele silniejsze. Mam również wrażenie, że ci, którzy kreują tego typu popularne historie – nie tylko publicyści, lecz także utytułowani historycy – mylą pojęcie sojuszu z pojęciem podporządkowania partnerskiego. Junior-partner to nie sojusznik, ale zależny klient, który wykonywać musi polecenia senior-partnera. Poza tym kto da gwarancję, że Wehrmacht wraz z Wojskiem Polskim pokonałby Armię Czerwoną? Rozpatrywanie drugiego wariantu – co robiono w okresie tzw. Polski Ludowej – czyli sojuszu ze Związkiem Sowieckim jest także nieporozumieniem. Sojusz taki uzależniałby Polskę od Moskwy i zakończyłby się na pewno odebraniem co najmniej Kresów Wschodnich. Już w trakcie pertraktacji ryskich w latach 1920–1921 władze sowieckie traktowały wschodnie województwa Rzeczypospolitej jak ziemie okupowane przez Polskę. Moskwa mogła zgodzić się na istnienie państwa polskiego od siebie zależnego, ale tylko na zachód od tego, co nazywano Linią Curzona. Nieżyjący już Piotr Wandycz, emerytowany profesor amerykańskiego Uniwersytetu Yale w New Haven, który tę kwestię bardzo gruntownie badał, napisał o tym w jednej ze swych ostatnich publikacji:

„Możliwości dyplomatycznych manewrów II Rzeczypospolitej były bardzo ograniczone. Niezależnie od tego, czy będziemy mówili o polityce Becka jako o dostosowaniu założeń Piłsudskiego do zmieniającej się sytuacji, czy o polityce Piłsudskiego noszącej piętno osobowości Becka, nie sądzę, aby wpływało to na rozwój wypadków prowadzących do wybuchu wojny. Powtarzam – alternatywnej polityki zagranicznej II Rzeczypospolitej w praktyce nie było”¹. Mogę się pod tymi słowami tylko podpisać. Najsmutniejsze w całym tym dywagowaniu o odpowiedzialności Polski, czy możliwości kreowania tej polityki w inną stronę jest to, że celowo lub niecelowo, przenosimy punkt ciężkości na coś, co jest dla nas niebezpieczne. Sugerujemy, że wina za wywołanie II wojny światowej leży po polskiej stronie. Za rozpetanie największego konfliktu w dziejach ludzkości ponoszą odpowiedzialność dwa państwa totalitarne: Związek Sowiecki i III Rzesza. Polska położona pomiędzy tymi państwami jest symbolem robienia wszystkiego, co możliwe, aby owego konfliktu uniknąć.

Jaka mogła być pozycja Polski jako tzw. junior-partnera? Czy była cena, którą można było zapłacić za „sojusz” z III Rzeszą? Kto w Polsce był tego największym orędownikiem?

Beck, który był internowany w Rumunii, na to pytanie odpowiedział młodemu dyplomacie Janowi Bociańskiemu takimi słowami: „I cóż, Panie Janie, pobilibyśmy Rosję, po czym musielibyśmy pójść z nim [Führerem] przeciwko zachodowi, który byśmy też rozwalili, a w końcu pasalibyśmy Hitlerowi krowy za Uralem”². Nic dodać, nic ująć. Taka byłaby pozycja Polski wynikająca z tej współpracy. Nikt mnie nie przekona, że zbrodnie dokonywane przez Niemców w pierwszym okresie okupacji nie były wcześniej zaplanowane. Było to mordowanie i usuwanie z terenów włączonych do III Rzeszy każdego, kto mógłby choćby stanowić zarzewie oporu. Niemcy traktowali te ziemie jak swoje i nie było to efektem odmowy wspólnego marszu na Wschód ze strony polskiego MSZ. Jeśli poszlibyśmy na układ z Hitlerem, to nie zatrzymałby się on na włączeniu Wolnego Miasta Gdańska, ale również województwa pomorskiego, Poznania i Wielkopolski, Śląska, a nawet Łodzi. W dzienniku Josefa Goebbelsa można odnaleźć wrażenia z wizyty w Polsce w 1934 r. Patrzył na nasz kraj oczyma nazisty niemieckiego, a w trakcie zwiedzania Krakowa doszedł do przekonania, że to miasto niemieckie. Wszędzie widział wpływy kultury niemieckiej. Tego sposobu myślenia o Polsce w III Rzeszy żaden Beck ani inny polityk polski nie był w stanie zmienić. Do tego Niemcy myśleli kategoriami rasistowskimi. Ktoś może zarzucić, powołując się na – skądinąd ciekawą – książkę dr. Krzysztofa Raka, że Hitler zlecił swoim tzw. uczonym, aby udowodnili, że Polacy

są narodem nordyjskim, spokrewnionym z Germanami. Jednak od takich „badań” do przekonania narodu niemieckiego, że Polacy są im równi, było bardzo daleko. Powtórzę za prof. Jerzym Wojciechem Borejszą, że komponentą rasizmu Hitlera nie był tylko antysemityzm, ale również antyslawizm. Borejsza jako jedyny historyk gruntownie i skrupulatnie badał te kwestie źródłowo. Jeśli chodzi o ludzi optujących w Polsce za zbliżeniem polsko-niemieckim wymienić należy Władysława Studnickiego. Patrzył on jednak na III Rzeszę nie przez pryzmat tego, o czym mówimy – nacjonalizmu, rasizmu i niechęci do Słowian, ale poprzez to, co Niemcy robili w naszej części Europy podczas I wojny światowej. Mam również wrażenie, że nie do końca pojmwiał istotę rasizmu i ideologii nazistowskiej. Zrozumiał to dopiero – podkreśla to nawet jego wielki admirator red. Piotr Zychowicz – z czasem, przyglądając się czynom Niemców w okresie II wojny światowej. Beck rozumiał to przed kampanią 1939 r., a słowa przytoczone przez Bociańskiego są tego dowodem.

Wielka Brytania i Francja wypowiedziały wojnę Niemcom 3 września 1939 r. Czy była to zasługa polskiego MSZ?

Był to ostatni sukces polityki Józefa Becka, bo kto dał gwarancję, że gdyby fakt ów nie nastąpił, to podział Polski nie zakończyłby się kolejnym układem monarchistycznym? Dzięki temu po przegranej kampanii 1939 r. Polska prowadziła wojnę koalicyjną z sojusznikami, z którymi mieliśmy podpisane układy. Wielka Brytania wypowiedziała wojnę 3 września 1939 r. o godzinie 11.00, a Francja o 17.00. Francuzi nie chcieli wojny, ale poszli za głosem brytyjskim. Jednak od wypowiedzenia wojny do podjęcia skutecznych działań było jeszcze daleko. Wybitny francuski historyk Jean-Baptiste Duroselle opisał to, tłumacząc, że armia francuska została zdominowana doktryną defensywną, a jej symbol stanowił żołnierz, który od szeregowca aż po generała nie był uczony ataku, lecz tylko obrony. Wyliczanie większej ilości dywizji i czołgów do niczego nie prowadzi, bo ważniejsze jest to, co żołnierz ma w głowie. Oni po prostu nie potrafili atakować. Inna sprawa, że atakować nie chcieli. Wypowiedzieli wojnę, widząc w tym desperacki sposób dyplomatycznego nacisku, który wszakże okazał się zbyt słaby, aby przestraszyć Hitlera i zatrzymać wojska niemieckie. Tłumy zbierające się 3 września w Warszawie przed budynkami ambasad Wielkiej Brytanii i Francji nie miały – bo i mieć nie mogły – o tym pojęcia. ■

Rozmawiał Piotr Podhorodecki

¹ P. Wandycz, *Piłsudski i Beck. Trochę rozważań*, w: *Plk Józef Beck (1894–1944). Żołnierz, dyplomata, polityk*, red. S.M. Nowinowski, Łódź – Warszawa 2017, s. 84.
² Archiwum Instytutu Józefa Piłsudskiego w Londynie, Archiwum Jana Bociańskiego, kol. 85/2/17, Fragment wspomnień, s. 49, 57.

ZAPROSZENIE DO ZAPROSZENIE DO ZAPROSZENIE DO

W latach 1933–1938 celem Adolfa Hitlera było pozyskanie Polski dla planów wspólnej inwazji na Związek Sowiecki. Gdy to się nie udało, wartość wschodniego sąsiada w oczach wodza Rzeszy spadła do zera – przekonuje dr Krzysztof Rak.

Adolfa Hitlera, proponującego Polakom wspólną agresję na Związek Sowiecki, można porównać do pokerzysty, który stopniowo odsłania swoje karty. Przykładowo, w listopadzie 1933 r. kanclerz przekonywał posła RP Józefa Lipskiego, że „wszelkie momenty agresywne są jego polityce obce i że wojna byłaby katastrofą dla wszystkich”¹. Kilkanaście miesięcy później zasugerował mu zaś, że Polskę i Rzeszę mógłby łączyć sojusz militarny, ale o charakterze defensywnym. Jak wyglądały kulisy tej gry Hitlera i jak reagowała na nią strona polska?

O tym sojuszu Hitler wspominał w rozmowie z Lipskim na początku 1935 r. Już wtedy zdawał sobie sprawę, że polskie władze są sceptycznie, a nawet negatywnie nastawione do pomysłów „wschodniej krucjaty”, czyli ataku na ZSRS. Taki wniosek mógł wysnuć z warszawskich rozmów swojego wysłannika, a zarazem prezydenta Senatu Wolnego Miasta Gdańska Hermanna Rauschninga odbytych w grudniu 1933 r. Rauschning spotkał się wówczas między innymi z Józefem Piłsudskim i marszałek – sam z siebie – poinformował go, że Polska nie pozwoli się wmanewrować w wojnę ze wschodnim sąsiadem i próby zainteresowania jej sowiecką Ukrainą są bezcelowe. Nim w polsko-niemieckich rozmowach pojawił się wątek ukraiński, wódz Rzeszy próbował namówić Polaków do rozbioru Litwy. Podczas spotkania z poprzednikiem Lipskiego, Alfredem Wysockim, 2 maja 1933 r. zaproponował, żeby Polska rzekła się Pomorza Gdańskiego na rzecz Niemiec – w zamian moglibyśmy otrzymać port w Kłajpedzie.

Führer nie zraził się jednak polską odmową – najpierw roztoczył przed Lipskim wizję Polski i Niemiec jako militarnego bastionu strzegącego Europy przed bolszewizmem, a potem wprost zaproponował nam wyprawę przeciw Związkowi Sowieckiemu. Zaproszenie do „krucjaty” padło z ust przyszłego marszałka Rzeszy i szefa Luftwaffe Hermanna Göringa.

Göring odwiedził Polskę pod koniec stycznia 1935 r., a wizytę tę poprzedził trzygodzinną rozmową z Hitlerem,

Wizyta oficjalna ministra spraw zagranicznych Niemiec Joachima von Ribbentropa w Polsce, styczeń 1939 r. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe



podczas której otrzymał szczegółowe instrukcje. Sprowadzały się one do tego, że Niemcy są gotowe zrezygnować z wszelkich roszczeń wobec Rzeczypospolitej, zwłaszcza dotyczących Pomorza. Rezygnacja ma jednak cenę – w zamian sanacja powinna zawiązać sojusz militarny z nazistami, zmierzający docelowo do inwazji na Związek Sowiecki. Podział terytorialnych łupów wyglądałby następująco: Polska otrzyma sowiecką Ukrainę, a Niemcom przypadną ziemie białoruskie i północ Związku Sowieckiego. Göring wywiązał się z zadania i tę ofertę przedstawił Piłsudskiemu, ale spotkał się z polskim „nie”. Marszałek odparł, że Polska ma 1000 km granicy z Sowietami i jej celem jest pokój, a nie wojna.

Lata 1934–1938 to odprężenie w stosunkach polsko-niemieckich, niemniej nie brakowało punktów zapalnych. Do najważniejszych należał Gdańsk. W książce „Polska – niespełniony sojusznik Hitlera” wspomina Pan o tzw. kryzysie gdańskim z połowy 1935 r. Musiał on być poważny, skoro Józef Beck nie wykluczał, że „w skrajnym przypadku dojdzie do konfliktu zbrojnego między Polską a Niemcami”².

Do tych słów nie przywiązywałbym specjalnej wagi – Beck słynął z tego, że niekiedy w rozmowach ze współpracownikami przejawiał sytuację. Kryzys wziął się stąd, że rządzący Gdańskiem naziści zaczęli prowadzić w mieście politykę pełnego zatrudnienia, kosztem równowagi budżetowej. W efekcie nastąpił kryzys gospodarczy, a podjęte przez gdańską NSDAP środki zaradcze godziły w interesy polskich przedsiębiorców. Hitler zaakceptował tę politykę – tamtejsi naziści przekonali go, że przyjęcie polskich kontrproponycji jak wprowadzenie w Wolnym Mieście złotego skutkowałoby polonizacją Gdańska.

Z tej perspektywy widać, że porozumienie z Polską nie miało dla Hitlera bezwzględnej wartości. Wódz Rzeszy polecił przeciw gdańskim liderom NSDAP ratowanie lokalnej gospodarki nawet za cenę pogorszenia relacji – zarówno gdańsko-polskich, jak i niemiecko-polskich. Owszem potencjalny, antysowiecki sojusz z Rzeczpospolitą był dla niego ważny, ale utrzymanie niemieckości Gdańska i gdańskie interesy – ważniejsze. W tle mamy jeszcze działania niemieckich dyplomatów, którzy, za plecami Hitlera, próbowali storpedować gdańsko-polskie negocjacje gospodarcze. Ostatecznie kryzys udało się zażegnać, ale stanowił on dowód, że w sprawie Gdańska Polsce i Rzeszy nie będzie łatwo dojść do konsensusu. ▶



KRZYSZTOF RAK historyk dyplomacji i filozofii, tłumacz, publicysta, ekspert w dziedzinie stosunków międzynarodowych. Doktor nauk historycznych (Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego). Dyrektor zarządzający Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej. Publikował m.in. w „Życiu”, „Wprost”, „Rzeczpospolitej”, „W sieci”, „Frankfurter Allgemeine Zeitung”, „Die Welt” oraz w „Handelsblatt”.



Publiczność na trybunach Stadionu im. Adolfa Hitlera w Zabrzu przed rozpoczęciem meczu piłki nożnej Śląsk Niemiecki – Śląsk Polski w 1935 r.

Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe/Autor: Czesław Datka, Koncern Ilustrowany Kurier Codzienny



Piłkarze reprezentacji Śląska Polskiego przed rozpoczęciem meczu piłki nożnej Śląsk Niemiecki – Śląsk Polski na Stadionie im. Adolfa Hitlera w Zabrzu w 1935 r.

Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe/Autor: Czesław Datka, Koncern Ilustrowany Kurier Codzienny

W miarę jak następowało ocieplenie na linii Warszawa – Berlin, rosło zaniepokojenie w Paryżu. Polska dyplomacja musiała więc umiejętnie lawirować, aby utrzymać przyjazne stosunki z Niemcami i alians z Francją. Widać to przy okazji remilitaryzacji Nadrenii – Francuzom Beck deklarował, że jeśli podejmą akcję zbrojną przeciw Rzeszy, Polska ruszy z militarną pomocą. Z kolei Niemców przekonywał, że nie ma o tym mowy.

Zacznijmy od tego, że wejście Wehrmachtu na terytorium Nadrenii stworzyło Niemcom przewagę w razie konfliktu. Po konferencji paryskiej wojska francuskie kontrolowały przecież ten obszar, w tym przyczółki mostowe na prawym brzegu Renu. Niestety, defensywna polityka Paryża, prowadzona od lat dwudziestych, sprzyjała stopniowemu odradzeniu się Niemiec jako mocarstwa, również mocarstwa wojskowego. Myślę, że gdyby w 1936 r. Francuzi postawili sprawę na ostrzu noża i zażądali wycofania Wehrmachtu z Nadrenii, Hitler zrobiłby to z podkulonym ogonem.

Zwyciężył jednak duch pacyfizmu i ostatecznie Paryż nie zdecydował się na żadne kroki natury militarnej. W związku z tym i Francuzom, i Niemcom szef polskiej dyplomacji mógł mówić to, co chcieliby usłyszeć. Czy gdyby francuska armia powiedziała „sprawdzam” i podjęła ofensywę przeciw Niemcom, doszłoby do polskiej interwencji zbrojnej? Nie sposób przesądzić, ale niewykluczone, że nie. Polsko-francuski sojusz wojskowy miał charakter obronny, a sanacyjne władze nie zamierzały bez powodu w przypadku ataku Rzeszy na Francję kierować polskiej armii na Berlin.

Warszawa sceptycznie odnosiła się nie tylko do pomysłów „wschodniej krucjaty”, ale nawet do polsko-niemieckiej współpracy wojskowej. Göring kilkakrotnie namawiał marsz. Edwarda Śmigłego-Rydza do zacieśnienia relacji między oficerami Wojska Polskiego i oficerami Wehr-

machtu. Zawsze bezskutecznie. Jak zatem wyglądały kontakty sanacyjnych wojskowych z elitą Wehrmachtu?

Dziś niektórzy publicyści twierdzą, że Polska pozostawała w latach trzydziestych, szczególnie w drugiej połowie dekady, w nieformalnym sojuszu z Niemcami zarówno dyplomatycznym, jak i militarnym. Wystarczy porównać kontakty sanacyjnych wojskowych z elitą Wehrmachtu i wcześniejszą współpracę Reichswehry z Armią Czerwoną, aby przekonać się, że to bzdura. Po układzie w Rapallo Niemcy wspierali finansowo sowieckie zbrojenia w zamian za udostępnianie Reichswehrze rosyjskich poligonów. Nie wspomnę już o współpracy na gruncie akademickim – na niemieckich uczelniach wojskowych wykładali czerwonoarmiści, a ZSRS odwiedzała weimarska generalicja. W przypadku Polski i Rzeszy nic takiego nie miało miejsca, co więcej Hitler, pomny polskiej odmowy, w połowie lat trzydziestych wycofał się z oferowania nam udziału w „krucjacie”. Do tematu wspólnego marszu na Wschód wrócił dopiero po konferencji monachijskiej, czyli w 1938 r.

Miesiące poprzedzające konferencję w Monachium to chyba okres najintensywniejszych kontaktów między polskimi i niemieckimi dyplomatami po 1933 r. Hitler chciał uzyskać od nas gwarancję neutralności w razie wojny niemiecko-czeskiej. Polacy oczekiwali natomiast, że za ową neutralność Rzesza zapłaci – chociażby deklaracją o nie naruszalności granicy z Rzeczpospolitą.

Kontakty polsko-niemieckie w sprawie Czechosłowacji zaczęły przybierać na sile od lutego 1938 r., gdy nad Wisłę zawitał Göring. Poinformował on wówczas Becka o planach aneksji Austrii, a minister odpowiedział, że Polska interesuje się „pewnym rejonem czechosłowackim”³. Chodziło oczywiście o Zaolzie, które Czesi odebrali nam u zarania II RP – Polacy nigdy się z tym nie pogodzili. Liczyliśmy, że agresja Rzeszy na południowego sąsiada stanie się dogodną okazją do



Otwarcie wystawy sztuki polskiej w Berlinie. Siedzą od lewej: ambasador RP w Niemczech Józef Lipski, przywódca III Rzeszy Adolf Hitler, premier Prus Hermann Göring (w mundurze), N.N., komisarz wystawy Mieczysław Treter (siedzi z boku). Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe



Wilhelm, syn cesarza Niemiec Wilhelma II, podczas zwiedzania wystawy sztuki polskiej w Berlinie. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

zajęcia tego obszaru. Hitlerowi natomiast zależało, aby w razie wybuchu wojny z Czechosłowacją Rzeczpospolita zachowała neutralność. To miał być pierwszy krok w stronę sojuszu z Rzeszą, zwieńczonego „krucjatą”.

Latem 1938 r. trwały więc negocjacje – Lipski sugerował Göringowi, że jeśli Niemcy zadeklarują stałość polsko-niemieckiej granicy i zgodzą się na przedłużenie układu o niestosowaniu przemocy, Polska pozostanie neutralna. Marszałek Rzeszy nie powiedział „nie”, ale zaznaczył, że deal musiałby obejmować również między innymi zgodę Warszawy na autostradę przez Pomorze do Prus Wschodnich. Jako że we wrześniu wygrała dyplomacja, te wstępne ustalenia nie weszły w życie. Doszło zaś do rozmów politycznych w kwestii Bogumina – Niemcy nie chcieli się zgodzić na oddanie przez Czechów Polakom tego węzła komunikacyjnego, dopiero interwencja Hitlera umożliwiła Wojsku Polskiemu zajęcie miasta.

W dobie kryzysu czechosłowackiego Polska niewątpliwie współpracowała dyplomatycznie z Rzeszą i Führer zdecydował się ponownie zaproponować Warszawie marsz na Wschód. Tym razem oferta „krucjaty” nie była jednak prezentowana wprost, ale w tle „generalnych porządków” („Generalbereinigung”). Jak wyglądała ta współpraca?

Zaproponowane po raz pierwszy w październiku 1938 r. „generalne porządki” obejmowały całokształt stosunków polsko-niemieckich, a więc i losy Gdańska, Pomorza, deklaracji o niestosowaniu przemocy. W założeniu Hitlera miały one stanowić wstęp do sojuszu i ataku na Związek Sowiecki – widać to było w styczniu 1939 r., gdy Joachim von Ribbentrop przekonywał Becka o korzyściach, które czekałyby Polskę w razie zajęcia Ukrainy. Władze sanacyjne pozostały jednak niewzruszone wobec propozycji „porządków”, a tym bardziej wobec wyprawy przeciw Sowiecom. Tu konieczna jest dygresja – plan Hitlera zakładał, że najpierw Wehrmacht rozprawi się z Francją, a dopiero potem będzie poszukiwał „pre-

strzeni życiowej” (Lebensraum) na Wschodzie. Od Polski Führer oczekiwał więc nie tylko zgody na „krucjatę”, ale i neutralności w przypadku niemieckiej agresji na Zachodzie. Dopiero w styczniu – lutym 1939 r. zdał sobie sprawę, że potencjalny sojusznik równie dobrze może stać się śmiertelnym wrogiem i wbić nóż w plecy Wehrmachtowi szturmującemu Linie Maginota. Od tej pory w rozmowach ze współpracownikami zaczął wspominać o wojnie z Polską jako alternatywie dla aliansu.

Pod koniec marca Polska ostatecznie odrzuciła koncepcję „generalnych porządków” i przyjęła brytyjskie gwarancje. Hitler zareagował decyzją o ataku na nasz kraj i, jak Pan pisze, „naród, który miał być głównym geopolitycznym sojusznikiem Hitlera, stał się pierwszą ofiarą przygotowanej przez niego zagłady”⁴. Przywódca nazistów nakazał Wehrmachtowi bezwzględne traktowanie Polaków, zezwolił na mordowanie cywilów i żołnierzy bez sądu. Czy wynikało to z jego koncepcji prowadzenia wojny, czy było efektem zawiedzionych nadziei na sojusz?

W książce przywołuję przemówienie Hitlera do niemieckiej generalicji w Berghof z 22 sierpnia 1939 r. Wódz Rzeszy stwierdził wówczas: „moje oddziały trupich główek [...] będą, bez żadnej litości i współczucia, wysyłać na śmierć mężczyzn, kobiety i dzieci polskiego pochodzenia”⁵. Niemcy wykonywali ten rozkaz z wyjątkową gorliwością i moim zdaniem nie można zdejmować z nich odpowiedzialności za zbrodnie wojenne. Führer dał przyzwolenie na okrucieństwo, ale gdyby społeczeństwo niemieckie było przeciwne tej linii, nie doszłoby do tylu aktów bestialstwa wobec Polaków. Niemieckie zbrodnie we wrześniu i październiku 1939 r. to temat na oddzielną dyskusję, która musiałaby zahaczyć o psychologię, socjologię i wiele innych nauk. ■

Rozmawiał Tomasz Czaplą

¹ K. Rak, *Polska – niespełniony sojusznik Hitlera*, Warszawa 2019, s. 140. ² Tamże, s. 254. ³ Tamże, s. 383. ⁴ Tamże, s. 483. ⁵ Tamże, s. 482.

A black and white portrait of János Esterházy, a man with a mustache, wearing a suit and tie. The portrait is the central focus of the page.

János Esterházy
Fot. Zbiory Imrego Molnára

JÁNOS ESTERHÁZY CZŁOWIEK SUMIENIA

W październiku 1939 r. pomagał gen. Kazimierzowi Sosnkowskiemu w nielegalnym wyjeździe do Budapesztu i umożliwił przedostanie się do Paryża, gdzie prezydent RP Władysław Raczkiewicz wyznaczył go na swego następcę i gdzie został komendantem głównym Związku Walki Zbrojnej w kraju. O Jánosie Esterházym i jego związkach z Polską – mówi dr Imre Molnár.

Hrabia János Esterházy urodził się 14 marca 1901 r. w słowackiej Nitrze należącej do Królestwa Węgier w monarchii habsburskiej (węg. Újlak; słow. Veľké Zálužie). Po mieczu wywodził się z jednego z najstarszych rodów arystokratycznych na Węgrzech o znaczących związkach z Polską. Po kądzieli zaś z Tarnowskich należących do najznamienitszych rodów europejskich. Jakie były jego historyczne związki z Polską? I jakie go łączyły z Polską więzy krwi?

Ojcem Jánosa Esterházyego był węgierski hrabia János Mihály Esterházy, a matką polska hrabina Elżbieta z Tarnowskich. Ojcem Elżbiety był hrabia Stanisław Tarnowski, rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego i prezes krakowskiej Akademii Umiejętności. Tarnowscy obdarowali polski naród wieloma mężami stanu i osobistościami ze świata polityki, kultury oraz nauki. Służąc na polskim dworze do końca XVIII w., wpływali na kształtowanie

polityki i uczestniczyli we wspieraniu polskiej kultury narodowej. Mieli także zasługi w walce o polską niepodległość. Brat hrabiego Tarnowskiego, Juliusz, poświęcił życie, walcząc w Powstaniu Styczniowym 1863 r. Stanisława za działalność niepodległościową habsburska władza cesarska skazała w 1864 r. na 12 lat więzienia, z którego wyszedł po dwóch latach.

Rodzina Esterházych miała majątki także na ziemiach polskich, między innymi w Równem (obecnie Ukraina).

W Powstaniu Styczniowym w 1863 r. w bitwie pod Melchovem zginął śmiercią bohatera kapitan huzarów Albert Ottó Esterházy.

Matka Jánosa przekazała synowi żywą więź z polskim językiem, polską historią i kulturą. Równocześnie dbała, by János mógł być według woli ojca dobrym Węgrem. Po przedwczesnej śmierci męża Jánosa Mihály Elżbieta pozostała w węgierskim majątku Esterházych w Újlak i tam wychowywała dzieci: Luizę, Jánosa i Marię.

JÁNOS ESTERHÁZY

1901–1957

Pół Polak, pół Węgier, polityk, męczennik systemu komunistycznego. Podczas II wojny światowej z narażeniem życia pomagał Polakom, Żydom, Węgom, Słowakom, Czechom, ułatwiając im przedostawanie się na Zachód przez Węgry.



IMRE MOLNÁR
doktor historii, dyplomata, wykładowca akademicki, były dyrektor Instytutu Węgierskiego w Bratysławie. Po upadku komunizmu rozpoczął pracę w urzędzie pierwszego demokratycznie wybranego premiera Józsefa Antalla jako doradca do spraw mniejszości węgierskiej w Czechosłowacji. W 1998 r. podjął służbę dyplomatyczną w węgierskim Ministerstwie Spraw Zagranicznych. W latach 2001–2005 był attaché kulturalnym i prasowym ambasady węgierskiej w Warszawie, a w 2008–2013 sekretarzem politycznym w tejże ambasadzie. Autor i redaktor naukowy publikacji tłumaczonych na język polski: *Zdradzony bohater. János Esterházy (1901–1957)*; *Maria z Esterházych Mycielska, Ułaskawiony na śmierć. Rzecz o Jánosie Esterházym* (wybór i opracowanie, Warszawa 2010); *Jerzy Popiełuszko. Życie i męczeństwo* oraz artykułów opublikowanych w polskiej prasie. W 2020 r. podczas gali finałowej XI Festiwalu Filmowego „Niepokorni Niezłomni Wyklęci” w Gdyni otrzymał Drzwi do Wolności – wyróżnienie przyznawane „za odwagę oraz poświęcenie bohaterom wspierającym działaczy i liderów podziemia niepodległościowego oraz solidarnościowego, jak również osobom, które w niezłomny sposób promują ideę wolności”.

Rok 1918 r. przyniósł zmiany na mapie Europy. Polska odzyskała niepodległość. Niedługo potem, skoro politycy czescy i słowaccy zdecydowali jeszcze w czasie wojny o utworzeniu wspólnego państwa, dobra rodowe Esterházych w Újlak odpadły od ziem Korony św. Stefana. Problemy Jánosa z własnym majątkiem sprawiły, że z czasem został liderem mniejszości węgierskiej na Słowacji. Warunki ekonomiczne Madziarów, którzy po zmianie granic znaleźli się w państwie czechosłowackim, znacznie się pogorszyły. O ich interesy Esterházy zabiegał od 1935 r. jako poseł parlamentu czechosłowackiego. Jak wyglądały wtedy jego kontakty z politykami polskimi?

Esterházy utrzymywał łączność z częścią rodziny, która mieszkała w Polsce. Liczni jej członkowie piastowali wysokie stanowiska państwowe, dlatego wcześniej nawiązał kontakty z przedstawicielami polskiego życia politycznego. Jan Szembek, powinowaty Esterházyego, był pierwszym szefem placówki dyplomatycznej niepodległej Polski na Węgrzech. Według sporządzonej w latach trzydziestych notatki Adama Sapiehy minister spraw zagranicznych Józef Beck przyjmował hrabiego Esterházyego bez zapowiedzi, jeżeli ten takiego spotkania potrzebował. Jako węgierski działacz narodowościowy Republiki Czechosłowackiej Esterházy współpracował też z Leonem

i sowieckiej agresji 17 września. Dotknęło go to również osobiście, gdyż do niemieckiej inwazji przyłączyła się armia słowacka, której pięć dywizji natarło na Polskę z południa i zajęło znajdujące się po polskiej stronie tereny Orawy i Spiszu.

Od pierwszej chwili włączył się w organizację przyjmowania polskich uchodźców na Węgrzech. Nie było to dla niego proste zadanie, gdyż do najazdu na Polskę Słowacja odnosiła się w sposób odmienny niż Węgry, ponieważ uzyskując przy pomocy Niemiec niepodległość w 1939 r., stała się tym samym sojusznikiem Adolfa Hitlera. Premier Węgier Pál Teleki zaś nie wyraził zgody na przemarsz przez Węgry niemieckich i słowackich oddziałów i na transport amunicji. Dla słowackiego rządu decyzja Telekiego stała się pretekstem do wrogich zachowań w stosunku do zamieszkujących południe Słowacji Węgrów. Wobec Esterházyego zastosowano nadzór policyjny w Bratysławie, gdyż pomagał polskim uchodźcom na Węgrzech i sprzeciwiał się oficjalnej słowackiej polityce. Działający w Budapeszcie Węgiersko-Polski Komitet do spraw Uchodźców organizował i nadzorował przyjmowanie uchodźców cywilnych, a z początku także wojskowych. Esterházy pozostawał jego członkiem pod pseudonimem Jánosné Esterházy. W ten sposób mógł wspierać uchodźcze instytucje działające na Węgrzech, między innymi

JÁNOS ESTERHÁZY OD PIERWSZEJ CHWILI WŁĄCZYŁ SIĘ W ORGANIZACJĘ PRZYJMOWANIA POLSKICH UCHODŹCÓW NA WĘGRZECH. NIE BYŁO TO DLA NIEGO PROSTE ZADANIE, GDYŻ DO NAJAZDU NA POLSKĘ SŁOWACJA ODNOSIŁA SIĘ W SPOSÓB ODMIENNY NIŻ WĘGRY.

Wolfem, przewodniczącym Związku Polaków na Zaozliu, które w 1919 r. znalazło się w granicach czeskich.

W momencie wybuchu II wojny światowej sytuacja ponownie gwałtownie się zmieniła. Gdy na Polskę napadła III Rzesza, Słowacja, która w marcu 1939 r. ogłosiła niepodległość, uderzyła na nasz kraj wraz z wojskami niemieckimi z południa. W marcu należąca wcześniej do Czechosłowacji Ruś Zakarpacka została zajęta przez Węgry, które uzyskały w ten sposób wspólną granicę z Polską od północy, na łuku Karpat. Wcześniej, w wyniku układu monachijskiego, Polska zajęła Zaozlie oraz skrawki Spiszu i Orawy na Słowacji. Jak w tych warunkach odbywała się ofiarowana przez Esterházyego pomoc dla Polski?

János Esterházy jako jeden z pierwszych dowiedział się o niemieckiej napaści na Polskę 1 września 1939 r.

szkołę polską nad Balatonem w Balatonboglár, w której – jako jedynej w Europie Środkowo-Wschodniej – można było uzyskać polską maturę. Działalność Esterházyego w tym Komitecie stanowiła dla niego – obywatela słowackiego – poważne ryzyko.

Polski kompozytor i krytyk muzyczny Zygmunt Mycielski, wspominając ten okres, pisał: „W roku 1939 Esterházy przyjął mnie do swej willi znajdującej się w Budapeszcie przy ulicy Istenhegyi. Pomagał nam wszystkim i bardzo dużo robił dla Polaków, tak jak wielu innych Węgrów w tamtym czasie. Przyszedłem do Jánosa boso, w podartych spodniach, które dostałem od poczwicznych Żydów z Ungvár, po długim, trwającym od września marszu miałem nogi całe we krwi. Miałem na sobie koszulę i znoszony sweter. Następnego dnia János zabrał mnie do sklepu, gdzie kupił mi buty, bieliznę i ubranie. Dał mi wszystko, co mógł, a nawet więcej, zarówno mnie, jak i setkom innych polskich uchodźców, którym pomagał”¹.

Notatki Jana Szembeka z tego okresu również wskazują na to, że Esterházy pełnił w tym czasie ważne funkcje dyplomatycznego pośrednika. Odegrał dużą rolę w organizowaniu zaopatrzenia i zakwaterowania dla dowództwa polskiego wojska, które przedostało się na Węgry, w opiece nad ludnością cywilną, w umieszczeniu polskich dzieł sztuki w węgierskim Muzeum Narodowym. Działając w porozumieniu z Narodowym Bankiem Węgier dopomógł byłemu polskiemu ministrowi skarbu Ignacemu Matuszewskiemu, który zorganizował we wrześniu 1939 r. przewóz przez Rumunię rezerw złota Banku Polskiego.

Budapeszteńskie mieszkanie Esterházyego stało się miejscem nielegalnych spotkań przebywających na Węgrzech polskich oficerów. Z notatki Szembeka z 11 października 1939 r. wynika, że Esterházy pomagał gen. Kazimierzowi Sosnkowskiemu, który przeszedł wtedy przez zieloną granicę z okupacji sowieckiej na Węgry, dążąc do Francji. Spotkał się z nim w graniczącej ze Słowacją miejscowości Ungvár (Użhorod) na Rusi Zakarpackiej i przewiózł do Budapesztu. Pomoc udzielona przez Esterházyego polegała nie tylko na uchronieniu polskiego generała przed aresztowaniem i internowaniem, lecz także na umożliwieniu mu przedostania się przez Szwajcarię do Paryża.

Esterházy podejmował również osobiste interwencje w sprawach Polaków, którzy przeszli na Słowację w drodze na Węgry i zostali tam aresztowani. Wyciągał ich z aresztów, posługując się swoją legitymacją posła do słowackiego parlamentu, i kierował w stronę Węgier, a w wielu przypadkach wioził ich dalej ukrytych we własnym samochodzie. Interweniował też w sprawach Polaków prześladowanych przez Niemców w Generalnym Gubernatorstwie. Stanisław Jan Rostworowski w pamiętnikach pisał o aresztowaniu przez okupanta swego krewnego, Ludwika Rostworowskiego, który został deportowany do KL Auschwitz-Birkenau: „Wreszcie jego Matka Zofia nawiązała kontakt z Maryszką Mycielską, z domu hrabiną Esterházy, [...], której brat, János, jako przywódca mniejszości węgierskiej na Słowacji, utrzymywał stosunki z Niemcami. Maryszka, pół Węgierka, pół Polka, bo jej matką była Elżbieta z hr. Tarnowskich, przez swego brata pomagała wielu Polakom, prześladowanym w kraju. [...] Najprawdopodobniej dzięki jego pomocy



Zaręczyny rodziców Jánosa, Jánosa Mihály Esterházyego i Elżbiety z Tarnowskich. Fot. Zbiory Imrego Molnára

Ludwik Rostworowski w cudowny sposób został 9 X 1941 r. zwolniony z Oświęcimia”². Stanięcie w obronie Polaków i udzielanie im bezpośredniej pomocy groziło poważnymi konsekwencjami ze strony słowackich władz.

János Esterházy podejmował się także obrony Żydów prześladowanych przez Niemców i ich sojuszników. Na czym polegały te działania? ▶



Elżbieta Esterházy, w tle obraz jej ojca Stanisława Tarnowskiego i zmarłego męża Jánoša Mihályja (w mundurze).

Fot. Zbiory Imrego Molnára

Dzięki kontaktom z Polakami hrabia Esterházy zdawał sobie już wówczas sprawę, dokąd zmierza zbrodnicza polityka III Rzeszy. Wiedział o nazistowskich obozach śmierci, wszak na początku Niemcy umieszczali tam wyłącznie Polaków. Wskazują na to słowa Luizy Esterházy, jego starszej siostry, które wypowiedziała wobec słowackiego ministra spraw wewnętrznych Alexandra Macha podczas spotkania u niego. Zapisała je potem

niej stworzyła ramy prawne dla deportacji Żydów. Pisał o tym Zygmunt Mycielski: „Gdy teraz wspominam, jak wyglądał tryb głosowania w dyktatorskich warunkach Trzeciej Rzeszy, to (w tym niegłosowaniu) widzę dowód Jego wielkiej odwagi i wielkości. Wszystko to można określić słowem bohaterstwo”⁴.

Hrabia Esterházy często czynił starania, by uciekający przed deportacją i innymi prześladowaniami słowaccy i polscy Żydzi mogli znaleźć azyl na Węgrzech. Hrabina Ilona Edelsheim-Gyulai pisała we wspomnieniach, że spotkała Jánoša Esterházyego w styczniu 1942 r. podczas wycieczki w Tatry i ten powiedział jej, że „uczyni wszystko, żeby Żydzi mogli uciekać na Węgry. Prosił, żebym przekazała podziękowania Piszcie [synowi i zastępcy regenta Istvánowi Horthyemu], ministrowi spraw wewnętrznych [Ferencowi Keresztes-Fischerowi] i regentowi [Miklósovi Horthyemu] za dotychczas udzieloną pomoc”⁵.

Czy Esterházy pomagał każdemu, kto takiej pomocy potrzebował?

János Esterházy pomagał każdemu, kto go o to prosił, w tym też Słowakom. Nie zwracał uwagi na różnice narodowe, wyznaniowe ani światopoglądowe. Jego siostra Luiza pisała we wspomnieniach, że także gen. Rudolf Viest, jeden z wojskowych przywódców słowackiego powstania narodowego w 1944 r., prosił Jánoša o pomoc w przedostaniu się z Braty-

JÁNOS ESTERHÁZY JAKO JEDYNY POSEŁ SŁOWACKIEGO PARLAMENTU NIE ZAGŁOSOWAŁ ZA WPROWADZAJĄCĄ ZMIANY W KONSTYTUCJI USTAWĄ NR 68. PO JEJ PRZYJĘCIU SŁOWACJA STWORZYŁA RAMY PRAWNE DLA DEPORTACJI ŻYDÓW.

w wspomnieniach: „Wierzę, iż nie wie Pan o tym, że w nazistowskich obozach morduje się Żydów. Gestapo na pewno się Panu do tego nie przyznało. Jednak wszyscy, którzy – jak ja – byli w okupowanej przez Niemców Polsce, z pewnością wiedzą, że Żydzi trafiają do obozów śmierci”³.

János Esterházy 15 maja 1942 r. jako jedyny poseł słowackiego parlamentu nie zagłosował za wprowadzającą zmiany w konstytucji ustawą nr 68. Po jej przyjęciu Słowacja jako pierwsza w Europie Środkowo-Wschod-

slawy przez Węgry do Francji w 1939 r. W Londynie został ministrem spraw wojskowych czechosłowackiego rządu emigracyjnego.

Jánosa Esterházyego, polityka o powszechnie znanych konserwatywnych, katolickich poglądach, wspominając owe czasy, przedstawiał socjaldemokrata Peéry Rezső, bratysławski pisarz i publicysta: „Jemu zawdzięczam, że wraz z wielu moimi towarzyszami o lewicowym myśleniu przeżyłem ten okres nie w obozie, lecz pod dachem. [...] Na podziękowania za uratowanie życia reagował

prostym wzruszeniem ramion. W kryzysie moralnym, który dotknął cały naród, sam dawał świadectwo postawy godnej człowieka, trzeźwego myślenia, czego oczekiwał od węgierskiej mniejszości na Słowacji. Jedynym niewyczerpanym źródłem, z którego mógł czerpać, było chrześcijaństwo i jego coraz głębsze życie w wierze”⁶.

Hrabia Esterházy konsekwentnie przypominał także władzy węgierskiej o prawach słowackiej mniejszości mieszkającej na Węgrzech od czasu wcielenia do tego państwa południowej Słowacji w 1938 r. Wytrwale podejmował i kontynuował rozpoczętą podczas przyjmowania polskich uchodźców działalność, której celem było ratowanie ludzi.



Zdjęcie więzienne. Fot. Zbiory Imrego Molnára

Kiedy sytuacja stała się groźna?

Na Słowacji Esterházyego pozbawiono statusu posła i immunitetu, po czym sąd komitatu Eperjes (Preszowa) skazał go na pół roku więzienia, oskarżając o zniesławienie państwa słowackiego.

W marcu 1944 r. na Węgry wkroczyły wojska III Rzeszy. Mimo że gestapo obserwowało go, początkowo uniknął aresztowania z uwagi na swoje kontakty wśród władz węgierskich. Sytuacja zmieniła się po przejęciu władzy na Węgrzech przez strzałokrzyżowców, członków węgierskiej partii faszystowskiej kolaborujących z III Rzeszą. Z relacji Luizy Esterházy wiadomo, że w słowackim Újlak, gdzie rodzina Esterházych ukrywała Żydów, gestapo pojawiło się już w dniu przejścia w Budapeszcie władzy przez strzałokrzyżowców i przetrząsnęło pałac w poszukiwaniu jej brata. Po kilku dniach sprawa się powtórzyła. Jednak hrabiego nie znalezi-

no, ponieważ od 15 października do Bożego Narodzenia 1944 r. ukrywał się w Bratysławie. Został jednak na krótki czas aresztowany przez służby strzałokrzyżowców, gdy przebywał w okupowanym przez Niemców Budapeszcie.

Najstraszliwsze doświadczenia spotkały Jánoša Esterházyego nie w czasie wojny, lecz po jej zakończeniu. Jak doszło do aresztowania skutkującego uwięzieniem go przez Sowietów?

Po przejściu frontu Esterházy wyszedł z podziemia, ale niemal natychmiast, 6 kwietnia 1945 r., na ulicy



Młodsza siostra Jánoša, Maria Esterházy-Mycielska.

Fot. Zbiory Imrego Molnára

Sedarskiej w Bratysławie zatrzymał go sowiecki patrol wojskowy i do 18 kwietnia był przetrzymywany w areszcie. Po uwolnieniu 20 kwietnia zgłosił się do dr. Gustáva Husáka, przyszłego szefa partii komunistycznej na Słowacji i późniejszego prezydenta komunistycznej Czechosłowacji. Tę decyzję można rozumieć jako gest gotowości do obrony węgierskiej mniejszości. Według dekretów prezydenta Edvarda Beneša oraz według założeń nowego rządu czechosłowackiego, którego powstanie i program ogłoszono 5 kwietnia 1945 r. w słowackich Koszycach, Węgrzy w Czechosłowacji uznani zostali za zbrodniarzy wojennych. Skutkowało to między innymi utratą praw narodowościowych, obywatelskich i konfiskatą majątków. Gdy hrabia Esterházy chciał zaprotestować przeciwko tym decyzjom, Gustáv Husák go aresztował, a następnie przekazał w ręce bratysławskiej komendatury NKWD. Esterházyego



**János Esterházy
wśród Węgrów
na Słowacji.**

Fot. Zbiory Imrego Molnára

wraz z dziesięcioma innymi osobami 29 czerwca 1945 r. załadowano do pociągu i przez Budapeszt, Bukareszt i Jassy przewieziono do Moskwy na Łubiankę.

Bliscy nie wiedzieli nic o jego losie. Żona wraz z dziećmi już wcześniej wyjechała na Węgry, starsza siostra Luiza i matka zmuszone zostały do wyemigrowania do Francji w związku z prześladowaniami mniejszości węgierskiej. Młodsza siostra Esterházyego, Maria Esterházy-Mycielska, która, utraciwszy majątek w Polsce, musiała uciec z kraju, pozostawała z pięciorgiem dzieci w pałacu swego brata w Újlak do końca wojny. Siedzibę tę podczas przejścia frontu zniszczyli sowieccy żołnierze, a następnie splądrowali mieszkańcy wsi. Maria z dziećmi musiała więc zamieszkać w pomieszczeniu byłych służących i żyła w wielkim niedostatku.

W Moskwie oskarżono Esterházyego wraz z towarzyszami o spisek przeciwko Związkowi Sowieckiemu i w 1946 r. skazano na 10 lat pobytu w łagrach. Pokazowy proces w stolicy Związku Sowieckiego nasuwa skojarzenie z rok wcześniej toczącym się procesem 16 przywódców Polskiego Państwa Podziemnego. Jakie wątki polskie pojawiły się w sowieckim akcie oskarżenia przeciw hrabiemu Esterházyemu?

W moskiewskim akcie oskarżenia w oddzielnym akapicie napisano, że na polecenie Esterházyego węgierska prasa na Słowacji rozpowszechniała prowokacyjne materiały antysowieckie w związku z tzw. sprawą katyńską. Była mowa także o rozpowszechnianiu przezeń „albumu z fotografiami i plakatów dotyczących sprawy katyńskiej, w których Esterházy przypisywał władzom sowieckim przeprowadzone przez Niemców w nieludzki sposób egzekucje na polskich oficerach”⁷. Ten punkt oskarżenia pokrywał się z prawdą o tyle, że po wykryciu sowieckiej zbrodni Esterházy ostro potępił bestialski mord i dał temu wyraz w wydawanych przez siebie bratysławskich gazetach węgierskojęzycznych. Według niektórych opinii to był właściwy powód deportacji jego osoby z Czechosłowacji.

Po wyroku przewieziono go więziennym transportem na północ, do łagru w Kniażpogoście (dzisiejsza Jemwa) w Republice Komi, dokąd przybył 27 lipca 1946 r. Jego towarzysze podróży – pospolici przestępcy – ograbili go w drodze ze wszystkiego, co miał. Jedyną rzeczą, z którą przybył do obozu, była fufajka, zniszczony żołnierski płaszcz. Nie minął miesiąc, gdy 15 sierpnia 1946 r. przewieziono go dalej, do obozu pracy w Rakpasie. Pracował przy budowie północnej magistrali kolejowej za kołem podbiegunowym. Tu zapadł na gruźlicę płuc. Hrabia doznał takiego uszczerb-

ku na zdrowiu, że nie mógł już wykonywać ciężkich prac fizycznych. Wtedy skierowano go do zakładu produkującego guziki do mundurów, a potem fabryki porcelany, gdzie z kolei zachorował na ołowicę.

Kiedy rodzina dowiedziała się o jego losie?

Przez więzioną w obozie Polkę udało mu się wówczas po raz pierwszy dać znać swoim bliskim, że żyje. Napisała po polsku wiadomość brzmiąca: „Bibi [dziecięce zdrobnienie imienia János] prosi o przekazanie matce (Etusi, jego dzieciom – Jánosowi, Alice i Lulu), że jestem zdrowy. Dostałem 10 [lat]. Proszę o pomoc. Może Czesia

egzekucji przez powieszenie. Ekstradycja nastąpiła 15 lutego 1949 r. Komunistyczny prezydent Czechosłowacji Klement Gottwald po roku rozpatrywania sprawy, stosując prawo łaski, zmienił wyrok na dożywotnie więzienie. Stało się to możliwe ze względu na politykę łagodzenia napięć między państwami, które weszły w skład bloku sowieckiego. Esterházy do 1957 r. przechodził kalwarię w kolejnych czeskosłowackich więzieniach.

„Nic, absolutnie nic zrobić nie można w systemie, który uważa, że ułaskawienie nie jest aktem miłosierdzia, tylko »udzielane bywa, jeżeli kara spełniła swoje

JÁNOSA ESTERHÁZYEGO 29 CZERWCA 1945 R. PRZEZ BUDAPESZT, BUKARESZT I JASSY PRZEWIEZIONO DO MOSKWY NA ŁUBIANKĘ. PO WYROKU – WIĘZIENNYM TRANSPORTEM NA PÓŁNOC, DO ŁAGRU W KNIĄZPOGOŚCIE W REPUBLICIE KOMI.

mogłaby pomóc wyjść. Nie tracę wiary. Pan Bóg i wszyscy święci pomagają mi tu. Modłę się za Was i za wszystkich. Błogosławie i ściskam Was wszystkich. Bibi”⁸.

Chorego Esterházyego przetransportowano 7 marca 1948 r. do obozu szpitalnego (Sangorodok – miasteczko sanitarne) w Protoku. W jak ciężkim był wtedy stanie, dowiedzieć się można z zapisków polskiego współwięźnia Bolesława Rutkowskiego, który po powrocie z łagrów zanotował: „Niekórtzy spośród moich towarzyszy niedoli wyróżniali się wysoką kulturą i inteligencją. Należał do nich pewien węgierski hrabia, którego żona [matka] była z pochodzenia Polką. Był to wysoki, szczupły mężczyzna o szlachetnych rysach twarzy. Mówił płynnie po polsku. Pracował poza obozem, w warsztacie produkcji porcelany, ale nie wytrzymał ciężkich warunków pracy i zmarł w szpitalu”⁹. Esterházy rzeczywiście cierpiał w potwornych warunkach w nieogrzewanym baraku szpitalnego obozu w Protoku: „leżał tam na gołej drewnianej pryczy, cały we wszach, biegały po nim szczury. W wysokiej gorączce, głodny, bez leków”¹⁰.

Życie uratowały mu skromne paczki żywnościowe, które wysyłała mu od czasu do czasu żona zmarłego w tym czasie współwięźnia, nieznanego z nazwiska polskiego profesora z okolic Grodna. Profesorem tym do jego śmierci opiekował się właśnie János Esterházy. Hrabie mu pomagał też ordynator więziennego szpitala.

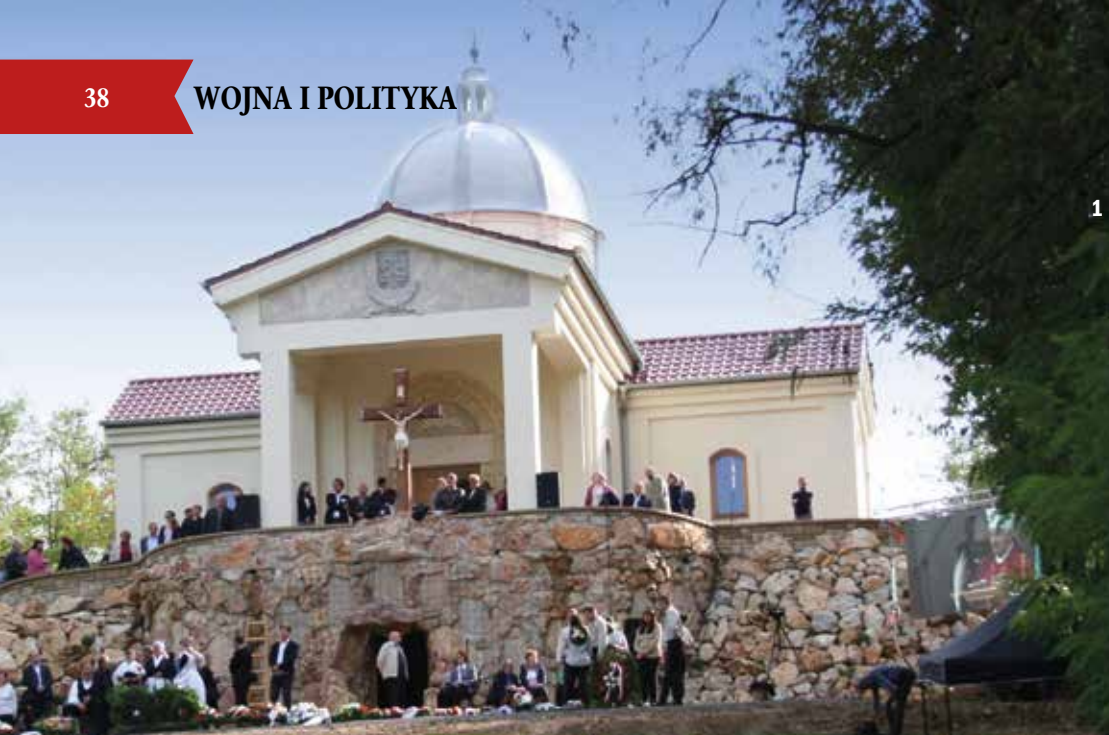
Gehenna Esterházyego trwała dalej w Czechosłowacji. Czego doznał od tamtejszych komunistycznych władz za życia i po śmierci?

Po skazaniu Esterházyego zaocznie na śmierć w Bratysławie w 1947 r. czeskosłowackie władze poprosiły o ekstradycję więźnia w celu wykonania

zadanie wychowawcze« – dosłownie mi to napisali w odpowiedzi na któreś z moich licznych podań. Pan Bóg wie, co robi – ale myśl, że on cierpi tak strasznie w takim środowisku, zawsze jest okropna. Że prosi o modlitwy za dobrą śmierć, a że czy łatwa czy inna, nie dowiemy się o niej nic – nieludzkie to, okropne! I tak się trzeba krótko trzymać i zwalczać każdy odruch ludzkiego gniewu czy buntu, by nie zacięnić tej dokonującej się ofiary. Pisząc staram się powiedzieć, że wszyscy z Nim jesteśmy złączeni bez przerwy, ale cóż takie pisanie? Nie proszę, żebyś się modliła, bo wiem, że nic innego nie robisz, ale proś wszystkich, żeby się modlili, choć z daleka, żeby się Pan Bóg nad Nim ulitował”¹¹ – ▶



János Esterházy i włoski minister spraw zagranicznych Galeazzo Ciano w Rzymie w 1938 r. Fot. Zbiory Imrego Molnára



pisala w lutym 1957 r. Maria Esterházy-Mycielska do swojej siostry Luizy Esterházy.

János Esterházy zmarł w opinii świętości 8 marca 1957 r. na więziennym oddziale sanitarnym w Mirovie na Morawach. Poza współwięźniami jedynym świadkiem jego cierpień była jego młodsza siostra Maria Esterházy-Mycielska, która starała się uczynić wszystko, co było w jej mocy, by uzyskać skrócenie kary lub przynajmniej objęcie więźnia opieką szpitalną. Z relacji Marii wiadomo, że w sprawie Esterházyego próbowała interweniować nawet polska ambasada w Pradze. Jednak te wysiłki okazały się daremne. Po śmierci brata komunistyczne władze odmówiły nawet wydania jego szczątków, które spopieleno w krematorium w Ołomuńcu, tym samym uniemożliwiając godny pochówek. O tym wszystkim Maria zdała relację powinowatemu Zygmuntovi Mycielskiemu: „Po nabożeństwie żałobnym poszłam po świadectwo zgonu. Kiedy przyszedł komendant więzienia, zapytałam, co z nim zrobili, a on z szatańskim uśmiechem odparł: »dokładnie to, co powiedziałam pani córce. Kazałem go spalić, ale prochów nie wydam.«. Tego mi było za wiele i powiedziałam, że pewnie dlatego nie wyda, że już je gdzieś rozrzucił. Twierdził, że nie, że gdzieś są, ale mi ich nie wyda. Korespondencji też nie wyda (moich własnych, pisanych do niego też nie!), do których zgodnie z przepisami mam prawo. Daję słowo, że takiego sadystę spotkałam tylko raz w życiu, i oczywiście był to gestapowiec. [...], kiedy chcą karać żywego, to jeszcze rozumiem, ale karać umarłego i starszą kobietę, czy to się go-

dzi?”¹². Maria pisała dalej: „Nie potrafię sobie wyobrazić, że trzymają go w jakimś krematoryjnym magazynie, przecież János sam mi powiedział, że chciałby być pochowany w ziemi rodzinnej, a ja mu obiecałam, że tak będzie. Taka obietnica zobowiązuje nawet wtedy, gdy człowiek złoży ją obcemu, a co dopiero własnemu bratu. Zygmuncie, pomóż, jeśli możesz. Wiesz, jak wielu Polakom János pomógł w czasie wojny”¹³.

Na nic zdały się zabiegi Marii Esterházy-Mycielskiej i polskiego ambasadora w Pradze. Bombardowane podaniami różnego rodzaju i rangi czechosłowackie państwowe i partyjne urzędy nie chciały pomóc, ponieważ nawet martwego Jánosa Esterházyego uważały za niebezpiecznego wroga. W 1958 r. pozbawiona nadziei Maria wraz z dziećmi wyjechała do Polski w ramach repatriacji.

Poczyniła jeszcze kilka prób odzyskania urny z prochami brata i jego rzeczy osobistych, jak notatki i korespondencja, wśród nich nigdy niedoręczony list pożegnalny. Na ich odzyskanie nadarzyła się okazja w okresie tzw. odwilży w Czechosłowacji w 1968 r. Wówczas załatwianie sprawy, po zapewnieniach i obietnicach właściwych władz, przerwała inwazja wojsk Układu Warszawskiego.

Ukrywanie przez komunistów miejsc pochówków lub przechowywania szczątków swoich ofiar znane jest także w Polsce, szczególnie dotyczy mordowanych w więzieniach polskich żołnierzy tzw. drugiej konspiracji, Żołnierzy



Niezłomnych. Jak długo rodzina czekała na godny pochówek Jánoša Esterházyego?

Trop w sprawie miejsca przechowywania urny podjęli czescy badacze dopiero w 2007 r., w pięćdziesiątą rocznicę śmierci Esterházyego. Według dokumentacji prac badawczych, które inicjował także minister spraw zagranicznych Republiki Czeskiej Karel Schwarzenberg, urnę z prochami Jánoša Esterházyego do 1965 r. przechowywano w centralnym magazynie praskiego więzienia na Pankrácu. Wtedy, wraz z urnami zawierającymi szczątki innych ofiar, złożono ją potajemnie w masowej mogile na śmietnisku praskiego cmentarza na Motole. Na początku nowego wieku teren ten dzięki Stowarzyszeniu Czeskich Więźniów Politycznych stał się historycznym miejscem pamięci.

Po przeniesieniu prochów do uroczystego pogrzebu Jánoša Esterházyego doszło 16 września 2017 r., dokładnie w siedemdziesiątą rocznicę wydania na niego wyroku śmierci. Spoczął zgodnie ze swoim ostatnim życzeniem w ojczyściej ziemi, w Alsóbadok (Dolnych Obdokovcach) pod nitrzańskim szczytem Zobor. Głównym koncelebransem mszy św. pogrzebowej był Polak, abp Marek Jędraszewski z Krakowa. Z tego samego miasta, w którym zaczęła się wspólna historia rodziców Jánoša – Jánoša Mihálya i Elżbiety. I ten sam arcybiskup otworzył 25 marca 2019 r. w Krakowie proces beatyfikacyjny Jánoša Esterházyego.

UPAMIĘTNIE NIE

1. Miejsce ostatniego pochówku Jánoša Esterházyego w Dolnych Obdokovcach na Słowacji.

Fot. Zbiory Imrego Molnára

2. Pielgrzymi z Izraela przy grobie Jánoša Esterházyego.

Fot. Zbiory Imrego Molnára

3. Pomnik Jánoša Esterházyego odsłonięty w 2011 r. przed kościołem bł. Władysława z Gielniowa w Warszawie.

Fot. ks. Marcin Żurek

Warto przypomnieć, że w 2009 r. prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Lech Kaczyński odznaczył Jánoša Esterházyego Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski za wybitne zasługi dla Rzeczypospolitej Polskiej oraz za niesienie pomocy polskim uchodźcom w czasie II wojny światowej. Rok później córka hrabiego Alice Esterházy-Malfatty otrzymała od Instytutu Yad Vashem oraz Komisji do spraw Wyznaczania Sprawiedliwych wśród Narodów Świata listowne podziękowanie za działalność jej ojca w obronie prześladowanych Żydów na Słowacji podczas II wojny światowej. W 2011 r. nowojorska Liga przeciw Zniesławieniom (Anti-Defamation League) uhonorowała Jánoša Esterházyego Nagrodą im. Jana Karskiego, przyznawaną osobom, które ratowały od zagłady Żydów w czasie II wojny światowej. ■

Rozmawiała Małgorzata Łętowska

¹ Z. Mycielski, *Dziennik 1950–1959*, Warszawa 1999, s. 141 i nast.

² S.J. Rostworowski, *Zofia z Mycielskich, primo voto Rostworowska, secundo voto Skrzyńska (1895–1971). Kobieta czterech epok, w: Ziemiaństwo wielkopolskie. W kręgu arystokracji*, red. A. Kwilecki, Poznań 2004, s. 294–295.

³ L. Esterházy, *Szivek az ár ellen. Népek útközése, közép-európai tapasztalatok [Serca pod prąd]*, Püski, Budapest 1991, s. 127, tłumaczenie cytowanych fragmentów Imre Molnár. ⁴ Z. Mycielski, *Dziennik...*, s. 181. ⁵ I. Edelsheim-Gyulai, *Becsület és kötelesség [Honor i obowiązek]*, t. 1: 1918–1944, Budapest 2001, s. 108, tłumaczenie cytowanych fragmentów Imre Molnár. ⁶ P. Rezső, *A két Esterházy [Dwóch Esterházych]*, w: tenże, *Malomkövek között, Európai Protestáns Magyar Szabadegyletem*, Bern 1977, s. 53, tłumaczenie cytowanych fragmentów Imre Molnár.

⁷ *Tetemrehívás a katynni sírok előtt (Katyńskie groby oskarżają)*, „Magyar Hírlap”, 5 maja 1943, s. 5. ⁸ M. Esterházy, oprac. I. Molnár, *Kegyelem életfogytig. Esterházy János szervenéstörténetének dokumentumai Mycielskiné Esterházy Mária feljegyzései alapján*, Budapest 2008, s. 29. ⁹ B. Rutkowski, *Okrucy wspomnień z Wileńskiego Ruchu Oporu oraz zesłania na „Nieludzką Ziemię”*, Bydgoszcz 1998, s. 177.

¹⁰ M. Esterházy, *Kegyelem...*, s. 46, tłumaczenie cytowanych fragmentów Imre Molnár. ¹¹ Maria z Esterházych Mycielska, *Ułaskawiony na śmierć. Rzecz o Jánošu Esterházym*, wybór i oprac. I. Molnár, Warszawa 2010, s. 228. ¹² Tamże, s. 238.

¹³ Tamże, s. 238.

Ten obraz zna chyba każdy. Na zdjęciu 1 września 1939 r. żołnierze niemieccy przełamują polski szlaban graniczny. Urywają widniejące na nim godło państwa polskiego i zajmują posterunek, z którego wcześniej uciekła polska załoga. Tak miał wyglądać pierwszy dzień II wojny światowej. Tyle że to nieprawda.

Kłamstwo



Jedno z niemieckich ujęć propagandowych. Fot. Domena publiczna

DOMINIK KAŹMIERSKI

Zdjęcie to, a dokładniej seria zdjęć w kilku ujęciach i kadry filmowe – są wykorzystywane jako ilustracja pierwszych chwil największego konfliktu militarnego ubiegłego stulecia na całym świecie. Nie tylko w wielu krajach, ale także w Polsce. I jest to dowód na niezwykłą skuteczność hitlerowskiej propagandy. Kłamstwem w tej scenie jest bowiem wszystko. I jest to kłamstwo, jak by to rzec, piramidalne, kilkustopniowe.

Po pierwsze, nie jest to 1 września 1939 r. Jak ustalili znawcy tematu, ujęcia owe wykonano kilkanaście dni po wybuchu wojny, najczęściej podawaną datą jest 14 września. Po drugie, nie jest to granica polsko-niemiecka, lecz granica Polski i Wolnego Miasta Gdańska. Fotografie wykonano w ówczesnej wsi Kolibki (dzisiaj w granicach Gdyni). No i nie są to żołnierze armii niemieckiej, tylko gdańskich formacji policyjnych. Gdy uważnie przyjrzeć się fotografii, z pewnością można dostrzec rysunki na hełmach hitlerowskich żołdaków. Nie ma tam trójkolorowej, czerwono-biało-czarnej tarczy Wehrmachtu ani run SS. Jest natomiast herb Gdańska.

Mało kto jednak – niestety – zwraca uwagę na takie szczegóły. Liczy się wszak sugestywność i moc przekazu. Takie stawianie sprawy krzywdzi – delikatnie rzecz ujmując – polskich żołnierzy formacji granicznych. Tych, których jako pierwszych agresor napotkał na swojej drodze.

Opowieści gawędziarza

Wiele lat temu spędzałem z rodziną wakacje w Puszczy Noteckiej nad Jeziorem Białym. Miejscowość Rosko.

Ktoregoś wieczoru rozpaliliśmy ognisko nad brzegiem jeziora. Sympatyczny wieczór, las, kiełbaski. W pewnym momencie podszedł do nas starszy pan. Taka znana w okolicy postać – gawędziarz. Niestety, dzisiaj nie pomnę już, jak się nazywał. Po zaproszeniu do towarzystwa zaczął opowiadać ciekawostki historyczne. Między innymi mówił o wybuchu II wojny światowej i wydarzeniach, których był świadkiem w pobliskim mieście Wieleń. Wówczas było to miasto graniczne, podzielone Notecią na część polską i niemiecką. Z opowieści wynikało, że po obu stronach granicznej rzeki znajdowały się posterunki graniczne. I już kilka dni przed wybuchem wojny obie strony z równą zaciekleścią urządziły, z reguły nocą, wypadły na stronę przeciwnika. Były to ataki brutalne, agresywne, bezlitosne. „Patrzmy, a tam w dole rzeki widać łunę, znaczy pali się nasz posterunek” – tak zapamiętałem opowieść staruszka. „Ach, wy sukiny...ry! No, to dawaj, nasi na łódki i przez Noteć na niemiecką stronę. I spaliliśmy posterunek niemiecki”. I takich opowieści o nieustępliwości polskich załóg granicznych jest w źródłach niemało. Wszak tzw. bitwa graniczna trwała trzy dni. Daleko to od propagandowego obrazu wyluzowanych Niemców łamiących polski szlaban graniczny, prawda? Dlaczego wszyscy, nawet polskie instytucje, wykorzystują rok w rok przy okazji kolejnych rocznic wybuchu wojny ujęcia goebbelsowskiej propagandy? „Bo nie ma polskich tak sugestywnych materiałów” – powie ktoś. Czy aby na pewno? Jest fantastyczny zbiór fotografii i filmów z oblężonej Warszawy autorstwa amerykańskiego reportera Juliana Bryana. A są w nim polscy żołnierze w walce, a nie idący do niewoli. Pozujący dumnie z cywilami na tle zdobytych niemieckich samochodów pancernych i zestrzelonych samolotów. Są cisi i potulni niemieccy jeńcy wzięci do niewoli przez obrońców stolicy, są dowody niemieckiego bestialstwa w stosunku do ludności cywilnej na czele z rozpaczą Kazimierzy Miki (z domu Kostewicz) nad ciałem starszej siostry Anny zastrzelonej przez niemieckiego lotnika na ówczesnym polu kartofli na warszawskich Powązkach.

Sę w tym, że o tym wszystkim wiedzą co najwyżej specjaliści i miłośnicy historii w Polsce, a świat... Świat nadal ogląda niemiecką propagandę. ■

DOMINIK KAŹMIERSKI historyk, dziennikarz, nauczyciel. Współpracował m.in. z „Nowym Państwem”, „Dziennikiem Polska, Europa, Świat” i „Uważam Rze. Historia”.

Wrzesśniowe orły w obronie stolicy

W latach 1919–1939 drzewca sztandarów Wojska Polskiego wieńczyły srebrne orły siedzące na prostopadłościennych cokółkach.

JAROSŁAW PYCH

Wspaniałe, niemal monumentalne, pomnikowe wręcz figury lśniły w słońcu podczas parad i uroczystości, rozpościerając dumnie skrzydła nad maszerującymi. Kiedy wybuchła wojna, te same orły zagrzewały obrońców ojczyzny do wytrwałej walki, strzegąc honoru polskiego żołnierza na wojennych szlakach. A żołnierze odpłacali się im, chroniąc je jak święte relikwie przed utratą, unosząc z wojennej pożogi, kryjąc przed wrogiem w domach i kościołach, zakopując w lasach. Kilka z tych znaków towarzyszyło żołnierzom podczas obrony stolicy. Dwa z nich przeszły do historii jako swoisty symbol wrzesniowej klęski i tragicznych losów Warszawy podczas powstania.

Orzeł ze sztandaru Batalionu Stołecznego

Sztandar batalionu nadany w 1936 r. wykonano prawdopodobnie według wzoru z 1927 r. Drzewce sztandaru wieńczyła typowa, przepisowa głowica: orzeł o uniesionych do góry skrzydłach i opuszczonym w dół lekko rozpostartym ogonie siedzący na prostopadłościennym cokole z inicjałem „BS” (Batalion Stołeczny) na ścianie przedniej.

Batalion, w skład którego oprócz czterech kompanii strzeleckich wchodziła także orkiestra, pełnił przed wojną funkcje wartowniczo-reprezentacyjne podczas powitania na dworcach kolejowych i lotniskach głów państw i oficjalnych delegacji, a w czasie składania wieńców na Grobie Nieznanego Żołnierza w Warszawie wystawiał wartość główną. We wszystkich tych uroczystościach nad prezentowanym w asyście poczty sztandarowego pułkowym znakiem górował dumny orzeł, rozpościerając majestatycznie skrzydła na cokole głowicy.

We wrześniu 1939 r. batalion walczył w obronie stolicy na odcinku: Babice – Górcze – Blizne. W obliczu kapitulacji Warszawy sztandar Batalionu Stołecznego oddano na przechowanie jeszcze we wrześniu do kościoła Świętego

Krzyża przy Krakowskim Przedmieściu. Tam na stryżku nad kaplicą Matki Boskiej Częstochowskiej ukrył go ksiądz Edmund Krause. Sztandar i wieńczącego go orła powierzono opiece Bożej. Pozostający w ukryciu orzeł tym sposobem nie wpadł nigdy w szpony innego orła na znaczonego złowrogą swastyką, panującego drapieżnie nad zniewoloną stolicą. Choć sztandar nigdy nie dostał się w ręce wroga, to nie uniknął tragicznego losu Warszawy i jej świątyń. Kościół obroniony w czasie Powstania Warszawskiego w ruiny pogrzał pod gruzami ukrytego orła na kilka lat. Płat sztandaru nie oparł się płomieniom trawiącym świątynię. Uszkodzonego orła, z utraconym lewym skrzydłem, zgniecioną koroną na głowie i śladami nadpalenia wydobyto z ruin kościoła już po wojnie podczas odgruzowania i odbudowy świątyni. Do Muzeum Wojska Polskiego na zasłużony spoczynek ocalałą głowicę przekazał w 1959 r. ksiądz Ludwik Chodziłło.

Orzeł ze sztandaru 9 Pułku Ułanów

Sztandar, ufundowany przez społeczeństwo ziemi drohobyckiej, wręczono pułkowi jeszcze w czasie walk w wojnie polsko-bolszewickiej, w maju 1920 r. Przepisowy sztandar wykonany według wzoru z 1919 r. wieńczyła piękna głowica w postaci majestatycznego, naturalistycznego w formie orła zrywającego się do lotu, siedzącego na prostopadłościennym niskim, wydłużonym cokole z cyfrą „9” na ścianie licowej. Orzeł bardzo dynamiczny o uniesionych do góry, rozwartych skrzydłach, wyciągniętej, nieznacznie wygiętej szyi i ogonie lekko rozpostartym, spuszczonego w dół wzdłuż tylnej ścianki cokołu, szponami trzymającego górną ściankę cokołu. Głowę wieńczy złota korona zamknięta.

We wrześniu 1939 r. ten piękny orzeł wyruszył na wojnę wraz ze sztandarem, towarzysząc pułkowi na całym szlaku bojowym. Na początku września 1939 r. pułk walczył na zachód od Poznania, później w okolicach Gniezna, Sompolna i Koła oraz pod Uniejowem, a także pod Gostkowem i Ujazdem. Podczas odwrotu Armii „Poznań” w kierunku Kutna pułk dotarł do Bzury, ►

którą sforsował w nocy z 16 na 17 września, i osiągnął skraj Puszczy Kampinoskiej. W następnych dniach dotarł do Lasów Palmirskich, przebiegał się przez Sieraków i Laski w stronę Młocin.

Warszawska epopeja

W czasie walk pod Sierakowem zapadła decyzja o zdjęciu płata i głowicy sztandaru z drzewca. Dowódca pułku ppłk. Klemens Rudnicki tak wspominał tamte chwile: „Przy mnie jest rtm. [Michał] Kowalski [we wrześniu 1939 r. dowódca plutonu łączności w 9 Pułku Ułanów] z plutonem łączności i ze sztandarem. Jesteśmy właściwie sami [...] Nie mogę ryzykować bezpieczeństwa sztandaru, drzewce jest ciężkie i nieporęczne w noszeniu. Boję się o wypadek w chwili jakiejś nowej niespodzianki, o co widzę nietrudno. Każę Kowalskiemu zdjąć sztandar z drzewca i razem z orłem srebrnym i gwoździami schować do skórzanego pokrowca i przytroczyć sobie do pasa. Od tej chwili za sztandar odpowiada osobiście Kowalski i trzymać się ma zawsze koło mnie”¹.

Tak zdemontowany sztandar 20 września wkroczył wraz z pułkiem na Bielany. Zaczęła się jego warszawska, tragiczna epopeja. Po kilkudniowych walkach w rejonie ulic Górskiej, Stępińskiej i Belwederskiej, w dniu kapitulacji stolicy 28 września dowódca pułku pożegnał sztandar na uroczystej zbiórce i przekazał go na przechowanie księdzu Stanisławowi Trzeciakowi, proboszczowi kościoła przy ulicy Senatorskiej. Przekazanie sztandaru miało nieoczekiwane bardzo uroczyste, misteryjne wręcz charakter, co zanotował skrupulatnie ppłk Rudnicki: „Biorę [rtm. Michała] Kowalskiego i [ppor. Lwa] Sapiechę [we wrześniu 1939 r. dowódca II plutonu w 4 szwadronie 9 Pułku Ułanów] do łazika i jedziemy do miasta, ażeby znaleźć bezpieczne miejsce ukrycia i przechowania sztandaru. Decyzja jest bardzo trudna, wreszcie wybór nasz pada na kościół św. Antoniego na Senatorskiej. Jest to mały kościółek, który sam jeden ocalał obok rozwalonych i spalonych wokół domów. Wydaje się on nam właściwym miejscem. Proboszcz, staruszek, początkowo przeraził się odpowiedzialności i wahał się, czy może przyjąć taki cenny depozyt [...]. Potem widocznie zdecydował się, gdyż wziął nas przed ołtarz, kazał pokłekać, sam założył stułę i kazał wyjąć sztandar z pokrowca, a każdemu z nas wetknął świecę w rękę, zapalił ją, potem modlił się nad nami ze swe-

go mszału, wreszcie uściskał nas i i zabrał sztandar. Trochę byliśmy zdziwieni i zażenowani tą niespodziewaną ceremonią i poczuliśmy się trochę jak nie na tym świecie, ale nie protestowaliśmy – widocznie taki przepis. Przy nas jeszcze złożył sztandar w zakrystii pomiędzy szaty kościelne mówiąc: »Nawet wikaremu o tym nie powiem, nie potrzeba, mógłby jeszcze wygadać, bądźcie spokojni, odbierzecie go, da Bóg, sami«².

Już nie bezimienny

Niestety, żołnierzom pułku nie dało już było zobaczyć swojego sztandaru. Podzielił on los znaku Batalionu Stołecznego. Podczas Powstania Warszawskiego Niemcy księdza Stanisława Trzeciaka rozstrzelali, a kościół zniszczyli do fundamentów. Odbudowano go po wojnie, lecz sztandar przepadł bezpowrotnie w pożodze wojennej. Ocalał tylko uszkodzony orzeł, który tuż po wojnie jako bezimienny znak trafił do Muzeum Wojska Polskiego. Odpadł numer umieszczony pierwotnie na ścianie licowej cokołu. Na lewym skrzydle, lewej łapie, szyi i ogonie orła znajdują się przestrzeliny po kulach karabinowych. Przez wiele lat te ubytki utrudniały identyfikację orła. Udało się to dopiero w latach sześćdziesiątych, między innymi dzięki przesłanej do muzeum fotografii sztandaru i porównaniu jej z innym zdję-

ciem przedwojennym znaku 9 Pułku Ułanów. Do dziś nie ustalono, kiedy orzeł został uszkodzony. Czy trafiły go niemieckie kule podczas walk we wrześniu 1939 r., jak meldował chor. Wacław Semeniuk, czy może jednak podczas Powstania Warszawskiego, kiedy niszczone kościoły, w którym na kilka lat sztandar znalazł schronienie. Prawdy pewnie nigdy już nie poznamy, ale przestrzeliny świadczą dobitnie, jak burzliwe były losy wojenne i okupacyjne wrześniowego orła.

Dziś oba te orły, poranione, kalekie, poszarpane wrogimi kulami, związane swymi dziejami z tragicznym losem stolicy trwają na muzealnym posterunku, dając świadectwo niezłomności i honoru polskiego żołnierza.

JAROSŁAW PYCH muzealnik, weksylog, pracownik naukowy i kustosz kolekcji weksyliów Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie, członek Polskiego Towarzystwa Weksylogicznego i komisji historycznej w Ministerstwie Obrony Narodowej. Autor wielu publikacji z zakresu weksylogii i historii kolekcjonerstwa polskiego.

¹ K. Rudnicki, *Ułańskie Votum*, Londyn 1976, s. 28. ² Tamże, s. 40.



Orzeł wieńczący drzewce sztandaru 9 Pułku Ułanów.
Zbiory Muzeum Wojska Polskiego

Orzeł wieńczący drzewce sztandaru Batalionu Stołecznego.
Zbiory Muzeum Wojska Polskiego

POLSKA-ZBROJNA.PL

POLSKA ZBROJNA

PORTAL INFORMACYJNY I MAGAZYN
PUBLICYSTYCZNY O POLSKIEJ ARMII



ZAMÓW PRENUMERATĘ
TEL. +48 261 849 494

WOJSKO
POLSKIE

Twoja armia – Twoja duma!

Polecamy!

*Izabela Borańska-Chmielewska, redaktor naczelna magazynu
Anna Putkiewicz, redaktor naczelna portalu*

AKCJA NA FABRYKĘ

Armia Krajowa przeprowadziła dwie akcje na fabrykę Westena w Olkuszu (Ilkenau). Pierwszą 2 sierpnia 1944 r. siłami czterech drużyn partyzanckich, a drugą – zakończoną powodzeniem – 29 listopada 1944 r. siłami jednej drużyny dywersyjnej.

ANDRZEJ ŁYDKA

Akcje dywersyjne (w przeciwieństwie do partyzanckich) przeprowadzane są bezszelestnie. W dużym skrócie, akcja partyzancka to ogień i odskok; dywersyjna natomiast to oddziaływanie na obiekt (infrastrukturę) przeciwnika i odskok. Otwarcie ognia podczas akcji dywersyjnej ma miejsce jedynie wtedy, gdy coś pójdzie niezgodnie z drobiazgowo opracowanym planem. O udanej akcji dywersyjnej przeciwnik dowiadyuje się po jej zakończeniu. O nieudanej – podczas jej trwania.

Dwa Olkuskie Obwody ZWZ-AK

Po ataku Niemiec na Polskę, zachodnią część powiatu olkuskiego z Olkuszem okupant włączył 26 października 1939 r. do rejencji katowickiej (III Rzesza) jako Landkreis Ilkenau. Olkusz Niemcy przemianowali na Ilkenau. Wschodnia część powiatu z Wolbromiem znalazła się w Generalnym Gubernatorstwie.

Konsekwencją tego podziału było utworzenie dwóch Olkuskich Obwodów Związku Walki Zbrojnej, później Armii Krajowej. Jeden z nich wchodził w skład Inspektora-

tu Sosnowiec Śląskiego Okręgu Związku Walki Zbrojnej – Armii Krajowej, a drugi – Inspektoratu Miechów Krakowskiego Okręgu ZWZ-AK.

Olkuski Obwód ZWZ-AK Śląskiego Okręgu ZWZ-AK

Struktury Służby Zwycięstwu Polski w Olkuskiem zakładała starsza instruktorka Przysposobienia Wojskowego Kobiet i komendantka PWK powiatu Olkusz Teresa Deleka „Janka”. Komendantka Rejonu Śląskiego PWK Elżbieta Zawacka (późniejsza cichociemna „Zo”, gen. bryg. Wojska Polskiego, dama Virtuti Militari i Orderu Orła Białego) 25 grudnia 1939 r. zaprzysięgła „Jankę” i skontaktowała z szefem sztabu Podokręgu Zagłębie, mjr. Antonim Stolarskim „Konradem”. To od niego „Janka” otrzymała polecenie zorganizowania konspiracji w powiecie olkuskim. Za jej namową były komendant Przysposobienia Wojskowego w powiecie olkuskim kpt. Konstanty Szyszkowski zgodził się objąć funkcję komendanta Obwodu ZWZ Olkusz jako „Kruk” i „Czaplic”. „Janka” odszukała jeszcze kilku oficerów i podchorążych i skontaktowała ich z „Krukiem”, a sama zajęła się organizacją łączności w Obwodzie.

Walenrodzizm – specyfika służby na terenach włączonych do III Rzeszy

O warunkach pracy konspiracyjnej na ziemiach RP włączonych do III Rzeszy (czyli również na terenie Obwodu Olkusz ZWZ) komendant Główny ZWZ gen. bryg. Stefan Rowecki „Grot” meldował Naczelnemu Wodzowi: „Praca lepsza niżby się można spodziewać ze względu na niezwykle trudne warunki. Inteligencja wywieziona, nieustanny terror [wobec] wszystkich objawów polskości. Pomimo tego Polacy trzymają się dobrze i organizacja ma równie silne oparcie w masach jak w innych okręgach. Niezwykle trudne warunki legalizacji oficerów i podoficerów zawodowych – stąd ich brak. Podstawą roboty jest tu element robotniczy. Odnacza się on dużą odwagą i ofiarnością. Większość działaczy niepodległościowych na tym terenie ukrywa się pod maską Volksdeutschów. Metody pracy mają charakter walenrodzizmu. Wszystkie ugrupowania polityczne na terenie rozbite, wszystkie organizacje niepodległościowe współpracują z nami”¹. Przykładem takiej postawy i stosowania wspomnianej metody pracy w konspiracji olkuskiej

może być postać dr. Mariana Kiciarskiego: „dr Kiciarski paradował po Olkuszu w żółtym, partyjnym mundurze NSDAP, na ulicy widywało się go wyłącznie w towarzystwie Niemców, był niemieckim dyrektorem szpitala, syn jego paradował w mundurze »Hitlerjugend«. Cała ta »niemieckość« dr. Kiciarskiego była dla społeczeństwa olkuskiego wielkim szokiem. Wiedzieliśmy, że dr Kiciarski brał udział w obronie Lwowa w szeregach »Orląt«, za co został odznaczony Krzyżem Walecznych. Studiując medycynę »przy okazji« ukończył prawo, był przed wojną Lekarzem Powiatowym w Olkuszu i bardzo aktywnym działaczem w wielu społecznych organizacjach. Dlatego też przyjęcie przez niego volkslisty i wstąpienie do NSDAP było wielkim, tragicznym zaskoczeniem. [...] Sprawa częściowo się wyjaśniła po wyzwoleniu Olkusza i aresztowaniu dr. Kiciarskiego. W toku postępowania okazało się, że był on od początku okupacji w organizacji podziemnej, a następnie w AK pełnił funkcję szefa służby sanitarnej Obwodu Olkuskiego. Z polecenia tej organizacji przyjął volkslistę, wstąpił do NSDAP i został dyrektorem szpitala. Dzięki tej sytuacji mógł obficie zaopatrywać w leki oddziały leśne, a chorzy i ranni partyzanci mogli być przyjmowani do szpitala. Oczywiście na oddział zakaźny, bo ten oddział był przy wszelkich kontrolach niemieckich ze strachem omijany”². Należy dodać, że po wojnie dr. Kiciarskim, pomimo oczyszczenia z zarzutów o kolaborację z III Rzeszą, do końca życia interesowali się funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego i Służby Bezpieczeństwa.

Partyzantka – oddział „Hardego”

Wiosną 1943 r. ppor. Gerard Woźnica „Hardy” utworzył niewielki oddział partyzancki, początkowo w sile drużyny, składający się ze zdekonspirowanych w terenie ludzi. Po akcji scaleniowej oraz w wyniku fali aresztowań w Inspektoracie i Obwodzie, oddział „Hardego” szybko rozrósł się do wielkości kompanii i stał się 2 kompanią Oddziału Partyzanckiego „Surowiec” w Inspektoracie AK Sosnowiec. Oddział 17 czerwca 1944 r. przedstawiał już siłę batalionu składającego się z dwóch kompanii strzeleckich, kompanii szkolnej oraz kompanii rezerwowej. Partyzanci „Hardego” nosili polskie mundury wz. 36. Zarówno „Hardy”, jak i kilku jego oficerów do munduru polowego nosiło przedwojenne garnizonowe rogatywki. ▶

Fabryka Westena.

Fot. Zbiory Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego w Olkuszu

A widok w piątym roku wojny na terenie III Rzeszy oficera WP regulaminowo umundurowanego, w pasie z przepisową koalicijką i w czapce garnizonowej wz. 35 robił wrażenie zarówno na ludności miasteczek, jak i wiosek i był nie do przecenienia.

Akcja „Hardego” na fabrykę Westena

Pod koniec lipca 1944 r. II zastępca komendanta Obwodu, inż. Ambroży Homa „Prąd”, „Amper” był świadkiem przywiezienia do fabryki Westena (później Olkuskiej Fabryki Naczyni Emaliowanych) sporej ilości broni długiej i amunicji. Wieści o broni wraz z planem sytuacyjnym budynku administracyjnego dostarczył do „Hardego” komendant Obwodu AK Olkusz ppor. Kazimierz Kluczewski „Pijok”. Według informacji komendanta, magazyn broni (ok. 20 karabinów i amunicja) mieścił się w jednym z pomieszczeń budynku administracyjnego. Akcję zaplanowano na noc z 2 na 3 sierpnia 1944 r. Łącznik Obwodu miał czekać na oddział 2 sierpnia po 21.00 pomiędzy osadą Skalskie a wioską Olewin. Na terenie fabryki miało czekać następnych dwóch ludzi z Obwodu w charakterze przewodników. „Hardy” do akcji wyznaczył dwie drużyny z 2 kompanii i dwie drużyny z kompanii szkolnej, razem 40 ludzi, z którymi przeniósł się 1 sierpnia do lasów koło Zimkówki. Stamtąd następnego dnia wieczorem grupa pomaszerowała na Olkusz. Od oczekującego łącznika dowiedziano się o czasowym przebywaniu dużych sił niemieckich w mieście, jednak „Hardy” nie odstąpił od planu. Po godz. 23.00 grupa dotarła do fabryki. Szybko opanowano portiernię, a portier widząc partyzantów, bez problemu otworzył bramę. „Hardy” wyznaczył ubezpieczenia (ppor. Piotr Przemyski „Ares” z drużyną plut. Mariana Kapuścińskiego „Kafła”, a następnie, wraz pozostałymi trzema drużynami i z czekającym przewodnikiem z placówki AK w Olkuzie, plutonowym N.N. „Skrzetuskim”, podszedł do budynku administracyjnego. Dostępu do magazynu broniły drzwi z płytą pancerną, o czym wspomniano w meldunku, ale korytarza broniła stalowa krata, o której istnieniu akowcy nie wiedzieli.

Próbując przyniesionymi łomami wygiąć kratę, wygięli jedynie łomy w pałąki. „Hardy” wydał polecenie opuszczenia budynku i podjęcia próby dostania się do magazynu przez okna. Oskardami wylamali okiennice w dwóch oknach, które według zdobytego planu miały być oknami magazynu, a okazały się być oknami na korytarz, oraz do pomieszczenia obok magazynu. Niestety, plan okazał się niewystarczająco dokładny. Od strony rynku dał się słyszeć warkot uruchamianych silników samochodów. Żołnierze nie wiedzieli, że mieszkający na piętrze budynku administracyjnego dyrektor handlowy fabryki, Ortsgruppenleiter NSDAP dr Karol Pokorny miał niezależne od fabrycznej centrali telefonicznej połączenie kablowe z posterunkiem niemieckiej żandarmerii. Podczas wyważania trzeciej okiennicy przybiegł łącznik z ubezpieczenia i poinformował, że na ulicy Krakowskiej formuje się kolumna 14 samochodów. „Hardy” postanowił przerwać akcję i wycofać się z fabryki.

Po minucie uczestnicy akcji opuścili fabrykę i dwójkami dotarli do pobliskiego lasu. W momencie osiągnięcia celu, na drodze do fabryki pojawiła się kolumna pojazdów. W Rzeszy nie czekali do rana z pościgiem. Las był za mały i za rzadki, aby można było w nim spokojnie przeczekać obławę. „Hardy” postanowił szybko przejść do lasów w Generalnej Guberni. Kilka minut po zniknięciu akowców w ich byłe schronienie weszła obława. O godz. 5.00 rano grupa dotarła do obozu oddziału w Górach Bydlińskich.

Powodem niepowodzenia akcji był pobieżnie i niedokładnie wykonany plan budynku administracyjnego. Armia Krajowa, jak każda armia, była strukturą sformalizowaną i hierarchiczną. Po każdej akcji jej dowódca zobowiązany był złożyć przelożonym sprawozdanie lub meldunek o jej przebiegu oraz osiągniętych efektach. W przypadku nieudanej akcji należało również podać przyczyny porażki.

Nie ulega wątpliwości, że informacja, iż rozpoznanie terenu akcji było niewystarczające, dotarła do komendanta Obwodu Olkusz AK i placówki AK Olkusz oraz do konspiratorów bezpośrednio odpowiedzialnych za spo-



ZYGMUNT
ŚCIAŻKO „HARRY”

Fot. Zbiory Andrzeja Tydki



AMBROŻY HOMA
„AMPER”

Fot. Zbiory Polskiego Towarzystwa
Turystyczno-Krajoznawczego
w Olkuzie



ADOLF KIERES
„VOLT”

Fot. Zbiory Polskiego Towarzystwa
Turystyczno-Krajoznawczego
w Olkuzie

rządzenie planu budynku administracyjnego. Z oczywistych względów w powojennych relacjach nikt o tym nie wspominał.

Ostatnia drużyna „Kedywu” w Olkuszu

Oddział „Hardego” 13 października 1944 r. odszedł w rejon Podhala. Kilka dni później z powodu wsypy po zeznaniach aresztowanego i skatowanego przez gestapo łącznika Eugeniusza Mudyny „Młota”, który zdołał grypssem ostrzec „spalonych” konspiratorów, miasto musiała opuścić drużyna plutonu Kedywu dowodzona przez Mieczysława Kazibuta „Bunta” wraz z komendantem Obwodu, ppor. „Pijokiem”. W Olkuszu ze szczebla Obwodu AK Olkusz pozostali zastępcy „Pijoka”, „Amper” i „Kukułka” oraz ostatnich dziewięciu członków konspiracji: Wacław Kalarus „Tarzan”, Adolf Kieres „Volt”, Stanisław Nowicki „As”, Edward Supernak „Lew”, Roman Noga „Erwin”, Zygmunt Ściążko „Harry”, Jan Żurek „Warta”, Feliks Belica „Goryl” i Franciszek Ślęzak „Longin”. W punkcie kontaktowym 20 października 1944 r. „Amper” w obecności szefa sztabu Obwodu Franciszka Skoczka „Waldasa” i przedstawiciela Okręgu (N.N.) polecił „Tarzanowi” zorganizować z pozostałych w mieście członków konspiracji grupę (drużynę) dywersyjną w ramach Kedywu i mianował go jej dowódcą. Drużyna nie miała broni. Całą broń zabrał „Bunt”.

Druga akcja na fabrykę Westena

Miesiąc później, pod koniec listopada 1944 r. „Amper” ostrzegł „Tarzana” o mających nastąpić aresztowaniach oraz polecił mu uzbroić drużynę Kedywu i pójść z nią do lasu. Broń dla drużyny nadal znajdowała się w magazynie w fabryce Westena. Gestapo na terenie Rzeszy działało bardzo szybko, więc konspiratorzy musieli działać jeszcze szybciej. „Amper” 29 listopada 1944 r. przekazał „Tarzanowi” plan akcji na magazyn broni i rozkaz do przeprowadzenia tej akcji. „Tarzan” zebrał ludzi w punkcie kontaktowym w zakładzie Polmet. Pierwszym zadaniem, jeszcze tego dnia, było odebranie broni volksdeutscheowi Kani. Wykonał je „As”, który przyniósł dwa pistolety: jeden kal. 6,35 mm z dwoma nabojami i drugi kal. 7,65 mm z dwoma magazynkami. Następnie ucharakteryzowani „Tarzan” i „Volt” udali się do mieszkania sióstr Bittnerówien, volksdeutschek, które pracowały w fabryce. Jedną z nich, Hanna, była sekretarką dyrektora fabryki Antona Pysza, a druga pracowa-



Kazimierz Kluczewski „Pijok”.

Fot. Zbiory Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego w Olkuszu

ła w dziale zakupów fabryki. Od sekretarki dyrektora zażądali wydania kluczy do kasy pancernej w gabinecie dyrektora. W kasie Pysz przechowywał klucze do magazynu broni. Pomimo charakteryzacji dywersantów rozpoznana po głosie jedna z sióstr. W kilkudziesięciu miejscowościach wszyscy bowiem znają się niejako z widzenia. Siostry chętnie przekazały klucze z prośbą, aby po akcji zostały oddane tej siostrze, która będzie pełniła dyżur w centrali telefonicznej. Obie z racji podpisania volkslisty obawiały się konsekwencji. Po otrzymaniu kluczy dwaj dywersanci powrócili do punktu kontaktowego, gdzie czekała reszta drużyny. Na właściwą akcję wyruszyli po godz. 21.00 uzbrojeni w dwa pistolety i ciężkie kawałki kabla elektrycznego. Grupa doszła lasem do muru fabrycznego od strony południowej. Dwóch dywersantów przeskoczyło mur i sterroryzowało strażniczkę Plutkę. Zabrali mu klucz od bramy, którą otworzyli ▶



Mapa Kreis Ilkenau.

Fot. Zbiory Polskiego Towarzystwa
Turystyczno-Krajoznawczego
w Olskuszu

i przez którą wpuścili pozostałych członków drużyny. Ci zaś pojedynczo i w dużych odstępach weszli na teren zakładu. Zatrudnieni tam ludzie pracowali na dwie zmiany po 12 godzin. Po drodze do Biura Głównego dywersanci zatrzymali następnego strażnika, Francika. Spotykanych po drodze pracowników akowcy musieli zatrzymywać i prowadzić do piwnicy, gdzie już siedzieli obaj strażnicy. „Tarzan” rozstawił posterunki wokół budynku Biura Głównego i z trzema ludźmi udał się do centrali telefonicznej, gdzie czekała już jedna z siostr Bittnerówien. Zniszczyli centralę, przerwali połączenia telefoniczne z gestapo i innymi niemieckimi placówkami oraz wyłączyli sygnalizację alarmową. Bittnerówna poinformowała ich, że Ortsgruppenleiter dr Pokorny wyjechał do Wiednia i powinien powrócić do północy, a w budynku Biura Głównego jest jego zastępca Cerps oraz pracownica, volksdeutschka Kulawikowa. Drzwi do mieszkania Cerpsa były zamknięte. Akowcy chcieli podstępem go wywołać i rozbroić. Jeden z nich, naśladując portiera, po niemiecku powiadomił Cerpsa, że jest do niego pilny list, na co ten odpowiedział, że odbierze go rano. Cerps miał opinię tchórza, więc dywersanci przestali się nim przejmować. „Tarzan” udał się do gabinetu Pysza w celu otwarcia szafy pancерnej. Znalazł w niej cztery pistolety kal. 7,65 wraz z dużą ilością amunicji. Kluczy do magazynu broni w kasie jednak nie było. Pysz zabrał je ze sobą. „Tarzan” kazał przeszukać gabinet dyrektora. Znalaziono w nim narzędzia, którymi „Tarzan” nakazał „Lwu”, „Erwinowi” i „Longinowi” usunąć kraty i opancerzone drzwi do magazynu broni. Kil-

ku pozostałych akowców otrzymało polecenie zdemolowania gabinetu Pysza i mieszkania Pokornego. Drzwi do mieszkania Pokornego „Longin” wyrwał razem z futryną i cegłami. Z mieszkania dywersanci zabrali pistolet kal. 6,35 mm, dubeltówkę, karabin małokalibrowy, lornetkę i aparat fotograficzny. Około północy dostali się do magazynu broni, w którym było 25 karabinów z dużą ilością amunicji. W pomieszczeniach budynku znaleźli również zapasy ciepłej odzieży. Amunicję i ubrania zapakowali do przyniesionych plecaków i worków. Dywersanci czekali jeszcze do godz. 0.30 na Pokornego, który jednak nie przyjechał. Klucze „Tarzan” oddał Bittnerównie, którą z krzykiem i przekleństwami na użytek świadków zamknęli w piwnicy z resztą zatrzymanych. Po akcji akowcy obciążeni plecakami i trzema karabinami każdy wyszli z zakładu. Okrążając Olkusz od południa, przez Czarną Górę i olkuskie Oleandry, doszli o godz. 3.00 nad ranem do wsi Pomorzany, gdzie przekazali nadwyżkę broni i amunicji (17 karabinów, 3 plecaki z amunicją oraz 5 plecaków z odzieżą) Józefowi Zubowi „Leśnikowi”, który ukrył ją w stodole.

Meldunek por. Eicherta

Komendant Powiatowej Policji Ochronnej (Kreiskommandant Schutzpolizei) w Ilkenau por. (leutn.) Eichert wysłał w sprawie tej akcji meldunek do swoich przełożonych: „Telefogram nadał: Schutzpolizei Ilkenau (Policja Ochronna Olkusz), leutn. Schupo (por. Policji Ochronnej) Eichert. Przyjął: Oberwachtmeister der Reserve Schupo (st. wachm. rez. Policji Ochronnej)



Ppłk Zygmunt Janke „Walter” w Olkuszu podczas pogrzebu akowców. Fot. Zbiory Koła w Olkuszu Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej

Mucka. 1 grudnia 1944 r. godz. 11.00. W dniu 1 grudnia 1944 r. około godz. 5.00 oddział otrzymał meldunek, że w ciągu nocy bandyci wdarli się do pomieszczeń firmy Westen, Zakłady Emalierskie. Zrabowano 25 kb, Mannlicera i 1200 szt. amunicji, 4 pistolety i 100 szt. amunicji. Spośród członków załogi w sposób zwracający uwagę nikt nie umie podać żadnych bliższych szczegółów. Dotychczasowe śledztwo nie daje wyników. Gestapo zawiadomione, raport zostanie nadesłany³.

Olkuska anabasis dywersantów

Najsłabszym punktem planu opracowanego przez „Ampera” była odpowiedź na pytanie: Co dalej? „Leśnik” ulokował dywersantów w dwóch punktach kontaktowych – domach Brzezińskiego i Jochymka. Poinformował ich, że po konsultacji z „Amperem” i „Waldasem” powiadomi ich o dalszym działaniu. Następnie do godz. 6.00 rano poprzemienił karabiny i plecaki do zabudowań swojej babci, która mieszkała 500 m dalej. Rano pojechał na rowerze do „Ampera” i „Waldasa”, by złożyć meldunek. Zarówno fabryka Westena, jak i zabudowania Olkusza były przeszukiwane przez Niemców. „Amper” przekazał „Leśnikowi” 200 marek dla „Tarzana” na zakup żywności i nakazał mu wieczorem przemieścić dywersantów do punktu przerzutowego nr 4 w Bogucinie. Poinformował również, że psy policyjne zmyliły trop i pociągnęły Niemców na wschód, do Sieniczna. Jak się okazało, przypadkowo rozsypany tytoń w mieszkaniu Pysza, rozniesiony potem butami po całym budynku, spowodował, że psy czuły tylko tytoń. I za węchem tytoniu (samosiejki) poszły do Sieniczna.

„Leśnik” zaprowadził akowców do odległego o 4 km Bogucina, do punktu przerzutowego w gospodarstwie Zbigniewa Tomsa. Jednak drużyna wolała skorzystać z gościnności kolegi z pracy, Stefana Swędziola, który choć zaskoczony, przyjął ich wszystkich i nakarmił do syta. Następnego dnia wieczorem, nie chcąc nadużywać gościnności, udali się do Czarnego Lasu, do punktu kontaktowego w gospodarstwie państwa Franiów, mieszczącym się na skraju lasu. Tam dotarł do nich goniec od „Ampera” i „Waldasa” z informacją, że następnej nocy pojawi się w punkcie kontaktowym u Wójcickiego na Podgraniu patrol ze 106 Dywizji Piechoty AK dowodzonej przez mjr. Bolesława Nieczuja-Ostrowskiego „Tysiąca”. Dywizja ta została sformowana przez Inspektorat AK Miechów. Patrol miał przejąć olkuskich dywersantów i przeprowadzić ich do 116 Pułku Piechoty Armii Krajowej Ziemi Olkuskiej. Był to efekt uzgodnień dokonanych przez „Kukułkę” z komendy Obwodu Olkuskiego „Srebro” z komendą Obwodu Olkuskiego „Olga”. Dywersanci, a właściwie już partyzanci, dowiedzieli się również, że Niemcy zorientowali się, iż akcję na fabrykę Westena dokonali mężczyźni, którzy porzucili pracę i zniknęli z miasta. W ramach represaliów aresztowali ich rodziny, łącznie 22 osoby i wy-

wieźli je do obozów koncentracyjnych w Rzeszy. Z tej liczby osiem osób nie przeżyło wojny, w tym cała rodzina „Tarzana” – ojciec, siostra i dwóch braci.

W punkcie u Wójcickiego czekało również dwóch konspiratorów z Olkusza, którzy także musieli iść do lasu: Tadeusz Jarno „Genin” i Szymon Kazibut „Bohun”. Po godz. 23.00 przybył patrol ze 106 Dywizji Piechoty AK, którym dowodził Kazimierz Mikula „Korbol”. Ustalono, że pięciu ludzi z „Tarzanem” i trzech od „Korbola” pójdzie na akcję do Psar Śląskich w celu zniszczenia gospodarstw osadników niemieckich i dokonania u nich rekwizycji, a pozostali z „Korbolem” udadzą się do „Leśnika” po pozostawioną broń i odejdą w Miechowskie, gdzie działa 106 Dywizja Piechoty AK. Uczestnicy akcji w Psarach Śląskich w drodze powrotnej w Budzynie spotkali por. Felicję Grzywnowicz „Litwinkę” z grupy wywiadowczej 106 Dywizji Piechoty AK. Drużyna „Tarzana” weszła w skład plutonu i kompanii należącej do III batalionu 116 Pułku Piechoty AK Ziemi Olkuskiej, którym dowodził kpt. Jan Kałymon „Teofil” i do początku stycznia 1945 r. wykonywała zadania w ramach tego pułku.

Według komendanta Okręgu Śląskiego AK ppłk. Zygmunta Jankego „Waltera” akcja, która z powodu słabego rozpoznania nie udała się 2 sierpnia 1944 r. czterem uzbrojonym drużynom od „Hardego”, została wzorowo przeprowadzona bez strat 29 listopada 1944 r. przez prawie bezbronną drużynę Kedywu „Tarzana”. Sukces odniesiony został dzięki zaskoczeniu i staranemu opracowaniu planu przez „Ampera”. Po latach w swojej publikacji zatytułowanej *Śląsk jako teren partyzancki Armii Krajowej* uznał tę akcję za wręcz modelową. Podkreślał, że w takich akcjach ogromne znaczenia mają: moment zaskoczenia, znajomość terenu i miejscowych stosunków oraz opracowany na tej podstawie dobry plan. ■

ANDRZEJ ŁYDKA podpułkownik, doktorant nauk o obronności w Akademii Sztuki Wojennej. Służył w jednostkach artylerii i logistycznych. Od 2014 r. oficer Dowództwa Operacyjnego Rodzajów Sił Zbrojnych. Sześciokrotnie uczestniczył w misjach poza granicami kraju. Publicysta portalu Polska-zbrojna.pl.

¹ *Armia Krajowa w dokumentach 1939–1945*, t. 1: Wrzesień 1939 – czerwiec 1941, Zakład Narodowy im. Ossolińskich 1990, s. 344. ² Z. Kwiecień „Sokół”, *Częstka opowieści*, „Zeszyty historyczne Olkusza” nr 22, 2016, s. 23. ³ Z. Walter-Janke, *Śląsk jako teren partyzancki Armii Krajowej*, Instytut Wydawniczy Związków Zawodowych, Warszawa 1986, s. 116–117.

Bibliografia:

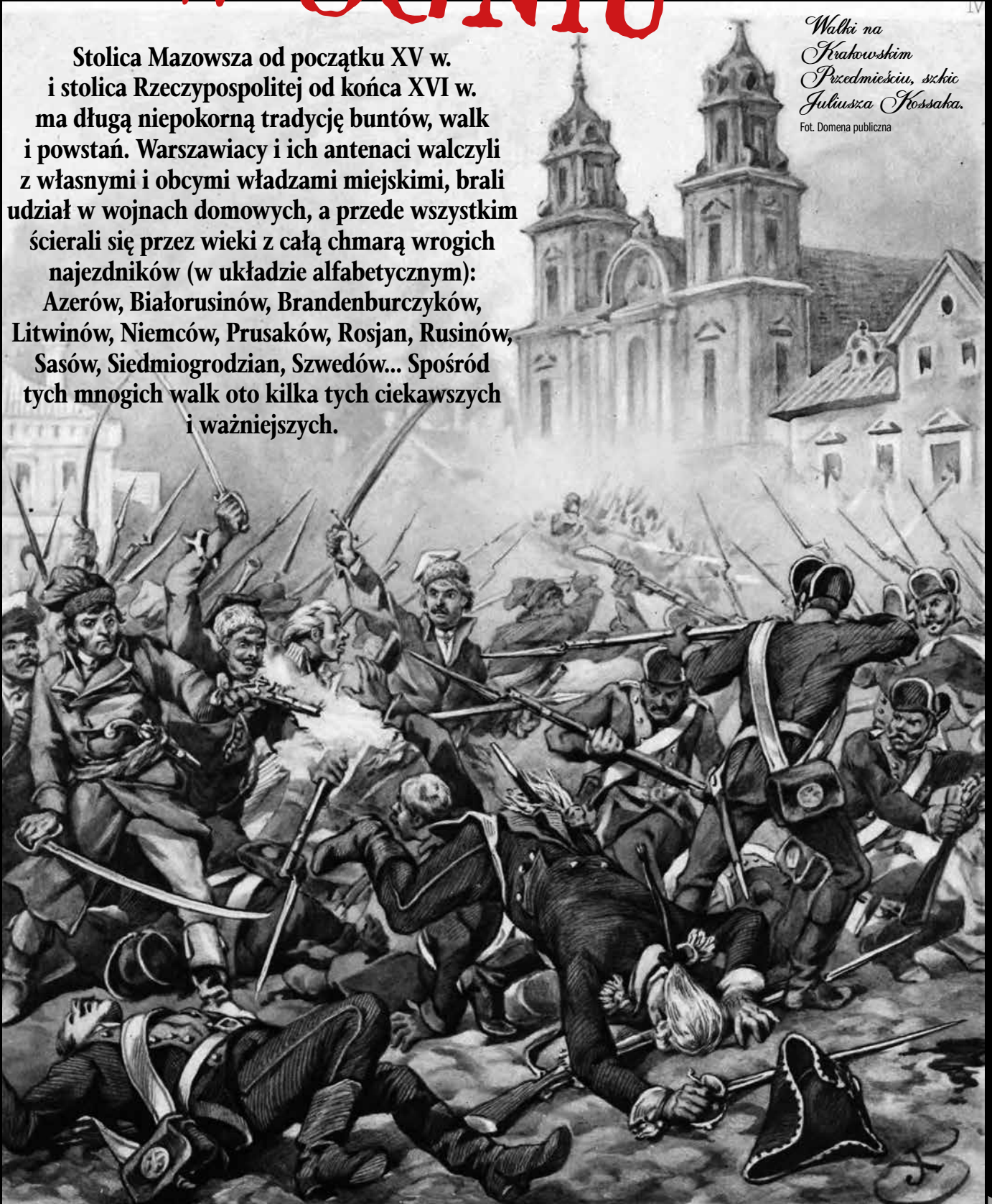
- Flaczyk R., Gągorowski J., *Inspektorat Armii Krajowej Sosnowiec*, „Śląsk” Wydawnictwo Naukowe, SZŻAK, Sosnowiec 2000.
 Kempa W., *Okręg Śląski Armii Krajowej*, t. V, Śląskie Centrum Kultury, Siemianowice Śląskie 2018.
 Miszczyk K., *Partyzanci od Hardego. Kronika działań Oddziału partyzanckiego „Surowiec” na ziemi olkuskiej i na Podhalu*, Agencja Promocji s.c., Olkusz 2001.
 SZŻAK, *Partyzanckie wspomnienia*, Inter MAG Sp. z o.o., Olkusz 1999.
 SZŻAK, *Partyzanckie wspomnienia*, Zeszyt II, Drukarnia NEON, Olkusz 2004.
 Walter-Janke Z., *Śląsk jako teren partyzancki Armii Krajowej*, Instytut Wydawniczy Związków Zawodowych, Warszawa 1986.
 Walter-Janke Z., *W Armii Krajowej na Śląsku*, Wydawnictwo Śląsk, Katowice 1986.
 Woźnica G., *Oddział „Hardego”*, WIH, Warszawa 1981.

WARSZAWA W OGNIU

Stolica Mazowska od początku XV w. i stolica Rzeczypospolitej od końca XVI w. ma długą niepokorną tradycję buntów, walk i powstań. Warszawiacy i ich antenaci walczyli z własnymi i obcymi władzami miejskimi, brali udział w wojnach domowych, a przede wszystkim ścierali się przez wieki z całą chmarą wrogich najezdników (w układzie alfabetycznym): Azerów, Białorusinów, Brandenburczyków, Litwinów, Niemców, Prusaków, Rosjan, Rusinów, Sasów, Siedmiogrodzian, Szwedów... Spośród tych mnogich walk oto kilka tych ciekawszych i ważniejszych.

*Walki na
Krahowskim
Przedmieściu, szkic
Juliusza Kossaka.*

Fot. Domena publiczna



/ 22 II 1525 /

TUMULT WARSZAWSKI

☐ Na początku XVI w. Warszawę zamieszkiwało kilka tysięcy ludzi, a rządy sprawowała w niej rada miejska, zdominowana przez kilka bogatych rodzin. Kontrolowały one większość handlu i skup zboża, usiłując pozbawić pospólstwo, czyli rzemieślników i drobnych kupców, wpływu na politykę finansową miasta i ochrony prawnej mazowieckich Piastów, co wywołało pierwszy znany ferment w dziejach przyszłej stolicy Polski.

Wysokie ceny zboża podbijane przez rajców spowodowały w styczniu 1525 r. rozruchy wśród piekarzy. Pospólstwo i plebs zebrały się 22 lutego pod ratuszem. Do rajców wysłano delegację z żądaniem wolności handlu dla wszystkich mieszkańców, prawa apelacji do księcia i wspólnej polityki finansowej. Rada ufała w swoją siłę aresztowała delegatów: krawca Marcina Flisa, złotnika Jana Figurę i rzeźnika Stanisława Lachetę.

Wściekłe pospólstwo oraz plebs wszczęły zamieszki i zażądały interwencji księcia Janusza III. Władca w edykcie z 12 marca 1525 r. przychylił się do postulatów mieszkańców i nakazał uwolnić zatrzymanych. Rada miejska wykorzystała fakt, że książę był zadłużony u patrycjuszki i obaliła jego wyrok.

Dopiero w 1530 r., po wcieleniu do Korony reszty Mazowsza z Warszawy, król Zygmunt Stary przywrócił porządek w mieście i zatwierdził organ „panów gminnych” reprezentujący pospólstwo. Jeden z delegatów w czasie tumultu, Marcin Flis, dzięki zdobytej sławie został w 1535 r. burmistrzem. Wydarzenia te uspokoiły nastroje w mieście i pozwoliły na dynamiczny rozwój miasta, dogładanego przez królową Bonę, która z Warszawy uczyniła swoją rezydencję.

Łukasz Jędrzejczak



Zbiory Muzeum Wojska Polskiego



INSUREKCYJA WARSZAWSKA

☐ Wieść o wygranej 4 kwietnia 1794 r. przez polskich powstańców w bitwie pod Raclawicami mocno poruszyła mieszkańców Warszawy. W stolicy działał wysłannik Tadeusza Kościuszki, Tomasz Maruszewski, który wspólnie z mistrzem szewskim Janem Kilińskim organizował warszawskich spiskowców wśród żołnierzy polskiego garnizonu i zwykłych warszawian. Do zrywu doszło w Wielki Czwartek, 17 kwietnia. Wrzenie objęło całe miasto, na ulicach dochodziło do starć, utarczek i strzelanin. Gdy oddziały rosyjskie próbowały zająć Arsenał, budynku bronili żołnierze garnizonu polskiego, do których dołączyli mieszkańcy miasta. Broń z arsenału rozdawano wszystkim, którzy chcieli walczyć, Kiliński z ochotników sformował oddziały, które wzięły następnie udział w walkach. Na Kra-

kowskim Przedmieściu doszło do prawdziwej bitwy ulicznej między żołnierzami polskiego 10 regimentu pieszego a rosyjskim oddziałem piechoty gen. Wasilija Miłaszewicza i kawalerii gen. Fiodora Gagarina. Rosjanie zostali całkowicie rozbici, Miłaszewicza wzięto w niewolę, zaś Gagarin poległ. Walki toczyły się również przy Pałacu Młodziejowskiego przy Miodowej, gdzie rezydował Osip Igelström, poseł carski dowodzący rosyjskim garnizonem w Warszawie. Rosjanie w całym mieście szybko przeszli do defensywy, rozdzielone oddziały rosyjskie pozbawione zwierzchnictwa i rozkazów stopniowo rozbijano. Igelström poprosił 18 kwietnia o zawieszenie broni i korzystając z zamieszania, umknął z miasta z resztą wiernych sobie żołnierzy. Warszawa była wolna.

Robert Sendek

Jan Kiliński. Pocztówka z 1919 r. Fot. Domena publiczna

/ 17 IV 1794 /

*Obraz „Karol X Gustaw
w walce z Tatarami w bitwie
pod Warszawą 1656 roku”
Jana Filipa Lempeke.*

Zbiory Muzeum Wojska Polskiego



Zbiory Muzeum Wojska Polskiego

28-30 VII 1656

SZWEDZI W WARSZAWIE

Los Warszawy w konflikcie Szwecji z Rzeczpospolitą Obojga Narodów z lat 1655–1660 był tragiczny. Zniszczenia i grabieże doprowadziły do wyludnienia miasta. Od 8 września 1655 r. Warszawa była okupowana przez Szwedów, którzy ściągnęli z niej olbrzymie kontrybucje wynoszące prawie 240 tys. zł. Następnie rozpoczęli grabież, zamieniając stolicę w centralny magazyn zwożonych łupów. W ten sposób Warszawa jako siedziba królewska w czasie kampanii wojennych z okresu „potopu” stała się ważnym celem. Pod jej murami stoczono jedną z największych bitew z okresu wojny szwedzko-polskiej. Celem walk było zdobycie miasta i przecięcie wiślanej arterii, po której poruszali się Szwedzi.

Bitwę warszawską stoczyły w dniach 28–30 lipca 1656 r. wojska polsko-litewskie pod wodzą Jana Kazimierza z siłami szwedzko-brandenburskimi dowodzonymi przez kuzyna polskiego króla – Karola Gustawa. Armia Rzeczypospolitej liczyła ok. 35 tys. żołnierzy, w tym ok. 950 husarzy, siły nieprzyjaciela wynosiły ok. 20 tys. żołnierzy i 47 armat. Rankiem na prawy brzeg Wisły przeprawił się król Jan Kazimierz wraz z hetmanami. W godzinach popołudniowych na

obóz nieprzyjaciela na prawym brzegu Wisły uderzyli Tatarzy. Karol Gustaw zmuszony został do rzucenia przeciwko nim kilku regimentów rajtarii pod wodzą Gustawa Horna. W tym samym czasie chorągwie husarskie wykonały imponującą szarżę na wojska szwedzko-brandenburskie. Atak nie powiódł się, gdyż nie wsparły go pozostałe jednostki jazdy polsko-litewskiej – z tym wydarzeniem związany jest legendarny kamień znaczący grób Rocha Kowalskiego przy warszawskim kościele Matki Bożej Loretańskiej.

W nocy król, który utracił wiarę w zwycięstwo, zdecydował się wycofać całą armię. Jako pierwsze na lewy brzeg Wisły skierował piechotę i artylerię, osłanianą przez jazdę polsko-litewską. Na wycofujące się oddziały króla Jana Kazimierza uderzyła armia szwedzko-brandenburska. Bitwa warszawska, choć zakończona porażką Rzeczypospolitej, nie wpłynęła w istotny sposób na przebieg wojny. Pomimo porażki siłom Jana Kazimierza udało się ponownie, 1 września, zająć miasto. Władze miejskie donosiły królowi polskiemu, że tuż przed zajęciem Warszawy przez siły polskie Szwedzi wywozili z Warszawy olbrzymie łupy, część skut utknęła na płycznach wiślanych. Zostały zatopione. Na polecenie króla podjęto próbę

wydobycia precjozów, jednak udało się to w niewielkim stopniu. Dopiero współczesne działania archeologiczne prowadzone przez dr. Huberta Kowalskiego pozwoliły wydość szwedzkie łupy.

W 1702 r. Szwedzi znów zajęli Warszawę. I tym razem ściągnęli olbrzymie kontrybucje i rabowali. Karol XII wykorzystał miasto na zjazd popleczników wybranego przez siebie kontrkandydata na króla polskiego – Stanisława Leszczyńskiego. Chcąc pokrzyżować plany szwedzkie, August II Mocny wysłał pod Warszawę wojska, które 31 lipca 1705 r. stoczyły bitwę ze szwedzkim garnizonem. Było to starcie kawalerii. Połączone wojska sasko-polsko-litewskie pod dowództwem Ottona Arnolda von Paykulla, w sile ok. 9 tys. żołnierzy, zostały rozbite przez oddziały szwedzkie stacjonujące w Warszawie, dowodzone przez Karla Nierotha i liczące jedynie ok. 2,5 tys. żołnierzy. Bitwa trwała około sześciu godzin, siły polsko-sasko-litewskie nie odzyskały Warszawy.

Bytność Szwedów w Warszawie w czasie dwóch wojen znacząco dziś szkielety typu skandynawskiego odnajdywane w czasie prac archeologicznych.

Jarosław Godlewski ▶

/ 2 XI 1794 /

RZEŹ PRAGI

☐ Po klęsce Tadeusza Kościuszki pod Maciejowicami Rosjanie rozpoczęli marsz na Warszawę. Żołnierze w sile 24 tys., którymi dowodził gen. Aleksander Suworow, dotarli 2 listopada 1794 r. pod Pragę – wówczas sześciotysięczne miasteczko leżące naprzeciw Warszawy, na prawym brzegu Wisły. Podejścia do Pragi strzegły nieukończone wały, liczące ok. 7 km długości, wzmocnione 20 bateriami i bastionami. Broniło ich niespełna 19 tys. powstańców. Już 3 listopada Rosjanie rozpoczęli bombardowanie umocnień powstańczych, co oznaczało, że niebawem nastąpi atak. Następnego dnia o 5.00 rano wystrzał racy zasygnalizował początek szturm. Główne zadanie przypadło czterem kolumnom rosyjskim, których celem była północna część umocnień powstańczych. Mniej liczne siły nieprzyjacielskie zaatakowały od wschodu i południa. Atak na północy przybrał niekorzystny dla Polaków obrót. Po szybkim pokonaniu pikiet Rosjanie zaatakowali głów-

na linię obrony, obsadzoną przez litewskie regimenty i żydowski pułk Berka Joselewicza. Mimo zażartej obrony wróg zdobył pierwszą linię fortyfikacji i natarł w głąb Pragi, w kierunku mostu na Wiśle – jedynej możliwej drogi ucieczki powstańców na drugi brzeg rzeki. Decydującym momentem okazał się upadek tzw. Zwierzyńca, zginął tu między innymi bohater insurekcji wileńskiej, gen. Jakub Jasiński. O klęsce przesądziła przewaga liczebna Rosjan. Po krótkiej i krwawej walce oddziały rosyjskie dopuściły się grabieży i łupiestw. Mordowano nie tylko poddających się powstańców, ale także ludność cywilną. Obserwowali to mieszkańcy Warszawy, którzy wymusili na władzach powstańczych kapitulację. Masakra powstańców oraz mieszkańców Pragi przeszła do historii jako „rzeź Pragi”. Był to jeden z ostatnich epizodów Insurekcji Kościuszkowskiej.

Mikołaj Kubacki



*General Jakub Jasiński,
waleczny wyzwoliciel
Włna i obrońca
Warszawy w 1794 r.*


Zbiory Muzeum Wojska Polskiego

*Szturm Pragi ujęty od strony rosyjskiej
według Jana Piotra Norblina.*

Zbiory Muzeum Wojska Polskiego



WARSZAWA WYZWOLONA

 Odrzucenie przez Fryderyka Wilhelma III warunków rozejmowych, narzuconych w końcu października 1806 r. przez Napoleona, zmusiło cesarza Francuzów do podjęcia marszu na wschód, ku ziemiom dawnej Rzeczypospolitej. Król Prus otrzymał bowiem pomoc militarną od Rosjan. Gdy tylko francuska Wielka Armia wkroczyła do pozostającej pod pruską władzą Wielkopolski, jej mieszkańcy, zachęceni odzwami Józefa Wybickiego i gen. Jana Henryka Dąbrowskiego, chwycili za broń i w ciągu kilku dni przejęli kontrolę nad dzielnicą. W drugiej połowie listopada odezwy Dąbrowskiego i Wybickiego zaczęły trafiać do okupowanej przez Rosjan i Prusaków Warszawy. Ma-

nifesty króla Prus zapowiadające groźne represje wobec tych, którzy wezmą udział w insurekcji, nie odniosły skutku. Warszawiacy czekali na Francuzów. Pruski gubernator warszawski Georg Ludwig von Köhler wraz z oddziałami rosyjskimi 26 listopada ewakuował Warszawę, a jej mieszkańcy szydzili z uciekających zaborców. Wieczorem następnego dnia do rogatek warszawskich dotarły witane entuzjastycznie przez mieszkańców forpoczty Wielkiej Armii, a 6 grudnia do miasta przybył gen. Dąbrowski. Cesarz w asyście polskiej Gwardii Honorowej zjawił się w Warszawie tuż po północy 19 grud-

nia. Wkrótce nawiązał słynny romans z Marią Walewską. Choć Warszawa została wyzwolona po jedenastoletniej okupacji pruskiej, nadal była zagrożona, gdyż silna armia rosyjska koncentrowała się w widłach Wkry i Narwi. Dopiero pobicie Rosjan pod Czarnowem, Pułtuskiem i Gołyminem w końcu grudnia zażegnało niebezpieczeństwo. Po kampanii wiosennej i pokoju w Tylży prowincjonalne miasto pod zaborem pruskim zostało na nowo stolicą – małego państwa wielkich nadziei, czyli Księstwa Warszawskiego.

Mikołaj Kubacki

1. Wzorowana na mundurach kawalerii narodowej kurtka oficera Gwardii Honorowej cesarza Napoleona należąca do kpt. Ludwika Małachowskiego.

Zbiory Muzeum Wojska Polskiego

2. Sztandar dla nieznanego oddziału Wojska Polskiego z 1807 r. według tradycji wykonany przez drugą żonę gen. Jana Henryka Dąbrowskiego, Barbarę z Chłapowskich.

Zbiory Muzeum Wojska Polskiego



19 XII 1806

BITWA RASZYŃSKA

☐ Pięć dni po tym, jak VII Korpus arcyksięcia Ferdynanda d'Este przekroczył Pilicę, austriackie forpoczty kawaleryjskie zaatakowały polskie pikiety na przedpolach Warszawy pod Raszynem. Naczelnym wodzem armii Księstwa Warszawskiego, książę Józef Poniatowski, świadom niemal dwukrotnej przewagi nieprzyjaciela, zdecydował się zagrozić mu drogę w tym miejscu, ponieważ nie mógł pozwolić na oddanie stolicy bez walki. Tu właśnie zbiegały się drogi wiodące znad granicznej Pilicy na Warszawę. Dodatkowym atutem była przecinająca teren starcia rzeczka Mrowa, która w kwietniu zamieniała teren w trudne do przebycia trzęsawisko. Na plac boju wrogie wojska napływały stopniowo, dlatego przewaga austriacka na początku bitwy była nieznaczna. Wrogi oddziały wykrwawiały się stopniowo, nie angażując polskich rezerw, których księciu Józefowi brakowało. Najcięższe walki miały miejsce w okolicach Dużych i Małych Falent, bronionych zażarcie przez zaledwie dwa bataliony piechoty. Dopiero po ciężkim boju z kilkakrotnie liczniejszymi Austriakami Polacy zostali pobici. Narastającą panikę w szeregach powstrzymał cierpiący akurat na fluksję książę, który z fajką w zębach osobiście dowodził jednym z kontrataków. Liczebna przewaga wojsk arcyksięcia Ferdynanda d'Este zmusiła jednak Polaków do cofnięcia się na północny



Książę Józef Poniatowski, naczelnny wodź armii polskiej od lutego 1809 r. Kopia portretu Marcello Bacciarellego. Zbiory Muzeum Wojska Polskiego

brzeg Mrowy. Mimo kilkakrotnych silnych ataków Austriacy nie sforsowali rzeczki i nie zajęli Raszyna. Choć bitwa była taktycznie nierozstrzygnięta, przewaga nieprzyjaciela zmusiła księcia Józefa do odwrotu i ewakuacji stolicy – ku niezadowoleniu mieszkańców. W ostatecznym rozra-

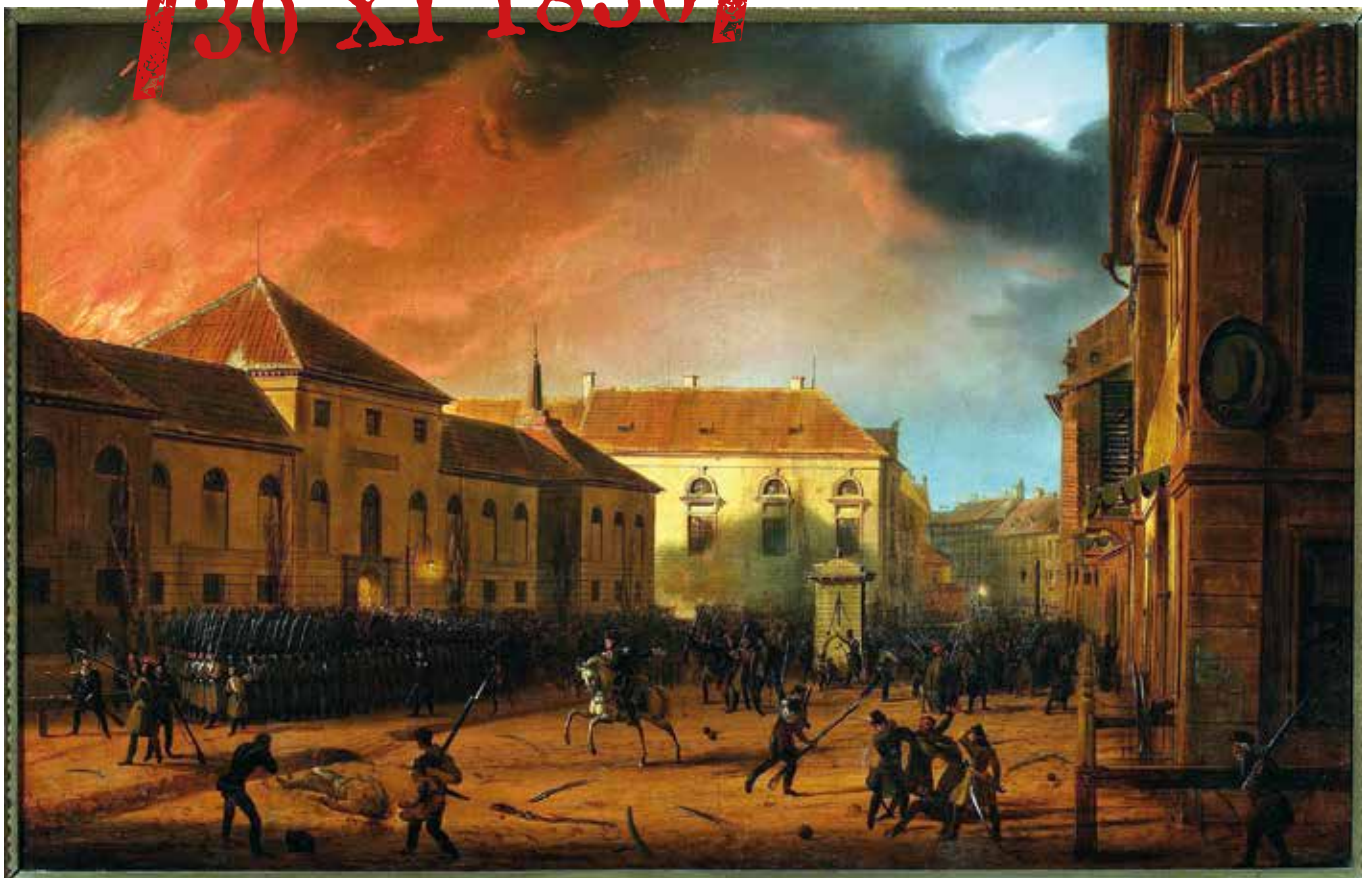
chunku bitwa pod Raszynem okazała się korzystna, gdyż pozwoliła Polakom uwierzyć we własne siły, a zajęcie Warszawy nie przyniosło Austriakom żadnej korzyści.

Mikołaj Kubacki



Starcie między polskimi ułanami i austriackimi huzarami w bitwie pod Raszynem. Gwiazd Aleksandra Orłowskiego. Zbiory Muzeum Wojska Polskiego

30 XI 1830



Zdobycie Arsenali podczas Nocy Listopadowej. Obraz Marcina Zaleskiego. Fot. Domena publiczna

NOC LISTOPADOWA

☐ Taka noc listopadowa niewierna / I w te okna tylko deszcz, i ciągły plusk. / I taka chandra się kładzie cholerna, / I na głowę, i na serce, i na mózg – mógłby zaśpiewać za wielkim Hemarem (Upić się warto) wielki książę Konstanty razem z nieznanym instruktorem Szkoły Podchorążych w Warszawie ppor. Piotrem Wysockim. Ta noc warszawska z 29 na 30 listopada 1830 r., niewątpliwie gwałtowna i pełna nieoczekiwanych zwrotów, tchórzliwa i bohaterska, odbiła się wszystkim wielką czkawką.

Spiskowcy, obawiając się wykrycia ich planów przez tajną policję Konstantego, postanowili rozpocząć narodowe powstanie. Mieli przeciwko sobie rosyjski garnizon, choć słabszy niż w 1794 r., poza tym w mieście stacjonowały dwukrotnie liczniejsze oddziały polskie. Pozostawało pytanie, po czyjej stronie się opowiedzą. Młodzież wierzyła, że na hasło wolności żaden prawy syn ojczyzny nie pozostanie obojętny. Brakowało więc rozsądnego

przywództwa i planów politycznych. Kierownictwo powstania miały przejąć urzędujące władze Królestwa Polskiego wraz z polskimi generałami – podchorążowie i akademicy nie dopuszczali do siebie innej myśli. Na dodatek Wysocki wraz z por. Józefem Zaliwskim, nie mając kwalifikacji dowódczych, rozproszyli cele militarne tej nocy, sygnały do ataku haniebnie zawiiodły, a Konstanty w niewieścim przebraniu ocalał w Belwederze, honorowi podchorążowie nie wyobrażali sobie bowiem, że mogliby zrewidować pokoje dam.

O losie naszych generałów w tę noc tragicomicznych omyłek opowiedział Konstantemu sam Stanisław Wyspiański w *Nocy listopadowej*, mając za usta najwierniejszego z polskich dowódców wielkiego księcia, Wincentego Krasieńskiego, ojca wielkiego Zygmunta: „Zginął Potocki, Blumer, Nowicki generał, / a przy Potockim byłem ja, kiedy umierał, / gdy wśród poległych trupa wyszuka-

no. / Zginął Trębicki, Siemiątkowski zginął”.

Do tych pięciu ofiar podchorążaków należy dodać generała artylerii Maurycego Haukego i pułkownika inżynierii Filipa Meczyszewskiego. Pomnik siedmiu wiernych oficerów stanął na placu Zielonym (dziś plac Dąbrowskiego) – następnie każdy patriotyczny warszawiak miał obowiązek – przechodząc mimo – splunąć w stronę zdrajców. Sytuację uratował batalion 4 Pułku Piechoty Linijowej, który obronił Arsenał przed „wołyńcami”.

Powstańcy nie wiedzieli, że przewidziani przez nich na przywódców członkowie Rady Administracyjnej natychmiast nawiązali kontakt z Konstantym. Ten jednak odmówił interwencji, mówiąc, że nie będzie się mieszał w sprawy Polaków, którzy muszą załatwić je samodzielnie. Rada więc, chcąc nie chcąc, stanęła na czele całego ruchu, który narodził się tej nocy. Powstanie zostało uratowane, sprawa polska – pogrzebana. JŻ



*Rozbrajanie Niemców przed Główną Komendą
na placu Saskim w Warszawie. Zbiory Muzeum Wojska Polskiego*

10 XI 1918

LISTOPAD 1918 R.

☐ Zwolniony z twierdzy magdeburzkiej Józef Piłsudski przybył do Warszawy 10 listopada 1918 r. W mieście, które wówczas było stolicą Generalnego Gubernatorstwa Warszawskiego, stacjonowały liczne oddziały okupacyjnych wojsk niemieckich. Czas był dla nich niepewny: abdykacja cesarza Wilhelma II, proklamowanie Republiki Weimarskiej i rozpalająca się tzw. rewolucja listopadowa sprzyjały rozprzężeniu w wojsku i niemieckiej administracji. Nastroje takie dotarły również do stacjonujących w Warszawie Niemców. Na ulicach miasta dochodziło do manifestacji, ludność stolicy samorzutnie przystąpiła do rozbrajania niemieckich żołnierzy. Akcją podjęli również żołnie-

rze Polskiej Siły Zbrojnej, Polskiej Organizacji Wojskowej, a także zwykli cywile. Jedna z relacji oddaje atmosferę tych dni: „Opowiadała mi kiedyś moja matka, że spotkała 11 listopada na zatłoczonej warszawskiej ulicy znaną działaczkę społeczną, doktorową Helenę Zaborowską, dzierżącą w ręku gruby, sękaty kij. Na zdziwione zapytanie mojej matki: »Co pani robi?«, odpowiedziała donośnym wojowniczym i równie zdziwionym głosem: »Jak to co? Rozbrajam Niemców!«¹. Akcja rozbrajania przebiegała na ogół dość spokojnie, sporadycznie tylko dochodziło przy tym do incydentów i strzelanin, w których po obu stronach zginęło kilkanaście osób, wiele zaś odniosło rany. Tymczasem

władze polskie na czele z Józefem Piłsudskim, któremu 11 listopada Rada Regencyjna przekazała władzę nad wojskami, nie były zainteresowane zamieszkami ani walkami ulicznymi. Stacjonujący zaś w Warszawie żołnierze niemieccy gotowi byli złożyć broń w zamian za gwarancję bezpiecznej ewakuacji. Piłsudski zawarł więc z delegatami niemieckiej Rady Żołnierskiej umowę. Na jej podstawie do 19 listopada z miasta wyjechało ok. 30 tys. żołnierzy niemieckich, którzy opuścili strzeżone budynki, pozostawili broń i wyposażenie.

Robert Sendek

¹J. Pajewski, *Przeszłość z bliska. Wspomnienia*, Warszawa 1983, s. 39–40.

/15 VIII 1920/

PIĘTNASTEGO SIERPNIĄ ROKU PAMIĘTNEGO

☐ O Cudzie nad Wisłą pisała cała polska prasa na gorąco, od brukowców po nobliwe periodyki. Za to piśmudzczy dostawali białej gorączki. – Jaki cud, co za cud?! Geniusz Wodza, a nie żaden cud! Niewątpliwe ks. Ignacy Skorupka poległ pod Ossowem 14 sierpnia, no, może nie z krzyżem w rękę, prowadząc ochotników do ataku, ale zapewne udzielając ostatniego namaszczenia konającemu żołnierzowi, a por. Stefan Pogonowski poderwał kompanię do ataku spod Legionowa świtem 15 sierpnia i zginął tego samego dnia pod Radzyminem. Czy Matka Boska ukazała się bolszewikom na niebie w wigilię decydującego starcia? Umarli milczą, a ci bezbożnicy, którzy przeżyli, prędzej by padli trupem na miejscu, niż potwierdzili taką wersję wydarzeń.

W każdym razie sytuacja wydawała się beznadziejna, sam Wódz Naczelny i Naczelnik Państwa w jednym podał się do dymisji „prezydentowi rady ministrów”, czyli premierowi, ale potem zebrał się w garść i znad Wieprza ruszył do ataku. Stolicę opuścił korpus dyplomatyczny, przenosząc się za rządem do Poznania, pozostał tylko watykański nuncjusz, przyszły papież Pius XI –

może to on właśnie ujrzał nadprzyrodzone zjawisko nad miastem?

Bitwa, która rozegrała się pomiędzy 12 a 16 sierpnia na linii Wisły, była „warszawska” z nazwy – owo przedpole miasta rozciągało się znad granicy wschodniopruskiej w Działdowie nad Wkrą po Włodawę nad Bugiem. Kapitan Charles de Gaulle, który przebywał wtedy w Warszawie wraz z Francuską Misją Wojskową, zapisał na gorąco wrażenia w dzienniku: „na ulicach zawsze dużo eleganckich oficerów, dumnie noszących swoje szable. A także i kobiety nie przyciemniły i nie przydały ciężkości swoim letnim strojom. Nikt nie krzyczy, nie ma poruszenia w tłumie. Co to wszystko znaczy? Spokój społeczeństwa pewnego swojej siły i ufności w swoje przeznaczenie czy rezygnacja narodu od wieku nieszczęśliwego, który nie miał czasu na odbudowanie swojej wolnej duszy i którego niepowodzenia nie poruszają?”¹. A jednak zwyciężyliśmy. JŻ

¹ [Ch. de Gaulle], *La Bataille de la Vistule. Carnet de Campagne d'un Officier français*, "La Revue de Paris", R. 27 (1920), t. 6 (Novembre-Décembre), s. 37, zapis z 1 VII 1920 (toż w gallica.bn.fr), za: tenże, *Bitwa o Wisłę. Dziennik działań wojennych oficera francuskiego*, tłum. Z. Hertz, „Zeszyty Historyczne” (Paryż) 1971, z. 19, s. 5 (toż w kulturaparyska.com).



*Warszawa naprzód.
Obraz Zdzisława Jasińskiego.*

Fot. Domena publiczna/Muzeum Narodowe w Warszawie



OBLEŻENIE

☐ Obrona Warszawy we wrześniu 1939 r. była jedną z największych bitew tej kampanii. Wzięła w niej udział także ludność cywilna. Stolica kraju była celem niemieckiej agresji już od pierwszego dnia wojny, gdy nad miastem rozpoczęła się bitwa powietrzna. Wobec zagrożenia niemieckim zagonem pancernym rozpoczęto 3 września przygotowania do obrony, której dowódcą został gen. Walerian Czumak.

Pierwsze niemieckie jednostki pancerne dotarły do południowo-zachodnich przedmieść 8 września i z marszu podjęły próbę zdobycia miasta. Następnego dnia atak na Wólę i Ochotę został odparty. Rozpoczęta w tym samym czasie bitwa nad Bzurą częściowo odciągnęła niemieckie wojska spod miasta, które blokowały je od zachodu. Warszawa została okrążona od wschodu 15 września.

Po klęsce w bitwie nad Bzurą do stolicy dotarły resztki Armii „Poznań” i Armii „Pomorze”. Rozpoczęło się regularne oblężenie połączone z ostrzałem artyleryjskim i nalotami, które były szczególnie dotkliwe dla ludności cywilnej. Oddziały niemieckie 26 września przeprowadziły szturm, który został odparty. Tego samego dnia ze względu na sytuację ludności cywilnej, zniszczenia wodociągów i elektrowni oraz kończące się zapasy amunicji podjęto rozmowy kapitulacyjne. Warszawa skapitulowała 28 września. W wyniku walk zniszczeniu uległo ok. 12% zabudowy miasta. Zginęło ok. 20 tys. mieszkańców i 6 tys. żołnierzy.

Michał Pacut

/8-28 IX 1939/



1. Szabla oficerska wz. 1921/22 należąca do płk. Stanisława Sosabowskiego, dowódcy 21 Pułku Piechoty „Dzieci Warszawy”. Po kapitulacji właściciel zakopał ją w ogródku willi przy ulicy Generała Józefa Hauke-Bosaka 11. Przed wojną pułk stacjonował na warszawskiej Cytadeli, po walkach pod Mławą wycofał się przez Modlin do Warszawy, gdzie obsadził pozycje obronne na Grochowie. Zbiory Muzeum Wojska Polskiego
2. Barykada na ulicy Franciszkańskiej. Zbiory Muzeum Wojska Polskiego



Poczet sztandarowy brygady, 15 czerwca 1944 r. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe/ Archiwum Fotograficzne Czesława Datki

DESANT NA POMOC

Gdy wybuchło Powstanie Warszawskie, 1 Samodzielna Brygada Spadochronowa od kilku tygodni była już pod dowództwem brytyjskim, które w żaden sposób nie chciało osłabić polskiej jednostki przez wydzielenie z niej nawet jednej kompanii – mówi prof. Jerzy Kirszak.

Panie Profesorze, w polskich planach powstania powszechnego w okupowanej Polsce pojawiły się postulaty desantu spadochronowego, który miał wesprzeć żołnierzy podziemia w ich walce. Nie chodziło tutaj jedynie o cichociemnych lub niewielkie grupy spadochronowe, ale całą wielką jednostkę – świetnie wyposażoną i wyszkolo-

ną. Szybko przystąpiono do urzeczywistnienia projektu, tworząc 1 Samodzielną Brygadę Spadochronową. Dziś podkreśla się, że te plany od początku nie miały pokrycia w rzeczywistości, gdyż alianci nie dysponowali żadnymi możliwościami technicznymi przetrzucenia całej polskiej brygady do Polski, a nawet jej części. Czy stworzenie

polskiej brygady spadochronowej obarczone było niedomówieniami co do możliwości jej użycia w kraju? Z czego wynikała ta sytuacja?

U podstaw decyzji utworzenia polskiej jednostki spadochronowej leżała koncepcja użycia jej do wsparcia powstania w kraju. Zamiar urzeczywistnił się 23 września 1941 r. podczas ćwiczeń spadochroniarzy w Szkocji, kiedy Naczelny Wódz gen. Władysław Sikorski powołał do życia 1 Samodzielną Brygadę Spadochronową. Jej organizatorem był płk Stanisław Sosabowski, ówczesny dowódca 4 Brygady Kadrowej Strzelców, którego jednostka stała się załącznikiem brygady spadochronowej. W późniejszych wspomnieniach Sosabowski podkreślał, że był nie tylko organizatorem, ale też inicjatorem powołania brygady spadochronowej. Jednak nie całkiem tak było. Pomysł wsparcia powstania powszechnego przez desant spadochronowy zrodził się już w końcu 1939 r. w Komendzie Głównej Związku Walki Zbrojnej we Francji. Wpadli nań kapitanowie Jan Górski i Maciej Kalenkiewicz i poszli z tym do swego przełożonego gen. Kazimierza Sosnkowskiego. Klęska Francji przeszkodziła planom, ale wkrótce po ewakuacji na Wyspy Brytyjskie gen. Sosnkowski

Zbrojnych. Mimo że powstała w Szkocji, nie została włączona do formowanego tam I Korpusu Polskiego. Była niezależna od brytyjskiego dowództwa i pozostawała w dyspozycji polskiego Naczelnego Wodza. Generał Sikorski 21 sierpnia 1942 r. zastrzegł sobie prawo użycia brygady wyłącznie do działań na korzyść Armii Krajowej, w chwili gdy ta podejmuje jawną walkę z najeźdźcą, na co dowództwo brytyjskie się zgodziło. Na konferencji w brytyjskim Ministerstwie Wojny (War Office) 31 sierpnia 1942 r. ustalono, że po osiągnięciu pełnego etatu brygada zostanie przeznaczona wyłącznie do operacji na terytorium Polski. Niecały rok później – 18 czerwca 1943 r. – zostało to dodatkowo potwierdzone przez Połączony Sztab Planowania Sprzymierzonych. Zatem początkowo użycie brygady nie było obarczone niedomówieniami co do użycia w kraju – jak pan zauważył. Wkrótce jednak miało się to zmienić.

Tworzenie polskiej brygady spadochronowej z wielkim zainteresowaniem śledzili Brytyjczycy. Co więcej, podczas wizytacji brygady w maju

1943 r. dowódca brytyjskich wojsk powietrznodesantowych gen. Frederick Browning przedstawił płk. Sosabowskiemu propozycję bez precedensu: aby utworzyć polsko-brytyjską dywizję powietrznodesantową z Sosabowskim na czele. Brytyjczycy nie zwykli oddawać swych najlepszych żołnierzy pod obce dowództwo. Sosabowski odrzucił tę kuszącą propozycję, trzymając się twardo przeznaczenia swej jednostki do walki w Polsce. Kiedy w marcu 1944 r. brygadę wizytował gen. Bernard Montgomery, autorytarnie stwierdził, że ma ona znaleźć się pod jego dowództwem. O zdanie nie pytano już gen. Sosabowskiego, tylko memorandum w tej sprawie przesłano od razu Naczelnemu Wodzowi. Generał Kazimierz Sosnkowski po długich debatach zgodził się na to i 6 czerwca 1944 r. brygada znalazła się pod brytyjskim zwierzchnictwem.



JERZY KIRSZAK
doktor habilitowany, pracownik Instytutu Pamięci Narodowej i Wojskowego Biura Historycznego. Specjalizuje się w historii wojskowości pierwszej połowy XX w. oraz biografistyce kadry oficerskiej Polski niepodległej i na emigracji. Autor m.in. monografii *Generał Kazimierz Sosnkowski 1885–1969*; *Armia Rezerwowa gen. Sosnkowskiego w roku 1920*; *Twórca Niepodległej. Józef Piłsudski 1867–1935* (wspólnie z Markiem Gałęzowskim); *Generał Roman Szymański. Żołnierz Pierwszej Kompanii Kadrowej, zdobywca Monte Cassino*.

STOLICY

w raporcie do Naczelnego Wodza z 5 sierpnia 1940 r. pisał: „Ważne miejsce zajmuje sprawa zorganizowania specjalnych oddziałów spadochronowych, które można by szybko rzucić w odpowiedniej chwili do kraju za pomocą lotnictwa [...]. Koniecznym jest zapoczątkowanie już obecnie tej pracy”¹. Mówię o tym dlatego, aby zauważyć, że inicjacja powołania brygady spadochronowej nie była li tylko dziełem jej pierwszego dowódcy. Nie podważa to w żadnym stopniu ogromnych zasług pułkownika (od czerwca 1944 r.) generała Sosabowskiego w organizacji brygady.

1 Samodzielną Brygadę Spadochronową zajmowała wyjątkową pozycję w Polskich Siłach

Czy w tym momencie jej los został przesądzony? Wiemy dziś, że za kilka miesięcy brygadę czekała masakra pod Arnhem...

W zasadzie wszystko już pan wyjaśnił. Spróbuję może dopowiedzieć, że Brytyjczycy od początku istnienia brygady wysyłali jasne, choć nieformalne sygnały co do ewentualnego użycia polskiej jednostki. Sosabowski wspominał, że gen. Frederick Browning miał już w 1941 r. powiedzieć, iż „widzi polską brygadę skaczącą w północnej Francji”, w następnych latach jeszcze kilkakrotnie mówił, żeby najpierw użyć brygady na Zachodzie, a dopiero później w Polsce. Z czasem pojawiła się nawet forma szantażu, że w przeciwnym razie polska brygada nie dostanie kompletnego sprzętu bojowego, który zostanie przeznaczony dla jednostek skierowanych do akcji inwazyjnej.

Walka o przeznaczenie brygady rozpoczęła się na dobre z początkiem 1944 r. Jeszcze przed wspomnianą przez pana wizytacją gen. Montgomery'ego, do polskiego Naczelnego Wodza zwrócił się – tym razem już oficjalnie – szef sekcji kontaktów europejskich Kwatery Głównej Alianckich Ekspedycyjnych Sił Zbrojnych (SHAEF) gen. Arthur Grasett. Choć w piśmie z 11 marca 1944 r. zaznaczył, że „stosownie do istniejącego porozumienia Polska Brygada Spadochronowa jest do Pana dyspozycji do operacji w Polsce”², to jednak zaraz dodał, że aktualna „ogólna perspektywa i wymagania zmieniły się i stajemy wobec możliwości przedsięwzięcia najpotężniejszej operacji wojny wszystkich czasów”³. W związku z tym w imieniu marsz. Alana Brooke'a zapytywał, „czy zgodziłby się Pan na zmianę obecnego porozumienia dotyczącego Polskiej Brygady Spadochronowej i oddał ją do dyspozycji Naczelnego Dowódcy Alianckiego do operacji w Europie Zachodniej”⁴. Od tego momentu rozpoczęły się niemal trzymiesięczne negocjacje. Wobec groźby niedostarczenia sprzętu strona polska ustąpiła i w dniu rozpoczęcia inwazji, 6 czerwca 1944 r., przekazała brygadę do użycia w Europie Zachodniej. Z perspektywy czasu polski upór w tych negocjacjach okazał się błędem.

Czy to prawda, że oddając brygadę spadochronową pod brytyjskie zwierzchnictwo, nikt z polskich władz na Zachodzie nie poinformował o tym Komendy Głównej Armii Krajowej, która nadal brała pod uwagę jej udział w walkach w Polsce? Kiedy wybuchło Powstanie Warszawskie, wciąż wypatrywano polskiego desantu. Wspomina o tym syn gen. Sosabowskiego – „Stasinek”.

To nie jest prawda. Naczelny Wódz wysłał 20 marca 1944 r. depezę do dowódcy AK, któremu brygada była dotąd obiecana, z prośbą o ustosunkowanie się. Generał Tadeusz Bór-Komorowski zgodził się i odpowiedział następująco: „Podzielamy pogląd Pana Generała na użycie Brygady Spadochronowej w inwazji w związku z propo-

zycją przyjaciół. Z punktu widzenia potrzeb Kraju [...] jest ważne, by decyzja o użyciu brygady w inwazji nie odsunęła na bok sprawy przygotowania dla niej możliwości przerzucenia jej do Kraju”⁵. Zaraz po oficjalnej propozycji Brytyjczyków gen. Sosnkowski powiadomił premiera Stanisława Mikołajczyka, któremu jako szefowi rządu formalnie był podporządkowany, o propozycji Grasetta. Przypominając o krajowym przeznaczeniu brygady, pisał: „odstąpienie od tej zasady byłoby z naszej strony niewątpliwie znaczną koncesją na rzecz Aliantów”⁶, ale jednocześnie dodawał, że „z punktu widzenia moralno-politycznego oraz propagandowego osiągnęlibyśmy bez wątpienia bardzo dużo”⁷. Dalej zaznaczył, że biorąc udział w inwazji, brygada zyskałaby doświadczenie bojowe, otrzymałaby najnowocześniejsze wyposażenie oraz podniosłaby jeszcze bardziej stan moralny, który odwrotnie „musiłaby spaść, gdyby pozostała ona beczynną w czasie, gdy poza nią całość Polskich Sił Zbrojnych będzie w akcji”⁸. Dodał również, że w takim wypadku „ogromnie wzrosłyby szanse uzyskania samolotów transportowych, gdy zajdzie potrzeba przerzucenia Brygady do Kraju”⁹. Było to realne i trzeźwe wyjaśnienie. Dwa dni później Rada Ministrów Rządu RP na Uchodźstwie podzieliła pogląd Naczelnego Wodza, co w dramatycznym roku 1944 nie było, niestety, dość częste, i zgodziła się pod pewnymi warunkami oddać brygadę aliancom.

Wracając do pańskiego pytania, to fakt oddania brygady do dyspozycji alianców, także za zgodą Komendy Głównej AK, nie był znany wśród młodszych oficerów podziemia. Stąd pewnie wynikały niespełnione oczekiwania por. „Stasinka” Sosabowskiego.

Kiedy wiadomo było, że cała brygada nie ma szans polecieć do walki w Warszawie, Polacy poprosili Brytyjczyków, by zezwolili na symboliczny gest, aby powstanie wesprzeć jedną kompanią spadochronową. Tego również im odmówiono. Wówczas gen. Sosnkowski poprosił, by w zastępstwie spadochroniarzy poleciełi polscy komandosi. Usłyszał niezmiennie: „Nie”. Co mogła zyskać jedna kompania spadochronowa w swej – w istocie samobójczej – misji?

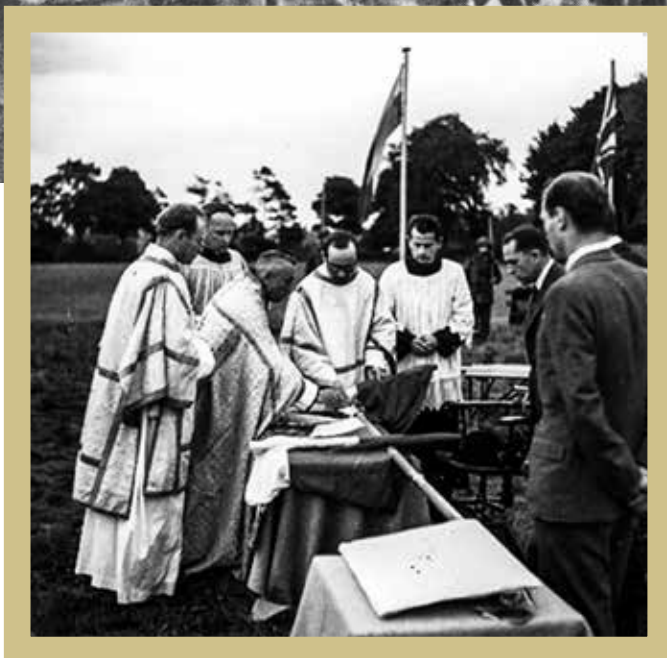
Gdy wybuchło Powstanie Warszawskie, 1 Samodzielna Brygada Spadochronowa była już od kilku tygodni pod dowództwem brytyjskim, które w żaden sposób nie chciało osłabić polskiej jednostki przez wydzielenie z niej nawet jednej kompanii. A taką gen. Sosabowski już przygotował i powierzył jej dowództwo kpt. Wacławowi Sobocińskiemu – dowódcy III baonu spadochronowego. Pododdział ten liczył 10 oficerów i 100 żołnierzy. Brytyjczycy odmówili transportu, twierdząc, że byłoby to samobójstwo. Jeśli weźmie się pod uwagę, że kompania ta miałaby lecieć z włoskiej bazy w Brindisi, skąd startowały samoloty z zaopatrzeniem dla Warszawy, to trzeba



Inspekcja 1 Samodzielnej Brygady Spadochronowej przez Naczelnego Wodza gen. broni Kazimierza Sosnkowskiego, Szkojca, 4 września 1943 r. Zbiory Jerzego Kirszaka

Wręczenie sztandaru 1 Samodzielnej Brygadzie Spadochronowej. Wbijanie gwoździ w drzewce sztandaru.

Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe/ Archiwum Fotograficzne Czesława Datki



przyznać Anglikom rację. Przelot nieeskortowanych, nieuzbrojonych, lecących z prędkością przelotową 250 km/h i na pułapie osiągalnym nawet przez artylerię plot 10 samolotów C-47 Dakota (tyle potrzebnych było do przewiezienia na tym dystansie 110 ludzi z minimalnym wyposażeniem) musiałby skończyć się masakrą. Między innymi dlatego, że niemieckie myśliwce polowały na samoloty do Polski już od Jugosławii i Niziny Węgierskiej.

Inaczej wyglądałaby taka akcja, gdyby użyć nieco dłuższego szlaku północnego, tzw. Trasy nr 2, którą jeszcze w 1943 r. latali cichociemni. Czyli nad Morzem Północnym, Skagerrakiem, południową Szwecją, Bałtykiem, skręcając na wysokości Koszalina wprost na Warszawę. Wtedy samoloty miałyby większe szanse, bo tam Niemcy nie mieli myśliwców przechwytyjących. Wzrosłyby one

dotąd, gdyby dla takiej operacji zrezygnować z Dakot na rzecz szybszych, uzbrojonych i latających poza zasięgiem artylerii plot Halifaxów. Chociaż żeby zabrać oddział 110–120 żołnierzy, musiałoby ich lecieć więcej bo 14. Zasięg bombowców po zamontowaniu dodatkowych zbiorników paliwa pozwalał wrócić im do bazy tą samą drogą, bez konieczności lądowania w sowieckich bazach. Lekko uszkodzone samoloty zaś w drodze powrotnej mogłyby lądować w neutralnej Szwecji, z czego Anglicy i Amerykanie często korzystali w czasie wypraw bombowych. Problem w tym, że desantu drogą północną wówczas nie rozpatrywano. A że była ona względnie bezpieczna, pokazała wielka, spóźniona wyprawa amerykańskich bombowców z 18 września 1944 r.

Inaczej miała się rzecz z kompanią komandosów, walczących niemal już od roku we Włoszech. W sprawie jej użycia depešował 2 sierpnia 1944 r. szef Sztabu Naczelnego Wodza gen. Stanisław Kopański do dowódcy 2 Korpusu Polskiego gen. Władysława Andersa, któremu ten oddział podporządkowano. Kopański pisał: „Dowódca Armii Krajowej rozpoczął w dniu 1 sierpnia walkę o Warszawę. Bardzo pożądanym byłby chociaż symboliczny udział w niej oddziału regularnego nasze-



Defilada podczas uroczystości wręczenia sztandaru 1 Samodzielnej Brygadzie Spadochronowej.

Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe/ Archiwum Fotograficzne Czesława Datki

go wojska. Jedyną tego rodzaju możliwością jest zrzućenie na spadochronach zmniejszonej kompanii commandosów (umiejących skakać ze spadochronem)¹⁰. Generał Anders odpowiedział nazajutrz, zaraz po otrzymaniu depeszy: „Oddziału odpowiedniego nie mam. Osobiście uważam decyzję dowódcy Armii Krajowej za nieszczęście”¹¹. Tak było istotnie. Po dotychczasowych walkach we Włoszech w kompanii komandosów zostało ok. 40 żołnierzy, z czego mniej niż połowa miała przeszkolenie spadochronowe. W ich wypadku zatem to nawet nie oportunistów alianckich zdecydował.

Jeśli chodzi o drugą część pytania, tzn. „co mogła zyskać jedna kompania spadochronowa?” – odpowiedź jest prosta. Z punktu widzenia wojskowego – nic. Zakładając bardzo optymistycznie, że nawet wszystkim samolotom udałoby się przedrzeć i dokonać zrzutu na Puszcę Kampinoską (co też byłoby szaleństwem, przecież nawet obecnie nie skacze się na drzewa), żołnierze w komplecie dotarliby na miejsce zbiórki, to przecież niewiele ponad 100 dobrze wyszkolonych i uzbrojonych żołnierzy, lecz bez możliwości uzupełnienia amunicji, nieznacznie tylko wzmocniłoby niemal 3000

partyzantów Grupy „Kampinos”. Może 20 sierpnia 1944 r. spadochroniarze wzięliby razem z nimi udział w natarciu na Dworzec Gdański? Może nawet zdecydowaliby o przełamaniu niemieckiej obrony? Może niektórzy wyszliby z tego cało? Losów tragicznego powstania i tak by nie odwrócili. Ale to już tylko spekulacje.

Czy była zatem jakaś alternatywa użycia 1 Samodzielnej Brygady Spadochronowej?

Moim zdaniem istniała taka alternatywa, ale wcześniej. Wspomniałem już, że przez upór w sprawie krajowego użycia 1 Samodzielnej Brygady Spadochronowej Polacy popełnili błąd. I chociaż teza ta jest niewątpliwie skażona prezentyzmem, to czuję się usprawiedliwiony przez jednego z głównych uczestników wydarzeń – gen. Sosabowskiego. Otóż właśnie Sosabowski zauważył, że negocjacje były błędem, ponieważ stracono trzy bezcenne miesiące. Jak wiemy, Anglicy już od 1943 r. czynili starania o pozyskanie brygady do działań inwazyjnych we Francji, zrazu delikatnie sondując, by w marcu 1944 r. wystąpić oficjalnie. Wtedy strona polska – Naczelnny Wódz i rząd – zaczęła stawiać wa-

runki, grymasić. Negocjacje się przeciągały, niczego nie osiągnięto i po trzech miesiącach i tak przekazano 1 SBSpad do składu 21 Grupy Armii gen. Montgomery'ego. Dalszy ciąg jest znany. Od oddania brygady szkolenie ruszyło pełną parą, a brakujący dotąd sprzęt zaczął płynąć strumieniami. Trzy miesiące później brygada gotowa była do akcji i... została zmarnowana pod Arnhem jako dodatek do brytyjskiej 1 Dywizji Powietrznodesantowej. Później jeszcze z gen. Sosabowskiego uczyniono kozła ofiarnego, a o jego żołnierzach mówiono, że źle się bili. No i na to wszystko zżymał się Sosabowski. Stwierdził, że gdybyśmy od razu w marcu zgodzili się na angielską propozycję, to już wówczas rozpoczęłoby się intensywne szkolenie zespołowe i dostawy sprzętu, dzięki czemu brygada osiągnęłaby zdolność bojową również po trzech miesiącach, ale wtedy byłby to początek czerwca 1944 r. Wówczas mogłaby w składzie brytyjskiej 6 Dywizji Powietrznodesantowej wziąć udział w inwazji, otrzymując wykonalne zadania. A nie jak we wrześniu pod Arnhem, gdy wspierała 1 Dywizję Powietrznodesantową.

Można puścić wodze fantazji i oczami wyobraźni zobaczyć brygadę wchodzącą do akcji już nocą z 5 na 6 czerwca 1944 r. podczas D-Day. Byłoby to rozwiązanie ze wszech miar korzystniejsze dla brygady, ale też dla sprawy polskiej. Pod Arnhem 1 SBSpad poniosła straty rzędu 23%. Biorąc udział w inwazji i w późniejszych walkach koło Caen, gdzie biła się brytyjska 6 Dywizja Powietrznodesantowa, byłyby one pewnie porównywalne. Ale nie tak bezsensowne i „nie za darmo” jak w Renie trzy miesiące później. Dla zaskoczenia nieprzyjaciela desant byłby jednorazowy, w którym lądowałyby cała brygada w liczbie ok. 2200 żołnierzy z dywizjonem przeciwpancernym w szybowcach i dywizjonem artylerii lekkiej z rozmontowanymi działami na spadochronach. Byłaby to realna siła mogąca przez zaskoczenie zadać Niemcom poważne straty, a nie jak pod Arnhem, gdy w pierwszym dniu zrzucono niespełna 1000 żołnierzy, pozostałych kilkuset na raty później, a artylerię lekką wysłano transportem morskim, w rezultacie czego w ogóle nie wzięła ona udziału w walkach.

W Normandii polscy spadochroniarze przejęliby od Anglików niektóre punkty ataku i być może przesliby do historii jako zdobywcy Mostu Pegaza nad Orne lub Merville Battery, gdzie dziś stałby pomnik nie dowódcy brytyjskiego 9 batalionu płk. Terence'a Otwaya, a dowódcy polskiego 1 batalionu mjr. Mariana Tona. Po miesięcznej kampanii, z początkiem lipca, choć skrważona, ale w wielkiej chwale i z pięknymi zwycięstwami, brygada wróciłaby lizać rany do Anglii, gdzie byłaby entuzjastycznie witana. Generał Sosabowski stałby się uznanym bohaterem nie tylko polskim, ale też alianckim. Przede wszystkim zaś uniknąłby tej całej smutnej

historii i późniejszych nieprawdziwych oskarżeń. Z kolei gorące głowy w Komendzie Głównej AK, które najpierw zgodziły się na oddanie Anglikom brygady, a później żądały jej przybycia, wiedząc, że po walkach w Normandii brygada nie jest zdolna do powtórnego użycia, nie kalkulowałyby jej użycia w powstaniu. Wówczas gen. Bór-Komorowski nie wysłałby 25 lipca takiej depeszy: „Jesteśmy gotowi w każdej chwili do walki o Warszawę. Przybycie Brygady Spadochronowej będzie miało kapitalne znaczenie polityczne i taktyczne”¹². Poza tym wiedząc, że nie ma co liczyć na Sosabowskiego, nie byłby taki wrywny. Może więc w ogóle nie doszłoby do tragicznego w skutkach powstania? Zwraca na to pośrednio uwagę szef Oddziału III Operacyjnego KG AK płk dypl. Józef Szostak „Filip”, którego na odprawie około 20 lipca zapytano o warunki podjęcia walki. Odpowiedział, że warunkiem powodzenia „było zapewnienie zrzutów broni podczas walki, wreszcie żądanie zrzućcia brygady spadochronowej”¹³. Chociaż zaraz dodaje, że w przypadku „tego ostatniego żądania, już i wtedy nie bardzo na to liczyliśmy, ale uważaliśmy, że żądać można i należy”¹⁴.

Gdyby mimo wszystko doszło do wybuchu powstania, to po udziale naszych spadochroniarzy w inwazji sytuacja byłaby o tyle lepsza, że można byłoby użyć argumentu: brygada wypełniła swoją powinność wobec aliantów, teraz domagamy się przerzucenia choć jednej kompanii do Polski! Jak wiemy, Anglicy nie dali zgody nawet na tę jedną kompanię. Czy jednak po wcześniejszej bohaterskiej walce Polaków w Normandii, pod presją moralną, nie machnęliby ręką i powiedzieli – lećcie, jak już się tak upieracie? Sądzę, że poszliby na to. To oczywiście zwycięstwa powstaniu by nie przyniosło. I dobrze, bo zwycięskie powstanie – wbrew pozorom – wcale nie przysłużyłoby się niepodległości, tylko przyniosło dodatkowe problemy. To jednak temat na inną debatę.

Tymczasem kończąc te ahistyczne rozważania, można jeszcze pomarzyć, że na wielkim ekranie w filmie *O jeden most za daleko* Gene Hackman, wcieliwszy się w gen. Sosabowskiego, nie krzyczy nad Renem „śnur, śnur”, tylko inny wspaniały aktor z obrazu *Najdłuższy dzień* strzela jako polski generał ze Stena na Moście Pegaza nad Orne. Albo jeszcze lepiej ze zdobycznego charakterystycznego długiego artyleryjskiego Parabellum, którego używał Sosabowski. W każdym razie temat wart powieści z gatunku historii alternatywnych. Może kiedyś się do takiej przymierzę (śmiech). ■

Rozmawiał Piotr Korczyński

¹ Cyt. za: J. Tucholski, *Spadochroniarze*, Warszawa 1991, s. 56. ² *Armia Krajowa w dokumentach 1939-1945*, t. III, Wrocław 1990, s. 357. ³ Tamże. ⁴ Tamże. ⁵ Tamże, s. 385. ⁶ Tamże, s. 370. ⁷ Tamże. ⁸ Tamże. ⁹ Tamże. ¹⁰ Cyt. za: J. Tucholski, *Spadochroniarze...*, s. 178. ¹¹ Reprodukacja oryginału depeszy, w: J. Kirszak, B. Polak, M. Polak, *Generał Władysław Anders (1892-1970)*, w przygotowaniu do druku. ¹² *Armia Krajowa w dokumentach*, t. IV, Wrocław 1991, s. 11. ¹³ *Moja służba Niepodległej. Wspomnienia pułkownika dyplomowanego Józefa Szostaka „Filipa” (1897-1984)*, oprac. D. Koręś, Wrocław - Warszawa 2019, s. 430. ¹⁴ Tamże.

Maria z Czetwertyńskich Tarnowska uczestniczyła w obu wojnach światowych, wojnie polsko-bolszewickiej i Powstaniu Warszawskim, doświadczając dwu zbrodniczych totalitaryzmów: niemieckiego nazizmu i sowieckiego komunizmu.

Hrabina na barykadzie



TADEUSZ ZYCH

Niewiele jest osób o tak bogatym życiorysie i takich zasługach dla Rzeczypospolitej, a jednocześnie tak zapomnianych, jak Maria z Czetwertyńskich Tarnowska. Maria urodziła się 6 lipca 1880 r. w Milanowie k. Lublina jako piąte dziecko księcia Włodzimierza Ludwika Światopłk-Czetwertyńskiego i Marii Wandy Uruskiej, w rodzinie o tradycjach powstańczych i patriotycznych. Otrzymała staranne wykształcenie, biegle знаła trzy języki. Pod koniec 1900 r. poznała hrabiego

Adama Tarnowskiego z Dzikowa k. Tarnobrzęga, rozpoczynającego właśnie wielką karierę dyplomatyczną jako sekretarz ambasady austro-węgierskiej w Waszyngtonie. Rok później została jego żoną i razem wyjechali do Paryża – następnej dyplomatycznej placówki hrabiego. Po dwu latach pobytu we Francji małżonkowie zamieszkali w Dreźnie, następnie w Brukseli, Madrycie i Londynie. W stolicy Wielkiej Brytanii Tarnowscy wielokrotnie gościli w swoim domu zaprzyjaźnionego z nimi króla Edwarda z rodziną.

Obóz przejściowy Dulag 121 w Pruszkowie. Rozdawanie chleba wypędzonym mieszkańcom Warszawy. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe



**Warszawscy
cywile opuszczają
cy miasto.** Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Kolejną placówką dyplomatyczną, do której wysłany został Adam Tarnowski, już jako ambasador, była Sofia. Okres pobytu na Bałkanach zbiegł się z wybuchem I wojny bałkańskiej. Hrabina ochotniczo pracowała jako pielęgniarka w bułgarskim szpitalu wojskowym. Był to początek drogi, która z czasem stała się jednym z najważniejszych etapów w jej życiu. We wspomnieniach tak opisywała ten moment: „Mąż powierzył mi pieczę nad personelem ambasady Austrii; wkrótce zaprzyjaźniłam się serdecznie z wszystkimi pracownikami. Postanowiłam skorzystać z okazji i nauczyć się pielęgniarstwa... Nie zdawałam sobie sprawy, że podjęta wówczas decyzja wpłynie na moje dalsze życie”¹.

Na wojnie z bolszewikami

Konflikt bałkański był tylko preludium do wybuchu w 1914 r. Wielkiej Wojny. Tuż po rozpoczęciu walk Tarnowska zgłosiła się w Wiedniu jako sanitariuszka Czerwonego Krzyża, otrzymując przydział do Zespołu Chi-

rurgicznego, który skierowany został na front austriacko-rosyjski pod Lublinem. Tak wspominała swoje początki sanitariuszki frontowej: „wyjechałam do Wiednia, by zgłosić się w oddziale Czerwonego Krzyża jako sanitariuszka i prosić o przydział do I Korpusu Krakowskiego złożonego z polskich oddziałów. Nic z tego nie wyszło, ponieważ korpus miał już swój własny personel. Zostałam przydzielona do formacji Czerwonego Krzyża zwanej I Zespołem Chirurgicznym i wysłana na front”².

Wychowana w rodzinnym domu w kulcie walk o niepodległość, zawsze marzyła o wolnej Polsce, dlatego też odzyskanie niepodległości w 1918 r. było dla niej wydarzeniem ogromnej wagi. „Niewiele jest w życiu doznań, które można porównać ze świadomością, że odradza się ojczyzna. Przez kilka miesięcy wszystkie marzenia lat dziecięcych i młodzieńcych, wysiłki i nadzieje dorosłego życia wielu pokoleń stały się dla Polaków cudowną i oszałamiającą rzeczywistością”³ – pisała. Rychło ▶



Przedstawiciele władz cywilnych i Polskiego Czerwonego Krzyża: hr. Maria Tarnowska i dr Alfred Lewandowski w czasie jednej z pierwszych rozmów z delegatem Ericha von dem Bacha-Zelewskiego – gen. Güntherem Rohrem na temat wyjścia ludności cywilnej z miasta.

Fot. Domena publiczna

okazało się jednak, że niepodległości należy bronić zbrojnie. Trwały walki z Ukraińcami, rozpoczęła się wojna z bolszewicką Rosją, ginęli polscy żołnierze, ranni potrzebowali pomocy. Pośpieszyła z nią także Maria Tarnowska. W Warszawie w 1919 r. dzięki środkom własnym i darowiznom zorganizowała szpital polowy, nad którym opiekę podjęło świeżo powstałe Polskie Towarzystwo Czerwonego Krzyża. Tarnowska, razem z siostrzenicą Marią Zamoyską i bratanicą Marią Czetwertyńską, pracowała w nim jako wykwalifikowana pielęgniarka.

Początkowo szpital ulokowano w twierdzy brzeskiej nad Bugiem. W 1920 r. jego obsada otrzymała rozkaz wymarszu w kierunku

Kijowa. Po załamaniu się polskiej ofensywy i kontrataku bolszewików, kiedy wojska Michaiła Tuchaczewskiego znalazły się niedaleko Warszawy, otrzymała rozkaz zorganizowania dalszych szpitali polowych. Podczas Bitwy Warszawskiej w sierpniu była siostrą przełożoną w szpitalu utworzonym przy VI Brygadzie Jazdy, w której w jednym z pułków walczył jej jedyny syn Andrzej. Za działalność podczas wojny polsko-bolszewickiej została odznaczona Krzyżem Walecznych. „To było jedyne odznaczenie, które naprawdę ceniałam”⁴ – podkreśliła we wspomnieniach.

Samarytanka

W II Rzeczypospolitej Tarnowscy dzielili czas pomiędzy Warszawę a majątek Świerż k. Dorohuska. Adam zarządzał gospodarstwem, Marię zaś coraz bardziej pochłaniała praca w Czerwonym Krzyżu. „Wstąpiłam do Czerwonego Krzyża i zajmowałam się pielęgniarstwem, bo to było jedyne zajęcie, dzięki któremu mogłam być innym pomocna”⁵. Wrażliwa na ludzką krzywdę i biedę, rozpoczęła działalność na rzecz lokalnego środowiska. Mieszkańcom Świerży i okolicznych wiosek zaczęła udzielać porad, głównie z zakresu wychowania dzieci i higieny ogólnej. Była także inicjatorką tworzenia w ramach Czerwonego Krzyża wiejskich ośrodków zdrowia w całym kraju. Pisała na ten temat artykuły w prasie i wygłaszała pogadanki w radiu. Jako pierwszy, taki ośrodek utworzyła w rodzinnej posiadłości, a do wybuchu II wojny światowej Polski Czerwony Krzyż, na wzór owego ośrodka w Świerżach, uruchomił ok. 300 podobnych placówek w całym kraju.

Docenieniem jej niezwykłych działań było przyznanie przez Międzynarodowy Komitet Czerwonego Krzyża Medalu Florence Nightingale dla zasłużonych pielęgniarek. Maria Tarnowska była pierwszą polską pielęgniarką nagrodzoną tym odznaczeniem. W obliczu nadciągającej wojny z Niemcami Tarnowscy włączyli się także w ogólnopolską akcję zbierania datków na Fundusz Obrony Narodowej, przekazując na ten cel 10 tys. dolarów.

Wybuch wojny zastał ich w Warszawie. Maria po raz kolejny podjęła pracę w wojskowym szpitalu, najpierw w stolicy, potem w Lublinie. Po zajęciu rodzinnego majątku przez Armię Czerwoną Tarnowscy wrócili do Warszawy. Kiedy stworzono Zarząd Główny PCK, Tarnowska została jego wiceprezesem i równo-

ceśnie delegatem Zarządu PCK do kontaktów z niemieckimi władzami okupacyjnymi. Polski Czerwony Krzyż, jedna z niewielu polskich organizacji, na których działalność zezwolili Niemcy, zajmował się głównie organizowaniem pomocy dla ludności cywilnej. Siłą rzeczy praca ta musiała również doprowadzić do kontaktów z Polskim Państwem Podziemnym i Armią Krajową. Dom Tarnowskich w Warszawie przy ulicy Piusa XI był jednym z wielu punktów kontaktowych i miejscem szkoleń żołnierzy Armii Krajowej. Ukrywał się tu także Stanisław Jasiukowicz „Opolski”, członek Delegatury Rządu na Kraj.

Żołnierz Armii Krajowej

W lecie 1942 r. Tarnowską aresztowało gestapo i po przesłuchaniach w więzieniu przy ulicy Szucha w Warszawie została uwięziona na Pawiaku. W następnym roku dzięki staraniom męża i światowej centrali Czerwonego Krzyża została uwolniona. Po wyjściu z więzienia wstąpiła do Armii Krajowej ze stopniem porucznika i z przydziałem do Korpusu Pomocniczej Służby Kobiet, otrzymując zadanie szkolenia sanitariuszek dla oddziałów partyzanckich. Komendant główny AK gen. Tadeusz Bór-Komorowski wspominał: „Panią Marię Tarnowską poznałem w zimie z roku 1920/21, gdzie pracowała w czołówce sanitarnej w rejonie postoju I Dywizji Kawalerii na Wołyniu, potem zetknąłem się z nią znowu w czasie konspiracji w roku 1944 i Powstaniu. Od roku 1939 Maria Tarnowska była urzędującym prezesem PCK [pisał jednak niezgodnie z faktami]. Przez ręce przewodniczącej PCK przechodziły pieniądze (dolary) przysyłane przez Rząd RP w Londynie dla tych organizacji. Niemcy to wywączali i w jesieni 1942 Maria Tarnowska została aresztowana. [...] Po wyjściu z więzienia zgłosiła się natychmiast u komendanta Wojskowej Służby Kobiet i została zaprzysiężona jako żołnierz AK. Otrzymała przydział zastępczyni komendantki WSK w dziale sanitarnym szkolenia patroli sanitarnych AK. W tym dziale służby jej wkład był olbrzymi”⁶.

Wybuch Powstania Warszawskiego nie był dla niej zaskoczeniem. „Wcześniej zrezygnowałam z pracy w Czerwonym Krzyżu, by wziąć udział w powstaniu, które wedle naszej oceny miało trwać nie dłużej niż dziesięć dni”⁷. Widząc coraz większy bezsens kolejnych ofiar, zaproponowała dowództwu AK podjęcie rozmów z Niemcami w sprawie ewakuacji części ludności cywilnej. Propozycja ta uzyskała pełną akceptację ze strony gen. Bora-Komorowskiego, który powierzył jej uczestnictwo w delegacji prowadzącej rokowania z gen. Güntherem Rohrem. Doprowadziły one 7 września 1944 r. do wyprowadzenia ze stolicy do Pruszkowa ponad 20 tys. cywilów. Bez cienia przesady można stwierdzić, że większość z nich życie zawdzięczała Marii Tarnowskiej. Docenieniem tej roli był awans na stopień majo-

ra. Właśnie w Pruszkowie podczas wizytacji obozów dla polskich jeńców i ludności cywilnej, na zaproszenie gen. Ericha von dem Bacha-Zelewskiego, Maria Tarnowska usłyszała od niego propozycję zawieszenia broni.

Została ona przyjęta przez dowództwo AK, co otwierało drogę do rokowań, które miały miejsce 29–30 września w podwarszawskim Ożarowie. W grupie czterech polskich parlamentarzysty pierwsze skrzypce grała Tarnowska. Uczestnik tych rozmów, por. Gerhard von Jordan, zanotował w swoim dzienniku: „W tym momencie, gdy protokół był gotów, mieliśmy wrażenie, że to nie Polacy kapitulują, lecz my przed starą hrabiną”⁸. To głównie jej zawdzięczano ewakuację oddziałów powstańczych i całej ludności cywilnej Warszawy po zakończeniu walk do przejściowego obozu w Pruszkowie. Dotarli tu również Tarnowscy, skąd udali się do willi kuzyna Marii, Jana Zamoyskiego, w Ojcowie.

Wróg ludowej władzy

Przed Tarnowską stanęło kolejne zadanie: opieka z ramienia PCK nad uchodźcami w Krakowie. Działalność ta nie pozostała jednak niezauważona przez nowe, komunistyczne władze. Tarnowska została aresztowana przez milicjantów i oskarżona o kolaborację z Niemcami. Zwolniona po kilku dniach, wróciła z mężem do zrujnowanej Warszawy, gdzie ponownie podjęła pracę w PCK. Jednak 29 sierpnia 1946 r. na polecenie marsz. Michała Roli-Żymierskiego została usunięta z szeregów tej organizacji. Przez krótki czas współpracowała ze Zrzeszeniem „Wolność i Niezawisłość”. W obawie jednak przed ponownym aresztowaniem wraz z ciężko chorym mężem wyjechali do Szwajcarii, gdzie przebywał ich syn.

Na emigracji przeżyła dwa najstraszniejsze dla żony i matki dramaty; śmierć męża i syna Andrzeja, który osierocił dwie córki. Właśnie do nich i do przebywającej w Brazylii synowej udała się Maria, dzieląc tam czas pomiędzy ukochanymi wnuczkami a pracą na rzecz Polonii. Do Polski powróciła w 1958 r. i dzięki zabiegom PCK otrzymała w Warszawie małe mieszkanie, gdzie w 1965 r. zmarła w wieku 85 lat. Jako motto jej niezwykle i wspaniałego życia mogą służyć zapisane przez nią słowa; „Przez wiele lat miłość najbliższych kierowała moimi krokami, pomagała uporać się z trudnościami i wskazywała powinności. Od chwili gdy wyfrunęłam z rodzinnego gniazda, sama musiałam borykać się z życiem i tylko ode mnie zależało, czy odniosę zwycięstwo, czy doznam porażki”⁹.

TADEUSZ ZYCH doktor habilitowany nauk humanistycznych w zakresie historii, profesor Uniwersytetu Rzeszowskiego, dyrektor Muzeum Historycznego Miasta Tarnobrzega. Zajmuje się dziejami najnowszyimi i historią regionalną.

¹ M. Tarnowska, *Przyszłość pokaże... Wspomnienia*, Warszawa 2002.

² Tamże. ³ Tamże. ⁴ Tamże. ⁵ Tamże. ⁶ Tamże. ⁷ Tamże. ⁸ Tamże. ⁹ Tamże.

**Główny budynek
więzienia na Radogoszczu
w Łodzi. Widok z placu
apelowego, 18 stycznia
1945 r.** Fot. Zbiory Muzeum
Tradycji Niepodległościowych w Łodzi



**Spalone zwłoki dwóch więźniów
Radogoszcza, styczeń 1945 r.**

Fot. Zbiory Muzeum Tradycji Niepodległościowych w Łodzi



**Szczątki spalonych
więźniów Radogoszcza,
styczeń 1945 r.**

Fot. Zbiory Muzeum Tradycji
Niepodległościowych w Łodzi

Likwidacja

W murach Rozszerzonego Więzienia Policyjnego Radogoszcz w Łodzi w nocy z 17 na 18 stycznia 1945 r. Niemcy dokonali masakry przetrzymywanych tam mężczyzn. W tym roku miała miejsce 75 rocznica tej straszliwej zbrodni, z której ocalało niespełna 30 więźniów.

KAROL JADCZYK, DARIUSZ MARCINIEC

Łódź w okresie okupacji niemieckiej 1939–1945 odgrywała szczególną rolę w anektowanym do III Rzeszy tzw. Kraju Warty. W mieście znajdowało się wiele ważnych niemieckich urzędów cywilnych, wojskowych, organizacji paramilitarnych i ośrodków odosobnienia. Pod względem liczby różnorodnych więzień i niemieckich obozów na polskich ziemiach Łódź ustępowała jedynie Poznaniu. Niemcy zorganizowali tutaj 9 różnego typu więzień oraz ok. 30 aresztów przy komisariatach, rewirach i posterunkach policji¹.

Miejscem, które w sposób szczególny wryło się w pamięć mieszkańców okupowanej przez Niemców Łodzi i rejencji łódzko-kaliskiej, było Rozszerzone Więzienie Policyjne Radogoszcz funkcjonujące w latach 1939–1945. Kilka godzin przed zajęciem miasta przez Armię Czerwoną, nocą z 17 na 18 stycznia

1945 r., wycofujący się Niemcy rozpoczęli akcję likwidacyjną więzienia. Przebywało w nim wówczas ok. 1500 mężczyzn. Prawie wszyscy z nich zginęli od kul oprawców bądź ponieśli śmierć w płomieniach. Zdołało ocaleć niespełna 30 mężczyzn.

Sześć lat okupacyjnego więzienia

Rozszerzone Więzienie Policyjne Radogoszcz w Łodzi (Erweitertes Polizeigefängnis, Radegast) Niemcy zlokalizowali początkowo w fabryce i cegielni Michała Glazera przy ulicy Krakowskiej 55, a od stycznia 1940 r. pod adresem Flurweg 1, w dawnej fabryce włókienniczej Samuela Abbego, u zbiegu ulic gen. Józefa Sowińskiego i Zgierskiej. Funkcje i nazwy tego niemieckiego ośrodka odosobnienia kilkakrotnie ulegały zmianom. Początkowo miejsce to funkcjonowało jako obóz koncentracyjny (Konzentrationslager Radogosch) i jako obóz więzienny (Gefangenenlager Radogosch)². Do końca czerwca 1940 r. na Radogoszczu były jednocześnie obóz przesiedleńczy i obóz przejściowy, pozostające w dyspozycji łódzkiego gestapo. Z czasem funkcję obozu przesiedleńczego stopniowo wygaszano, a 18 stycznia 1940 r. pojawiła się również nowa nazwa tej placówki: Polizeigefängnis Radogosch, czyli Więzienie Policyjne Radogoszcz. Obóz przejściowy mieszczący się w byłej fabryce włókienniczej Samuela Abbego łódzkie gestapo przekazało Prezydium Policji (Polizeipräsidium) w Łodzi 1 lipca 1940 r. Wówczas miejsce to przybrało nazwę Erweiteretes Polizeigefängnis, Radegast (Rozszerzone Więzienie Policyjne Radogoszcz) i stało się największym więzieniem zarówno w Łodzi, jak i w całym okręgu łódzkim. Z dniem 13 marca 1943 r. więzienie na Radogoszczu zostało połączone organizacyjnie z policyjnym obozem pracy karnej (oficjalnie wychowawczej) na Sikawie (Arbeitserziehungslager) w Łodzi i uzyskało nazwę Erweiteretes Polizeigefängnis und Arbeitserziehungslager (Rozszerzone Więzienie Policyjne i Obóz Pracy Wychowawczej)³.



po niemiecku



Ciała spalonych więźniów na dziedzińcu więzienia na Radogoszczu w Łodzi, 18 stycznia 1945 r. Fot. Zbiory Muzeum Tradycji Niepodległościowych w Łodzi

Więzienie na Radogoszczu było przeznaczone dla mężczyzn i miało charakter ośrodka przejściowego. Osadzeni przebywali tutaj przeważnie od kilku dni do kilku (rzadziej kilkunastu) miesięcy, oczekując na procesy sądowe, a także na transporty do innych więzień, najczęściej do Sieradza [Strafanstalt Schieratz], Łęczycy [Strafgefängnis Lentschütz] i Wielunia [Stammlager (Gerichtsgefängnis) Welungen]; obozów pracy karnej – początkowo w Ostrowie Wielkopolskim [Stammlager (Gerichtsgefängnis) Ostrowo, a od 1944 r. Stammlager (Haftanstalt) Ostrowo], a następnie na Sikawie k. Łodzi [Arbeitserziehungslager] oraz obozów koncentracyjnych [głównie do KL Dachau, KL Mauthausen-Gusen i KL Gross-Rosen]⁴. W murach więzienia, które przetrwało do końca okupacji niemieckiej w Łodzi, przetrzymywani byli zarówno więźniowie polityczni (członkowie Związku Walki Zbrojnej, Armii Krajowej i innych konspiracyjnych organizacji), kryminalni, jak i skazani przez hitlerowskie sądy za naruszenie niemieckiego porządku prawnego i prowadzenie szeroko rozumianej działalności przeciwko interesom III Rzeszy. Do tej ostatniej kategorii więźniów należały osoby, które w myśl ustawodawstwa niemieckiego dopuściły się takich czynów, jak antyniemieckie wystąpienia przed 1 września 1939 r., wypowiedzi krytykujące III Rzeszę i hitleryzm, słuchanie zagranicznych audycji radiowych, udzielanie pomocy

osobom prześladowanym, potajemnie przekraczanie granicy Kraju Warty z Generalnym Gubernatorstwem, ucieczka z robót przymusowych w Niemczech, a także nielegalny ubój, szmuglowanie żywności ze wsi do miasta, bimbrownictwo i kradzież⁵. Pod względem narodowości największy odsetek więźniów stanowili Polacy. Oprócz nich w więzieniu na Radogoszczu przetrzymywani byli również Niemcy, Żydzi i Rosjanie⁶.

Śmiertelny rozkaz

SS-Obergruppenführer Wilhelm Koppe, wyższy dowódca SS i Policji w Generalnym Gubernatorstwie, 20 lipca 1944 r. wydał specjalny rozkaz dotyczący sposobu ewakuowania więzień i obozów koncentracyjnych, podczas wycofywania się oddziałów niemieckich z terytorium okupowanej Polski. Przekaz był jasny: więźniów rozstrzelać, zwłoki spalić, budynki wysadzić w powietrze – więźniowie nie mogą być wyzwoleni⁷.

Komendant Walter Pelzhausen nakazał zwieźć na teren obiektu dużo słomy, beczki wypełnione smołą i benzyną oraz fosforowe granaty zapalające. Poleciał pokryć dach budynku głównego więzienia grubą warstwą smoły, a także wzmocnić znacznie załogę więzienia, uzupełniając ją żołnierzami Wehrmachtu, obrony przeciwlotniczej z Łodzi i Selbstschutzu (Samoobrony). Ogółem w akcji pacyfikacyjnej miało wziąć udział ponad 100 uzbrojonych funkcjonariuszy niemieckich,

spośród których ok. 50 rekrutowało się ze służby więziennej⁸.

Akcja eksterminacyjna w więzieniu na Radogoszczu rozpoczęła się tuż po północy w czwartek 18 stycznia 1945 r. W przededniu masakry w murach więzienia przebywało ok. 1500 osób. Niemcy zakłuli bagnietami więźniów przebywających w izbie chorych parterowego budynku pod tzw. szklanym dachem. Równocześnie na parterze głównego budynku więziennego zastrzelili nieliczną grupę zdrowych więźniów funkcyjnych. Przy głównym wejściu do klatki schodowej ustawili ciężki karabin maszynowy. Kilkunastu uzbrojonych w pistolety maszynowe strażników więziennych udało się do celi nr 4 na trzecim piętrze. Rozpoczęła się masowa egzekucja.

„Około godziny 24 hitlerowcy zarządzili alarm. Otworzono drzwi naszej celi, w korytarzu stali uzbrojeni strażnicy. [...] Następnie partiami po 20, 22 do 24 więźniów, parami spędzano nas do celi położonej na parterze lub na pierwszym piętrze. Tutaj strażnicy i żołnierze Wehrmachtu w czasie wbiegania do celi strzelali do pleców więźniów”⁹ – relacjonował Franciszek Zarębski, jeden z ocalałych z masakry więźniów Radogoszcza. Podobnie chwile grozy przedstawiał inny naoczny świadek pamiętnej nocy radogoskiej Franciszek Brzozowski, więzień Radogoszcza od 2 grudnia 1944 r.: „W nocy z dnia 17 na 18 stycznia 1945 r. około północy [...] na salę, gdzie przebywałem dobiegły odgłosy strzelaniny pochodzące z pięter niższych. [...] Strzelanina ta była tak intensywna, że na sali, w której przebywałem czuć było wyraźnie swąd palonego prochu. [...] Po jakiejś przerwie [...] usłyszeliśmy krzyki na schodach, po czym otworzyły się drzwi naszej sali. W pewnym momencie zobaczyłem dwóch

nieznanych mi wachmanów, którzy polecieli ustawić się czwórkami i po dwudziestu wychodzić na korytarz. Kilka takich grup więźniów wybiegło z sali, przy czym za każdym razem słychać było z dołu serie z broni maszynowej”¹⁰.

Dramat więźniów dobrze oddają słowa Feliksa Błotnickiego, jednego z ocalałych: „W tym czasie więźniowie niektórzy wieszali się [...] inni dostawali szoków nerwowych, krzyczeli, tańczyli, śpiewali, inni siwieli w ciągu tych chwil”¹¹. Po wymordowaniu więźniów sali 4 na trzecim piętrze oprawcy przystąpili do likwidacji najliczniejszej sali 3 znajdującej się piętro niżej. Pierwszymi ich ofiarami padli kilkunastoletni chłopcy przywiezieni na Radogoszcz z więzień w Skierniewicach i Grójcu. Rafał Żarnecki, przebywający na Radogoszczu od 18 października 1944 r., wracając pamięcią do tych wydarzeń, podawał: „Po krótkiej chwili na sali naszej zapaliło się światło, otworzyły się drzwi i na salę weszło kilkudziesięciu wachmanów z bronią maszynową gotową do strzału [...] grupa chłopców została skierowana naprzeciw wachmanów, by jako najmłodsi i nic niewinni błagać o darowanie nam życia. Chłopcy ci [...] zaczęli prosić o litość. Jednakże po krótkiej chwili, Pelzhausen, który był razem z wachmanami wydał po niemiecku polecenie »ognia« [...] W pierwszym rzędzie śmierć ponieśli ci chłopcy oraz szereg innych więźniów stojących najbliżej drzwi”¹².

Brutalne rozstrzelania

Inne grupy zbrodniarzy tropiły i mordowały tych, którzy uratowali się na pierwszym i trzecim piętrze. Jak wspominał po latach Franciszek Zarębski: „Po upływie pewnego czasu, strażnicy oraz żołnierze Wehrmachtu powrócili do celi, gdzie rozstrzeliwano ludzi. Następnie dochodzili do zwłok i butem nadeptywali na gardło leżących więźniów i kiedy więzień przejawiał oznaki życia to pistoletem takiego więźnia dobijał”¹³. Inny ocalały więzień, Stefan Fengler, zeznawał przed komisją śledczą: „Ani krzyki, ani błagania bezbronnych ofiar nie zdołały złamać okrucieństwa oprawców, którzy udali się na inne cele dokonując tam również tego rodzaju morderstw”¹⁴.

Więźniowie, którzy pozostali przy życiu, zaczęli barykadować się w celach i stawiać opór oprawcom. „Rozumiejąc grozę sytuacji, zaczęliśmy rozrywać prycze, wyłamywać żelazne ruszta z pieców, wrywać cegły ze ścian, tak że każdy z nas posiadał w ręku jakiś przedmiot do obrony. Kiedy ponownie po jakimś czasie drzwi otworzyły się znowu, weszło na salę kilku wachmanów, zaczęliśmy rzucać w nich tymi przedmiotami, w wyniku czego wachmani ci wycofali się szybko z sali i zbiegli ze schodów na dół, pozostawiając za sobą drzwi otwarte”¹⁵ – relacjonował Franciszek Brzozowski.



Ciała spalonych więźniów
Radogoszcza, styczeń 1945 r.

Fot. Zbiory Muzeum Tradycji Niepodległościowych w Łodzi



Członkowie niemieckiej załogi więzienia na Radogoszczu, 1942 r. Fot. Zbiory Muzeum Tradycji Niepodległościowych w Łodzi



Ciała spalonych więźniów Radogoszcza, styczeń 1945 r.

Fot. Zbiory Muzeum Tradycji Niepodległościowych w Łodzi



Teren byłego więzienia policyjnego na Radogoszczu – identyfikacja pomordowanych, styczeń 1945 r.

Fot. Zbiory Muzeum Tradycji Niepodległościowych w Łodzi

Około godz. 7 rano 18 stycznia 1945 r. Radogoszcz stanął w płomieniach. Niemcy, używając grantów zapalających, zainicjowali pożar głównego trzypiętrowego budynku więzienia. Franciszek Juszcak, więzień Radogoszcza od 3 stycznia 1945 r., tak wspominał tę chwilę: „Po pewnym czasie stwierdziliśmy, że do wnętrza sali zaczyna przenikać dym, który zwiększał się i gęstniał z każdą chwilą. [...] zaczęliśmy wybijać w murze otwory, aby wylamać drzwi na korytarz. Udało nam się to, jednakże po wylamaniu drzwi sytuacja nasza stała się jeszcze gorsza, gdyż z korytarza zaczęły przenikać do wnętrza sali, coraz to większe kłęby dymu. Postanowiliśmy więc wybijać szyby w oknach”¹⁶.

Jednocześnie wokół budynku więzienia stanął szpaier uzbrojonych wachmanów Radogoszcza i żołnierzy innych jednostek wspomagających, których zadaniem było strzelać do każdego, kto będzie próbował opuścić mury płonącego budynku. Rozpoczął się najbardziej dramatyczny rozdział tragedii więzienia na Radogoszczu. „Dym i swąd palących się ciał przepelniał już nasze piętro i pozbawiał przytomności. Ginęli żywcem współtowarzysze mniej lub więcej ranni, padali słabsi, wskutek gryzącego dymu. Tragicznie chwytałyśmy się

wszelkich środków ucieczki, byli i tacy, którzy wyskakiwali oknami, ale na dole i tak czyhała na nich śmierć z rąk oczekujących tam zbirów¹⁷ – opisywał sytuację Stefan Fengler. Pożar rozprzestrzenił się, obejmując kolejne kondygnacje. „Ponieważ dym nasiłał się i z każdą chwilą stawał się coraz bardziej gęsty i żrący, a nadto zaczęliśmy odczuwać żar idący od dołu, przystąpiliśmy do wybijania szyb w oknach. Inni polewali wodą podłogę i kładli na nią zmoczone w wodzie koce. [...] Ponieważ czas płynął, dym był coraz bardziej gęsty i żrący, dawała się odczuć wzrastająca z każdą chwilą temperatura, a nadto podłoga zaczęła się widocznie palić od spodu, gdyż zaczęła się giąć i wybrzuszać, zdecydowaliśmy ratować się ucieczką na dach¹⁸ – relacjonował Konrad Salamon, więzień Radogoszcza w czasie tragicznej nocy z 17 na 18 stycznia 1945 r.

Tragiczne usiłowania ucieczki

Więźniowie, którzy pozostali przy życiu, rozpoczęli paniczne poszukiwania dróg wydostania się z płonącego budynku. Niektórzy wybierali skok przez okna i wybite pospiesznie w murze otwory na dziedzińcu więzienny, jednak takie próby ratunku kończyły się zwykle śmiercią. Kilkudziesięcioosobowej grupie więźniów udało się przedostać na dach budynku, który jeszcze nie zaczął płonąć. Jednak tutaj ratunek był tylko chwilowy. Aby przeżyć, więźniowie musieli zdecydować się na skok na szklany dach budynku gospodarczego bądź na tyły więzienia od strony wschodniej, gdzie ze względu na bliskość ognia nie było strażników. Tymczasem wachmani prowadzili nieustanny ostrzał płonącego obiektu. „Przy użyciu drewnianej łąwy, którą postawiliśmy na jednej z górnych prycz, dotarliśmy do sufitu, w którym był tzw. dymnik prowadzący bezpośrednio na dach. Wydostało się nas tą drogą około 50-ciu osób. [...] Zauważyłem, że szereg współwięźniów ratuje się skacząc z dachu na dół, przy czym zeskakiwali oni na wszystkie cztery strony. W tym czasie smoła, którą pokryty był dach, pod wpływem gorąca zaczęła się topić, stała się miękka i lepka, a nadto zaczęły przenikać miejscami języki ognia. Rozumiejąc, że dalsze pozostawanie na dachu równa się śmierci w płomieniach, zdecydowałem się na skok na położone niżej budynki gospodarcze tzw. szklany dach¹⁹ – wspominał po latach Konrad Salamon.

Ci, którzy przeżyli upadek z dużej wysokości, leżeli wiele godzin na szedowym dachu parterowego budynku, tuż obok sterty trupów współtowarzyszy. Udawanie martwych i nakrywanie się zwłokami kolegów było jedyną szansą na przetrwanie, gdyż Niemcy co pewien czas wdrapywali się na pilasty dach i dobijali każdego, kto dawał oznaki życia. Kilkunastu mężczyzn wybiło szybę w szklanym dachu i zeszło na dół do po-

mieszczeń gospodarczych. Jedna grupa więźniów schroniła się w kuchni pod stertą ziemniaków i kapusty, inna w komorze do parowania odzieży. Większość z nich doczekała ocalenia, gdyż kilkanaście godzin później do Łodzi wkroczyły wojska sowieckie²⁰.

Rafał Żarnecki i Tadeusz Dyla po zeskoczeniu na dół z płonącego budynku schronili się w ulokowanej na południowo-wschodnim narożniku murów więziennych wieżycze strażniczej. Niemcy opuścili jej wnętrze z powodu bliskości płomieni i dokuczliwego gorąca. Grupa 12–13 więźniów, wykorzystując sytuację, wdrapała się po stojącej drabinie do wieżyczki. Niestety, tylko trzech z nich ocalało. O okolicznościach tego wydarzenia tak opowiadał Tadeusz Dyla: „Gdy po chwili ocknąłem się po upadku wszedłem za jakimś więźniem po schodach do wieżyczki wartowniczej na mur odgradzający więzienie. [...] Niemcy wrzucili granat do wieżyczki, który został przez jednego z więźniów wyrzucony na zewnątrz. Po jakimś czasie [...] Niemcy wrzucili drugi granat [...] straciłem przytomność. O zmroku oprzytomniałem i stwierdziłem, że żyje oprócz mnie jeszcze 2 więźniów²¹.

Dla kilku więźniów źródłem ocalenia stał się, umieszczony na najwyższej kondygnacji klatki schodowej, rezerwar z wodą. Zbiornik ten pierwotnie zapatrywał w wodę kotłownię, kuchnię, łaźnię i inne pomieszczenia więzienne. W gronie więźniów, którzy znaleźli w nim schronienie, byli: Stefan Fengler, Stanisław Dąbrowski, Stanisław Jabłoński, Bolesław Popławski, Antoni Szmaja, Adam Urszulak i Franciszek Zarębski. Dzięki zanurzeniu w wodzie znajdującej się w zbiorniku i przykryciu mokrymi kocami, udało im się wyjść cało z pożogi, ciała ich jednak pokryte były licznymi obrażeniami. „Z wielką trudnością poparzeni i na półprzytomni przedostaliśmy się [...] na klatkę schodową, gdzie znajdował się basen z wodą. Zanurzyliśmy się w basenie, starając się uniknąć zewsząd szalejących płomieni, chowając się do wody. [...] Z poparzoną głową i rękoma, z nadwyreżoną przy skoku nogą, utraciwszy już głos od gryzącego dymu, w opalonym i mokrym ubraniu, z trudnością dotarłem do ul. Poznańskiej, gdzie [...] udzieliła mi pierwszej pomocy sanitarna pielęgniarka [...] urzędująca w fabryce Poznańskiego” – wspominał Stefan Fengler²². Podobnie opowiadał o tym zdarzeniu Franciszek Zarębski: „Wszedłem w duży zbiornik wody, który służył do celów przeciwpożarowych. Potem nakryłem się kocem. W zbiorniku wyczułem stopami kilka nieżyjących ciał ludzkich, a wokół zbiornika było dużo spalonych ludzkich zwłok. [...] Początkowo woda była ciepła, a potem wystygła, wobec czego wyszedłem z basenu i udałem się na dół budynku. [...] Pamiętam, że na klatce schodowej była cała masa spalonych ciał ludzkich²³.



Grupa esesmanów na terenie więzienia na Radogoszczu. Fot. Zbiory Muzeum Tradycji Niepodległościowych w Łodzi

Spóźnione wyzwolenie

Niemcy przeprowadzający akcję likwidacyjną pilnowali miejsca zbrodni do wieczora 18 stycznia 1945 r. Następnego dnia około południa na teren więzienia zaczęli przychodzić mieszkańcy Łodzi, a wraz z nimi żołnierze Armii Czerwonej. Widok, który zastali, był przerażający. „Mało kto z mieszkańców Łodzi nie był w owych dniach w Radogoszczu [Radogoszczu] i nie oglądał skutków potwornej zbrodni dokonanej przez uciekających z miasta Niemców [...]. Przybyliśmy na miejsce, gdy ciała zamordowanych nie przestały jeszcze dymić. Ogień już ustał, a czerwona cegła ruin straszyla z daleka. Setki zwłok ludzkich zalegały teren. Twarze ofiar zbrodni wykrzywione były okropnym bólem i zamartwionym krzykiem grozy, a tych oczu nie zapomni nikt, kto patrzył wtedy na to piekło na ziemi”²⁴ – wspominał Arkadiusz Sitek, jeden z mieszkańców Łodzi.

Ogółem spośród ok. 1500 więźniów z życiem uszło jedynie ok. 30 osób. Na podstawie dokumentów przechowywanych w Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej w Łodzi²⁵ udało się ustalić personalia 26 ocalałych z masakry więźniów. Są to: Feliks Błotnicki, Franciszek Brzozowski, Stanisław Cieślak, Stanisław Dąbrowski, Mikołaj Duczko vel. Duszko, Tadeusz Dyla, Stefan Fengler, Stanisław Jabłoński, Leonard Jędrusiak, Zygmunt Józwiak, Franciszek Juszcak, Zenon Kuźma, Henryk Molke, Zygmunt Nowicki, Ignacy Pawlak, Bolesław Popławski, Konrad Salamon, Zdzisław Skowroński, Adam Sonrug (Sanrug), Adam Sowiak,

Antoni Szmaja, Adam Urszulak, Bolesław Wcisło, Franciszek Zarębski, Józef Zieliński i Rafał Żarnecki.

Przez niemal miesiąc mieszkańcy Łodzi i okolic przybywali na Radogoszcz w poszukiwaniu wśród zgliszcz i popiołów ojców, mężów, braci, narzeczonych i znajomych. Zwłoki były tak zmasakrowane i zwęglone, że tylko nielicznym udało się zidentyfikować najbliższych. W niedzielę 18 lutego 1945 r. na sąsiadującym z więzieniem na Radogoszczu cmentarzu rzymskokatolickim pw. św. Rocha w Łodzi odbył się uroczysty pogrzeb ofiar masakry, które pochowano w dwóch zbiorowych mogiłach. Historia więzienia na Radogoszczu i jego przerażającego końca na trwałe wyryła się w pamięci kolejnych pokoleń Łoździan. Radogoszcz stał się dla społeczności miasta miejscem kultu i głównym symbolem martyrologii mieszkańców regionu łódzkiego. Z tych też właśnie powodów w murach dawnego więzienia w latach sześćdziesiątych XX w. powstało mauzoleum, a następnie jego budynki zaadaptowano do stworzenia muzeum poświęconego historii więzienia na Radogoszczu (dziś Oddział Martyrologii Radogoszcz Muzeum Tradycji Niepodległościowych w Łodzi).

Znamienne pozostają słowa wyryte na odsłoniętym 8 września 1961 r. sarkofagu ku czci ofiar zamordowanych na terenie Radogoszcza: „Tu spoczywamy zamordowani w przeddzień wolności. Imiona i ciała zabrał nam ogień, żyjemy tylko w waszej pamięci. Niechaj śmierć tak nieludzka nie powtórzy się”.



Wnętrze głównego budynku więzienia na Radogoszczu po spaleniu w nocy z 17 na 18 stycznia 1945 r.

Fot. Zbiory Muzeum Tradycji Niepodległościowych w Łodzi

Teren więzienia na Radogoszczu po spaleniu w nocy z 17 na 18 stycznia 1945 r. Fot. Zbiory Muzeum Tradycji Niepodległościowych w Łodzi

KAROL JADCZYK historyk, doktor nauk humanistycznych, kustosz w Dziale Zbiorów Muzeum Tradycji Niepodległościowych w Łodzi. Specjalizuje się w biografistyce historycznej i historii wojskowości XIX i XX w. ze szczególnym uwzględnieniem dziejów Powstania Styczniowego oraz więzienia na Radogoszczu.

DARIUSZ MARCINIEC historyk, doktor nauk humanistycznych, kustosz w Dziale Zbiorów Muzeum Tradycji Niepodległościowych w Łodzi. Jego zainteresowania badawcze koncentrują się wokół zagadnień polskiego życia politycznego i kulturalnego w pierwszej połowie XX w.

¹ A. Galiński, *Hitlerowskie więzienia i obozy, w: Łódź w planach eksterminacyjnych okupanta hitlerowskiego 1939–1945*, Łódź 1986, s. 37–38; tenże, *Likwidacja więzień niemieckich w Łodzi w styczniu 1945 r.*, w: *Rok 1945 w Łodzi. Studia i szkice*, red. J. Żelazko, Łódź 2008, s. 53–54; K. Jadczyk, *Sylwetki oprawców więzienia na Radogoszczu w świetle relacji naocznych świadków*, „Acta Universitatis Lodziensis. Folia Historica” 2019, nr 103, s. 133–134. ² M. Nowacka, *Radogoszcz*, Łódź 1948, s. 12; S. Lewicki, *Radogoszcz*, Warszawa 1971, s. 10–11; A. Galiński, *Zbrodnica likwidacja więzień w Radogoszczu 17–18 I 1945*, „Biuletyn Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Łodzi Instytutu Pamięci Narodowej”, Łódź 1989, s. 64; *Martyrologium Łódzkie. Przewodnik po Radogoszczu i Miejscach Pamięci Narodowej*, Łódź 2005, s. 3–4; K. Jadczyk, *Sylwetki...*, s. 134.

³ A. Galiński, *Więzienia hitlerowskie w rejencji łódzkiej i inowrocławskiej (stan i perspektywy badań, problemy badawcze)*, w: *Więzienia hitlerowskie w Polsce (materiały z sesji naukowej)*, Łódź 1987, s. 16–17; *Martyrologium Łódzkie...*, s. 4; K. Jadczyk, *Sylwetki...*, s. 135. ⁴ Informacje podane na podstawie analizy następujących dokumentów: Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej. Okręgowa Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, Akta główne Okręgowej Komisji Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu Instytutu Pamięci Narodowej w Łodzi w sprawie: zbrodni popełnionych w l. 1939–1945 przez hitlerowców w więzieniu policyjnym na Radogoszczu w Łodzi, sygn. Ds. 67/67, teczki (tomy): I-XXXI; Muzeum Tradycji Niepodległościowych w Łodzi, Wykaz więźniów Radogoszcza podanych kąpieli i odswżeniu, sygn. MTN-Ł/A-4565; por. *Martyrologium Łódzkie...*,

s. 4. ⁵ Analiza dokumentów: AIPN, OKŚZpNP, sygn. Ds. 67/67, teczki (tomy): I-XXXI; A. Galiński, *Zbrodnica likwidacja...*, s. 64–65; K. Jadczyk, *Sylwetki...*, s. 135–136. ⁶ MTN-Ł, Wykaz więźniów..., sygn. MTN-Ł/A-4565; W. Źródłak, *Lista obywateli Związku Radzieckiego [Rosji] w więzieniu w Łodzi na Radogoszczu od 15 kwietnia 1944 r. do 11 stycznia 1945 roku*, „Biuletyn Okręgowej Komisji Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Łodzi Instytutu Pamięci Narodowej”, 1994, t. III, s. 142–154; A. Galiński, *Zbrodnica likwidacja...*, s. 65; K. Jadczyk, *Sylwetki...*, s. 136. ⁷ A. Galiński, *Zbrodnica likwidacja...*, s. 65. ⁸ Tenże, *Likwidacja więzień niemieckich...*, s. 64. ⁹ AIPN, OKŚZpNP, sygn. Ds. 67/67, t. XI, Protokół przesłuchania świadka Franciszka Żarebskiego z 7 stycznia 1977 r., k. 2025. ¹⁰ AIPN, OKŚZpNP, sygn. Ds. 67/67, t. VII, Protokół przesłuchania świadka Franciszka Brzozowskiego z 21 stycznia 1976 r., k. 1394. ¹¹ Protokół przesłuchania świadka Feliksa Błotnickiego z 22 maja 1947 r., w: M. Nowacka, *Radogoszcz*, Łódź 1948, s. 104. ¹² AIPN, OKŚZpNP, sygn. Ds. 67/67, t. XV, Protokół przesłuchania świadka Rafała Żareckiego z 6 II 1979 r., k. 2944 2945. ¹³ AIPN, OKŚZpNP, sygn. Ds. 67/67, t. XI, Protokół przesłuchania świadka Franciszka Żarebskiego z 7 I 1977 r., k. 025 2026. ¹⁴ AIPN, OKŚZpNP, sygn. Ds. 67/67, t. II, Zeznanie Stefana Fenglera z 21 I 1946 r., k. 260. ¹⁵ AIPN, OKŚZpNP, sygn. Ds. 67/67, t. VII, Protokół przesłuchania świadka Franciszka Brzozowskiego z 21 I 1976 r., k. 1395. ¹⁶ AIPN, OKŚZpNP, sygn. Ds. 67/67, t. VI, Protokół przesłuchania świadka Franciszka Juszcaka z 27 V 1975 r., k. 1162. ¹⁷ AIPN, OKŚZpNP, sygn. Ds. 67/67, t. II, Zeznanie Stefana Fenglera z 21 I 1946 r., k. 261. ¹⁸ AIPN, OKŚZpNP, sygn. Ds. 67/67, t. VII, Protokół przesłuchania świadka Konrada Stanisława Salamona z 29 X 1975 r., k. 1219. ¹⁹ AIPN, OKŚZpNP, sygn. Ds. 67/67, t. VII, Protokół przesłuchania świadka Konrada Stanisława Salamona z 29 X 1975 r., k. 1219–1220. ²⁰ M. Nowacka, *Radogoszcz...*, s. 103–117. ²¹ AIPN, OKŚZpNP, sygn. Ds. 67/67, t. II, Protokół przesłuchania świadka Tadeusza Dyły z 12 XI 1971 r., k. 611; por. Protokół przesłuchania świadka Rafała Żareckiego z 12 VI 1947 r., w: M. Nowacka, *Radogoszcz...*, s. 116–117. ²² AIPN, OKŚZpNP, sygn. Ds. 67/67, t. II, Protokół przesłuchania świadka Stefana Fenglera z 21 I 1946 r., k. 260–262. ²³ AIPN, OKŚZpNP, sygn. Ds. 67/67, t. XI, Protokół przesłuchania świadka Franciszka Żarebskiego z 7 I 1977 r., k. 2026. ²⁴ *Martyrologium Łódzkie...*, s. 6. ²⁵ AIPN, sygn. Ld 498-28, Akta Prokuratora Sądu Okręgowego w Łodzi w sprawie Waltera Pelzhausena, t. I–V; IPN, OKŚZpNP, Akta główne Okręgowej Komisji..., sygn. Ds. 67/67, t. I-XXXI.

IPN BU 01236/1251/D

Mikrofilm nr []

Identyfikator PFSEL []

T A J N E
SPEC. ZNACZ.

ANKIETA PERSONALNA

1. FIELDORF - SOANICKI
nazwisko

2. AUGUST-WALENTY-EMIL
imię

3. ANDRZEJ
imię ojca

4. AGNIESZKA
imię matki

5. SZWANDE
nazwisko rodowej matki

6. 20.03.95
data urodzenia

7. KRAKÓW
miejsce urodzenia

8. w okresie okupacji szef w Kedywie "Kow. Główna" AK
zabawienie sprawy
wyrokem Sądu Woj. dla m. st. w w-wy z dn. 16. VI 1952. skazany na karę śmierci

9. średnie
kształcenie - kryterium

10. średnie
wyszkolenie

11.
awans

12.

Fot. Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej

Opis osoby więźnia:
(odpowiednio cechy należy podkreślić)

1. Wiek 55 lat 176

2. Postać (wzrost, wytrzymałość, przężność, krępa, silna, tęża)

3. Włosy (kolor, rzadkie, miękkie, twarde, wijące się, szorstkie, ciemne, ciemno-blond, jasno-blond, rude, siwe, łop, szorstki na czubku, przedziałem, do górki, gładki).

4. Zęby (zrosty, rzadki, wijący się, ciemny, czarny, rudzi, siwiejący, słaby).

5. Broda (w lin. dzieląca się, okrągła, mała, średnia, długa, białobrody).

6. Twarz (młoda, zdrowa, czerwona, opalona, podłata, owalna, szersza, okrągła).

7. Cecha (wysokie, szerokie, słabe, niskie, średnie, wypukłe).

8. Oczy (niebieskie, szare, zielone, ciemne, szare, ciemne, ciemne, szare, niebieskie, duże, głęboko osadzone, normalne, wypukłe).

9. Brwi (gęste, rzadkie, ciemne, jasne, ciemno-blond, jasno-blond, siwiejące, lukożwir, zrosnięte).

10. Nos (mały, duży, gruby, wąski, szeroki, prosty, wklęsły, różny, szary, kłódkowaty, koczogowaty, ciły).

11. Uszy (małe, średnie, duże, odstające, normalne, przekłose).

12. Usta (małe, średnie, duże, szerokie, wąskie, grube, wysunięte, szczere, wąskie, dolna wysunięta).

13. Żyłki (zdrutowe, zępane, brak / / wązkie różno, kręwo nasadzone, duże, małe, bezżyłki).

14. Broda (wąska, szeroka, podkojona, dołek w brodzie).

15. Ręce (małe, duże, średnie, z krótkimi palcami, dłoń szeroka, wąska, brodzuski).

16. Nogi (małe, duże, średnie, płaskie, wysokie na podbicie, ościaki).

17. Postawa i chód (prosty, pochły, normalny, garbisty).

18. Wymowa (jaka, splemi, mowa piętrogram, normalna, glos oski, wysoki).

19. Język (język polskim, rosyjskim, francuskim, niemieckim, angielskim).

20. Tatuowanie (podać dokładne oznaki i miejsce tatuowania ze wskazaniem formy i treści tatuowania).

21. Znamienna szczególne (brodzuski, blizny, plamy, kalectwa, okulery, protezy, nogi w formie X lub O itp.).

22. Wykształcenie (szkole, średnie, wyższe, alfabet, umiarkowanie, samo czytanie i pisanie).

23. Własnoręczny podpis więźnia. Fieldorf

Miejsce w fotografii lub odbił kłódkę pasowej szki

Zmiany w czasie odbywania kary:

1) przerwy w odbywaniu kary:

2) warunkowe zwolnienie:

3) amnestia z dn.

4) ulaskawienie z dn.

5) przebieg na wolności po sędziactwie:

6)

7)

8)

9)

10)

11)

12)

13)

14)

15)

16)

17)

18)

19)

20)

21)

22)

23)

24)

25)

26)

27)

28)

29)

30)

31)

32)

33)

34)

35)

36)

37)

38)

39)

40)

41)

42)

43)

44)

45)

46)

47)

48)

49)

50)

51)

52)

53)

54)

55)

56)

57)

58)

59)

60)

61)

62)

63)

64)

65)

66)

67)

68)

69)

70)

71)

72)

73)

74)

75)

76)

77)

78)

79)

80)

81)

82)

83)

84)

85)

86)

87)

88)

89)

90)

91)

92)

93)

94)

95)

96)

97)

98)

99)

100)

**AUGUST EMIL
FIELDORF**

walczył w I wojnie światowej,
wojnie polsko-ukraińskiej,
polsko-bolszewickiej, II wojnie
światowej, był jednym z najbar-
dziej doświadczonych
oficerów Armii Krajowej.

Fot. Domena publiczna

Historia Armii Krajowej – największej wojskowej organizacji podziemnej w okupowanej Europie – pełna jest dramatów. Jeden z najtragiczniejszych dotknął oficera Komendy Głównej AK.

Stał prosto, o łaskę nie prosił

PAWEŁ SZTAMA

W największej konspiracyjnej armii świata Związku Walki Zbrojnej/Armii Krajowa walczyli żołnierze, którzy siali postrach w szeregach niemieckiego okupanta. W Warszawie dowodził nimi August Emil Fieldorf – człowiek do zadań specjalnych Komendy Głównej ZWZ/AK.

Urodzony 20 marca 1895 r. w Krakowie August Emil Fieldorf prawie 20 lat życia spędził w małopolskiej stolicy. Tam się wychował i uczęszczał do kilku szkół powszechnych. Częste zmiany miejsca edukacji wynikały z ogromnej witalności i żywiołowości młodego Emila. Wspominając pierwszy okres życia męża, Janina Fieldorf pisała: „zdarzały się nieraz poważne bójkę pomiędzy chłopcami zwłaszcza przy kopaniu piłki-szmacianki, i chłopcy wracali do domu w takim stanie, że zirytowana matka zmuszona była uciekać się do interwencji ojca, który nie żałował pasa”¹.

Miejscem, w którym przyszły polski oficer znalazł możliwość ujścia patriotycznych emocji, był dom sąsiadów, znanych krakowskich społeczników – Kazimierzy i Odonu Bujwidów. To tam po raz pierwszy słuchał wykładów prowadzonych przez członków Organizacji Bojowej Polskiej Partii Socjalistycznej, a także poznawał literaturę historyczną. Za sprawą tej edukacji wstąpił najpierw do Organizacji Ćwiczebnej Uczniów Szkół Średnich. Jednak już w 1912 r. został członkiem krakowskiego Strzelca, w którego szeregach ukończył szkołę podoficerską.

Legionista

Kiedy w 1914 r. wybuchła I wojna światowa, Fieldorf zgłosił się do oddziałów polskich, organizowanych na krakowskich Oleandrach przez Józefa Piłsudskiego. Janina Fieldorf wspominała po latach, że nikt z jego najbliż-

szych – ani ojciec, ani matka – nie wierzył, że ten młody, wręcz mizerny krakus będzie w stanie wytrzymać trud żołnierskiego życia. Niemniej nie próbowali go powstrzymać.

August Fieldorf, wyruszając na front jako dziewiętnastolatek, zapewne nie przypuszczał, że broń złoży dopiero sześć lat później. W tym czasie uczestniczył w trzech dużych konfliktach zbrojnych: I wojnie światowej, wojnie polsko-ukraińskiej i wojnie polsko-bolszewickiej. W latach 1914–1918 przeszedł cały szlak bojowy I Brygady Legionów Polskich, a za męstwo w walkach z Rosjanami w 1916 r. pod wsią Hulewicze na Wołyniu – otrzymał już w II Rzeczypospolitej Order Virtuti Militari.

Po tzw. kryzysie przysięgowym z 1917 r. Fieldorf został wcielony do Cesarsko-Królewskiej Armii Austro-Węgierskiej. W II Brygadzie Strzelców Cesarskich walczył w Południowym Tyrolu aż do drugiej połowy 1918 r. Wówczas stamtąd zdezercerował i wrócił do rodzinnego Krakowa.

Żołnierz polskiego wojska

Tam działał początkowo w Polskiej Organizacji Wojskowej, a do jego zadań należało między innymi rozbrajanie żołnierzy austriackich szwędających się jeszcze wówczas po Krakowie. Jednak po kilku tygodniach, jesienią 1918 r., zgłosił się do koszar przy ulicy Rajskiej, gdzie gen. Bolesław Roja odtwarzał polskie pułki piechoty: 4 i 5. Fieldorfa wcielono do tego ostatniego, w jego składzie bił się z Ukraińcami o Przemyśl i Lwów.

W marcu 1919 r. przeniesiono go do 1 Pułku Piechoty Legionów. W tym oddziale walczył w najważniejszych bitwach i kampaniach wojny polsko-bolszewickiej. W kwietniu 1919 r. bił się o Wilno, a na przełomie 1919 i 1920 r. brał udział w oblężeniu Dyneburga. W 1920 r. ▶



I Brygada Legionów. Grupa legionistów w okopach. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

walczył pod Warszawą i nad Niemnem. Za czyny bojowe tamtej wojny odznaczono go czterokrotnie Krzyżem Walecznych.

Już wówczas zdecydował, że dorosłe życie zwiąże z wojskiem. Jeśli zaś chodzi o sferę osobistą, poślubił aktorkę wileńskiego teatru „Lutnia” Janinę Kobyliańską. Z tego związku zrodziły się dwie córki: Krystyna i Maria.

W okresie II RP Fieldorf piął się stopniowo po szczeblach wojskowej kariery. W 1932 r. awansowano go do stopnia podpułkownika. Nie miał predyspozycji, aby zostać dowódcą liniowym dużych jednostek taktycznych i operacyjnych, niemniej doskonale sprawdzał się na stanowiskach kwatermistrzowskich, organizacyjnych i szkoleniowych. Wykazywał także niemałe talenty pedagogiczne i wychowawcze, co okazało się dość ważne w późniejszym okresie jego życia. Był wówczas wielokrotnie odznaczany. Na jego piersi zawisł między innymi Order Odrodzenia Polski.

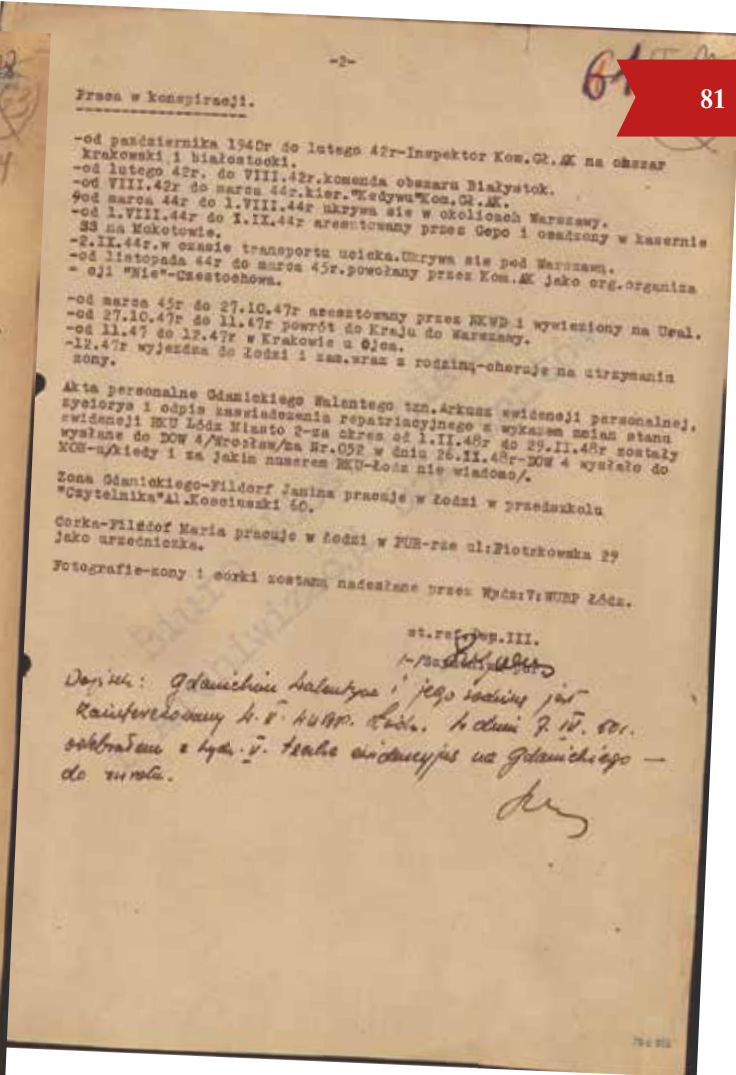
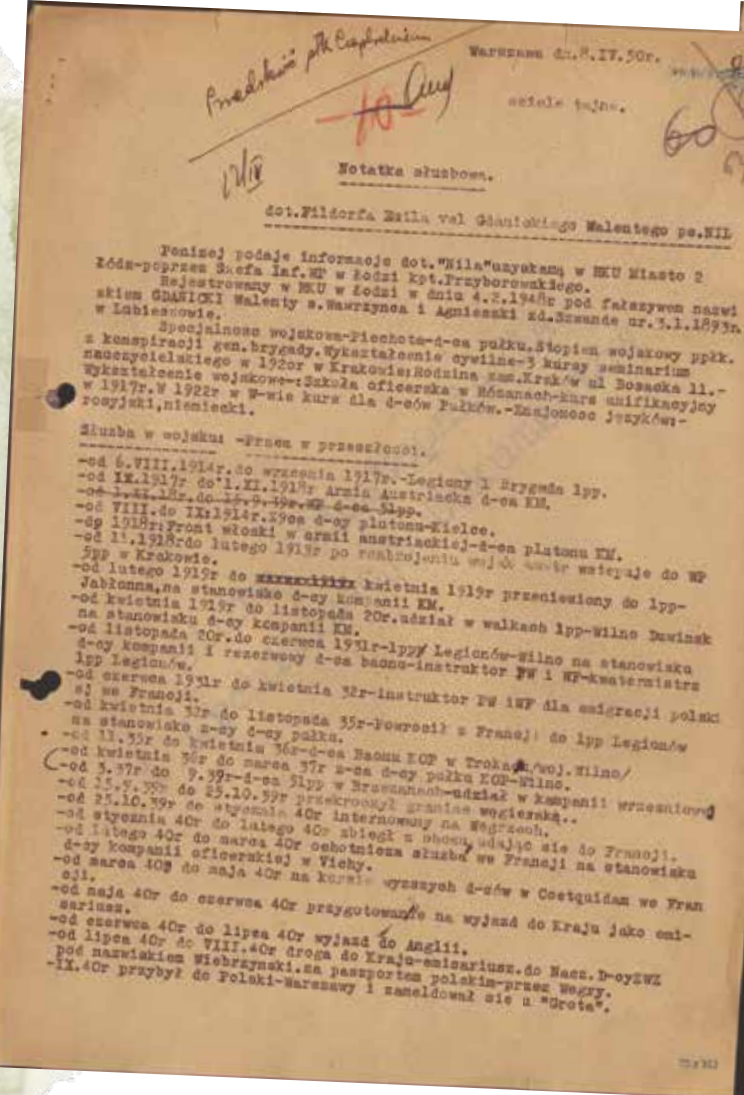
W II RP Emil służył w 1 Pułku Piechoty Legionów, był oficerem Korpusu Ochrony Pogranicza. W kilku jednostkach sprawował pieczę nad wychowaniem fizycznym i przysposobieniem wojskowym, a także został komendantem tzw. Zachodniego Okręgu Związku Strzeleckiego. Tam też zyskał opinię znakomitego organizatora i opiekuna młodzieży.

Początek II wojny światowej

W 1938 r. minister spraw wojskowych przeniósł Fieldorfa do Brzeżan, gdzie powierzono mu dowództwo 51 Pułku Piechoty Strzelców Kresowych im. Giuseppe Garibaldi. Na czele tej jednostki podpułkownik walczył w kampanii polskiej 1939 r. Jego pułk został jednak rozbitý już 9 września w bitwie pod Iłżą. Fieldorf posłusznie wykonał rozkaz dowódcy 12 Dywizji Piechoty i rozwiązał swój oddział. Żołnierzom nakazał przedrzeć się na wschodni brzeg Wisły, gdzie miała zostać zorganizowana obrona. Sam, chcąc kontynuować walkę, postanowił wyjechać do Lwowa. Miasto było już jednak zajęte przez siły okupacyjne, więc wrócił do rodzinnego Krakowa. Tam dowiedział się, że Naczelný Wódz Wojska Polskiego i premier Rządu RP na uchodźstwie gen. Władysław Sikorski organizował we Francji polską armię. Fieldorf nie wahał się zbyt długo i w połowie października 1939 r. przez Słowację i Węgry wyruszył na Zachód. W Paryżu zameldował się dopiero 10 lutego 1940 r., ponieważ Węgrzy internowali go na kilka miesięcy.

Konspirator

Na emigracji Fieldorf nie wytrwał zbyt długo. Rozwijający się pod okupacją niemiecką i sowiecką Związek Walki Zbrojnej potrzebował odpowiednio doświadczono-



Fot. Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej

nych i wykwalifikowanych oficerów, którzy mieli objąć stanowiska kierownicze w organizacji. Od maja 1940 r. pułkownik chciał zaangażować się w walkę konspiracyjną w kraju i odrzucił zaproponowane mu stanowisko dowódcy, stworzonego na Zachodzie 10 Pułku Piechoty. W ten oto sposób stał się emisariuszem Naczelnego Wodza. Do Polski wyruszył z Londynu w połowie lipca 1940 r. Jego droga do okupowanej ojczyzny trwała kilkadziesiąt dni. Między innymi leciał samolotem nad rzeką Nil, stąd też wziął się jego późniejszy pseudonim. W Warszawie zameldował się w połowie września.

Dość szybko komendant główny ZWZ gen. Stefan Rowecki „Grot” zdecydował się wykorzystać jego umiejętności i doświadczenie. W latach 1940–1942 Fieldorf piastował kilka kierowniczych funkcji w strukturach ZWZ/AK. Był między innymi inspektorem Krakowsko-Śląskiego Obszaru ZWZ oraz komendantem Obszaru 2 Białostockiego ZWZ/AK. Przed władzami okupacyjnymi występował zaś jako zwykły kolejarz Walenty Gdanicki.

Na czele Kedywu Komendy Głównej

Po odwołaniu z tego ostatniego stanowiska Fieldorf przez pewien czas pozostawał bez przydziału służbowego. Jednak w sierpniu 1942 r. Rowecki rzucił pułkownika na nowy odcinek pracy konspiracyjnej. Zadaniem Fieldorfa

było zorganizowanie specjalnej komórki, która w sposób uporządkowany miała odpowiadać za akcje dywersyjno-sabotażowe wymierzone w niemieckiego okupanta.

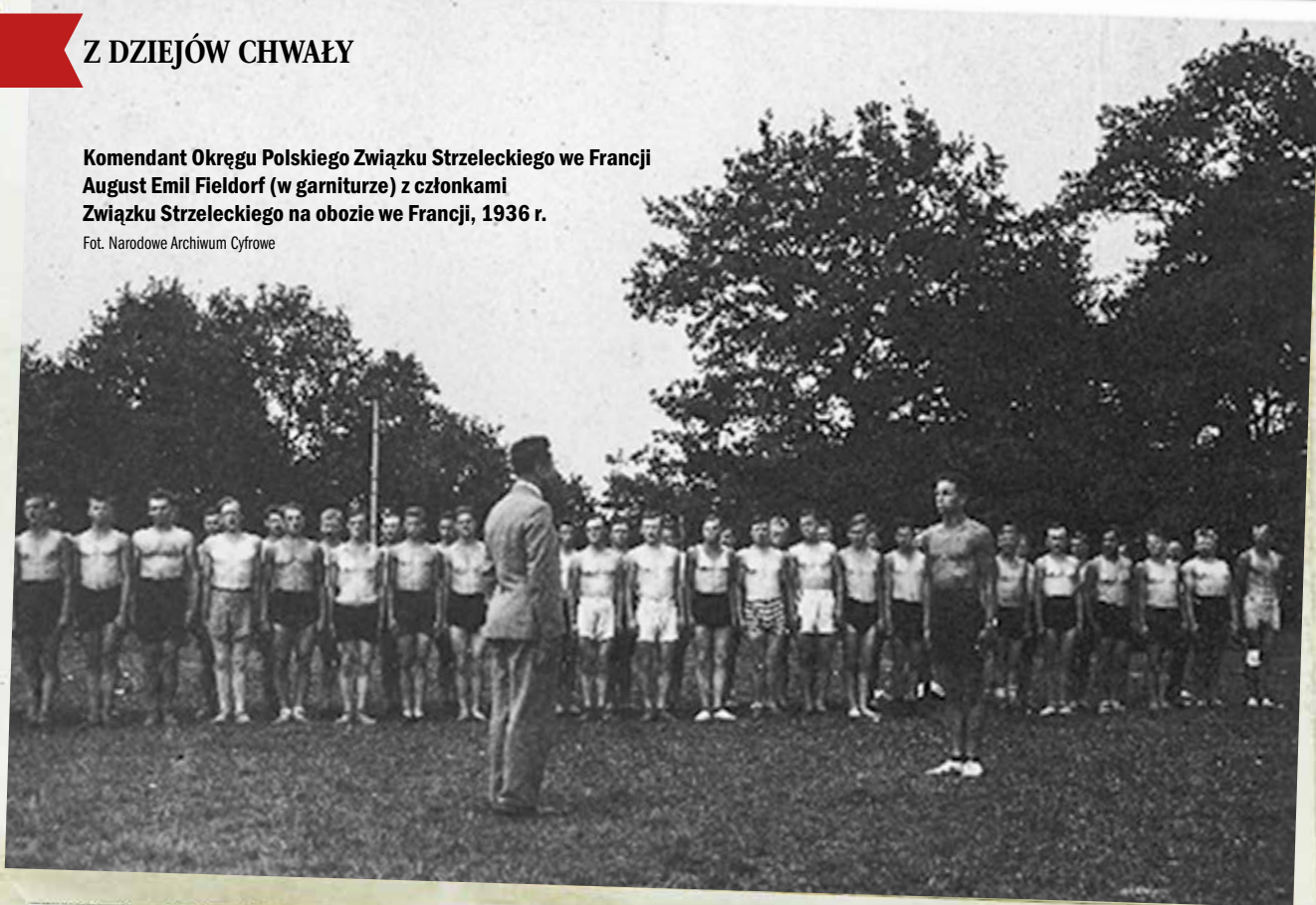
Pomysł utworzenia takiej struktury dojrzał w Komendzie Głównej AK od dłuższego czasu. Jednak wybuch wojny niemiecko-sowieckiej zrodził nowe możliwości. Pracy na wschód Wehrmacht odsonił dość mocno swoje tyły i rozciągnął linie zaopatrzeniowe. Rowecki i jego najbliżsi współpracownicy postanowili to wykorzystać i zdecydowali się uderzyć w ten czuły punkt niemieckiego okupanta.

W związku z nowym zadaniem Fieldorf odbył rozmowę z komendantem głównym i szefem sztabu AK płk. Tadeuszem Pełczyńskim „Grzegorzem”. Oficerowie nakreślili koncepcję nowej komórki dywersyjnej i jej bezpośrednie zadania. Wymyślili także nazwę tej organizacji – Kierownictwo Dywersji Komendy Głównej AK, w skrócie Kedyw, krypt. „Dywan”. Ponadto „Grot” podjął decyzję, że komendantem tej struktury zostanie właśnie Fieldorf, który przyjął wówczas pseudonim „Nil”.

Zgodnie z zaleceniami najwyższych władz wojskowych w kraju Kedyw odpowiadał za walkę czynną z niemieckim okupantem. Jego zadaniem nie było jednak wyłącznie prowadzenie bieżącej działalności zbrojnej. Kierownictwo AK uznało bowiem, że skuteczność Kedywu zależy od odpowiednio wyszkolonych i wyposażo-

**Komendant Okręgu Polskiego Związku Strzeleckiego we Francji
August Emil Fieldorf (w garniturze) z członkami
Związku Strzeleckiego na obozie we Francji, 1936 r.**

Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe



nych w broń żołnierzy. Na barki Fieldorfa spadło zatem przygotowanie samowystarczalnej struktury, która odpowiadać miała nie tylko za walkę bieżącą, ale w perspektywie bliżej nieokreślonego czasu mogłaby podjąć działania w ramach planowanego powszechnego powstania. Było to zatem zadanie, które wymagało sporych umiejętności organizacyjnych. W tej sytuacji „Nil” był właściwym człowiekiem na właściwym miejscu.

Co więcej, uznano, że szkieletem nowej komórki będą działające do tej pory pod rozkazami AK jednostki dywersyjne: Związek Odwetu, Organizacja Specjalnych Akcji Bojowych „Osa” oraz organizacja dywersyjna „Wachlarz”, w których było wielu młodych żołnierzy. Szybko okazało się, że pułkownik znalazł z nimi wspólny język.

W kolejnych dniach doszło do ponownego spotkania Fieldorfa, Pełczyńskiego i Roweckiego. Dołączył do nich także ppłk Franciszek Niepokólczycki „Teodor”, dotychczasowy szef Związku Odwetu, który właśnie wtedy został mianowany zastępcą „Nila”. Tym samym obaj oficerowie rozpoczęli trwającą blisko rok owocną współpracę.

Fieldorf i Niepokólczycki bardzo szybko zabrali się do działania. W pierwszej kolejności odbyli wiele spotkań, między innymi z odpowiadającym za budżet Komendy Głównej AK ppłk. Stanisławem Thunem. Ponadto Fieldorf powołał szefa sztabu Kedywu, którym najpierw został kpt. Jan Wojciech Kiwerski „Oliwa”, a później mjr Wacław Janaszek „Bolek”. Następnie nakreślili projekt organizacyjną Kedywu. Zakładał on utworzenie kilku oddziałów,

w tym: Organizacyjnego, Wywiadowczego, Operacyjnego, Szkoleniowego i Łączności. Wywiad jako oddział powstał na przełomie 1943 i 1944 r., niemniej od pierwszych miesięcy 1943 r. działała w Kedywie komórka wywiadowcza. Zdecydowano się także na utworzenie tzw. Biura Studiów, którego zadaniem było opracowywanie różnych metod i środków walki, na przykład tworzenie instrukcji o przygotowaniu i użyciu różnych środków trujących, a także Działu Produkcji, który odpowiadał za wytwarzanie materiałów do akcji sabotażowych: bomb, karabinów, miotaczy ognia, min, pistoletów. Ponadto powołano do życia komórkę sanitarną Kedywu, gdyż jak mawiał Fieldorf: „na zdrowiu i żołądkach żołnierzy nie wolno oszczędzać”².

Dodatkowo w skład Kedywu weszły tzw. Oddziały Dyspozycyjne, do których należały zadania militarne stawiane przed nimi przez dowództwo AK. Do najbardziej znanych należały: „Broda 30”, „Miotła” i „Parasol”. Poszczególne Oddziały Dyspozycyjne dość często zmieniały nazwę. W artykule dla ułatwienia przytoczone są ostatnie nazwy używane przez te oddziały.

W ciągu kilku kolejnych miesięcy do Kedywu Komendy Głównej AK dołączyli również harcerze z Grup Szturmowych Szarych Szeregów oraz żołnierze mjr. Jana Mazurkiewicza „Radostawa”, zgrupowani w Tajnej Organizacji Wojskowej. Mazurkiewicz został drugim, obok Niepokólczyckiego, zastępcą „Nila”. Fieldorf utworzył także przy Kedywie Szkołę Podchorążych Rezerwy Piechoty o kryptonimie „Agricola”.

Koncepcja nowej jednostki sabotażowo-dywerysyjnej została przez Stefana Roweckiego „Grotę” zaakceptowana i rozesłana do wszystkich okręgów AK. Ich dowódcy mieli się z nią zapoznać, a następnie zorganizować, na wzór Kedywu Komendy Głównej, tzw. Kedywu terenowe.

Wszystkie Kedywy zostały oficjalnie powołane do życia rozkazem Roweckiego z 22 stycznia 1943 r. zatytułowanym *Uporządkowanie odcinka walki czynnej*.

Fieldorf z jednego z wielu oficerów KG AK stał się wówczas jednym z najważniejszych oficerów tej armii. Jako szef Kedywu został włączony do specjalnego gremium dowódczego polskiej konspiracji, którym było Kierownictwo Walki Konspiracyjnej, a także powołanego od lipca 1943 r. Kierownictwa Walki Podziemnej. Pułkownik nie był bezpośrednim szefem wszystkich istniejących wówczas Kedywów. Operacyjnie dowodził tylko Kedywem Komendy Głównej. Dowódcy Kedywów terenowych podlegali bezpośrednio komendantom okręgów AK, a ci Komendzie Głównej. Niemniej do zadań Fieldorfa należało omawianie i konsultowanie działań jednostek dywersyjnych z poszczególnych obszarów okupowanej Polski.

Od początku 1943 r. do lutego 1944 r. żołnierze „Nila” przeprowadzili setki akcji dywersyjnych i sabotażowych, dzięki którym zarówno oni, jak i ich dowódca przeszli do polskiej historii. Na przykład w marcu 1943 r. odbili z rąk niemieckich Jana Bytnara „Rudego”. W kwietniu tego samego roku zdobyli kilkaset kilogramów wędlin z niemieckich magazynów firmy Towarzystwa Przemysłowo-Handlowego „Bacutil”. Miesiąc później podczas akcji „Celestynów” odbili z transportu kolejowego setki więźniów, którzy mieli zostać wywiezieni do KL Auschwitz. W czerwcu 1943 r. wykoleili pociąg wiozący niemieckich żołnierzy na front. W sierpniu tego samego roku w spektakularnej akcji „Góral” żołnierze Fieldorfa zdobyli ponad 100 mln zł, ulokowanych w Banku Emisyjnym przy ulicy Bielańskiej w Warszawie. Ponadto opanowali niemieckie zakłady chemiczne, w których przechwycili beczki z potasem i żelazem – metalami niezbędnymi do produkcji materiałów wybuchowych.

Najbardziej efektowne akcje dotyczyły jednak likwidacji niemieckich zbrodniarzy wojennych. Wśród nich byli kaci z niemieckiego więzienia na Pawiaku w Warszawie, jak choćby okryty złą sławą Franz Bürkl. Ponadto 1 lutego 1944 r. żołnierze AK wykonali wyrok śmierci na szefie SS i Policji Franzu Kutscherze. To ostatnie wydarzenie było tak spektakularne, że wstrząsnęło generalnym gubernatorem okupowanych ziem polskich Hansem Frankiem.

Niepodległość kryptonim „Nie”

Akcja na Kutscherę była ostatnią dużą operacją, którą Fieldorf nadzorował. W nocy z 3 na 4 stycznia 1944 r. oddziały Armii Czerwonej wkroczyły na przedwojenne terytorium Polski. Komenda Główna AK zdawała sobie sprawę, że Polsce może grozić kolejna – tym razem so-



Powitanie przez dowódcę 51 Pułku Piechoty Augusta Emila Fieldorfa biskupa pomocniczego lwowskiego Eugeniusza Baziaka, Brzeziny 1938 r.

Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

wiecia – okupacja. Kierownictwo AK postanowiło działać. W pewnym kręgu powstała koncepcja utworzenia organizacji, która miała zastąpić AK w momencie, gdy polskie terytorium zajmą siły zbrojne Związku Sowieckiego.

Wedle wspomnień przyjaciela Fieldorfa, ppłk. Ludwika Muzyczki, pomysł utworzenia następczyni AK zrodził się podczas rozmów Fieldorfa, Muzyczki i ówczesnego dowódcy AK gen. Tadeusza Komorowskiego „Bora”. Muzyczka miał zaproponować „Borowi” utworzenie takiej organizacji. Pomysł ten dość szybko zyskał akceptację komendanta głównego. Wymyślono nawet nazwę nowej organizacji: Niepodległość, kryptonim „Nie” i wyznaczono osobę, która miała zająć się jej strukturalnym przygotowaniem. Był to płk Fieldorf.

O powierzeniu mu tej bardzo ważnej operacji przesądziło zapewne kilka czynników. Przede wszystkim „Nil” był w tamtym czasie jednym z najlepszych i najbardziej doświadczonych oficerów całego Polskiego Państwa Podziemnego. Ponadto doskonale sprawdził się przy tworzeniu i dowodzeniu Kedywem Komendy Głównej AK. Podejściem do służby i zachowaniem wyrobił sobie niemalże autorytet u podwładnych. Gdy późną zimą 1944 r. pułkownik został odwołany z Kedywu, wielu jego bli- skich współpracowników żałowało tej decyzji, gdyż sto- ▶



Uroczystość poświęcenia Domu Polskiego w Paryżu.
August Emil Fieldorf wśród siedzących szósty od lewej, 1932 r. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

sunki Fieldorfa z żołnierzami układały się znakomicie. Wspominał o tym naczelnik Szarych Szeregów Stanisław Broniewski. Napisał on, że „Nil” przekazywał swoich żołnierzy nowemu, z Mazurkiewiczem na czele, kierownictwu Kedywu: jak „swoich [tak w tekście] dzieci, jak swoich synów”³.

Rozpoczynając pracę nad „Nie”, Fieldorf wiedział, że nowa organizacja musi różnić się od AK kilkoma istotnymi elementami. Przewidywał on bowiem, że okupacja sowiecka będzie zdecydowanie trudniejsza od niemieckiej. Według „Nila” i jego najbliższych współpracowników Niepodległość miała być elitarna, a jej działalność długofalowa. Planowano ponadto mocno ją zakonspirować i ograniczyć możliwość dekonspiracji. Zakładano wycofanie przewidzianych do „Nie” żołnierzy z bieżącej walki. Od AK miała ją także różnić struktura. Dodatkowo zamyślano, że organizacja będzie łączyć w sobie czynniki wojskowe i cywilne.

Aby to zrealizować, podjęto w kierownictwie decyzję, że najbliższymi współpracownikami pułkownika zostaną wysocy rangą i równie doświadczeni w konspiracji oficerowie. Wśród nich był wspomniany Muzyczka, który objął funkcję szefa sztabu „Nie”, oraz płk Kazimierz Bąbiński „Luboń”, który został zastępcą pułkownika. Wszyscy oni byli patriotami, wyróżnionymi wysokimi odznaczeniami państwowymi, między innymi Orderami Virtuti Militari. Ponadto cechowały ich nieprzeciętna inteligencja, odwaga, konsekwencja i stanowczość. Wszyscy też wywodzili się ze środowiska piśmudczyków i doskonale się znali, przez co mogli sobie ufać. Łączy-

ły ich także prywatne przyjaźnie, na przykład Fieldorf był ojcem chrzestnym syna Muzyczki.

W czasie prac nad „Nie” okazało się jednak, że założenia teoretycznych wcielić w życie nie było łatwo. Przede wszystkim brakowało odpowiednich ludzi, a sam Fieldorf musiał przeistoczyć się z kolejarza w furmana. Niemniej prace nad „Nie” powoli posuwały się naprzód. Na przykład w maju i czerwcu 1944 r. przyjechali do Warszawy dwaj oficerowie z Lwowa i Wilna, którzy mieli zająć się organizacją „Nie” na swoich terenach. Spotkali się z Fieldorfem i Muzyczką. Ci przekazali im wytyczne, odebrali przysięgę i rozkazali rozszerzyć siatkę organizacji.

Ze szczątkowych informacji wynika, że Niepodległość rozpoczęła działalność tylko na obszarze lwowskim. Wprawdzie próbowano konstruować organizację na Lubelszczyźnie, w Małopolsce, na Mazowszu, Śląsku i Wileńszczyźnie, jednak z różnych powodów związane siatki nie wykonały żadnego większego zadania.

Żmudne prace organizacyjne przerwał wybuch Powstania Warszawskiego. Kilka dni przed rozpoczęciem walk o Warszawę na rozkaz Komorowskiego „Bora” komendantem „Nie” został przybyły z Londynu gen. Leopold Okulicki „Niedźwiadek”, a Fieldorf został jego zastępcą. Nominacja ta wzbudziła niesmak wśród najbliższych współpracowników „Nila”. Głównym przeciwnikiem tej zmiany był Muzyczka. Niemniej Fieldorf karnie wykonał rozkaz swojego dowódcy. Obaj oficerowie umówili się na spotkanie w pierwszych dniach sierpnia 1944 r. „Nil” miał wówczas przekazać „Niedźwiadkowi”

wszystkie dokumenty związane z tworzoną organizacją. Do spotkania jednak nie doszło, 1 sierpnia bowiem rozpoczęło się Powstanie Warszawskie.

Walki w stolicy zupełnie załamały proces budowy „Nie”. Utracono kontakty, ludzi i dokumenty. Przerwana została także łączność pomiędzy centralą a terenem. Wielu oficerów oddelegowanych do „Nie” walczyło o Warszawę, co było złamaniem pierwotnej koncepcji nowej organizacji.

Fieldorf nie brał udziału w Powstaniu Warszawskim. Ale na temat tego planu miał swoje zdanie. Był w tej grupie oficerów, którzy uważali, że rozpoczęcie powstania nie miało wówczas sensu. Dał temu wyraz, wraz z Ludwikiem Muzyczką, w specjalnie przygotowanym wtedy memoriale.

Niemniej w trakcie walk przebywał wówczas w Warszawie, gdzie najpierw zachorował na czerwonkę. Potem został również zatrzymany przez Niemców i umieszczono go w koszarach SS przy ulicy Rakowieckiej. Na szczęście nie został rozpoznany i zbiegł z transportu więźniów. Ukrywał się w podwarszawskiej Podkowie Leśnej. Tam udało mu się uniknąć niemieckiej obławy.

Fieldorf 28 września 1944 r. został awansowany do stopnia generała brygady i otrzymał Złoty Krzyż Orderu Virtuti Militari. W uzasadnieniu napisano, że odznaczono go: „za całokształt pracy konspiracyjnej na

i zwalczały polskie oddziały konspiracyjne na zajętych przez siebie ziemiach. Najwyżsi przedstawiciele Polskiego Państwa Podziemnego nie mieli wówczas już żadnych wątpliwości, że ich ojczyznę czeka kolejna okupacja. Zdecydowano się zatem wznowić prace organizacyjne nad „Nie”. Przygotowano statut nowej organizacji i instrukcję, w której znalazły się wytyczne dotyczące bezpieczeństwa, członkostwa, działalności, struktury, wymiaru sprawiedliwości i innych elementów.

Fieldorf i Okulicki 16 stycznia 1945 r. spotkali się z przedstawicielami obozów politycznych zrzeszonych w podziemnym parlamencie, czyli Radzie Jedności Narodowej, oraz z Delegatem Rządu RP na Kraj Janem Stanisławem Jankowskim. Oficerowie przedstawili im założenia i ogólną koncepcję „Nie”. Podczas narady ustalono, że za organizację nowej struktury odpowiadać będą „Niedźwiadek” i „Nil”, z tym że Fieldorf miał na bieżąco informować polityków o postępach prac.

Okulicki 19 stycznia rozwiązał struktury AK i zameldował do Londynu, że zamierzał przejść do konspiracji w „Nie”. Decyzja „Niedźwiadka”, pomimo że bardzo trudna i przemyślana, wywołała spór w jego najbliższym otoczeniu. Fieldorf uważał, że krok ten był nierozważny i utrudniał skuteczne

„Skazany patrzył mi cały czas w oczy. Stał wyprostowany. Nikt go nie podtrzymał. [...] Postawę skazanego określiłbym jako godną. Sprawiał wrażenie bardzo twardego człowieka. Można było wprost podziwiać opanowanie w obliczu tak dramatycznych wydarzeń.”
 Fragment protokołu przesłuchania prokuratora Witolda Gatnera, obecnego przy egzekucji Augusta Emila Fieldorfa.
 Źródło: Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej

najbardziej eksponowanych kierowniczych stanowiskach i za wybitną postawę i gotowość podjęcia najcięższych zadań, którym zawsze podołał”⁴.

Po Powstaniu Warszawskim

Po upadku powstania Fieldorf wyjechał do Milanówka, a później do Częstochowy. Tam bowiem zgromadzili się przedstawiciele kierownictwa Polskiego Państwa Podziemnego, którzy nie poszli do niemieckiej niewoli, jak stało się z Komorowskim i Pełczyńskim. Wyznaczony na następcę „Bora” na stanowisku komendanta głównego AK Okulicki zaproponował Fieldorfowi objęcie funkcji szefa sztabu Komendy Głównej AK. Ten nie przyjął jednak propozycji. Wedle niektórych relacji „Nil” został na krótko szefem Oddziału III Komendy Głównej. Później ponownie zajął się organizowaniem Niepodległości.

Wynikało to z dość trudnej sytuacji, w której znalazła się AK pod koniec 1944 r. Przeciwno sobie polscy żołnierze i politycy mieli nie tylko Niemców, ale również Sowietów. Wojska wewnętrzne NKWD zaciekle tropiły

zakonspirowanie nowej organizacji. Obaj oficerowie nie potrafili też porozumieć się w innych sprawach. Generałowie różnili się co do momentu, w którym „Nie” miała się uaktywnić. „Niedźwiadek” twierdził, że Niepodległość powinna rozpocząć działalność od razu po przejściu frontu sowiecko-niemieckiego przez terytorium II RP, Fieldorf był natomiast temu zdecydowanie przeciwny i wyrażał przekonanie, że należało poczekać na stabilizację sytuacji. Ponadto do konfliktów pomiędzy nimi dochodził również spór kompetencyjny – obaj generałowie uważali się za dowódców „Nie”. Stanisław Jasiukowicz „Opolski” twierdził, że Fieldorf przedstawił się mu jako komendant „Nie” i jej organizator, Okulicki natomiast zaprzeczył temu, mówiąc, że to on stoi na czele struktury.

Więzień uralskich łągów

Spory te zapewne nie ułatwiały pracy. Budowa organizacji szła dość opornie i załamała się całkowicie w marcu 1945 r. Najpierw Sowietci aresztowali Fieldorfa,

a później Okulickiego i 15 przedstawicieli Polskiego Państwa Podziemnego. Generał „Nil”, jako Walenty Gdanicki, został zatrzymany przez oddział NKWD w Milanówku 7 marca 1945 r. Nierozpoznanego najpierw przewieziono go do aresztu w podwarszawskich Włochach, a później do obozu w Rembertowie. Tam spędził prawie trzy tygodnie. W niedzielę Palmową – 25 marca 1945 r. wśród kilkuset więźniów został wywieziony do uralskich łagrów.

Gdy „Nil” był więziony w Rembertowie, jego były zastępca Jan Mazurkiewicz „Radosław” podjął decyzję o uwolnieniu generała. Po przeprowadzonej obserwacji zdecydowano się na atak pod osłoną nocy. Z tych założeń nic jednak nie wyszło, gdyż konspiratorzy po prostu się spóźnili.

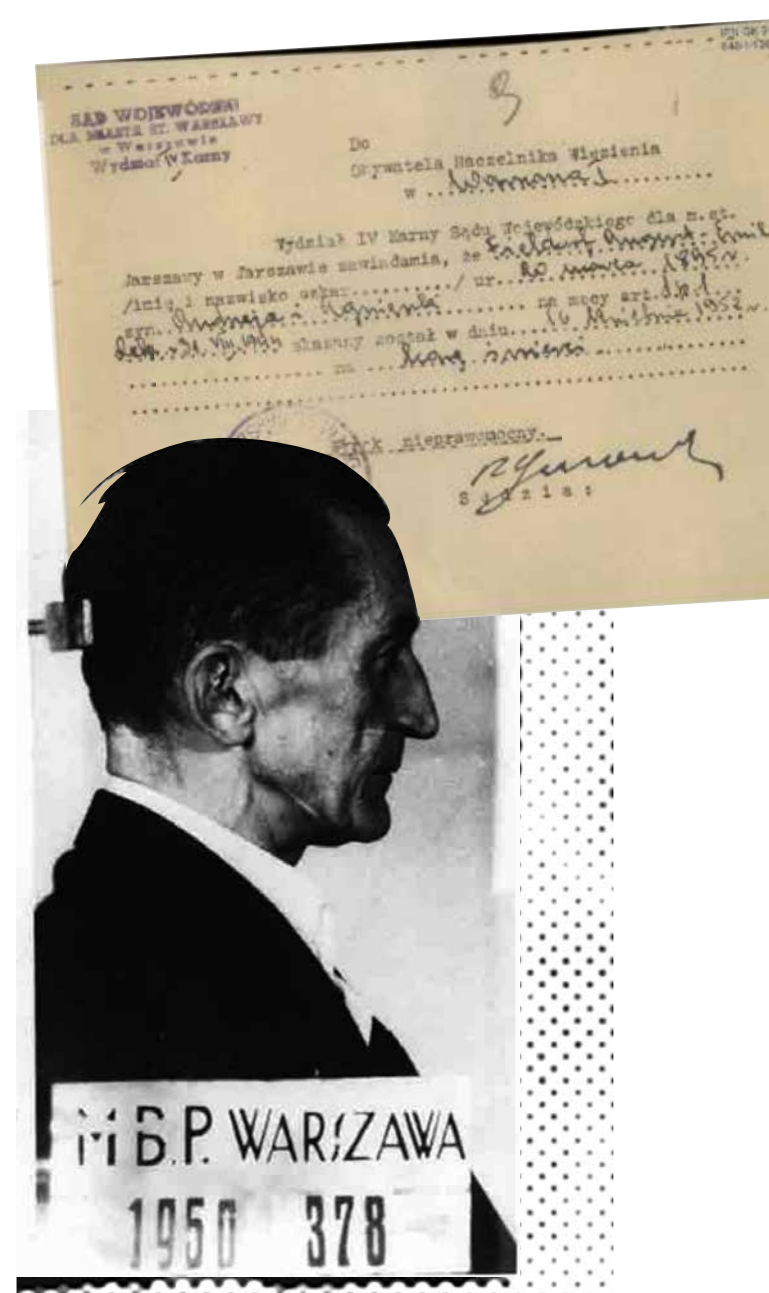
Wykonując katorżniczą pracę w sroгих warunkach pogodowych Uralu, Fieldorf spędził przeszło dwa i pół roku. Jego towarzysze niedoli wspominali, że nawet na moment nie zatracił człowieczeństwa. Młody członek konspiracji Tadeusz Bobrowski wspominał: „W tych warunkach człowiek stawał się nagi. Żadne otoczki nie kryły cech osobowościowych. Ujawniały się słabostki, podłośćki, a z równą wyrazistością, może nawet dominującą wszystkie dodatnie strony charakteru. Wyraźnie widziało się tych, którzy zasługiwali na miano człowieka. Takimi wspaniałymi pozostali w mojej pamięci Walenty Gdanicki, Jan Hoppe [działacz Stronnictwa Pracy] i im podobni”⁵. Podobnych opinii było więcej.

Ostatnie lata życia

Fieldorf wrócił do Polski w listopadzie 1947 r. Przez kilka dni przebywał w punkcie repatriacyjnym w Białej Podlaskiej, gdzie próbował wyleczyć zapalenie płuc. Później wyjechał do Warszawy. Tam udało mu się spotkać z Bąbińskim. Podczas rozmowy obaj oficerowie zastanawiali się nad kolejnymi krokami, które Fieldorf zamierzał podjąć. Generał zdawał sobie sprawę, że ujawnienie mogłoby zakończyć się aresztowaniem i wtrąceniem do ubeckiego więzienia. Bąbiński stwierdził natomiast, że najgorsze dla niego byłoby trwanie w ukryciu. Zaproponował więc „Nilowi”, aby ten spróbował zalegalizować swój pobyt w kraju.

Z Fieldorfem chciał się wówczas spotkać także Mazurkiewicz, pracujący w 1945 r. w Centralnej Komisji Likwidacyjnej AK. Były podwładny „Nila” chciał mu zaproponować pomoc w ujawnieniu przed władzami Polski Ludowej. Generał jednak odmówił, gdy dowiedział się, że po zakończeniu wojny „Radosław” wydał rozkaz, w którym nakazał ujawnienie się żołnierzom AK.

Po kilku tygodniach Fieldorf wyjechał do Krakowa, a później do Łodzi, gdzie mieszkały jego żona i córki. Wskutek trudnych warunków bytowych „Nil” zdecydował się ujawnić. Poprosił o emeryturę i zdecydował, że nie będzie mieszał się w żadną działalność antykomu-



Zdjęcie wykonane po osadzeniu Augusta Emila Fieldorfa w więzieniu. Fot. Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej

nistyczną. Liczył, że taka decyzja pozwoli mu przetrwać najtrudniejszy okres. Nie chciał także wyjeżdżać za granicę, choć namawiała go do tego żona. Jego nadzieje okazały się jednak płonne. Fieldorf już w grudniu 1947 r., znalazł się w zainteresowaniu Głównego Zarządu Informacji Ministerstwa Obrony Narodowej, a następnie Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Po blisko trzech latach rozpracowywania, w listopadzie 1950 r. „Nil” został aresztowany i osadzony w więzieniu mokotowskim przy ulicy Rakowieckiej w Warszawie. Początkowo był w zainteresowaniu Departamentu III MBP, a następnie Departamentu Śledczego bezpieki.

Śledztwo przeciwko niemu trwało przeszło pół roku. Został oskarżony z tzw. sierpniówki, czyli na mocy *Dekrety Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego z 31 sierpnia 1944 r. o wymiarze kary dla faszystow-*



Symboliczny nagrobek Augusta Emila Fieldorfa na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach w Warszawie.

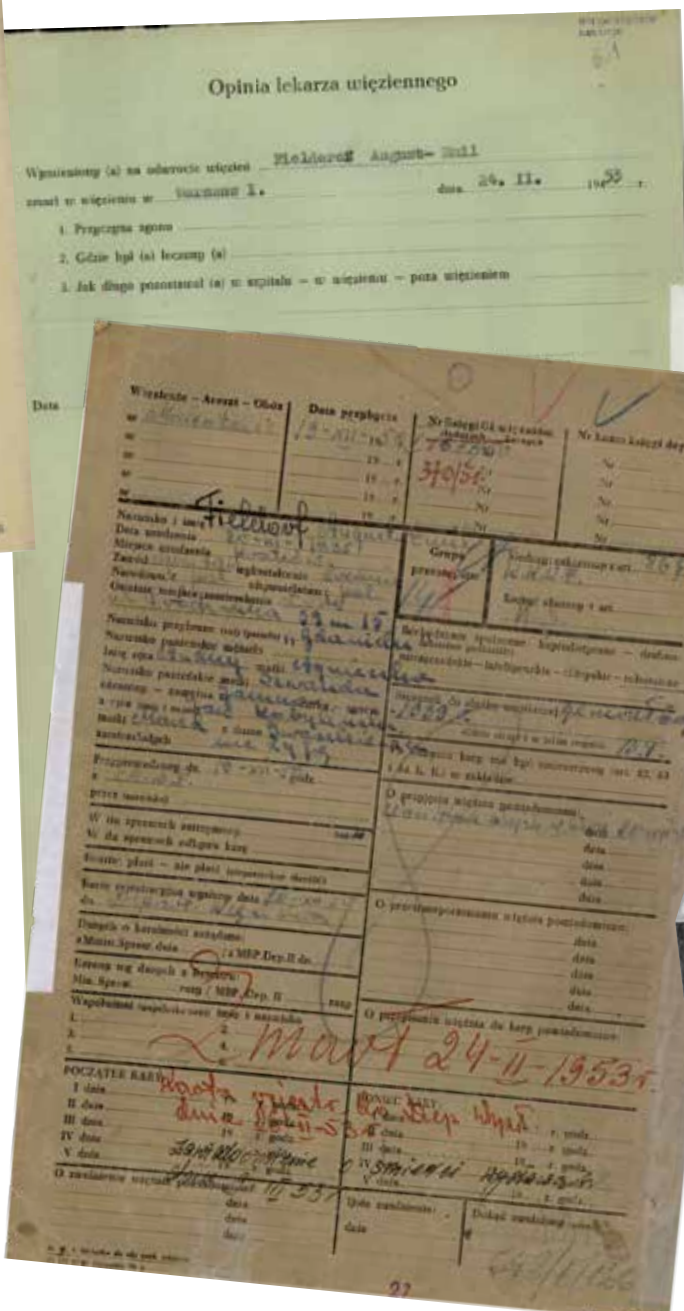
Fot. Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej

Ludowej, a Bolesław Bierut nie skorzystał z prawa łaski, choć błagalny list w obronie „Nila” napisał jego ojciec Andrzej, a także żona Janina, z córkami Krystyną i Marią. Wstawić za skazanym miała się żona Feliksa Dzierżyńskiego – Zofia. Nie przyniosło to jednak żadnego rezultatu.

Ostatecznie 24 lutego 1953 r. August Emil Fieldorf „Nil” został zamordowany w więzieniu mokotowskim, niczym pospolity przestępca, w majestacie stalinowskiego „prawa”. Jego szczątki do dziś nie zostały odnalezione, choć prace poszukiwawcze trwają.

PAWEŁ SZTAMA absolwent Wydziału Nauk Historycznych Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, doktorant Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, pracownik Biura Badań Historycznych Instytutu Pamięci Narodowej. Interesuje się historią wojskowości oraz dziejami Polski w okresie stalinowskim.

¹ J. Fieldorf, *Los już mną zawałdną... Wspomnienia*, wybór, red. i oprac. A. Dymek, K. Lisiecki i J. Jurach, Gdańsk 2012, s. 25. ² C. Sadowski, *W sanitariacie „Kedywu”*, „Przegląd Lekarski” 1973, nr 1, s. 160. ³ S. Broniewski, *To nie takie proste... Moje życie*, Warszawa 2001, s. 105. ⁴ L. Zachuta, *O czynach wojennych kawalerów Orde-ru Wojennego Virtuti Militari*, „Hetman. Klub Miłośników Militariów Polskich im. Andrzeja Zaremby” 1995, nr 2, s. 42. ⁵ T. Bobrowski, *Wspomnienia z internowania w ZSRR*, niepublikowane, s. 2.



Fot. Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej (3)

sko-hitlerowskich zbrodniarzy winnych zabójstw i znęcania się nad ludnością cywilną i jeńcami oraz dla zdrajców Narodu Polskiego. Jak bardzo było to dla niego upokarzające, można sobie tylko wyobrazić. Polski bohater walczący z Niemcami w okresie II wojny światowej został oskarżony na podstawie tego samego dekretu, z którego zarzuty postawiono niemieckiemu zbrodniarzowi Jürgenowi Stroopowi.

Proces, a w zasadzie farsa procesu przeciwko Augustowi Emilowi Fieldorfowi odbyła się 16 kwietnia 1952 r. Torturowani w śledztwie akowcy – pułkownicy Tadeusz Grzmielewski i Władysław Liniarski – zeznawali przeciwko swojemu byłemu dowódcy. Pomimo że generał do winy się nie przyznał, Sąd Wojewódzki dla m.st. Warszawy skazał go na śmierć. Wyrok niższej instancji podtrzymał Sąd Najwyższy Polskiej Rzeczypospolitej



Fot. Archiwum Akt Nowych

Odpowiedzialna za prześladowania i śmierć żołnierzy polskiego podziemia niepodległościowego Helena Wolińska – nie odpowiedziała za swe czyny przed sądem.

PAWEŁ SZTAMA

Jeden z głównych karnistów Polski Ludowej prof. Jerzy Sawicki 20 czerwca 1960 r. skierował do Rady Wydziału Prawa Uniwersytetu Warszawskiego pismo, z prośbą o wyznaczenie dwóch naukowych recenzentów, którzy mieliby przedstawić opinie na temat jednej z prac doktorskich napisanych pod jego kierunkiem. Doktorat ten nosił tytuł *Przestępstwo spędzenia płodu w polskim prawie karnym*. Rada nie robiła w tym zakresie żadnych trudności i do zaopiniowania opracowania wyznaczyła profesorów Tadeusza Cypriana i Leszka Lernella. Obu recenzentom przedłożona praca się spodobała. W podsumowaniu swojego wyводу Leszek Lernell stwierdził, że jest ona „o dużej wartości dla teorii i praktyki prawa karnego, [...] jest wynikiem wnikliwych, poważnych studiów nad jednym z najtrudniejszych problemów prawa karnego. Autorka wykazuje dobre opanowanie centralnej problematyki teorii prawa karnego, wypowiada własne sądy w kwestiach spornych i wątpliwych, oparte na dobrej argumentacji zarówno dogmatyczno-prawnej, jak i kryminologicznej oraz na badaniu podłoża społecznego

cy się – autorce *Przestępstwa...* przyznano tytuł doktora nauk prawnych. Osobą, która osiągnęła ten ważny naukowy stopień, była magister Helena Wolińska.

Niemniej jeszcze dekadę wcześniej niewiele wskazywało na to, że bohaterka tego opracowania będzie mieć jakikolwiek związki z nauką. Znana była bowiem z innej działalności.

Na warszawskim Muranowie

Wolińska, a w zasadzie Fajga Mindla Danielak, urodziła się już w wolnej, choć cały czas broniącej niepodległości Polsce, 28 lutego 1919 r. Wychowała się na warszawskim Muranowie, gdzie przeważającą liczbę mieszkańców stanowili Żydzi, którymi byli również Danielakowie.

Jak po latach wspominała Fajga, jej ojciec Jan (Jasko) był drobnym rzemieślnikiem, który specjalizował się w produkcji skórzanej galanterii. Matka natomiast – Chawa z d. Taubenblat – nie ukończyła prawdopodobnie żadnej szkoły i zajmowała się prowadzeniem domu oraz wychowaniem

prokurator

tych zagadnień. Praca [...] jako dojrzały owoc poważnych badań naukowych zasługuje na najbardziej pozytywną ocenę. Praca ta zasługuje w całej pełni na przyjęcie jej jako rozprawy doktorskiej”¹. Nieco bardziej krytyczny był prof. Tadeusz Cyprian. Niemniej także on uznał, że recenzowana praca spełnia kryteria dobrych prac doktorskich.

W tej sytuacji 3 listopada 1960 r. w Gmachu Seminaryjnym Uniwersytetu Warszawskiego odbyła się publiczna obrona doktoratu. Spośród 37 członków Rady Wydziału Prawa UW przybyło na nią 24 profesorów i docentów. Wśród nich byli m.in. Igor Andrejew, Juliusz Bardach, Stanisław Ehrlich, Karol Koranyi i Andrzej Stelmachowski.

Podczas dyskusji prawie wszyscy, którzy zabrali głos, o omawianym doktoracie wypowiadali się pozytywnie. W tej sytuacji stosunkiem głosów 23 za, 1 wstrzymują-

dwójki dzieci – Fajgi i jej młodszego brata Daniela.

Pomimo ciężkich materialnych warunków Fajga odebrała rzetelną, podstawową i średnią edukację. Najpierw uczyła się w jednej ze szkół powszechnych, a w 1933 r. rozpoczęła naukę w warszawskim Prywatnym Żeńskim Gimnazjum Perły Zaksowej. Tam też w maju 1938 r. zdała egzamin dojrzałości. Najlepiej zaliczyła egzamin z religii (chodziło oczywiście o judaizm). Z tego przedmiotu uzyskała ocenę bardzo dobrą. Ponadto z języków: polskiego, tacińskiego i niemieckiego, a także z chemii, fizyki i historii komisja egzaminacyjna określiła jej wiedzę jako dobrą. Najgorzej, tylko dostatecznie, oceniono jej umiejętności matematyczne.

Ucząc się jeszcze w gimnazjum, Fajga nawiązała kontakty z ruchem komunistycznym. Na jej poglądy miało zapewne wpływ otoczenie, w którym się wychowała i doroślała. I nie chodzi w tym przypadku o najbliższe jej osoby. ►

Nic bowiem nie wskazuje na to, aby jej rodzice mieli komunistyczne przekonania, choć nie jest to wykluczone. Wydaje się, że Danielakówna była jednak bacznym obserwatorem i widziała wielkie społeczne dysproporcje ówczesnego Muranowa, gdzie obok na wskroś bogatych kamienic stały drewniane baraki, w których żyli ludzie bardzo ubodzy. Do tych ostatnich należeli zapewne także Danielakowie mieszkający przy ulicy Pawiej.

Prawdopodobnie te właśnie kontrasty zaprowadziły Fajgę do zbrodniczej, komunistycznej ideologii. Danielakówna najpierw wstąpiła do nielegalnego Ruchu Związku Niezależnej Młodzieży Szkolnej, który był przybudówką Komunistycznego Związku Młodzieży Polskiej. W organizacji tej działali między innymi Bolesław Gleichgewicht i Henryk Holland.

dy Helena Wolińska, opuściła miasto i wyjechała do Lwowa, który znajdował się w sowieckiej strefie okupacyjnej. Zapewne liczyła, że towarzysze sowieccy pomogą jej w tych trudnych chwilach. Rzeczywistość okazała się jednak inna. Na przykład jesienią 1939 r. próbowała rozpocząć studia na istniejącym jeszcze wówczas Uniwersytecie Jana Kazimierza. Niestety, nie miała jak poświadczyć dotychczasowych osiągnięć naukowych i nie została na uczelnię przyjęta.

Nie zdecydowała się jednak na powrót i pozostała we Lwowie, gdzie znalazła pracę jako kelnerka w jednej ze studenckich stołówek. Okres ten nie trwał długo, gdyż już wiosną 1940 r. Sowieci przeprowadzili akcję paszportową, pod-

„Ukończyłam studia prawnicze na Uniwersytecie Warszawskim i pragnę pracować w organach wymiaru sprawiedliwości”

Ich aktywność została jednak przerwana, gdy Józef Stalin zdecydował się rozwiązać struktury antypaństwowej i przepełnionej sowiecką agenturą Komunistycznej Partii Polski. Z powodu decyzji Stalina przestały także działać wszystkie organizacje, które miały jakiegokolwiek związek ideowy z KPP, w tym także KZMP. W tej sytuacji w grupie politycznych sierot znaleźli się również działacze RZNMS.

Pierwsze lata wojny

Trudno jest dziś ocenić, jaka była reakcja Fajgi na decyzję o rozwiązaniu KPP. Pewne jest tylko, że w tym okresie Danielakówna postanowiła zadbać o swoją zawodową przyszłość i złożyła podanie do dziekana Wydziału Prawnego Uniwersytetu Warszawskiego o przyjęcie jej w poczet studentów. Jej pismo z września 1938 r. rozpatrzone pozytywnie i w październiku tegoż roku otrzymała indeks.

Przygoda Fajgi z UW nie trwała jednak zbyt długo. Pomimo że zaliczyła pierwszy rok studiów z wynikiem dostatecznym, nie miała możliwości ich kontynuacji, gdyż Niemcy i Związek Sowiecki, we wrześniu 1939 r., atakiem na Polskę rozpoczęły II wojnę światową.

Kiedy hitlerowcy zajęli Warszawę, rodzina Fajgi z racji swojego pochodzenia znalazła się w trudnym położeniu. Choć jeszcze nie istniało warszawskie getto, Niemcy już wówczas prowadzili represyjną politykę okupacyjną, której ofiarami padali głównie Polacy i Żydzi.

Prawdopodobnie ze względu na zaprowadzony w Warszawie terror Fajga Danielak, a być może już wte-

czas której zmusili wielu mieszkańców we Lwowie ludzi do opuszczenia miasta. Wśród nich byli głównie ci obywatele polscy, którzy uciekając przed niemiecką okupacją, znaleźli się w stolicy Galicji Wschodniej. Do nich zaliczała się również Wolińska.

Helena odebrała specjalnie ostemplowany paszport i wyjechała do Żabczyc niedaleko Pińska. Tam udało się jej znaleźć pracę w zarządzie gminy na stanowisku pomocnika księgowego. Po trzech miesiącach, prawdopodobnie dzięki pomocy jej ówczesnego męża Beniamina Zylberga vel. Włodzimierza Brusa, za którego wyszła w 1940 r., wróciła do Lwowa, gdzie otrzymała sowiecki paszport.

Po powrocie do Galicji Wschodniej Wolińska po raz kolejny próbowała rozpocząć studia. Jednak i tym razem planów tych nie udało się jej zrealizować z powodu braku odpowiednich dokumentów. Postanowiła więc ponownie zdać egzamin dojrzałości. Zapisła się na tzw. rabfak, czyli specjalny robotniczy fakultet utworzony w czasie sowieckiej okupacji na lwowskim Instytucie Handlu Radzieckiego, gdzie douczali się przede wszystkim robotnicy pragnący rozpocząć studia wyższe. Ponadto zarabiała na życie, pełniąc najpierw obowiązki gońca w „Medsantrudzie”, czyli związku zawodowym pracowników medycznych, a potem pomocnika technicznego na ówczesnym Lwowskim Państwowym Uniwersytecie im. Iwana Franki. Równocześnie została przyjęta do Komsomolu.



Fot. Archiwum AKI Nowych



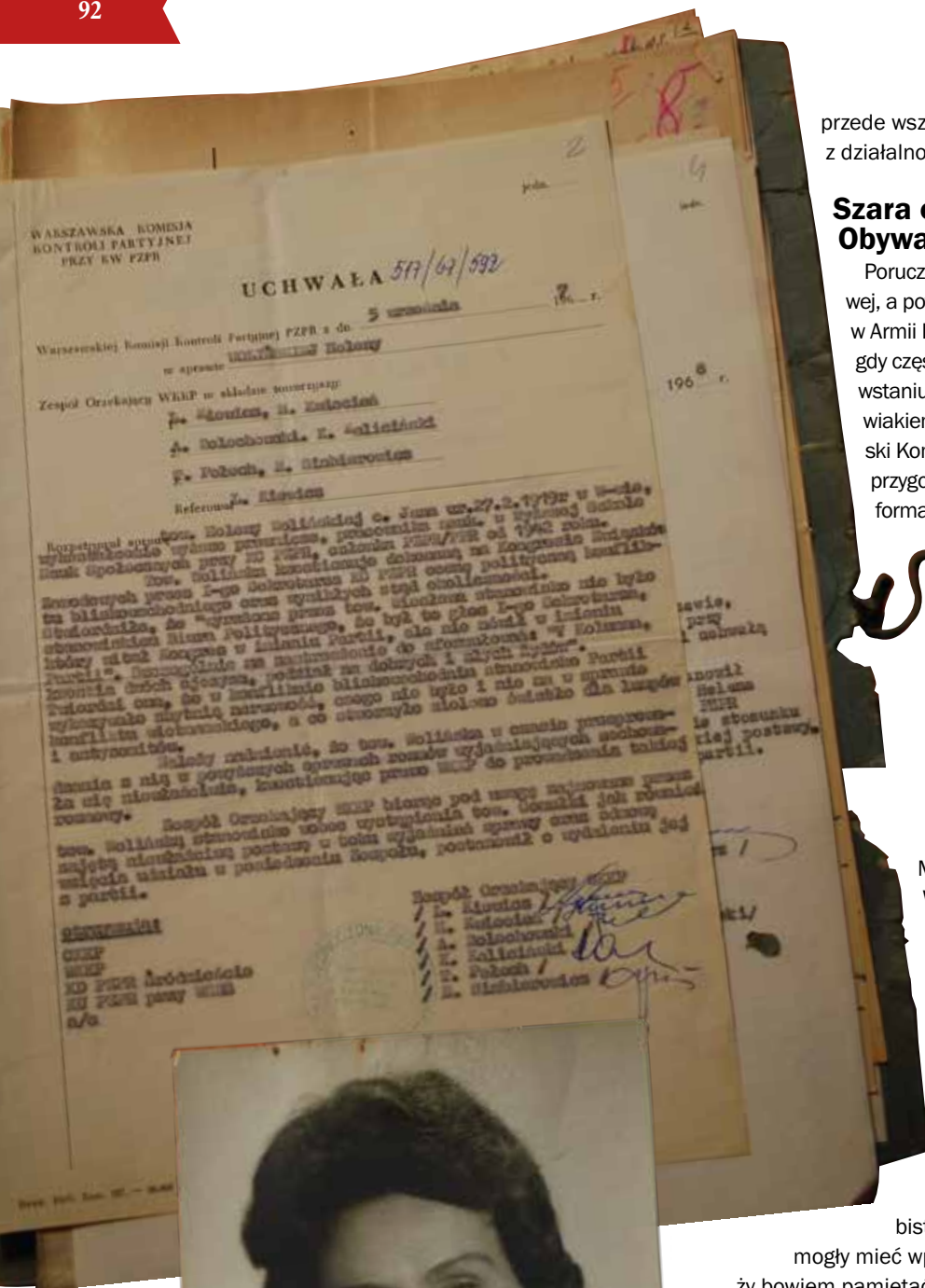
W szeregach partii i gwardii

Gdy w czerwcu 1941 r. Niemcy rozpoczęli wojnę ze Związkiem Sowieckim, Wolińska nie zdążyła odnaleźć męża i ze względu na dość zaawansowaną ciążę postanowiła zostać we Lwowie. Jednak po śmierci dziecka zdecydowała się na powrót do Warszawy w grudniu 1941 r. Tam dość łatwo odnalazła przebywających w getcie rodziców i próbowała im pomóc, zarabiając na życie udzielaniem korepetycji i szydełkowaniem. Nawiązała także kontakt z tworzącą się wówczas w Warszawie – założoną na rozkaz Stalina – Polską Partią Robotniczą, do której przystąpiła już w lutym 1942 r.

Gdy latem 1942 r. w niemieckiej tzw. wielkiej akcji likwidacyjnej getta warszawskiego zginęły najbliższe Wolińskiej osoby – rodzice i brat, Polska Partia Robotnicza pomogła jej przedostać się na tzw. aryjską stronę, gdzie rozpoczęła nielegalną działalność pod pseudonimem „Lena”. Jednocześnie została skierowana do zbrojnych oddziałów PPR, czyli do Gwardii Ludowej. Tam od sierpnia 1942 r. była łączniczką Dowództwa Głównego GL i tam też poznała drugiego męża, Franciszka Józwiaka „Witolda”, który był wówczas szefem Sztabu Głównego GL i w niedługim czasie został członkiem Komitetu Centralnego Polskiej Partii Robotniczej. Znajomość ta miała ogromny wpływ na jej karierę. Już w grudniu 1942 r. „Lena” została szefem Biura Sztabu Głównego GL i otrzymała wojskowy stopień podoficerski. O tym, jaką rolę pełniła w tamtym okresie, opowiadał Władysław Gomułka: „Prawą ręką F. Józwiaka była Helena Wolińska ps. »Lena«, wywierająca decydujący wpływ na wszystkie jego posunięcia. Jako kierownik kancelarii Sztabu Głównego GL odgrywała wielką rolę w organizowaniu jego pracy, trzymała w swym ręku szeroką sieć łączności, w stosunku do szefa sztabu F. Józwiaka,

który związał się z nią więzami małżeńskimi, była arbitralna, zajmowała postawę despotycznego zwierzchnika. Wystarczy wskazać, że nawet w obecności osób trzecich, w tym także w mojej obecności,

będąc z czegoś niezadowolona, zwracała się do niego: »Franek, ty skurwysynie« i dalej wyłuszczała, o co jej chodzi”². Gomułka podkreślał jednocześnie, że pomimo apodyktyczności „Lena” była świetnym organizatorem i fanatyczną wręcz komunistką. Oficjalnie do jej ówczesnych zadań należało



Fot. Archiwum Akt Nowych

przede wszystkim układanie komunikatów z działalności bojowej GL.

Szara eminenca Milicji Obywatelskiej

Porucznik „Lena” działała w Gwardii Ludowej, a potem po jej przekształceniu również w Armii Ludowej do lipca 1944 r. Następnie, gdy część oddziałów AL brała udział w Powstaniu Warszawskim, wyjechała wraz z Józwiakiem do Lublina, gdzie siedzibę miał Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego. Oboje przygotowywali się tam do służby w nowej formacji mundurowej, którą komuniści zaczęli organizować, a która przeszła do historii jako Milicja Obywatelska.

Choć Milicja Obywatelska powstała formalnie w październiku 1944 r., to jej zręby tworzone były już kilka tygodni wcześniej, a Wolińska wypełniła kwestionariusz osobowy MO już na początku września 1944 r. Wówczas została p.o. szefa Kancelarii Komendy Głównej MO. Nie ma w tym żadnego zaskoczenia – jej mąż „Witold”, prywatnie przyjaciel Bolesława Bieruta, piastował wówczas funkcję komendanta głównego MO. Wolińska miała zatem świetnego protektora i opiekuna, który przez kilka lat przymykał oko na jej różne wybryki i ekscesy. Jednak nie tylko jej osobiste i partyjne związki z Józwiakiem mogły mieć wpływ na jej ówczesną pozycję. Należy bowiem pamiętać, że „Lena” była jedną z lepiej wykształconych osób pracujących w Milicji Obywatelskiej, przynajmniej w okresie formowania tej instytucji. Przede wszystkim miała maturę i ukończony pierwszy rok studiów prawnych, a to w tamtych warunkach czyniło z niej osobę wręcz uczoną.

Niemniej kpt. Wolińska została najpierw p.o. szefa Kancelarii Głównej, a następnie otrzymała nominację na pełnoprawnego kierownika tej komórki i piastowała to stanowisko do 1947 r. W tym czasie ponownie podjęła studia na Uniwersytecie Warszawskim, które ukończyła w 1948 r., będąc już szefem Wydziału Ogólnego KG MO. Była również aktywnym członkiem Podstawowej Organizacji Partyjnej istniejącej przy KG MO. Jak wynika z dokumentów personalnych, dość wysokie no-

towania, przynajmniej oficjalnie, miała Wolińska w kierownictwie MO. W jednej z notatek na jej temat napisano: „Energiczna i zdolna kierowniczką, ujawnia dużo inicjatywy i inteligencji w organizowaniu i uporządkowaniu G[łównej] Kanc[elarii] K[omendy] G[łównej] M[ilicji] O[bywatelskiej]. [...] Zastużona bojowniczką antyfaszystowską w zupełności zasługuje na [order] Polonia Rest[ituta] II kl.”³ Gdy odchodziła ze służby, ówczesny komendant główny MO gen. Józef Konarzewski nie szczędził jej pochwał.

Niemniej nie we wszystkich kręgach miała tak wysokie poważanie. Według zastępcy Józwiaka ds. polityczno-wychowawczych ppłk. Leonarda Borkowicza nie ufał jej choćby Gomułka. Borkowicz, który przyszedł do MO jeszcze we wrześniu 1944 r., wspominał po latach: „Gomułka chciał, żebym w razie konieczności zrobił w milicji »wielką czyst-

kę«, wprowadził tam ludzi uczciwych i w miarę kompetentnych, a przede wszystkim pozbawił wpływu na sprawy milicyjne »Lenę«, ówczesną żonę Józwiaka, która faktycznie sprawowała tam rządy. [...] Gomułka dotrzymał słowa i popierał zawsze moje, nawet kontrowersyjne pociągnięcia personalne”⁴. Także część pracowników dość mocno narzekała na jej rządy w KG. Jeszcze w styczniu 1945 r. była oskarżana o to, że w niewłaściwy sposób odnosiła się do podwładnych. Ten sam zarzut postawiono jej w 1947 r. Takie zachowanie na tyle mocno drażniło funkcjonariuszy MO, że ci pisali na nią raporty i donosy, a w Wydziale Specjalnym KG MO powstała na jej temat ciekawa charakterystyka: „Politycznie pewna, energiczna, lecz wykorzystuje swoje stosunki z Generałem, przez swe wygórowane ambicje robi posunięcia szkodliwe dla pracy, toleruje nierobów, byłych granatowych policjantów, jest bardzo arogancka i ordynarna do oficerów, przez co demoralizuje swymi awanturami otoczenie”⁵.

Jednak dopóki Józwiak szefował Milicji Obywatelskiej, Wolińska była tam szarą eminencją, którą nagradzano i wyróżniano. Na przykład w wieku 26 lat dosłużyła się stopnia majora. Co więcej, była odznaczana wysokimi państwowymi orderami, jak choćby Orderem Odrodzenia Polski V kl. Jeszcze w maju 1945 r. wygłaszała referat na pierwszej ogólnokrajowej naradzie PPR w Warszawie, a także została delegatem na I Zjazd PPR, który odbył się w grudniu 1945 r. Ponadto pod koniec 1945 r. wyjechała do Paryża, gdzie odby-

wał się Międzynarodowy Kongres Kobiet. W 1947 r. otrzymała premię w wysokości 5000 zł „za wytrwałą i ofiarną pracę”⁶. Ponadto w tym samym roku została członkiem Związku Bojowników o Wolność i Demokrację jako „zastużona” weteranka komunistycznego ruchu oporu. Nic złego nie działo się jej nawet wtedy, gdy władze partyjne rozpoczęły operację poszukiwania tzw. wroga wewnętrznego w partii. Do miedzeszyńskiego więzienia trafiło wielu jej towarzyszy broni z PPR i GL.

W wojskowym „wymiarze sprawiedliwości”

Gdy w marcu 1949 r. Józwiak odszedł z Milicji Obywatelskiej, Wolińska postanowiła iść jego śladem. Być może obawiała się, że bez swojego pro-

„Zastużona bojowniczką antyfaszystowską w zupełności zasługuje na order Polonia Restituta II kl”

tektora straci również nieograniczone wpływy i możliwości, a pisane przez podwładnych donosy doprowadzą do jej zwolnienia.

W tej sytuacji przygotowała pismo, w którym prosiła o przeniesienie do Departamentu Sprawiedliwości Ministerstwa Obrony Narodowej. „Ukończyłam studia prawnicze na Uniwersytecie Warszawskim i pragnę pracować w organach wymiaru sprawiedliwości”⁷ – pisała we wspomnianym dokumencie. Jej prośbę rozpatrzone bardzo szybko i już 1 kwietnia 1949 r. została radcą prawnym Wydziału IV (konsultacji prawnej) DS MON.

Pod koniec 1949 r. Wolińska została awansowana do stopnia podpułkownika. We wniosku nominacyjnym jej ówczesny przełożony płk Stanisław Zarakowski stwierdził: „W stosunkowo krótkim okresie czasu [...] mjr. Wolińska dała się poznać jako człowiek i oficer bezwzględnie oddany idei socjalizmu. Członek PZPR, politycznie wysoce aktywna. Pozytywnie wpływa na aktywizację i wzrost polityczny współpracowników. Zdiscyplinowana, pracowita. Z uwagi na swą obecną postawę i przeszłość zasługuje na awans do stopnia podpułkownika”⁸.

Gdy na przełomie 1949 i 1950 r. przeszła do pracy w Naczelnej Prokuraturze Wojskowej, Wolińskiej oddane „ideom socjalizmu”, a w zasadzie stalinizmu, odczuli nie tylko jej przełożeni, ale także sędziowie, podwładni, a przede wszystkim więźniowie polityczni. Do końca służby w Naczelnej Prokuraturze Wojskowej pełniła różnego rodzaju funkcje. Do połowy 1950 r. była szefem Wydziału V (sądowo-rewizyjnego dla spraw szczególnych), następnie do października 1950 r.

szefem Wydziału IV, a od listopada 1950 r. do czerwca 1953 r. kierowała Wydziałem VII (nadzór nad śledztwami w sprawach szczególnych), później Oddziałem VII. Była także sekretarzem Podstawowej Organizacji Partyjnej przy Naczelnej Prokuraturze Wojskowej.

W tym czasie, jako prawdziwa stalinowska komunistka, była gorliwym wykonawcą ówczesnej polityki partyjnej. Sprawiała, że bezprawnie pozbawiono wolności działaczy polskich organizacji konspiracyjnych, którzy walczyli o niepodległość Polski w okresie II wojny światowej. Byli wśród nich płk Bernard Adamecki „Doktor”, Władysław Bartoszewski „Teofil” i płk Wojciech Borzobohaty „Stanisław”. Podobnie zachowała się w stosunku do wysokich oficerów Komendy Głównej Związku Walki Zbrojnej/Armii Krajowej, między innymi gen. Augusta Emila Fieldorfa „Nila” i płk. Kazimierza Pluty-Czachowskiego „Kuczaby”. Lista nielegalnie zatrzymanych w wyniku jej decyzji była jednak zdecydowanie dłuższa. Wśród uwięzionych znajdowali się kobiety i mężczyźni, w tym działacze konspiracyjni, młodzieżowi, polityczni, społeczni i religijni. Do tych ostatnich należy zaliczyć choćby grupę świadków Jehowy, którzy zostali aresztowani w Poznaniu w 1952 r. Prokurator była również współodpowiedzialna za wyrok na jedynej kobiecie cichociemnej, późniejszej generał – Elżbie-

Od roku 1953...

Jak wynika z dokumentów, władze partyjne ograniczyły, a w zasadzie odebrały Wolińskiej wpływy w ciągu jednego dnia. Działo się to w październiku 1953 r. Nieestety, nie wiadomo, jaki był powód tej decyzji. Być może koledzy mieli jej zwyczajnie dość i podjęli próbę usunięcia jej z Naczelnej Prokuratury Wojskowej. Przed kilku laty jeden z historyków mówił podczas naukowej dyskusji: „Widziałem dokumenty, tylko nie miałem możliwości kserowania, w których wyszczególniono kary dla pani major, wówczas podpułkownik [Heleny Wolińskiej] za szczególną brutalność w czasie przesuchań, m.in. opluwanie, plucie w twarz oficerom i bicie ich po twarzy. I były kary służbowe, nagany, kary pozbawienia nagród itd. Natomiast kilka lat później, jeszcze w latach osiemdziesiątych zająłem do tej samej teczki i już tych dokumentów tam nie było”¹². Mogło się zatem zdarzyć, że krytycznych opinii na jej temat zebrano się tyle, iż nawet władze partyjne, akceptujące przecież brutalność podległych sobie służb, uznały, że działalność Wolińskiej należy zakończyć. Oczywiście jest to tylko przypuszczenie, gdyż zwolnienie „Leny” mogło być spowodowane zupełnie czym innym. Na pewno jej sprawa nie stanęła na posiedzeniu

„To, co się dzieje, to cyrk. Jestem kosztem ofiarnym”

cie Zawackiej. Wolińska poniżała nie tylko więźniów, ale ordynarnie odnosiła się także do członków ich rodzin, którzy zatroskani o los bliskich próbowali z nią porozmawiać.

Wedle niektórych relacji Wolińska miała ogromny wpływ na pracę Naczelnej Prokuratury Wojskowej. Wspominali o tym prawnicy przesłuchiwani przez członków tzw. Komisji Mazura (pod przewodnictwem zastępcy prokuratora generalnego PRL Mariana Mazura), powołanej w grudniu 1956 r. do zbadania nadużyć w Głównym Zarządzie Informacji Wojska Polskiego i NPW. Część z nich „Lenę” nazywała „warszawską Dolores”⁹. Inni wspominali: „Wolińska szantażowała nie tylko podległy jej personel, ale i sędziów. Dla niej każdy był »niepewnym«. To jej postępowanie było możliwe dlatego, że jako żony tow. Józwiaka, wszyscy się jej bali i ustępowali”¹⁰. O tym, jak bardzo była ważną osobą w Naczelnej Prokuraturze Wojskowej, może świadczyć jej powołanie w 1951 r. do specjalnej komisji, która weryfikowała, pod względem stalinowskiej poprawności, kadry wojskowego „wymiaru sprawiedliwości” w 1951 r. Po latach nawet jej przełożony gen. Zarakowski mówił o niej, że była „bardzo energiczna, wręcz ognista”¹¹.

Biura Politycznego, choć ciekawostką jest, że w tym czasie, gdy Wolińska straciła wpływy, wymienione gremium podjęło decyzję o awansowaniu naczelnego prokuratora wojskowego Stanisława Zarakowskiego do stopnia generała brygady.

Zmuszona do odejścia z Naczelnej Prokuratury Wojskowej Wolińska złożyła wniosek o przeniesienie do Instytutu Nauk Społecznych przy Komitecie Centralnym Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, gdzie rozpoczęła tzw. studia aspiranckie w tamtejszej Katedrze Teorii Państwa i Prawa. Oficjalnie jednak nadal była zatrudniona na stanowisku szefa Wydziału Kadr i Szkolenia NPW. Z tą ostatnią instytucją pożegnała się całkowicie w listopadzie 1954 r., kiedy – formalnie na własną prośbę – zakończyła pracę.

W 1955 r. Wolińska ukończyła drugi rok aspirantury i zdała egzaminy, uzyskując stopień tzw. kandydata nauk. Wspominając tamte chwile, stwierdziła, że usilnie zabiegała o powrót do pracy prokuratorskiej. Jej plany udało się zrealizować i jeszcze w 1955 r. została zatrudniona na stanowisku prokuratora Prokuratury Generalnej Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Pomimo zmian politycznych, które dokonały się w 1956 r. „Lena” utrzymała posadę w Prokuraturze Generalnej. W kwietniu 1956 r. pisała na łamach „Nowych Dróg”, jak powinno

się chronić więźniów przed nieodpowiednim traktowaniem. Część jej znajomych postrzegają to jak farsę.

Na pierwszy, zasłużony cios Wolińska nie musiała jednak zbyt długo czekać. Zadali go członkowie wspomnianej wcześniej Komisji Mazura, którzy w swoim raporcie zaliczyli podpułkownika do grona osób odpowiedzialnych za łamanie praworządności w Naczelnej Prokuraturze Wojskowej. Jednym słowem stalinowcy ukarali innego stalinowca, członkowie Komisji bowiem uznali, że Wolińska powinna zostać zdegradowana do stopnia majora. Ponadto stwierdzili, że w związku z ukaraniem jej przez prokuratora generalnego nie powinno się wobec niej wyciągać dalszych konsekwencji.

Jak zaplanowano, tak zrobiono. Wolińska została zdegradowana i zwolniona z Prokuratury Generalnej pod koniec 1957 r., choć jej przełożeni próbowali „zesłać” ją do prokuratury niższego szczebla. Ona sama nie wyraziła na to zgody i ostatecznie musiała odejść. Niemniej cały czas broniła się zaciekle, zrzucając winę na innych i na istniejące lub nieistniejące przepisy prawne.

Po usunięciu z Prokuratury Generalnej Wolińska nie pozostawała zbyt długo bezrobotna. Jeszcze na początku 1958 r. znalazła zatrudnienie w – utworzonej na bazie ISN – Wyższej Szkole Nauk Społecznych, gdzie od 1960 r., po obronie doktoratu, pełniła funkcję adiunk-

ta. W latach 1962–1964 była nawet sekretarzem tamtejszej Oddziałowej Organizacji Partyjnej.

Ucieczka z Polski

Przez kilka kolejnych lat Wolińska skupiała się na pracy akademickiej. Jednak w 1967 r. skrytykowała przemówienie I sekretarza KC PZPR Władysława Gomułki, który zgodnie z moskiewskimi wytycznymi napiętnował działalność Izraela w wojnie sześciodniowej. W tamtym okresie takie zachowanie nie mogło przejść bez echa. Jej sprawa stała się zatem na wokandzie Warszawskiej Komisji Kontroli Partyjnej. Gremium to, działając pod presją narastającej antysemitki nagonki rozpętanej przez władze w 1967 i 1968 r., podjęło decyzję o wyrzuceniu „Leny” z partii. Nie przedłużono też jej umowy z Wyższą Szkołą Nauk Społecznych, a jej ówczesnego męża Włodzimierza Brusa komunistyczna Służba Bezpieczeństwa intensywnie inwigilowała.

Ostatecznie w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych XX w. Brusowie na stałe osiedlili się w angielskim Oxfordzie, gdzie Włodzimierz prowadził zajęcia na tamtejszym uniwersytecie. Przez wiele lat Wolińska żyła tam spokojnie, zyskując opinię cenionej i szanowanej „pani profesorowej”. Jej niezasłużony spokój zburzyły polskie władze pod koniec lat dziewięćdziesiątych. Podjęto wówczas pierwsze próby ekstradycji i osądzenia jej czynów ze stalinowskiego okresu. Sprawa z różnych powodów przez kilka lat się przeciągała. W tym czasie odebrano jej wysokie państwowe odznaczenia, a także emeryturę specjalną. Wydano również za nią europejski nakaz aresztowania. To ostatnie posunięcie Wolińska skomentowała w brytyjskim „Guardianie”: „To, co się dzieje, to cyrk. Jestem kozłem ofiarnym”¹³. Niestety, stalinowska prokurator uniknęła sprawiedliwości. Zmarła w Oxfordzie 27 listopada 2008 r. i została pochowana na tamtejszym cmentarzu. ■

¹ Archiwum Uniwersytetu Warszawskiego, WPA-531-906, Przewód doktorski Heleny Wolińskiej 1958–1960, Opinia o pracy mgr H. Wolińskiej na temat *Przestępstwo spędzenia płodu w polskim prawie karnym*. ² W. Gomułka, *Pamiętniki*, t. 2, Warszawa 1994, s. 272–273. ³ Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej, 707/468/1, Opinia służbowa nt. H. Wolińskiej, k. 24. ⁴ Cyt. za: J. Eisler, *Siedmiu wspaniałych. Poczet pierwszych sekretarzy KC PZPR*, Warszawa 2014, s. 188. ⁵ AIPN, 707/468/2, Charakterystyka szefa Wydziału Ogólnego KG MO, 11 listopada 1949 r., k. 8. ⁶ AIPN, 707/468/1, Zeszyt służbowy H. Wolińskiej, k. 20. ⁷ Tamże, Podanie o przeniesienie do Departamentu Sprawiedliwości MON, 14 marca 1949 r., k. 19. ⁸ AIPN, 2174/3357, Wniosek o mianowanie do stopnia podpułkownika, 17 listopada 1945 r., k. 87. ⁹ K. Szważyk, *Prawnicy czasu bezprawia. Sędziowie i prokuratorzy wojskowi w Polsce 1944–1956*, Kraków–Wrocław 2005, s. 184. ¹⁰ AIPN, 0874/1/1, Wyjaśnienia sędziego Józefa Waszkiewicza, 5 maja 1956 r., k. 123. ¹¹ Archiwum Ośrodka Kartka, Kolekcja Jerzego Poksińskiego, t. 240, Notatka z rozmowy z byłym Naczelnym Prokuratorem Wojskowym WP gen. bryg. Stanisławem Zarakowskim, 22 czerwca 1990, k. 4. ¹² „Państwo w państwie”. *Rola wojskowych (GZ, WSW) i cywilnych (UB, SB) służb specjalnych w formalnym i nieformalnym zarządzaniu PRL*, w: *Władza w PRL. Ludzie i mechanizmy*, red. K. Rokicki i R. Spałek, Warszawa 2011, s. 300–301. ¹³ <https://www.rp.pl/artykul/229782-Tajny-pogrzeb-Heleny-Wolinskiej-.html> [dostęp 28 lipca 2020 r.]

Grób Heleny Wolińskiej na cmentarzu w Wielkiej Brytanii.

Fot. Domena publiczna



Krzesimów



Pierwszy obóz pracy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego (resort bezpieczeństwa publicznego Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego) założył w podlubelskim Krzesimowie w październiku 1944 r. pod nazwą Obóz Pracy Przestępców Politycznych i Podejrzanych.

BOGUSŁAW KOPKA

Wkończącym etapie II wojny światowej i po pokonaniu hitlerowskich Niemiec system represji stalinowskich wyszedł poza granice Związku Sowieckiego. Kraje Europy Środkowo-Wschodniej, w tym Polska, poddawane były stopniowej sowietyzacji.

W 1945 r. mniej więcej ćwierć miliona ludzi w Polsce było czynnie zaangażowanych w opór antykomunistycz-

ny. To więcej niż w miesiącach późniejszego oporu w 1956, 1970, 1976 i 1980 r. W dalszych latach po wojnie, zwłaszcza po sfałszowanych wyborach do Sejmu Ustawodawczego w 1947 r. i tzw. amnestii, opór zbrojny malał. Powstanie II konspiracji zakończyło się klęską militarną. Moralnie i politycznie jednak żołnierze podziemia antykomunistycznego zwyciężyli. Mieli być wymazani z kart historii przez komunistyczną

był pierwszy



**Budynki obozowe
(obory)
w Krzesimowie,
stan obecny.**

Fot. Paweł Skrok, Instytut
Pamięci Narodowej
w Lublinie

propagandę i jej ideowych spadkobierców jako „żołnierze wyklęci” – pozostali depozytariuszami tradycji niepodległościowej, dlatego sowiecki aparat terroru w bezwzględny sposób ich zwalczał. Mimo to powstałi w niepodległej Polsce jako Żołnierze Niezłomni.

Ogniwa siatki terroru

Komunistyczne obozy, zakładane w miejscach byłych obozów niemieckich, stanowiły część siatki stalinowskiego terroru. Pierwsze aresztowania i deportacje sowieckie po przekroczeniu w styczniu 1944 r. przedwojennej granicy Rzeczypospolitej przez Armię Czerwoną dotknęły żołnierzy Armii Krajowej, Narodowych Sił Zbrojnych i częściowo Batalionów Chłopskich. Skoncentrowani w specjalnych

obozach filtracyjnych jeńcy wysyłani byli następnie dalej w głąb Rosji, do łagrów. W Polsce lubelskiej Józef Stalin kazał rozbroić konspiracyjne oddziały, internować oficerów, a podoficerów i szeregowych skierować do samodzielnych zapasowych batalionów 1 Armii Wojska Polskiego gen. Zygmunta Berlinga. „Oczyszczanie tyłów” z AK, NSZ i innych struktur Polskiego Państwa Podziemnego, uznanych za tzw. element kontrrewolucyjny, to główne zadanie, które w instrukcjach z Moskwy wyznaczano sowieckim oddziałom bezpieczeństwa działającym na tyłach frontów Armii Czerwonej latem 1944 r. W tym celu przystąpiono do budowy różnego typu „miejsc odosobnienia”: obozów deportacyjnych, pracy przymusowej, karnych, ▶

jenieckich, a także więzień i aresztów, często lokowanych na terenach byłych obozów niemieckich. Były to ośrodki mobilne, przemieszczające się wraz z frontem, miejsca o specjalnym przeznaczeniu, z reguły zakładane przez Zarząd Wojsk Wewnętrznych NKWD do spraw Ochrony Tyłów Armii Czerwonej oraz jednostki kontrwywiadu wojskowego Smiersz.

Status prawny osadzonych w tych mobilnych miejscach odosobnienia regulowała umowa z 26 lipca 1944 r., podpisana w Moskwie przez przewodniczącego tzw. komitetu lubelskiego, czyli powstałego z inicjatywy Stalina Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego, marionetkowego organu władzy wykonawczej: Edwarda Osóbkę-Morawskiego oraz ludowego komisarza spraw zagranicznych ZSRS Wiaczesława Mołotowa. Umowa ta dotyczyła stosunków między dowództwem sowieckim a polską administracją po wkroczeniu Armii Czerwonej na terytorium Polski na zachód od rzeki Bug (tzw. Linia Curzona). Na mocy tego układu najwyższa władza „w strefie działań wojennych”¹ przysługiwała wodzowi naczelnemu wojsk sowieckich Józefowi Stalinowi. Jurysdykcji władz sowieckich podlegały wszelkie wykroczenia przeciwko Armii Czerwonej. W artykule 7 zapisano między innymi: „Wszyscy ci, którzy wchodzi w skład wojsk radzieckich na terytorium Polski, będą podlegać jurysdykcji radzieckiego wodza naczelnego.



Wszyscy zaś ci, którzy wchodzi w skład Polskich Sił Zbrojnych, będą podlegać wojskowym ustawom i regulaminom polskim. Jurysdykcji tej będzie podlegać również ludność cywilna na terytorium polskim nawet w wypadkach dotyczących przestępstw popełnionych przeciwko wojskom radzieckim, z wyjątkiem przestępstw popełnionych w strefie operacji wojennych, które to przestępstwa podlegają jurysdykcji radzieckiego wodza naczelnego”². Dopiero 20 lutego 1945 r. Państwowy Komitet Obrony Związku Socjalistycznych Republik Sowieckich podjął jednostronną uchwałę, w której ustalono formalne zasady postępowania władz sowieckich na terytorium Polski. Między innymi określono w niej, że w zasięgu 60–100 km od przedniej linii frontu „odpowiedzialność za bezpieczeństwo państwowe i porządek publiczny nakłada się na dowódców frontów i przedstawicieli NKWD”³.

Rozkazy Ławrientija Berii

Ludowy komisarz spraw wewnętrznych ZSRS Ławrientij Beria 11 stycznia 1945 r. podpisał rozkaz *O środkach potrzebnych do oczyszczania frontowego zaplecza Armii Czerwonej z wrogich elementów*. Na jego mocy na pełnomocników do spraw frontów i ich podwładnych nałożono obowiązek „bezwłocznego podejmowania niezbędnych działań czekistowskich zapewniających zdemaskowanie i aresztowanie szpiegowsko-dywersyjnej agentury niemieckich służb wywiadowczych, terrorystów, członków rozmaitych wrogich grup bandycko-powstańczych, niezależnie od przynależności narodowej i obywatelstwa, odszukiwania i konfiskaty nielegalnych radiostacji, magazynów broni, podziemnych drukarni i innych środków materialno-technicznych przeznaczonych do wrogiej działalności”⁴. Katalog osób przewidzianych do aresztowania był długi. Sowietom zależało na przeprowadzeniu szeroko zakrojonej akcji, która miała doprowadzić do eliminacji w strefie przyfrontowej i na tyłach frontu wszelkich przejawów oporu. Obawiano się zwłaszcza zbrojnych wystąpień żołnierzy polskiego podziemia niepodległościowego, wiernych przysiędze Rządowi RP na Uchodźstwie. W następnym rozkazie z 6 lutego 1945 r. Beria nakazywał „surowo rozprawiać się z osobami podejrzanymi o dokonywanie aktów terroru i dywersji, poprzez bezlitosną likwidację na miejscu przestępstwa”⁵. Zgodnie z tym rozkazem rejestracji i zatrzymaniu podlegali wszyscy mężczyźni od lat 17 do 50, zdolni do noszenia broni. Ci z nich, którzy służyli w Wehrmachcie lub Volkssturmie (narodowe pospolite ruszenie, powołane do życia w 1944 r.), kierowani byli do obozów kontrolno-filtracyjnych, pozostali zaś do obozów pra-

Tablica upamiętniająca żołnierzy organizacji niepodległościowych więzionych i zamordowanych w Krzesimowie.

Fot. Paweł Skrok, Instytut Pamięci Narodowej w Lublinie



**Młyn i zabudowa-
nie obozowe,
stan obecny.**

Fot. Paweł Skrok, Instytut
Pamięci Narodowej
w Lublinie

cy w Związku Sowieckim. Kreml liczył na to, że w ten sposób stworzy armię pracy, która szybko zniweluje braki robotników w sowieckim przemyśle ciężkim.

Po rozpoczęciu ofensywy berlińskiej 18 kwietnia 1945 r. Beria wydał kolejny rozkaz, w którym dokonał istotnej korekty w dotychczasowej polityce „oczyszczania tyłów”. Pełnomocnikom NKWD nakazano zaprzestać wysyłania aresztowanych osób do ZSRS, a zamiast tego zorganizować niezbędną liczbę więzień i obozów, by utrzymać aresztowanych na miejscu. Wcześniejsze doświadczenia wskazywały, że zatrzymani byli całkowicie niezdolni do pracy w warunkach sowieckich łagrów dalekiej północy ZSRS i Syberii, gdzie

szybko umierali. Także nie bez znaczenia dla odbudowującej się ze zniszczeń wojennych gospodarki Związku Sowieckiego była kwestia utrzymywania niezdolnych do pracy internowanych w obozach i szpitalach specjalnych. Kwietniowy rozkaz stanowił kamień węgielny pod budowę miejscowych form gułagu w krajach okupowanych przez Sowieców w Europie Środkowej i Południowej.

Miejscowa forma gułagu

W podlubelskim Krzesimowie powstał pierwszy obóz pracy założony przez Urząd Bezpieczeństwa Publicznego (resort bezpieczeństwa publicznego PKWN). Utworzony w październiku 1944 r. pod nazwą Obóz



Pracy Przeszłych Politycznych i Podejrzanych, miał być przeznaczony zarówno dla kolaborantów niemieckiego okupanta, volksdeutschów, ludności niemieckiej (między innymi niemieckich wysiedleńców z Besarabii), zwykłych kryminalnych przestępców, jak i dla żołnierzy AK, NSZ, BCh i więźniów stalinowskiego systemu więziennictwa. Trafiło do niego co najmniej 2037 osób, w tym także starcy, kobiety i dzieci.

Na obóz zaadaptowano znacjonalizowany majątek ziemski po Kazimierzu Dreckim, który był ofiarą zbrodni katyńskiej. Posiadłość składała się z pałacu, trzech domostw i 14 budynków gospodarczych, przekształconych w baraki. Całość dóbr obejmowała 58 hektarów. Teren wokół obozu ogrodzono drutem kolczastym, postawiono też słupowe oświetlenie elektryczne. W pałacu znajdowała się administracja, tam też odbywały się przesłuchania więźniów. Na terenie obozu był ponadto karcer. Budynki przeznaczone na baraki dla więźniów nie miały łaźni, ubikacji i urządzeń dezynfekcyjnych, brakowało w nich okien, ogrzewania, nie było wentylacji. Stale unosił się w nich fetor rozkładającej się słomy. Baraki były przeludnione; w jednym budynku przebywało od 100 do 200 osób, w tym wielu chorych. Brak było koców i ciepłej odzieży, wszędzie panował brud. Za toalety służyły prowizoryczne doły kloaczne znajdujące się w centralnej części obozu.

W latach 1944–1946 z więzienia na Zamku w Lublinie do Krzesimowa w siedmiu dużych oraz dziewięciu mniejszych konwojach

przetransportowano co najmniej 487 więźniów. Zamek w Lublinie stanowił dla większości etap pośredni przed wędrowką do innych miejsc odosobnienia lub obozów pracy; pełnił funkcję więzienia karno-śledczego.

W okresie hitlerowskim był to centralny zakład karny niemieckiego okupacyjnego dystryktu lubelskiego. W ramach likwidacji więzienia pomiędzy 10 a 21 lipca 1944 r. na teren obozu koncentracyjnego na Majdanku Niemcy wywieźli co najmniej 1150 więźniów, których następnie zamordowali w samochodach wykorzystywanych w charakterze komór gazowych lub rozstrzelali w pobliżu krematorium. Tragicznego dnia 22 lipca 1944 r. w godzinach przedpołudniowych uciekający Niemcy wymordowali w celach zamku ok. 300 osób.

Potem, do końca sierpnia 1944 r., więzienie to służyło sowieckiemu aparatowi bezpieczeństwa, by we wrześniu przejść we władanie komunistycznego resortu bezpieczeństwa publicznego PKWN. Z więzieniem na Zamku w Lublinie organizacyjnie związane były obozy w Krzesimowie, Błudku i Poniatowej. Obóz w Poniatowej do marca 1945 r. był filią obozu w Krzesimowie, wcześniej działał tam obóz niemiecki, między innymi dla polskich Żydów deportowanych z warszawskiego getta i wymordowanych w listopadzie 1943 r. w ramach akcji „Dożynki” (Aktion Erntefest).

Komunistycznego obozu krzesimowskiego pilnował z zewnątrz specjalny oddział batalionu Wojsk Wewnętrznych, stacjonujący na Majdanku. Mimo że Krzesimów stał się centralnym obozem pracy na mocy okólnika mi-

**Pałac
w Krzesimowie**
Fot. Domena publiczna

nistra bezpieczeństwa publicznego z 25 kwietnia 1945 r., to nigdy nie był w pełni samodzielnym obozem; pozostał przez cały okres funkcjonowania filią więzienia na Zamku w Lublinie. Nowa oficjalna nazwa (Centralny Obóz Pracy w Krzesimowie) przestała obowiązywać już dwa miesiące później po wydaniu okólnika. Kres istnieniu Centralnego Obozu Pracy w Krzesimowie nadał okólnik nr 57 ministra bezpieczeństwa publicznego z 12 czerwca 1945 r. Proces wygaszania obozu trwał jednak długo, bo aż do grudnia 1946 r. Pełnił on wówczas funkcje kolonii rolnej więzienia na Zamku w Lublinie i obozu wychowawczo-poprawczego.

Żeby liczba się zgadzała

Więźniowie z Krzesimowa pracowali w pobliskim kamieniołomie (z wydobytego kamienia budowano drogę na odcinku Krzesimów – Mełgiew), przy wyrębie drzew, na polu i w oborach przy zwierzętach hodowlanych, młynie i magazynie zbożowym. Dzieci powyżej 12 roku życia wykonywały podobne prace jak dorośli. Najciężej było w kamieniołomach, gdzie brak sprzętu, sił i doświadczenia prowadził do dużej liczby wypadków, kończących się trwałymi okaleczeniami, złamaniami, a niekiedy śmiercią. System liczenia więźniów był przejęty z łagrów, co oznaczało, że jeśli ktoś w trakcie pracy zmarł, to należało go przywieźć do obozu, żeby liczba więźniów się zgadzała.

Dzień w obozie zaczynał się o godzinie 6.00 porannym apelem, na którym poszczególnym grupom więźniów przydzielano konkretne zadania. O 7.00 było śniadanie, po nim zaś rozpoczynała się praca, która trwała do 18.00, z jedną tylko przerwą na obiad o 13.00. Po dniu pracy wydawano więźniom kolację, a na wieczornym apelu liczone ich oraz informowano o zmarłych, ukaranych lub zbiegłych. Czasami służba więzienna przeprowadzała apele w poszukiwaniu pieniędzy, kosztowności i ostrych narzędzi, których oczywiście osadzeni nie mogli mieć przy sobie. Organizowanie takich apelów może wskazywać na istnienie w obozie tzw. szarej strefy.

Wyżywienie było niewystarczające dla ciężko pracujących i chorych, a także dla dzieci i kobiet karmiących. Więźniowie sami musieli zadbać o naczynia do jedzenia, przeważnie używali puszek po konserwach albo starych rondli. We wspomnieniach tych, co przeżyli, przewija się obraz głodowych racji żywności: pajda chleba z wodą na śniadanie, na obiad zamrożone kartofle, rzodkiew lub brukiew gotowane w wodzie. A na kolację „dawano tylko ciepłą wodę [...]”. Więźniowie zjadali obierki z kartofli czy innych warzyw i buraki cukrowe. Powodowało to bóle żo-

Dolina Krzyży – miejsce symbolicznych metalowych krzyży. Jeden z nich jest poświęcony właścicielowi majątku – Kazimierzowi Drekiemu, który został zamordowany w Katyniu.

Fot. Paweł Skrok, Instytut Pamięci Narodowej w Lublinie

łądka⁶. Wiosną 1945 r. w obozie wybuchła epidemia tyfusy. W niespełna pół roku zmarło 420 więźniów, głównie z powodu braku izolacji chorych od zdrowych. Zwłoki grzebano w pobliskim zagajniku, zwanym przez miejscową ludność „Pruszkowem”, położonym 150 m od obozu, niedaleko spichlerza i stodoły. Wysoka śmiertelność wśród więźniów w 1945 r. przyczyniła się do stopniowej likwidacji obozu w Krzesimowie.

Podobne epidemie wybuchły wówczas we wszystkich większych obozach w kraju: w Świętochłowicach, Jaworznie, Łambinowicach, Oświęcimiu, Potulicach. Takie były tragiczne początki „gułagów nad Wisłą”. Komunistyczne obozy pracy w Polsce zakończyły działalność po polskim Październiku '56, formalnie po ratyfikacji przez Radę Państwa PRL 23 czerwca 1958 r. konwencji nr 29 Międzynarodowej Organizacji Pracy o natchmiastowym i całkowitym zniesieniu pracy przymusowej lub obowiązkowej z 1930 r.

BOGUSŁAW KOPKA doktor habilitowany historii, pracownik Fundacji im. Janusza Kurtyki. Autor publikacji z zakresu II wojny światowej i dziejów PRL, w tym *Konzentrationslager Warschau. Historia i następstwa*, za którą otrzymał nagrodę KLIO, oraz *Gułag nad Wisłą: komunistyczne obozy pracy w Polsce 1944–1956*.

¹ Umowa podpisana w Moskwie 26 lipca 1944 r. między przewodniczącym PKWN Edwardem Osóbką-Morawskim a komisarzem Spraw Zagranicznych ZSRS Władysławem Mołotowem. *Armia Radziecka w Polsce 1944–1956. Dokumenty i materiały*, oprac. M.L. Krogulski, Warszawa 2003, s. 8–9. ² Tamże, s. 9. ³ Uchwała Państwowego Komitetu Obrony ZSRS z 20 lutego 1945 r., w: tamże, s. 22–24. ⁴ N. Pietrow, *Cień Sierowa*, „Karta” 1992, nr 9, s. 81. ⁵ Tamże, s. 82. ⁶ A. Wilk, *Funkcjonowanie Centralnego Obozu Pracy w Krzesimowie w latach 1944–1945*, „Aparat Represji w Polsce Ludowej 1944–1989” 2014, nr 1 (12), s. 52.





DOWÓDCA DOSKONAŁY

Dowodzony przez ppłk. Jana Maliszewskiego 35 Pułk Piechoty 1 września 1939 r. powstrzymał na Pomorzu niemiecką 2 Dywizję Zmotoryzowaną. Gdy Niemcy szykowali się do odwrotu za granicę, interwencja dowódcy korpusu gen. Heinza Guderiana opanowała płochliwe nastroje dywizji.

JERZY KIRSZAK

To piękny sukces taktyczny polskich obrońców, choć z góry przewidziano, że zajmowane pozycje będą musieli opuścić. Ich linie obronne miały być tylko pozycją opóźniającą. Dowodzony przez ppłk. Maliszewskiego 35 Pułk Piechoty zapisał jedną z piękniejszych kart historii kampanii polskiej, nie tylko podczas walki 1 września 1939 r., ale także w następ-

nych dniach, gdy jako jedyny polski oddział przebił się w zwartych szeregach z okrażeń w Borach Tucholskich. Bez doskonałego dowódcy pułku nie byłoby to możliwe.

Jan Maliszewski urodził się 21 stycznia 1895 r. w Modlinie. Jego ojciec był sternikiem na rosyjskim statku wojennym w twierdzy Modlin, dzięki czemu Janek obcował z wodą od dzieciństwa. Odegrało to kluczową rolę w wy-



JAN MALISZEWSKI

1. Absolwent seminarium nauczycielskiego w Ursynowie, 1914 r.

2. Ppłk dypl., lata 1936–1937.

3. Por. w mundurze Wojska Polskiego, 1919 r.

Fot. 1, 2, 3: Zbiory rodziny Jana Maliszewskiego/przekazane do publikacji Jerzemu Kirszakowi

4. Opinia po ukończeniu III Kursu Doszkolenia Wyższej Szkoły Wojennej z 1924 r. z doklejoną późniejszą fotografią.

Fot. Wojskowe Biuro Historyczne

borze profesji w dojrzałym życiu człowieka rozbrojonego po II wojnie światowej, o czym będzie dalej. Tymczasem w latach 1910–1914 uczęszczał do seminarium nauczycielskiego w Ursusie pod Warszawą. Jednocześnie działał w tajnej drużynie skautów, której 1 września 1913 r. został drużynowym.

W Wielkiej Wojnie

W niewydanych dotąd arcyciekawych wspomnieniach ppłk Maliszewski napisał, że wybuch I wojny światowej powitał „z entuzjazmem, jako zapowiedź wskrzeszenia Polski”¹. Usłyszał wówczas o tworzonych przez Józefa Piłsudskiego w Galicji oddziałach strzeleckich, do których przedrzeć się było trudno. Z kolei warszawskie biuro werbunkowe Legionu Puławskiego wywarło na nim złe wrażenie i ostatecznie w pierwszym roku Wielkiej Wojny do wojska nie wstąpił, rozpoczynając 1 września 1914 r. pracę nauczyciela w prywatnej szkole im. Antoniego Osuchowskiego w Warszawie. W sierpniu 1915 r. Niemcy zajęli Warszawę. Tuż przed tym rodzina Maliszewskich ewakuowała się za Dniepr. We wrześniu 1915 r. Jan wstąpił ochotniczo do armii rosyjskiej.

Po ukończeniu szkoły junkierskiej w Kijowie awansował na chorążego i 1 kwietnia 1916 r. otrzymał przydział do 193 Zapasowego Pułku Piechoty w Moskwie. W czerwcu wyruszył na czele kompanii marszowej na front. „15 lipca 1916 roku – wspominał po latach – znalazłem się po raz pierwszy w okopach”², pod Baranowiczami. Został dowódcą plutonu 8 kompanii 18 Wołogodzkiego Pułku Piechoty, 5 „Stalowej” Dywizji Piechoty. Od września 1916 r. dowodził oddziałem pieszych zwiadowców, prowadząc patrole i wypadki celem rozpoznania niemieckich stanowisk, w lutym 1917 r. zaś objął dowództwo 2 kompanii karabinów maszynowych tegoż pułku.

W marcu 1917 r. został przeniesiony na własną prośbę do formujących się oddziałów polskich i otrzymał przydział do 8 kompanii 1 Pułku Strzelców ppłk. Lucjana Żeligowskiego w Kijowie. „Entuzjastycznie przeżywałem fakt znalezienia się wśród swoich. Polska komenda, oficerowie i szeregowi – Polacy, polskie dystynkcje, tj. orzełki jagiellońskie na czapkach z amarantowym otokiem i srebrne naramienniki, wszystko to tworzyło nastrój, kontrastujący wybitnie z ponurą rzeczywistością w formacji rosyjskiej”³. Od czerwca dowodził 11 kompanią na froncie w Małopolsce Wschodniej, tzw. Galicji. Następnie wraz z pułkiem wszedł w skład formowanego I Korpusu Polskiego na

Wschodzie gen. Józefa Dowbora-Muśnickiego i wziął udział w walkach z bolszewikami. Podporucznikiem został w 1917 r., porucznikiem w 1918 r. Po rozwiązaniu I Korpusu, w czerwcu 1918 r. przedostał się do Warszawy. Wrócił do zawodu nauczyciela i jednocześnie został słuchaczem Wydziału Przyrodniczego Wolnej Wszechnicy. „Do Collegium uczęszczałem niewiele ponad miesiąc. Zerwałem z uczelnią definitywnie już w drugiej dekadzie października, o czym zdecydowało moje wstąpienie do wojska”⁴ – wspominał.

W odrodzonym Wojsku Polskim i w walkach z bolszewikami

Wstąpił 28 października 1918 r. do tworzonego Wojska Polskiego i kilka dni później odjechał do Piotrkowa Trybunalskiego celem organizacji oddziału, który wkrótce stał się 26 Pułkiem Piechoty. Po półrocznej służbie, między innymi jako dowódca kompanii, został w czerwcu 1919 r. słuchaczem I kursu Wojennej Szkoły Sztabu Generalnego w Warszawie (późniejszej Wyższej Szkoły Wojennej). Po ukończeniu kursu przybył 7 grudnia 1919 r. do Mińska Litewskiego na stanowisko I oficera sztabu Grupy Operacyjnej gen. Lucjana Żeligowskiego, by po upływie kolejnego półrocza zostać pod koniec czerwca 1920 r. szefem oddziału operacyjno-informacyjnego i zastępcą szefa sztabu ▶

17 Wielkopolskiej Dywizji Piechoty w 1 Armii. Zbiegło się to w czasie z kulminacją działań wojny Polski z bolszewicką Rosją.

Na Białorusi 4 lipca 1920 r. rozpoczęła się wielka ofensywa Michaiła Tuchaczewskiego. Będąc w odwodzie 1 Armii 17 DP, przeszła do kontrataku i wbijając się klinem w szereg bolszewickie zadała im duże straty. Jednak na skutek odwrotu sąsiadów i zagrożenia odcięciem, 5 lipca sama rozpoczęła odwrót. Z powodu zerwania łączności rozkazy nie dotarły do 34 Brygady Piechoty. Wtedy por. Maliszewski „przybył konno do brygady z ważnymi rozkazami. Sztab brygady znajdował się wówczas bezpośrednio za pierwszą linią. Por. [Jan] M[aliszewski] przebył całą przestrzeń tę w silnym ogniu artylerii i karabinowym i dowiózł rozkazy do brygady wykazawszy zimną krew

i osobistą odwagę. Zaznaczam, że przypadek opisany powyżej, nie był jedynym. Ponieważ linie telefoniczne często zostały zrywane, por. Maliszewski w każdej takiej potrzebie udawał się z rozkazami z determinacją i zupełnym ignorowaniem niebezpieczeństwa. Jako szef oddziału operacyjno-informacyjnego sztabu dywizji, pracował z nadzwyczajną energią i wytrwałością, dając jak najlepszy przykład całemu personelowi sztabu”⁵ – pisał we wniosku odznaczeniowym dowódca 34 Brygady Piechoty płk Stanisław Taczak. Rozpoczęty z początkiem lipca odwrót trwał nieprzerwanie sześć tygodni i zakończył się dlań w rodzinnym Modlinie. Stąd 15 sierpnia 1920 r. 17 Dywizja Piechoty, w składzie nowej 5 Armii gen. Władysława Sikorskiego, ruszyła do przeciwnatarcia, biorąc udział w Bitwie Warszawskiej. Porucznik Maliszewski swój szlak bojowy w tej wojnie zakończył na Suwalszczyźnie.

Major Sztabu Generalnego Jan Maliszewski, 1924 r.

Fot. Zbiory rodziny Jana Maliszewskiego / zdjęcie przekazane do publikacji Jerzemu Kirszakowi



Podczas pokoju

Po zakończeniu działań wojennych pozostał na zajmowanym stanowisku. W roku 1922 został zweryfikowany w stopniu kapitana. Rozpoczął 30 października 1923 r. naukę na rocznym kursie doszkolenia w Wyższej Szkole Wojennej w Warszawie, po ukończeniu którego otrzymał następującą opinię: „Wybitna indywidualność o prawie fanatycznym pokroju. Charakter silny i zdecydowany. Wyszkolony doskonale pod każdym względem”⁶. Już jako major (awansował w 1924 r.) otrzymał przydział do Oddziału IV Sztabu Generalnego, a w 1925 r. został szefem sztabu 15 Dywizji Piechoty. Później był jeszcze dowódcą I baonu 62 Pułku Piechoty, II oficerem sztabu generałów do prac przy Generalnym Inspektoracie Sił Zbrojnych: gen. Stefana Dęba-Biernackiego, następnie gen. Stanisława Burhardta-Bukackiego. Od połowy 1929 r. pełnił funkcję kierownika samodzielnego referatu operacyjnego „Polesie” w Oddziale III Sztabu Głównego, w tzw. Ekipie Operacyjnej marsz. Józefa Piłsudskiego. Wówczas po raz pierwszy zetknął się z Marszałkiem, o którym pisał: „to człowiek wyjątkowo zdolny, jeśli nie geniusz, to stojący na granicy genialności. Musiałem poddać rewizji moje poprzednie krytyczne ustosunkowanie się względem jego osoby. [...] zostałem olśniony jego wiedzą i trafnością sądów w dziedzinie, którą uważałem za swoją specjalność”⁷. Do stopnia podpułkownika awansował w 1932 r. W marcu 1933 r. został zastępcą dowódcy 13 Pułku Piechoty, a w lutym 1936 r. – I oficerem sztabu Inspektoratu Armii gen. Władysława Bortnowskiego w Toruniu. Jerzy Kirchmayer, ówczesny kapitan dyplomowany i też oficer toruńskiego inspektoratu, znany z krytycznej oceny korpusu oficerskiego II RP, w powojennych wspomnieniach dużo miejsca poświęcił Maliszewskiemu. Pisał o nim między innymi: „Był to oficer dużej miary wiedzą i charakterem. Tylko zupełnie wyjątkowo miałem możliwość spotkać w naszym wojsku oficerów tak wysokiej klasy. Łączył harmonijnie, bez wysiłku, duże



Zjazd absolwentów z okazji dziesięciolecia ukończenia III Kursu Doszkolenia Wyższej Szkoły Wojennej (1923–1924). Czwarty od lewej siedzi płk dypl. Gustaw Paszkiewicz, dalej płk dypl. Ignacy Matuszewski, gen. Sergiusz Zahorski, gen. Tadeusz Malinowski. W trzecim rządzie trzeci od lewej płk dypl. Stanisław Maczek; ppłk dypl. Jan Maliszewski – centralnie pod flagą narodową, Warszawa, 17 listopada 1934 r. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

zdolności, pracowitość, szlachetność charakteru, chęć brania na siebie odpowiedzialności, wielką sprężystość fizyczną i prostotę w obejściu. [...] miał jeszcze jedną rzadko u naszych sztabowców spotykaną zaletę. Nie uważał przełożonego za nietykalnego Buddę”⁸.

Objął 5 lutego 1938 r. dowództwo 35 Pułku Piechoty w Brześciu nad Bugiem wchodzącego w skład 9 Dywizji Piechoty. Jesienią 1938 r. na Wołyniu w okolicach Łucka odbyły się pod kierownictwem marsz. Edwarda Śmigłego-Rydza wielkie manewry sił zbrojnych II RP. Po ich zakończeniu marszałek pochlebnie wyraził się o skutecznej obronie 35 Pułku Piechoty przed bronią pancerną strony przeciwnej, dzięki wykorzystaniu przeszkód naturalnych. Być może dlatego kończąca manewry ostatnią wielką polską defiladę 60 000 żołnierzy przed marsz. Śmigłym prowadził 35 Pułk Piechoty z jadącym na koniu ppłk. dypl. Janem Maliszewskim na czele. Mobilizację 9 Dywizji Piechoty zarządził 23 marca



Ppłk dypl. Jan Maliszewski, 1933 r. Fot. Wojskowe Biuro Historyczne

1939 r. W czerwcu 35 Pułk Piechoty odjechał transportami kolejowymi na Pomorze i przeszedł na pozycję położoną na zachód od Tucholi, gdzie przystąpiono do prac fortyfikacyjnych. Przygotowywany do obrony odcinek miał ponad 40 km długości. Natomiast linia obrony pułku wynosiła ok. 25 km, w sytuacji gdy *Ogólna instrukcja walki* z 1930 r., której notabene Maliszewski był współredaktorem, przewidywała dla pułku piechoty obronę odcinka o długości 5 km. Tym samym pięciokrotnie przekroczono długość odcinka, przewidywaną do skutecznego oporu przez podstawowy oddział Wojska Polskiego, jakim był pułk piechoty. Do obrony tej pozycji wykorzystano podmokłe przesmyki między jeziorami, bagna Obrowa i strumień Wytrych. Wybudowano 6 z zaplanowanych 26 żelbetowych i drewnianych schronów bojowych, na całej linii wykonano rowy strzeleckie i przeszkody z drutu kolczastego.

Odcinek obrony 9 Dywizji Piechoty w składzie Armii „Pomorze” w Borach Tucholskich wynosił ok. 70 km. ▶



**MURNAU
1943-1944**

Grupa polskich oficerów w niemieckiej niewoli. Pierwszy z lewej siedzi ks. kapelan Tadeusz Kirschke, czwarty gen. dyw. Juliusz Rómmel, pierwszy z prawej siedzi ppłk dypl. Jan Maliszewski.

Fot. Zbiory rodziny Jana Maliszewskiego/
zdjęcie przekazane do publikacji
Jerzemu Kirszakowi

Północne jego skrzydło tworzył 35 Pułk Piechoty, a południowe 22 Pułk Piechoty. Luka między tymi pułkami wynosiła 20 km. Obsadzała ją jedynie jedna kompania 22 Pułku Piechoty z jednym działkiem przeciwpancernym. W odwodzie pozostawał 34 Pułk Piechoty, którego zadaniem było między innymi przeciwstawienie się nieprzyjacielowi w przerwie między 35 a 22 Pułkiem Piechoty.

Maliszewski contra Guderian

Rankiem 1 września 1939 r. na tak ugrupowaną dywizję uderzył XIX Korpus Pancerny gen. Heinza Guderiana. Już w samych wielkich jednostkach Niemcy mieli przewagę przeszło trzykrotną.

Okolo południa cały odcinek 35 Pułku Piechoty znalazł się w ogniu niemieckiej artylerii, który nie wyrządził jednak poważniejszych szkód. Po nawale ogniowej do natarcia przeszła 2 Dywizja Piechoty Zmotoryzowanej, atakując na całej długości linię obrony pułku. Pomimo wsparcia nieprzyjacielskiej piechoty przez broń pancerną kilkakrotne ataki powstrzymano. O sile polskiego ognia na tym odcinku niech świadczy sięgająca kolan warstwa łusek karabinowych w schronie w Drozdzienicy.

W ciągu całego dnia 2 DPZmot. nie uzyskała powodzenia i poniosła poważne straty w zabitych i rannych oraz zniszczonych kilku wozach bojowych. Zwycięzca

okazał się 35 Pułk Piechoty, który odparł liczniejszego, lepiej wyposażonego i mającego silniejsze uzbrojenie nieprzyjaciela. Polacy ponieśli przy tym niewielkie straty – wynoszące ok. 30 (głównie rannych) żołnierzy – w stosunku do tych, które zadali Niemcom. Powodzenie to było możliwe dzięki mocnemu oparciu w korzystnie dobranych i wcześniej umocnionych pozycjach, a także dzięki postawie ppłk. Maliszewskiego, który samochodem, konno lub pieszo – jeśli drogi były pod zbyt wielkim ostrzałem – docierał do walczących oddziałów i własnym przykładem wpływał na morale żołnierzy. Zwieńczeniem sukcesu był przeprowadzony wieczorem wypad odwodowej 6 kompanii kpt. Bogusława Białka, który na czele 120 żołnierzy uderzył na zajęte wcześniej przez Niemców Siciny. Kapitan Białek, chcąc ulżyć swoim żołnierzom, rozkazał zostawić plecaki w okopach. Wprowadziło to Niemców w błąd i było powodem ich późniejszych meldunków, w których podawali, że byli atakowani przez kawalerię, której się bali panicznie. W dowództwie dywizji zaczęto też rozważać odwrót za granicę dla uporządkowania szeregów. Dopiero interwencja dowódcy korpusu powstrzymała ten zamiar. Generał Heinz Guderian wspominał: „Meldunki z 2 zmotoryzowanej dywizji piechoty donosiły, że jej natarcie utknęło przed polskimi zasiekami z drutu kolczastego. Wszystkie jej trzy pułki piechoty były roz-

winięte w jednym rzucie; dywizja nie posiadała już żadnych odwodów”⁹. Polscy żołnierze według Guderiana byli mężnym i uporczywym przeciwnikiem. Wysoką ocenę obrońcom wystawił też adiutant niemieckiego I dywizjonu 2 Pułku Artylerii Zmotoryzowanej: „teren przedpola, na którym działali [atakujący], był w polu śmierci licznej polskiej broni maszynowej, świetnie zamaskowanej, nieuchwytniej dla obserwatorów artylerii”¹⁰.

Tymczasem niemiecka 3 Dywizja Pancerna, nie zwracając uwagi na położony raptem o 3,5 km na północ od osi jej marszu polski 35 Pułk Piechoty, parła nieprzerwanie na wschód. Tylko dzięki sztywnemu trzymaniu się przez tę dywizję planu jak najszybszego dojścia do Wisły, 35 Pułk Piechoty uniknął całkowitego pogromu już 1 września. Jednak droga na południe została całkowicie odcięta. Podpułkownik Maliszewski otrzymał 2 września rozkaz przebiccia się na południe i otwarcia przejścia reszcie odciętej 9 Dywizji Piechoty. Pod Klonowem doszło do zażartego, pięciogodzinnego boju. Przeciwnikiem 35 Pułku Piechoty była tym razem 23 Dywizja Piechoty z XIX KPanc., niebiorąca dotąd udziału w walkach i posuwająca się za korpusem. Nie mając wsparcia artylerii, 35 Pułk Piechoty nie zdołał przełamać niemieckich pozycji i poniósł ogromne straty – ok. 1000 żołnierzy zabitych, rannych i rozproszonych. Starty niemieckie również były poważne. Poległ, podrywając żołnierzy do ataku, dowódca plutonu 9 Poczdamskiego Pułku Piechoty por. Heinrich von Weizsäcker, syn sekretarza stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych III Rzeszy Ernesta i brat Richarda, późniejszego prezydenta Republiki Federalnej Niemiec, także służącego w 9 Poczdamskim Pułku Piechoty i biorącego udział w tej walce.

W następnych dniach ppłk Maliszewski z resztą swego oddziału działał na tyłach niemieckich. Ostatecznie 5 września wyrwał się z okrążenia, przyprowadzając do Bydgoszczy ok. 400 żołnierzy. „Oddział wyprowadzony przez ppłka Jana Maliszewskiego był jedynym oddziałem piechoty, który zdołał się w szyku zwartym wyrwać z okrążenia w Borach Tucholskich. Stanowił też przykład, do jakich poświęceń i ofiarności był zdolny żołnierz, gdy wiedział, że jest mądrze kierowany, a jego dowódca jest razem z nim i dzieli ten sam trud”¹¹ – pisał historyk Konrad Ciechanowski.

Klęska nad Bzurą

Nazajutrz, na odprawie u dowódcy Armii „Pomorze” w Toruniu, ppłk Maliszewski otrzymał rozkaz odmaszerowania z oddziałem do Warszawy, gdzie pułk miał zostać uzupełniony i dozbrojony. Wraz ze szczątkowym 35 Pułkiem Piechoty 9 września osiągnął Gostynin. Tu otrzymał rozkaz wstrzymania marszu do Warszawy. Wkrótce przystąpił do odtworzenia pułku z gromadzących się w tym rejonie rozbitych oddziałów 9 Dywizji Piechoty, w wyniku czego udało się sformować dwuba-

talionowy pułk w sile ok. 1000 żołnierzy, jednak bez broni przeciwpancernej. Na jego czele dotarł 12 września nad Bzurę w rejonie Biała Góra – Brochów, gdzie w składzie nowo utworzonej Grupy Operacyjnej gen. Michała Tokarzewskiego-Karaszewicza objął dowództwo Oddziału Wydzielonego swego imienia. W tym czasie kończyła się pierwsza faza bitwy nad Bzurą. Zadaniem oddziału ppłk. Maliszewskiego była między innymi obrona przeprawy przez Wisłę przy ujściu Bzury pod Wyszogrodem. Odparto tam Niemców próbujących sforsować rzekę 12 i 13 września. Wieczorem 13 września ppłk Maliszewski otrzymał rozkaz przejścia na zachód w rejon Świniar (na południowy wschód od Płocka) i oczyszczenia terenu z oddziałów nieprzyjaciela. Był to ciężki marsz, pod prąd wycofujących się innych oddziałów. Nakazany rejon osiągnięto nazajutrz, jednak nieprzyjaciela tam nie było. W oczekiwaniu na dalsze rozkazy stracono bezcenne dwa dni i dopiero wieczorem 16 września przyszedł rozkaz powrotu nad Bzurę. Tak Jan Maliszewski wspominał odwrót pułku rozpoczęty wczesnym rankiem 17 września: „marsz do Świniar był spacerkiem w porównaniu z tym, czego doznałiśmy w tym dniu. Lotnictwo niemieckie trzymało nas nieustannie pod ogniem broni pokładowej i bomb z najniższych wysokości. Najtrudniejsze warunki zaistniały z momentem wyjścia na otwartą dolinę Wisły. [...] Tempo marszu było tak niskie, że np. w ciągu 3 godzin po południu tego dnia zdołaliśmy przebyć zaledwie około 6 km”¹². Nad ranem 18 września resztki pułku dotarły w pobliże Bzury i zostały rozbite przy próbie forsowania rzeki.

Podpułkownik postanowił nie poddawać się do niewoli i wraz z towarzyszącym mu mjr. Kazimierzem Poschingerem podjął próbę przejścia do broniącej się Warszawy. Znajdując się na tyłach Niemców, oficerowie ukryli się pod dachem stodoły, w snopach zboża. Niemcy kwaterowali wokół; gdy przeszukiwali stodołę, wyciągając snopy, odkryli tam innego oficera, jednak zakopanej głębooko dwójki nie znaleźli. O 22.00 szczęśliwie wymknęli się z kryjówki, ale kilka godzin później znów wpadli na Niemców i trafili do niewoli. Odprowadzany w kolumnie jeńców do Żyrardowa Maliszewski uciekł ponownie i przez kilka dni ukrywał się w pobliskiej gajówce. Ostatecznie znalazł się w niewoli „na dnie nędzy żołnierskiej, pozbawiony możliwości i woli walki”¹³.

W niemieckiej niewoli i 2 Korpusie Polskim we Włoszech

Po krótkim pobycie w obozach przejściowych, w listopadzie 1939 r. Jana Maliszewskiego przewieziono do obozu VII A Murnau. Do lata 1944 r. był tam starszym bloku E. „Pod moją komendą w budynku E było 217 najmłodszych podporuczników od rocznika 1917 poczynając. Moim zadaniem było czuwać nad stanem ducha tej młodzieży ▶

1



Fot. 1-4: Żołnierze 35 Pułku Piechoty ppłk. Maliszewskiego na manewrach, lato 1938 r. Fot. Zbiory rodziny Jana Maliszewskiego/ przekazane do publikacji Jerzemu Kirszakowi

2



5. Płk dypl. Ludwik Rudka (stoi tyłem) przekazuje dowództwo pułku ppłk. dypl. Maliszewskiemu. Za Maliszewskim dowódca 9 Dywizji Piechoty gen. bryg. Wilhelm Orlik-Rückemann, Brześć nad Bugiem, 9 lutego 1938 r.

Fot. Zbiory rodziny Jana Maliszewskiego/ zdjęcie przekazane do publikacji Jerzemu Kirszakowi



5

i czynić wszystko, co się da, aby utrzymać morale i dyscyplinę na odpowiednim poziomie”¹⁴ – wspominał. Pod koniec wojny starszy obozu gen. dyw. Juliusz Rómmel napisał charakterystyki 219 oficerów od stopnia podpułkownika wwyż. Opiniowanie to miało posłużyć ewentualnemu powojennemu wykorzystaniu owych oficerów. Maliszewski należał do stosunkowo rzadkiej grupy, która według gen. Rómmla zasługiwała na awans i na stanowisko dowódcy pułku oraz do pracy w sztabach. Obóz w Murnau 29 kwietnia 1945 r. wyzwolili Amerykanie. Dwa miesiące później ppłk Maliszewski, w gronie oficerów zakwalifikowanych do czynnej służby w 2 Korpusie, odjechał do 5 Kresowej Dywizji Piechoty w San Benedetto del Tronto nad Adriatykiem. Po parotygodniowej rekonwalescencji został skierowany na dwumiesięczny kurs doszkoleniowo-informacyjny i w październiku 1945 r. został zastępcą szefa Komisji Studiów przy Bazie 2 Korpusu w Bari. Z dniem 1 stycznia 1946 r. awansował do stopnia pułkownika. Odpłynął z Neapolu wraz z ewakuowanymi do Wielkiej Brytanii oddziałami 2 Korpusu 15 lipca 1946 r. Wkrótce otrzymał Order Virtuti Militari za kampanię wrześniową. „Nie było ani orkiestry, ani uroczystego bankietu. [...] Jacyż dalecy byliśmy wówczas od entuzjazmu i wspólniejszej oprawy takiej uroczystości! W głębokiej zadumie z goryczą i żalem w duszy, wracałem do Aberayrem. Nie miałem z kim podzielić się radością, której przyplwy nie mogłem odczuwać”¹⁵.

Stary człowiek i morze

Po demobilizacji Polskich Sił Zbrojnych wstąpił do Polskiego Korpusu Przynależności i Rozmieszczenia, w którym ukończył kurs rybołówstwa dalekomorskiego w Aberdeen w Szkocji. Od maja 1948 r. wypływał na trawlerach z portu Swansea w Walii na połowy dalekomorskie po Atlantyku. W lipcu 1950 r. został robotnikiem w gazowni miejskiej w Swansea, jednak już po roku wrócił do rybołówstwa, gdyż – jak później wspominał – „Źródło wyboru awantury rybackiej tkwiło w sferze psychicznej. Fizycznie trudne, ale zdrowe warunki pracy na morzu dawały mi zapomnienie, pozwalały mi łatwiej trwać i wytrwać”¹⁶. W czasie tych wypraw John zadziwiał dwudziesto-, trzydziestoletnich angielskich rybaków swoją sprawnością fizyczną, a miał już prawie 60 lat. Praca na morzu miała dla niego też inny walor, zarobki były tam bowiem dwukrotnie większe niż na lądzie, co dawało możliwość pomocy pozostawionej w Polsce rodzinie. Utrzymywał z nią kontakt korespondencyjny, podpisując się innym nazwiskiem, żeby nie ściągnąć na najbliższych ewentualnych represji ze strony komunistycznego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. Pod koniec 1955 r. otrzymał list od żony, w którym ta napisała, że może już wracać bezpiecznie do Polski. Zdecydował się na powrót i polskim statkiem „Lublin” przyplynał 12 maja 1956 r. z Londynu do Gdyni. Na nabrzeżu oczekiwali go dwaj synowie i córka, których nie widział od 17 lat.



„To ten pułkownik...”

Zamieszkał z rodziną we Wrocławiu. Rok później wyjechał jeszcze do Anglii, żeby uporządkować i pozamykać tam swoje sprawy. Spotkał się wówczas z byłym oficerem sztabu Armii „Pomorze” ppłk. dypl. Czesławem Kopańskim, który w liście do ich wspólnego przełożonego – gen. dyw. Władysława Bortnowskiego – pisał, że „Maliszewski robił wrażenie »przederwowanego«, [tak w tekście] był zmęczony, nosił poszarzały garnitur; w rozmowie oświadczył, że »Kraj walczy o zachowanie polskości i wszyscy są przeciwni obecnemu reżimowi«¹⁷.

W latach 1956–1967 pracował jako referent, a później kierownik działu zakupów Motozbytu (opracowywał zamówienia na części zamienne do samochodów importowanych). Równolegle w latach 1956–1959 był lektorem języka angielskiego w Instytucie Higieniczno-Bakteriologicznym we Wrocławiu, a następnie prywatnie udzielał lekcji.

Z dniem 1 listopada 1967 r. przeszedł na emeryturę. Uczestniczył w życiu środowisk kombatanckich, w latach 1970–1971 był przewodniczącym Podkomisji do spraw Odznaczeń Bojowych za Wojnę Obronną 1939 r. dla 9 Dywizji Piechoty, działającej przy Związku Bojowników o Wolność i Demokrację. Sporządził większość wniosków o odznaczenie weteranów tej dywizji. Działał też na rzecz upamiętnienia żołnierzy i oficerów 35 Puł-

ku Piechoty; między innymi z powodu próby wmurowania tablicy w kościele w Bielsku Podlaskim był rozpracowywany przez peerelowską Służbę Bezpieczeństwa. Nie krył oburzenia na podejście władz, które odmówiły wmurowania tablicy. „Równie niechlubnego postępowania nie mógłbym oczekiwać nawet za czasów carskich w okresie najwyższego ucisku”¹⁸ – wspominał.

Maliszewski był obdarzany niezwykłą inteligencją, co podkreślali wszyscy opiniujący. Znał przy tym bardzo dobrze języki rosyjski i angielski, dobrze francuski i niemiecki. Był też zapałonym sportowcem; uprawiał sporty wodne, narciarstwo i jazdę konną, zachowując niebywałą kondycję do późnej starości. Dobięając 90 lat życia, odbywał niemal codziennie kilkukilometrowe marsze w Parku Południowym we Wrocławiu, a zimą jeździł po tamtejszym stawie na łyżwach. Podczas jednego z takich marszów został w 1984 r. napadnięty i pobity przez nieznaną sprawców. Według relacji synowej, mógł to nie być przypadek, pułkownik słynął bowiem z bezkompromisowości i bez ogródek głosił prawdę historyczną (w tym o Katyniu) podczas spotkań z kombatanami, młodzieżą, a nawet przygodnie spotkanym ludziom na ulicy, w tramwajach i pociągach. Było to tym niebezpieczniejsze, że u schyłku życia Maliszewski prawie oślepnął i, co częste wśród osób niedosłyszących, mówił bardzo głośno. Nie można więc wykluczyć, że i ta działalność pułkownika skupiła uwagę Służby Bezpieczeństwa, ściągając gniew na prostolinijnego starca. Zaś o tym, że był znany SB, niech świadczy zachowanie jednego z milicjantów spisujących protokół po pobiciu Maliszewskiego, który powiedział: „Aaa, to ten pułkownik...”. Ostatecznie sprawców pobicia nie znaleziono, a sprawę umorzono. Pułkownik po tym zdarzeniu nie odzyskał już sił i zaczął podupadać na zdrowiu. Zmarł wkrótce po swoich 91 urodzinach, 30 stycznia 1986 r. Pochowany został na Cmentarzu Grabiszyńskim we Wrocławiu.

JERZY KIRSZAK doktor habilitowany, pracownik Instytutu Pamięci Narodowej i Wojskowego Biura Historycznego. Specjalizuje się w historii wojskowości pierwszej połowy XX w. oraz biografistyce kadry oficerskiej Polski niepodległej i na emigracji. Autor m.in. monografii *Generał Kazimierz Sosnkowski 1885–1969; Armia Rezerwowa gen. Sosnkowskiego w roku 1920; Twórca Niepodległej. Józef Piłsudski 1867–1935* (wspólnie z Markiem Gałęzowskim); *Generał Roman Szymański. Żołnierz Pierwszej Kompanii Kadrowej, zdobywca Monte Cassino*.

¹⁷ J. Maliszewski, *Żołnierz II Rzeczypospolitej. Wspomnienia*, Wrocław 1975, mps w zbiorach Jerzego Kirsza, s. 17. ¹⁸ Tamże, s. 35. ¹⁹ Tamże, s. 54. ²⁰ Tamże, s. 78.

²¹ Centralne Archiwum Wojskowe, Jan Maliszewski, KW-74/M-714, Wniosek na odznaczenie Krzyżem Walecznych, 21 maja 1921 r. ²² CAW, Wyższa Szkoła Wojenna, I.340.1.231, k. 17. ²³ J. Maliszewski, *Żołnierz...*, s. 151. ²⁴ J. Kirchmayer, *Pamiętniki*, Warszawa 1962, s. 488. ²⁵ H. Guderian, *Wspomnienia żołnierza*, Warszawa 1991, s. 61. ²⁶ Cyt. za: J. Kirszak, *35 Pułk Piechoty*, Pruszków 2000, s. 39. ²⁷ K. Ciechanowski, *Armia „Pomorze” 1939*, Warszawa 1982, s. 217. ²⁸ J. Maliszewski, *Żołnierz...*, s. 295. ²⁹ Tamże, s. 304. ³⁰ Tamże, s. 306. ³¹ Tamże, s. 344. ³² Tamże, s. 367. ³³ Cyt. za: R. Ziobron, *Historia żołnierza tułacza. Działalność emigracyjna generała Władysława Bortnowskiego*, Rzeszów 2009, s. 396. ³⁴ J. Maliszewski, *Żołnierz...*, s. 415.

Polskie wraki w ORP „Grom” i MS

Między kwietniem a czerwcem 1940 r. polskie okręty i statki brały udział w działaniach wojennych w ramach kampanii norweskiej. W tym roku minęła osiemdziesiąta rocznica tych wydarzeń.

ANDRZEJ W. ŚWIĘCH, RADOSŁAW BIZOŃ

**Płonący
MS „Chrobry”
w norweskim
fiordzie.**

Fot. Narodowe Archiwum
Cyfrowe, Czesław Datka,
zespół; Archiwum Fotogra-
ficzne Tadeusza
Szumańskiego

Dwa dni po niemieckim ataku na Polskę, 3 września 1939 r. Norwegia ogłosiła neutralność. Wówczas stosunkowo ubogi kraj – kontrastujący mocno z jego współczesną zamożnością – miał ograniczone możliwości militarne, słabo rozwinięte połączenia kolejowe i drogowe, a główne szlaki transportowe prowadziły drogą wodną. Na północy, w miejscowości Narvik, znajdował się niezamarzający w zimie port, który dzięki połączeniu kolejowemu ze

szwedzką Kiruną, z której transportowano rudę żelaza, miał strategiczne znaczenie.

Podjęte w 1940 r. działania militarne obu stron w stosunku do państwa fiordów podyktowane były chęcią objęcia kontroli nad dostawami surowca. Istotny powód stanowiło również położenie norweskich portów, których kontrola mogła mieć wpływ na dominację na Morzu Północnym. Niemiecka operacja „Weserübung”, czyli inwazja na Danię i Norwegię, miała na celu zapewnienie dostaw surowca

Norwegii – „Chrobry”

z dalekiej północy i pokrzyżowanie brytyjskich planów odcięcia dostępu III Rzeszy do Norwegii. Kampania norweska stanowiła jedynie spóźnioną reakcję Zachodu na działania sił Adolfa Hitlera.

W alianckiej operacji, zmierzającej do przeciwdziałania niemieckiej inwazji na Norwegię, uczestniczyli Polacy. Żołnierze Samodzielnej Brygady Strzelców Podhalańskich pod dowództwem gen. Zygmunta Szyski-Bohusza mieli znaczny udział w zwycięstwie w walkach o Narwik. Polskie okręty i transatlantyki wykorzystywano jako jednostki transportowe. Do Norwegii wysłane zostały niszczyciele (ORP „Grom”, ORP „Błyskawica” i ORP „Burza”), okręty podwodne (ORP „Orzeł” i ORP „Wilk”) oraz statki pasażerskie (MS „Chrobry”, MS „Batory” i MS „Sobie-

ski”). Dzień przed planowaną na 9 kwietnia 1940 r. inwazją III Rzeszy, ORP „Orzeł” zatopił zmierzający ku Norwegii niemiecki transportowiec MS „Rio de Janeiro”.

Straty obu stron sięgnęły ponad 700 żołnierzy i 70 różnego rodzaju jednostek pływających, w tym dwóch polskich. Samodzielna Brygada Strzelców Podhalańskich podczas walk o Narwik straciła 97 żołnierzy. Polskie niszczyciele swój udział przypłaciły utratą ORP „Grom” zatopionego 4 maja 1940 r. przez niemiecki bombowiec Heinkel He-111 podczas patrolu w fiordzie Rombakken. Śmierć poniosło 59 członków załogi. Niespełna dwa tygodnie później, 14 maja, również w wyniku ataku lotnictwa, w Vestfjorden zatonął transportowiec MS „Chrobry”. Przewoził wówczas ok. 1000 irlandzkich żołnierzy. ▶



1



2



3

1. Wyrzutnia torped na wraku ORP „Grom”. Zdjęcie wykonane podczas wyprawy ekspedycyjnej polskich nurków na wrak tej jednostki w 2010 r.

2. Fragment jednego z dział z pokładu ORP „Grom”. Zdjęcie wykonane podczas wyprawy ekspedycyjnej polskich nurków na wrak tej jednostki w 2010 r.

3. Osłona działa na wraku ORP „Grom”. Zdjęcie wykonane podczas wyprawy na wrak tej jednostki w 2010 r.

Fot. 1, 2, 3: Radosław Bizoń

Zginęło 13 członków załogi – Polaków i Brytyjczyków – oraz niespełna 30 z przewożonych wojskowych. Obie jednostki spoczęły na dnie fiordów stając się podwodnymi mogiłami.

„Przeklęty Polak”

W 1935 r. Marynarka Wojenna II RP podpisała kontrakt ze stocznia John Samuel White & Co Ltd. z Cows w Wielkiej Brytanii na budowę dwóch niszczycieli. Prace nad jednostkami rozpoczęły się tego samego roku. Pierwszy z budowanych okrętów 5 maja 1936 r. otrzymał nazwę „Grom”. Jego wodowanie odbyło się 27 lipca o godz. 13.10, a banderę podniesiono 11 maja 1937 r. Tym samym osiągnął on gotowość bojową i oficjalnie wszedł do służby. Pierwszym dowódcą został kmr por. Stanisław Hryniewiecki. Tego samego dnia, o godz. 20.00 okręt wyruszył w swój pierwszy rejs do Gdyni. Po drodze zawinął do Göteborga, aby pobrać amunicję do dział. Do Gdyni „Grom” dotarł 16 maja. Uroczystie zaprezentowano go po raz pierwszy podczas obchodów Święta Morza 29 czerwca 1937 r.

Tuż przed wybuchem II wojny światowej przeżycie marynarki wojennej III Rzeszy (Kriegsmarine) na Bałtyku była na tyle duża, że polskie dowództwo postanowiło ewakuować na Zachód najcenniejsze okręty, które w późniejszym okresie utworzyły Polski Oddział Marynarki Wojennej (Polish Naval Detachment). W ramach planu „Peking” ORP „Grom” 30 sierpnia 1939 r. wraz z dwoma innymi niszczycielami – ORP „Burza” i ORP „Błyskawica” – odplynęła do Wielkiej Brytanii. Tam rozpoczął służbę eskortową na Kanale Angielskim, w ochronie konwojów wychodzących na Atlantyk i wracających z tego akwenu. Po remoncie dostosowywanych do warunków oceanicznych ORP „Grom” wraz z pozostałymi polskimi niszczycielami wychodził na patrole w rejon Morza Północnego. Do końca marca 1940 r. odbył ich 18. „Grom” 19 kwietnia 1940 r. wyszedł z bazy w Scapa

Flow i udał się do Narwiku. Tam u wybrzeży Norwegii rozpoczął służbę 23 kwietnia, patrolując wody przybrzeżne i ostrzeliwując baterie niemieckiej artylerii. Okręt na tyle dał się we znaki nieprzyjacielowi, że zyskał przydomek „przeklęty Polak”. Niszczyciel został ostrzelany 3 maja pociskami kalibru 88 mm, w wyniku czego doznał uszkodzeń armatury jednego z silników, co spowodowało konieczność jego wyłączenia. Ta awaria prawdopodobnie spowodowała, że gdy wczesnym rankiem 4 maja 1940 r. na niebie pojawił się niemiecki He-111, polski okręt stał w bezruchu, stając się łatwym celem ataku. Samolot zrzucił bomby, z których dwie trafiły w pokład. Eksplozja była tak potężna, że polski okręt przełamał się i zatonął w fiordzie Rombakken w ciągu zaledwie czterech minut, a wraz z nim na dno poszło 59 członków załogi – 1 oficer, 14 podoficerów starszych, 21 podoficerów młodszych i 23 marynarzy. Powodem tak potężnej eksplozji i szybkiego zatonięcia mógł być wybuch torped załadowanych do wyrzutni nr 2. Znajdujące się w pobliżu brytyjskie okręty podjęły ocalałych rozbitków. Uratowało się 16 oficerów oraz 114 podoficerów i marynarzy. Przez 40 lat wrak ORP „Grom” leżał w norweskim fiordzie niezauważony. Dopiero 6 października 1980 r. namierzyła go na ponad 100 m głębokości jednostka Królewskiej Marynarki Wojennej Norwegii (Sjøforsvaret).

Wrak ORP „Grom” leży na łagodnie opadającym stoku, tworzącym podwodny grzbiet pomiędzy dwoma głębokimi dolinami. Gdyby opadając, zdryfował lekko na południe, prawdopodobnie dzisiaj znajdowałby się na głębokości ponad 300 m, co mocno utrudniałoby

Niszczyciel ORP „Grom” na morzu.

Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe, zespół: KoncERN Ilustrowany Kurier Codzienny – Archiwum Ilustracji

jego penetrację. Część dziobowa leży do góry dnem, przygniatając nadbudówki wraz z imponującymi działami. Część rufowa opadła kilkanaście metrów dalej na stępkę, prawie równoległe do części dziobowej.

Służby Królewskiej Marynarki Wojennej Norwegii dokonały pierwszej prospekcyjnej wycieczki między innymi w ramach programu mającego na celu ocenę zagrożenia dla środowiska naturalnego. Potwierdzono wówczas dużą ilość zalegającej na wraku amunicji i zdemontowano naktuz (podstawę kompasu okrętowego). W 1996 r. wykonano kolejne rozpoznanie, które Norweska Administracja Wybrzeża (Kystverket) zleciła firmie Stolt Comex Seaway A/S. Ilość paliwa znajdująca się na wraku określono na ok. 135 ton. Stwierdzono wówczas brak wycieku, ale zalecono dalsze monitorowanie w kolejnych latach. ORP „Grom” znalazł się w raporcie Norweskiej Administracji Wybrzeża z 2006 r. dotyczącym potencjalnie niebezpiecznych dla środowiska wraków.

Pierwszym Polakiem, a równocześnie drugą osobą nurkującą do wraku był Mirosław Standowicz, który w 2004 r. wykonał pierwszy opis jednostki i nakręcił krótki film. W następnych latach próby wykonania nurkowań i dokumentacji wraku zakończyły się niepowodzeniem. Polski niszczyciel leży w miejscu trudnym do nurkowania, głównie ze względu na niezwykle mocne prądy pływowe, które doprowadziły do kilku groźnych sytuacji podczas parokrotnego nurkowania. Temperatura także nie sprzyja długiemu pobytowi pod wodą. Nurkowania na większych głębokościach wiążą się z narażeniem na chorobę dekompresyjną. Aby jej zapobiec, nurek musi wykonywać przystanki dekompresyjne w trakcie wynurzenia. Kilkunastominutowe nurkowanie na głębokość ok. 100 m skutkuje przeszło godziną dekompresją, kiedy nurek nie może się wynurzyć. W takich warunkach na przykład nieszczelność skafandra może zakończyć się poważną hipotermią.

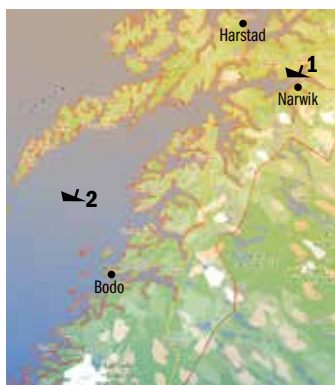
W 2010 r. Glob Diving Club zorganizował wyprawę, która miała na celu dokumentację wraku. Operatorzy kamer Krzysztof Sarnowski i Marek Klyta nakręcili wówczas materiał filmowy, a Radosław Bizoń wykonał zdjęcia wraku przedstawiające jego obecny stan. W tym czasie kapitanat portu w Narwiku bardzo niechętnie udzielał pozwoleń na nurkowanie z obawy o bezpieczeństwo nurków. Z czasem zakazy złagodzone, dzięki czemu na wrak ORP „Grom” organizowane są kolejne polskie wyprawy, mające na celu zebranie dokumentacji i jego upamiętnienie.

Transatlantyk

Najmłodszy liniowiec II Rzeczypospolitej – MS „Chrobry”, nad którym prace ruszyły w 1937 r., został zbudowany w duńskiej stoczni Naskov Skibsvaerft A.S. w Naskov. Jego podobieństwo do MS „Sobieskiego” nie było przypadkowe, gdyż obie jednostki powstały na bazie tego samego planu. „Chrobry” mógł zabrać na pokład 1167 pasażerów i 264 członków załogi. Okręt miał 154,2 m długości, 20,3 m szerokości, 8,3 m zanurzenia oraz 7100 RT netto (11400 RT brutto). Dwa silniki spalinowe o mocy 11 250 KM pozwalały osiągnąć prędkość 16–18 węzłów. Jego wodowanie miało miejsce 25 lutego 1939 r., natomiast podniesienie bandery 1 lipca 1939 r. Statek zaledwie dwa dni po przybyciu do Gdyni wyruszył 29 lipca 1939 r. na swój pierwszy rejs do Ameryki Południowej. Na pokładzie znajdował się Witold Gombrowicz, do którego wiadomość o wybuchu wojny dotarła, gdy był u wybrzeży Brazylii. Rejs przerwano 2 września. Po długim oczekiwaniu, w październiku 1939 r. jednostka udała się do Southampton w Wielkiej Brytanii. Tutaj „Chrobrego” przebudowano i przekształcono w transportowiec wojska, dzięki czemu na pokład mógł zabrać 2500 ludzi.

Pierwszy rejs w służbie Ministerstwa Żeglugi Wielkiej Brytanii (niedługo później scalone z Ministerstwem Transportu i jako nowa instytucja przemianowane na Ministerstwo Transportu Wojennego) „Chrobry” odbył z kanadyjskiego Halifaxu do Wielkiej Brytanii, transportując kanadyjskich żołnierzy. W 1940 r. statek przeszedł remont w Glasgow, podczas którego zamontowano na nim armatę kalibru 152 mm. „Chrobry” wypłynął ze Scapa Flow 11 kwietnia w kierunku Norwegii. Dołączył do konwoju NP1, którego celem był Narwik. Razem z RMS „Empress





Mapa z miejscami działania Polaków oraz zatopienia jednostek podczas kampanii norweskiej – 1. Miejsce zatopienia ORP „Grom”. 2. Orientacyjne miejsce zatopienia MS „Chrobry”

Ilustr. Marcin Izdebski

ORP „Grom” od strony rufy.

Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe, zespół: Koncern Ilustrowany Kurier Codzienny – Archiwum Ilustracji

of Australia” odłączył się i udał do Namsos, a stamtąd do Lillesjona. Wypełniwszy zadanie, 17 kwietnia 1940 r. wyruszył w drogę powrotną na Wyspy Brytyjskie. Ponownie opuścił Anglię 7 maja z transportem członków 263 eskadry sił lotniczych Wielkiej Brytanii (RAF) i udał się do Harstad, gdzie dotarł po czterech dniach. Tam podczas postoju na kotwicy miał miejsce nieudany atak niemieckich sił powietrznych (Luftwaffe). „Chrobry” wyruszył z cieśniny Tjeldsundet 14 maja z transportem żołnierzy irlandzkich, ładunkiem min i uzbrojeniem do portu w Bodø. Niedługo po wyjściu w morze na niebie pojawiły się cztery niemieckie samoloty. Na środku Vestfjordu statek został zaatakowany przez Heinkla 111, pilotowanego przez kpt. Roberta Kowalewskiego. Dowódcą lotu był mjr Martin Harlinghausen, który swoją karierę kontynuował w powojennym niemieckim lotnictwie operującym w ramach NATO. Według brytyjskich dokumentów, pierwsza bomba spadła na kwatery oficerów. Pożar szybko objął pozostałą część jednostki. Zarządzono ewakuację. Pozostające w eskorcie niszczyciele HMS „Wolverine” i HMS „Stork” uratowały większość rozbitków. Wskutek ataku zginęło 13 członków załogi – 10 Polaków i 3 Brytyjczyków, w tym brytyjski oficer łącznikowy oraz niespełna 30 z transportowanych żołnierzy Gwardii Irlandzkiej. Wśród ofiar pojawia się także nazwisko porucznika norweskiego lotnictwa. Z przewożonych oddziałów ocalało co najmniej 1000 osób. Ranni zostali zabrani do Harstad, a następnie 165 osób odesłano do Anglii na pokładzie MV Ulster Monarch. „Chrobry” płonął jeszcze przez wiele go-

dzin. Dzień później brytyjski samolot zrzucił torpedę, która ostatecznie zatopiła statek w norweskim fiordzie. Jak podaje norweski historyk Björn Bratbak, „Chrobry” przewoził wówczas także korespondencję żołnierzy walczących pod Narwikiem.

Wrak MS „Chrobry” przypominał o sobie światu 29 lutego 2000 r., kiedy to okręt hydrograficzny „Tyr” należący do Królewskiej Marynarki Wojennej Norwegii ustalił jego dokładną pozycję. W czasie oględzin prowadzonych za pomocą robota podwodnego typu ROV wykonano osiemnastominutowy film przedstawiający stan wybranych elementów wraku. Wydaje się, że biorąc pod uwagę zniszczenia, które odniósł wrak przed zatopieniem, jest on w relatywnie dobrym stanie. Jednak widoczna jest jedynie jego niewielka część. Na wraku do dzisiaj nie przeprowadzono dokładnej prospekcji ani badań naukowych. Ze względu na głębokość, na której spoczywa, możliwości nurkowania do niego są ograniczone.

Na niespodziewany ślad po MS „Chrobry” w norweskim Svolvær trafił William Hakvaag z lokalnego muzeum, który nieco ponad

20 lat temu odkrył szalupę z transatlantyku zaadoptowaną na bar w jednej z lokalnych restauracji. Po wojnie szalupa wykorzystywana była przez



miejscowych rybaków, a następnie porzucona na lądzie, gdzie wiatr i deszcz odcisnęły na niej swój ślad. Ostatecznie trafiła do restauracji, co okazało się dla niej ratunkiem.

Ochrona i upamiętnienie

Przez dekady następujące po II wojnie światowej wiele wraków jednostek biorących w niej udział zostało poddanych demolicji, czyli rozsadzeniu za pomocą materiałów pirotechnicznych lub podniesieniu i zezłomowaniu. Tylko nieliczne mogły zostać przywrócone do użytku. Takie sytuacje miały miejsce zarówno na Bałtyku, jak i na Morzu Północnym. Tylko w Norwegii po wojnie rząd odsprzedał wszystkie zatopione niemieckie jednostki prywatnej firmie, pobierając ponoć symboliczną koronę za każdy wrak. W ostatnich dziesięcioleciach spojrzenie na wraki znacznie się zmieniło. W niektórych krajach zaczęły być one traktowane jako istotny element podwodnego dziedzictwa kultury (przede wszystkim w krajach anglosaskich i skandynawskich). Niektóre wraki objęto ochroną prawną, jako mogły wojenne lub zabytki. Ze względu na kryterium wieku 100 lat, obowiązujące w wielu krajowych aktach prawnych, a także w *Konwencji o ochronie podwodnego dziedzictwa kulturowego* uchwalonej przez UNESCO w 2001 r., nie wszędzie jest to możliwe.

Niezależnie od prawnych możliwości ochrony spoczywających na dnie okrętów wojennych, różne formy upamiętnienia zatopionych jednostek i poniesionych wówczas ofiar, od wielu lat są obecne w tradycji niektórych organizacji i grup. Jako przykład można podać zwyczaj marynarów wojennych wielu krajów i grup nurkowych.

Wraki te stały się również obiektem zainteresowań archeologów. Nie jest to jeszcze popularne spojrzenie w Polsce. Większości osób archeologia, czyli badania nad pozostałościami kultury materialnej, kojarzy się z pracami nad prehistorycznymi, starożytnymi i średniowiecznymi obiektami. Takie też były początki tej dziedziny, a wspomniane epoki nadal stanowią największy obszar jej działania. Natomiast pozostałości dwudziestowiecznych konfliktów przypisywane były domenie historyków. Jednak od kilku lat archeologowie poszerzają obszar zainteresowań, co jest coraz bardziej widoczne na polu badawczym dziedzictwa kultury wojen światowych. Specjalizacja, o której mowa, określana jest jako archeologia współczesności (ang. *archaeology of the contemporary past*, *archaeology of the present*). Jej obszar badawczy dotyczy przede wszystkim terenów bezpośrednio dotkniętych wojną.

W wypadku ORP „Grom”, pewną formą upamiętnienia stały się akcje wypraw nurkowych organizowanych przez polskich nurków, których celem było rozpropagowanie informacji o jednostkach i ich historii szerszej grupie społecznej. W ramach tych działań powstało kilka filmów obrazujących wrak i dość bogata dokumentacja zdjęciowa. W Narwiku w 1979 r. ustawiono pomnik poświęcony członkom załogi jednostki. W Gdyni-Oksywiu, przy koście-



Szalupa z MS „Chrobry” zaadaptowana na bar w jednej z restauracji w pobliżu Vestfjorden w miejscowości Svolvær w Norwegii. Fot. William Hakvaag, Lofoten War Museum.

le pw. św. Michała Archanioła znajduje się tablica poświęcona tej jednostce, również tamtejsza Szkoła Podstawowa nr 11 nosi imię Bohaterów Załogi ORP GROM. W 2010 r. w Muzeum Marynarki Wojennej w Gdyni otworzono wystawę poświęconą tej jednostce; wystawa prezentowana była również w Norwegii. Wtedy też Muzeum Marynarki Wojennej w Gdyni przekazało kopię dzwonu jednostki muzeum w Narwiku. W porównaniu z ORP „Gromem”, MS „Chrobry” wydaje się nieco zapomniany. Wzmianka o transatlantyku znajduje się na płycie pamiątkowej wmontowanej na Nabrzeżu Francuskim portu w Gdyni. Upamiętnia ostatni rejs z Polski Witolda Gombrowicza. W Norwegii o jednostce przypomina jedynie zaadaptowana na bar w Svolvær szalupa okrętu. William Hakvaag z muzeum w Svolvær stara się o umieszczenie w restauracji tablicy upamiętniającej MS „Chrobrego”.

Wraki ORP „Grom” i MS „Chrobry” stanowią realny dowód dokonania Polaków i Marynarki Wojennej II RP na frontach II wojny światowej. Podobnie jak wiele innych zatopionych jednostek są ważnym elementem materialnego dziedzictwa wojny, które należy chronić i zachować w jak najlepszym stanie dla przyszłych pokoleń. To nasz obowiązek. ■

ANDRZEJ W. ŚWIĘCH archeolog morski i hydrograf. Doktorant Polskiej Akademii Nauk. Specjalizuje się w nowoczesnych metodach prospekcji podwodnej, ochronie podwodnego dziedzictwa kultury i badaniach wraków jednostek z I i II wojny światowej.

RADOSŁAW BIZOŃ fotograf podwodny, nurek techniczny, instruktor IANTD, autor publikacji o tematyce nurkowej. Nurkuje od 26 lat. Współorganizator wypraw na wraki niemieckiego pancernika SMS „Schleswig-Holstein”, rosyjskiego okrętu „Rusałka” oraz na ORP „Grom” (Glob Diving Club w 2010 r.). Szczególnie interesuje się fotografią wraków w zimnych wodach Bałtyku.

Andrzej W. Święch dziękuje panom Bjørnowi Bratbakowi i Williamowi Hakvaagowi za wiele ciekawych informacji dotyczących losów Polaków i polskich jednostek biorących udział w kampanii norweskiej.



Fabryczna fotografia 3,5-tonowej ciężarówki PZInż. 703 (prototyp).

Fot. Centralne Archiwum Wojskowe Wojskowego Biura Historycznego



PZInż. 713 3,5 t, zdjęcie fabryczne.

Fot. Centralne Archiwum Wojskowe Wojskowego Biura Historycznego

GDYBY NIE WOJNA...

Agresja niemiecka i sowiecka na Polskę we wrześniu 1939 r. unicestwiła naszą państwowość, a tym samym rozwijający się przemysł motoryzacyjny, w tym produkcję nowoczesnych ciężarówek dla wojska – PZInż. 703, 713 i 723.

JAN TARCZYŃSKI

Największym producentem motoryzacyjnym II Rzeczypospolitej były Państwowe Zakłady Inżynierii przy ulicy Terespolskiej 34/36 w Warszawie. Ośrodkiem twórczym tego koncernu, liczącego cztery duże fabryki i zatrudniającego w 1939 r. 8,5 tys. pracowników, było Biuro Studiów (konstrukcyjne) kierowane w latach 1928–1931 przez

inż. Witolda Jakusza, a później, do września 1939 r., przez inż. Zygmunta Okołowa.

Benzynowy, wysokoprężny, gazowy

Jedną z ważniejszych prac Biura Studiów PZInż., niedokończoną z powodu najazdu obu sąsiadów na Polskę, był samochód ciężarowy PZInż. 703 o ładowności 3,5 tony (i jego wersje pochodne) przeznaczony do masowej produkcji od 1940 r. Wóz ten miał zastąpić w si-

PZInż. 703 w czasie prób terenowych, jesień 1938 r.

Fot. Centralne Archiwum Wojskowe Wojskowego Biura Historycznego

**Próby drogowe wiosną 1939 r. – PZInż. 713.**

Fot. Centralne Archiwum Wojskowe Wojskowego Biura Historycznego

**PZInż. 713 – testowanie mostu pontonowego na rzece Wkra pod Pomiechówkiem w listopadzie 1938 r.**

Fot. Centralne Archiwum Wojskowe Wojskowego Biura Historycznego

łach zbrojnych i na rynku cywilnym – rekwizycyjnym – licencyjną 2,5-tonową ciężarówką Polski Fiat 621 L, podstawowy w latach trzydziestych XX w. model polskiego samochodu ciężarowego, o niewielkiej ładowności, nieco przestarzały i mimo licznych modernizacji stojący u kresu technicznego rozwoju.

Projekt nowoczesnej ciężarówki PZInż. 703 powstał w 1937 r. Podwozie wraz z zespołami przeniesienia napędu stworzyli inżynierowie: Ludomir Jakusz i Rościśław Uzdowski (absolwenci Politechniki Warszawskiej) – ramę; Kazimierz Niewiarowski (Politechnika Warszawska) – sprzęgło, skrzynię biegów, wał napędowy; Mieczysław Skwierczyński (Wyższa Szkoła Aeronautyki i Konstrukcji Mechanicznych w Paryżu) – układ hamulcowy i tylny most napędowy; Mieczysław Dębicki (Politechnika Lwowska) – układ kierowniczy; a także Włodzimierz Horwatt-Bożyczko i Jerzy Werner (obaj Politechnika Warszawska). Silnik zaprojektowali inżynierowie Waław Cywiński i Jan Werner (absolwenci Politechniki Warszawskiej), zaś nadwozie

inż. Stanisław Panczakiewicz (Wyższa Szkoła Aeronautyki i Konstrukcji Mechanicznych w Paryżu).

Prototypowe samochody były gotowe do prób w połowie 1938 r. Zbudowano trzy odmiany, różniące się umiejscowieniem kabiny kierowcy i rodzajem silnika: wersję PZInż. 703 A z kabiną kierowcy typu wagonowego, z miejscami szofera i jego pomocnika obok (wysokoprężnej) jednostki napędowej; wersję 703 C – z klasyczną kabiną kierowcy i silnikiem (gaźnikowym) umieszczonym przed szoferką (gotowa w sierpniu 1938 r.); podwozie modelu 703 DG, z miejscami obsługi obok silnika, przeznaczone do skarosowania jako autobus o 30 miejscach siedzących. Wiosną 1939 r. Mieczysław Łukawski z Biura Studiów PZInż. stworzył dla tego podwozia nowoczesne i niezwykle udane nadwozie, zaprojektowane i wykonane w prototypie zaledwie w miesiąc. Mimo że konstruktor nie miał wykształcenia technicznego, ukończył bowiem filologię polską, jego projekty cechowała śmiałość twórcza i wyjątkowe wyczucie technologiczne. ►

Próby pierwszego nieskarosowanego podwozia przeprowadzono na terenie fabrycznym przy ulicy Terespolskiej w lipcu 1938 r. Po jednym z przejazdów, gdy rama nagrzała się od słońca, inż. Tadeusz Marek z Oddziału Doświadczalnego PZInż. pobiegł do Biura Studiów i siedzącemu nad obliczeniami „Ojczulkowi”, jak nazywano współtwórcę podwozia inż. Rościława Uzdowskiego, krzyknął nad uchem, że rama się grzeje. Inżynier Uzdowski zaniepokojony rzucił, że może nity puściły, i zbiegł na dół, aby sprawdzić. Dotknął ramy – gorąca – a gdy cofał rękę, przyglądając się nitom, grupa konstruktorów i obserwujących próby pracowników fabryki wybuchnęła śmiechem. „Ojczulek” uśmiechnął się także, pogroził palcem i wolnym krokiem powrócił do biura.

Po próbach fabrycznych wszystkie trzy prototypy (model DG jeszcze bez karoserii) uczestniczyły z obciążeniem trzytonowym w rajdzie sprzętu modelowego produkcji PZInż., zorganizowanym przez Biuro Badań Technicznych Broni Pancernych Ministerstwa Spraw Wojskowych pod nazwą „Jesień 1938” na trasie o długości 4079 km, w tym 274 km ciężkich dróg gruntowych.

Pierwszy etap odbył się w dniach 17–22 października 1938 r. pomiędzy Warszawą, Grodnem, Nieświeżem, Wilnem, Łuckiem, Lublinem, Warszawą; drugi zaś w dniach 28 października – 5 listopada i przebiegał na trasie: Warszawa, Lublin, Lwów, Zaleszczyki, Żurawica koło Przemysła, Kraków, Piotrków Trybunalski, Warszawa. W podsumowaniu *Sprawozdania z prób technicznych ze sprzętem modelowym PZInż.* (z 14 grudnia 1938 r.) Komisji złożonej z pracowników BBTBr.Panc. i PZInż. napisano: „samochód PZInż. 703 A jest pojazdem dobrym. Wóz typu 703 C ma wady konstrukcyjne [...] lecz bardzo dobry silnik [...]. Na podstawie dodatniego wyniku prób stwierdza się, że napęd za pomocą gazogeneratora jest korzystny i należy kontynuować prace w tym kierunku”¹.

Już w listopadzie, a więc jeszcze przed oficjalnym werdyktem porajdowym, rozpoczęto w PZInż. usuwanie wykrytych niedomagań, koncentrując się szczególnie na modelu C.

Biuro Badań Technicznych Broni Pancernych 16 listopada testowało na rzece Wkra pod Pomiechówkiem przydatność mostów pontonowych o nośności 4 i 8 ton jako środka przeprawowego nowoczesnego sprzętu kołowego i gąsienicowego. W *Protokole w sprawie przeprowadzanych prób*, sporządzonym trzy dni później, znalazło się jednoznaczne stwierdzenie, że mosty pontonowe starego typu nadają się do przepraw samochodów PZInż. 703 typów A i C (podwozie DG nie uczestniczyło w próbach).

Wozy typu A i C brały udział w szosowych próbach technicznych „Zima 1938” przeprowadzonych przez BBTBr.Panc. na trasie o długości 1823 km (w tym 58 km dróg gruntowych): Warszawa – Brześć nad Bugiem – Białystok – Słonim – Stołpce – Pińsk – Brześć

– Warszawa w dniach 12–21 grudnia. W *Sprawozdaniu z prób...* z 10 stycznia 1939 r. stwierdzono, że wóz typu A przebył rajd bez żadnych zastrzeżeń, w samochodzie typu C zaś usunięto już część wad.

W początkach 1939 r. oba modele poddawane były dalszym próbom technicznym; PZInż. pracowały nad zmianami eliminującymi wykryte wady konstrukcji. W opracowaniu BBTBr.Panc. pod nazwą *Niedomagania w sprzęcie modelowym PZInż.* z marca 1939 r. stwierdzono, że model C nadal nie jest zadowolający: urwały się śruby wsporników tylnych resorów, pękły rury układu wydechowego, hamulce nie działały właściwie. Samą konstrukcją typu C uznano jednak za dobrą. W pierwszej połowie kwietnia BBTBr.Panc. skierowało do PZInż. zlecenie usunięcia tych usterek, a także podniesienia zdolności terenowych pojazdu.

Wiosną 1939 r. nastąpiła zmiana w sposobie oznaczania prototypowych pojazdów. Model PZInż. 703 A, z kabiną typu wagonowego i silnikiem (wysokoprężnym) umieszczonym w szoferce otrzymał nazwę PZInż. 713; wóz typu C, z klasyczną kabiną i silnikiem przednią zatrzymał stare oznaczenie 703; model DG – podwozie z napędem gazogeneratorowym oznaczono jako PZInż. 723 G. Zmieniono także symbolikę jednostek napędowych dodawaną po oznaczeniu modeli: silnik gaźnikowy – benzynowy – oznaczała litera B, silnik wysokoprężny – systemu Diesla – litera D, zaś gazogeneratorowy – litera G.

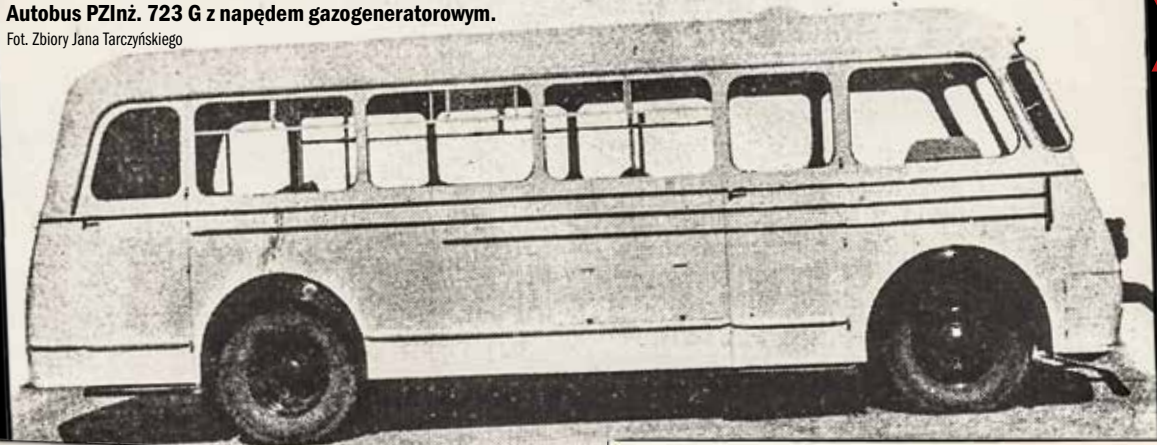
Państwowe Zakłady Inżynierii informowały władze wojskowe – swego przyszłego kontrahenta – także o kilometrażu przebytych przez prototypowe pojazdy. W piśmie z 12 maja 1939 r. do Dowództwa Broni Pancernych MSWojsk. stwierdzono, że do 10 tegoż miesiąca PZInż. 703 B przejechał 34 542 km, zaś model 713 D – 30 514 km.

Biuro Badań Technicznych Broni Pancernych 5 maja 1939 r. zarządziło ostatnie już długodystansowe (tygodniowe) próby prototypów, które rozpoczęto po siedmiu dniach. Oba pojazdy, obciążone do maksymalnej nośności użytecznej, holowały na zmianę jednoosiową przyczepę z ładunkiem 2000 kg. Próby przebyto pomyślnie i na początku czerwca ciężarówki zostały skierowane jako wzory dla produkcji seryjnej: PZInż. 703 B do Fabryki Samochodów Osobowych i Półciężarowych (F2) PZInż. przy ulicy Terespolskiej 34/36, a model 713 D do stołecznych Zakładów Przemysłowych „Bielany” S.A. Antoniego Więckowskiego, przy ulicy Kamedułów 71.

Dowództwo Broni Pancernych MSWojsk. zamówiło jednak te nowoczesne ciężarówki dużo wcześniej. Już w styczniu 1939 r. polecono Kierownictwu Zakupów Broni Pancernych nabyć 5 wozów typu 703 (nieznanej wersji) dla 10 Brygady Kawalerii płk. Stanisława Maczka. W kwietniu zamówiono dalsze pojazdy – 40 ciężarówek PZInż. 703 B.

Autobus PZInż. 723 G z napędem gazogeneratorowym.

Fot. Zbiory Jana Tarczyńskiego

**PZInż. 713 w próbach drogowych wiosną 1939 r. Na drugim planie uterenowiony Polski Fiat 518 „Łazik”.**

Fot. Centralne Archiwum Wojskowe Wojskowego Biura Historycznego

**Podwozie autobusowe PZInż. 723 G. Na obciążeniu w centralnej części ramy prowizorycznie zamontowany pomocniczy zbiornik benzyny. Z tyłu gazogenerator zasilający silnik PZInż. 725 gazem drzewnym.**

Fot. Centralne Archiwum Wojskowe Wojskowego Biura Historycznego



Do września 1939 r. wykonano ok. 100 kompletnych podwozi, zapewne obu wersji, planując ich skarosowanie do 1 stycznia 1940 r.

Przewidywano koszt produkcji jednego wozu typu 703 w kwocie ok. 10 000 zł. Określono również, że PZInż. modernizowane od 1938 r. kosztem 6 mln zł, będą miały roczną zdolność produkcyjną ok. 12 000 pojazdów modelu 703 i jego wersji pochodnych.

Już w końcu 1937 r. opracowano w Sztabie Głównym Wojska Polskiego plan uzupełnienia sprzętowego, z uwzględnieniem przyszłej produkcji samochodu z rodziny PZInż. 703/713. W planie podano, że „oprócz obecnego zapotrzebowania mobilizacyjnego, należy przewidywać w ciągu lat budżetowych 1938/39–1943/44 dostawy następującego sprzętu: wojsko ma zakupić na zapas [...] 1500 samochodów ciężarowych 2-tonowych z silnikiem PZInż. 625 [PZInż. 603, zmniejszona wersja modelu PZInż. 703/713]; 1500 samochodów ciężarowych 3-tonowych z silnikiem PZInż. 705 [PZInż. 703/713]; 200 samochodów ciężarowych terenowych 3-tonowych z silnikiem PZInż. 725 [PZInż. 343, pochodny modelu 703/713]; 1000 ciągników 4/5-tonowych z silnikiem PZInż. 705 [PZInż. 342, pochodny modelu 703/713]”².

Aerodynamiczne i funkcjonalne

Ważnym elementem wyróżniającym samochody PZInż. 703 – 713 – 723 jest całkowicie stalowa kabina kierowcy. W modelu 723 (autobus z trzydziestoosobowym nadwoziem) blachy poszycia nadwozia przymocowa-

wane były do stalowej szkieletowej konstrukcji nośnej, przejmującej wszelkie obciążenia. Nadwozie, jak wszystkie konstrukcje szkieletowe, charakteryzowało się stosunkowo dużą masą i niezbyt wielką wytrzymałością.

Kabina samochodu PZInż. 703, klasyczna, z silnikiem przed miejscem kierowcy, nawiązywała do zagranicznych konstrukcji tej klasy. Dostęp do jednostki napędowej był bardzo łatwy, lecz kabina z wysuniętym silnikiem zajmowała dosyć dużą część długości ramy pojazdu.

W modelu 713 zastosowano nowoczesne rozwiązanie – krótką kabinę typu wagonowego o nachylonej przedniej ścianie. Silnik pojazdu wbudowano we wnętrzu nad osiá przednią i osłonięto pokrywą, izolowaną termicznie i akustycznie. Przy tej samej długości ramy zwiększyła się powierzchnia użytkowa skrzyni ładunkowej (długość z 4 do prawie 5 m), wzrosło też bezpieczeństwo jazdy i łatwość prowadzenia.

Znacznie aerodynamiczniejsza – w stosunku do rozwiązań klasycznych – konstrukcja kabiny typu 713 i nadwozia autobusowego 723 wpłynęła też na zmniejszenie zużycia paliwa oraz na obniżenie hałasu opływu powietrza, co zwiększało bezpieczeństwo użytkowania pojazdu. Ważnym elementem w tym zakresie było zastosowanie dwóch wycieraczek, odrębnych dla obu części dzielonej szyby przedniej. W wielu ówczesnych pojazdach wycieraczka montowana była wyłącznie przed siedzeniem kierowcy. Przewietrzanie kabiny odbywało się za pomocą opuszczanych szyb w drzwiach bocznych – PZInż. 703 lub szyb przesuwanych: w modelu 713



Wnętrze autobusu PZInż. 723 G. Fot. Zbiory Jana Tarczyńskiego

w drzwiach, w autobusie 723 także w ścianach bocznych nadwozia. Pomocniczą rolę odgrywały nawiewniki sterowane z wnętrza pojazdu.

Starannie zaprojektowano wnętrza kabin. W kabinie klasycznej zamontowano trzyosobową tapicerską kanapę z metalowym stelażem, krytą skórą, w wagonowej zaś instalowano dwa tapicerskie foteliki na metalowych podstawach, także ze skórzanym pokryciem. W kabinie autobusu PZInż. 723 dwa przednie fotele – po obu stronach silnika – były tego samego typu, natomiast siedzenia pasażerskie wykonane zostały jako konstrukcje rurowe z tapicerskimi poduszkami pokrytymi kombinacją skóry i tkaniny. Zastosowano także nowość – według amerykańskich wzorów – powszechne dzisiaj podłużne półki bagażowe nad siedzeniami. Mimo solidnej budowy nie sprawiały wrażenia zmniejszenia wnętrza pojazdu.

Tablica rozdzielcza nawiązywała do rozwiązań stosowanych w samochodach osobowych. Zblokowany zespół wskaźników umieszczono zgodnie z zasadą ergonomii naprzeciwko siedzenia kierowcy, najistotniejsze przełączniki usytuowano zaś na tablicy w bliskim zasięgu rąk.

Uniwersalne podwozie

Podstawowym elementem nośnym rodziny samochodów PZInż. 703 – 713 – 723 była rama zamknięta, z podłużnicami o zmiennym profilu (w części centralnej o przekroju prostokątnym, w częściach przedniej i tylnej – ceowym), wygiętymi – w celu obniżenia pojazdu – nad tylnym mostem. W zależności od odmiany, długość jej podłużnic była różna. Rama autobusowa miała także wsporniki do mocowania nadwozia, a odmiany 713 i 723 z napędem generatorowym dodatkowe wsporniki dla gazogeneratora i uchwyty dla instalacji zasilania.

W samochodach PZInż. 703 – 713 – 723 montowano rzędowe silniki cztero- i sześciocylindrowe o rozrządzie górnozaworowym (OHV), dwa gaźnikowe konstrukcji



PZInż. 723 G (autobus) na podwórzu Państwowych Zakładów Inżynierii w Warszawie. Fot. Zbiory Jana Tarczyńskiego

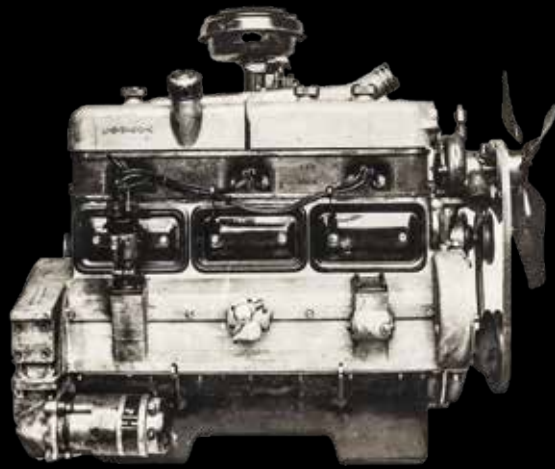
Wystawa łupów wojennych Związku Sowieckiego, zagrabionych na Froncie Ukraińskim; Kijów, listopad 1939 r. Za czołgiem 7TP nieskarosowane podwozie PZInż. 713 oraz Polski Fiat 621 L 2,5 t i PZInż. 703 lub Chevrolet. Fot. Zbiory Jana Tarczyńskiego





Tył autobusu PZInż. 723 G. Centralnie: gazogenerator (zdjęta ażurowa osłona wkomponowana w obłachowanie nadwozia), po bokach otwarte ładownice paliwowe na zapas drewna do gazogeneratorsa. Zdjęcie na podwórzu fabryki.

Fot. Zbiory Jana Tarczyńskiego



Podstawowy silnik pojazdów PZInż. 703–713, sześciocylinndrowy PZInż. 705 konstrukcji Państwowych Zakładów Inżynierii w Warszawie. Fot. Centralne Archiwum Wojskowe Biura Historycznego

krajowej: PZInż. 705 o mocy 75 KM przy 2400 obr/min i PZInż. 725 G (G – odmiana gazogeneratorowa), oraz wysokoprężny, PZInż. 135 – Saurer – CR1D (65 KM przy 1800 obr/min, produkowany na podstawie szwajcarskiej licencji. Silnik typu 725 – 100 KM przy 2800 obr/min – był wzmocnioną odmianą modelu 705. Dzięki między innymi powiększeniu średnicy cylindrów, zmianie gniazd zaworowych i wałka rozrządu oraz zwiększeniu stopnia sprężania uzyskano wzrost mocy o ok. 20%. Zastosowanie do napędu tego benzynowego silnika paliwa gazowego z generatora (gaz drzewny był wówczas najtańszym paliwem) spowodowało spadek mocy do wartości osiągniętej przez silnik PZInż. 135.

Kadłuby silników wykonane były ze stopów lekkich, głowice zaś z żeliwa. Układ zasilania gazem silnika PZInż. 725 G zawierał obok generatora Imbert 600 (budowanego licencyjnie w firmie Haveka w Toruniu), rurkowej chłodnicy gazu, oczyszczalników – korkowego i osadowego, mieszalnika oraz rozruchowej dmuchawy elektrycznej, także gaźnik biegu jałowego, zasilany benzyną. Układ gazogeneratorowy przystosował do silników PZInż. inż. Kazimierz Twardowski (absolwent politechniki w Budapeszcie), zwany od tego czasu „Gazio T.”.

Niezależnie od modelu pojazdu i rodzaju jednostki napędowej, z silnikami współpracowały skrzynie biegów o czterech przełożeniach do jazdy w przód i biegu wstecznym, na żądanie wyposażone w reduktor terenu, a mechanizm różnicowy tylnego mostu w samoczynną blokadę, ułatwiającą jazdę terenową.

Obudowę tylnego mostu w pojazdach prototypowych wykonały zakłady Towarzystwa Sosnowieckich Fabryk Rur i Żelaza S.A. Współpracy w tym względzie odmówiły duże koncerny metalurgiczne: Towarzystwo Starachowickich Zakładów Górniczych S.A., gdzie dyrektorem technicznym był inż. Jan Dąbrowski, były dyrektor techniczny PZInż., oraz Spółka Akcyjna Wielkich Pieców



i Zakładów Ostrowieckich w Ostrowcu Świętokrzyskim. Inżynierowie Mieczysław Dębicki i Mieczysław Skwierczyński opracowali wspólnie z konstruktorami z Sosnowca technologię produkcji: rury grubościennie walcowane były spęczniane dla wytłoczenia obudowy mechanizmu różnicowego, a także wyciągane i toczono dla uzyskania jarzma łożysk odciążonych półosi napędowych.

Nowością zastosowaną po raz pierwszy w samochodach produkcji PZInż. było pneumatyczne wspomaganie hydraulicznego układu hamulcowego. Zamontowano go we wszystkich modelach pojazdów typu 713 i 723 (PZInż. 703 nie miał wspomagania). Pompa hamulcowa i podciśnieniowe urządzenie wspomagające systemu Westinghouse znajdowały się w miejscu łatwo dostępnym, umocowane od zewnątrz do podłużnicy ramy pod kabiną kierowcy, w autobusie zaś na wysokości skrzyni biegów.

Zwrotne i szybkie

Niektóre podwozia wyposażone były też w tzw. hamulec górski zapobiegający cofaniu, tj. stalową ostrogę przymocowaną do środkowej poprzecznicy ramy, opuszczaną za pomocą systemu cięgieł giętkich i wbijaną w grunt w razie postoju na pochyłości.

Komfort jazdy podnosiły hydrauliczne amortyzatory ramieniowe dla kół osi przedniej, w podwoziu autobusowym typu 723 amortyzatory miała też oś tylną.

Stosunkowo krótkie rozstawy osi w odniesieniu do długości całkowitej pojazdów sprawiały, że były one dosyć zwrotne. Średnice zawracania samochodów o poniższych rozstawach osi wynosiły: dla 3900 mm (PZInż. 703 i 713) – 15 m, dla 4400 mm (typ 723) – 17 m.

W zależności od zastosowanej jednostki napędowej i przeznaczenia pojazdu kształtowała się zdolność do pokonywania wzniesień, mierzona z pełnym obciążeniem na twardym podłożu, bez użycia reduktora. Dla pojazdów z silnikami gaźnikowymi wynosiła ona 27%, dla samochodów ciężarowych z napędem gazogeneratorowym (713 G) malała o 5%, a dla autobusów z silnikiem wysokoprężnym (PZInż. 723 D) osiągała wartość 21%. Najniższą zdolność do pokonywania wzniesień wykazywał autobus z napędem gazogeneratorowym (typ 723 G).

Znaczenie w transporcie towarowym, jak i pasażerskim ma prędkość maksymalna i zależna od niej tzw. prędkość podróżna pojazdu. Samochody PZInż. znajdowały się pod tym względem w ówczesnej czołówce europejskiej. Ciężarówki z silnikami gaźnikowymi rozwijały prędkość ok. 90 km/h, autobusy z tym napędem ok. 10 km/h mniej. Napęd gazogeneratorowy i silnikiem wysokoprężnym powodował, że prędkość maksymalna spadała we wszystkich grupach pojazdów do ok. 65 km/h.

Zużycie paliwa nie było zbyt wysokie i wynosiło dla wersji z silnikiem wysokoprężnym 20 litrów oleju napędowego na 100 km, dla wersji gaźnikowej 30 litrów benzyny na 100 km, dla gazogeneratora zaś 80 kg drewna,

spalanego na tej samej trasie. Z uwagi na tanią eksploatację pojazdów z napędem gazogeneratorowym, Magistrat m.st. Warszawy zamówił 30 podwozi PZInż. 723 G do skarosowania jako miejskie autobusy.

Wojsko i rynek cywilny

Samochody PZInż. 703 – 713 – 723 miały przede wszystkim stworzyć podstawy tzw. rynku cywilnego, a tym samym zapewnić wojskową bazę rekwizycyjną w przypadku mobilizacji sił zbrojnych. W Wojsku Polskim miały być podstawowym środkiem transportu w armijnych ciężkich kolumnach samochodowych i w odwodzie Naczelnego Wodza. Te ustalenia szefa Departamentu Dowodzenia Ogólnego MSWojsk., zawarte w referacie dla Komitetu do spraw Uzbrojenia i Sprzętu z 25 lutego 1939 r., powstały na podstawie opracowania *Własności terenowych samochodu ciężarowego 3-tonowego PZInż. i jego odmian pochodnych* sporządzonego przez BBTBr.Panc. w grudniu 1939 r. Stwierdzono, że dobre zdolności samochodów do jazdy po drogach nieutwardzonych można by zwiększyć przy zastosowaniu terenowego reduktora, zmianie przełożenia przekładni głównej tylnego mostu i drobnej zmianie rozkładu obciążeń przód-tył. Z uwagi na zmniejszenie się prędkości maksymalnej zmodyfikowanych pojazdów zmiany te dotyczyć miały prawdopodobnie tylko wozów wojskowych.

Samochody typu 703 i 713 miały zunifikowane podzespoły, różnice występowały głównie w kształcie nadwozia (kabina kierowcy) i powierzchni skrzyni ładunkowej.

Z wykorzystaniem zespołów tych samochodów zaprojektowano trzyosiową ciężarówkę z silnikiem PZInż. 725 i ciągnik siodłowy z jednoosiową naczepą o ładowności 6 ton. Prototyp ciągnika – ciężarówka PZInż. 703 ze skróconą ramą – miał być gotowy w 1940 r.

W prototypach innych pojazdów PZInż. zastosowano także elementy samochodów typu 703/713. Ciągniki kołowe dla artylerii PZInż. 342 i 343 wykorzystywały 58% części opisywanych ciężarówek, a w modelu PZInż. 603 – ciężarówce o ładowności 2 ton, stanowiącym zmniejszenie wozu 703, było ich aż 85%. Takie rozwiązanie znacznie skracało i upraszczało cykl produkcyjny, obniżając także koszt wykonania nowych konstrukcji. Z tej przyczyny samochody PZInż. 703 – 713 – 723 miały pełną zamiennność silników, w zależności od żądania kupującego. PZInż. 703 mógł więc zostać wyposażony w silnik wysokoprężny (zamiast gaźnikowego), natomiast wóz modelu 713 mógł być na przykład wyposażony w silnik przystosowany do współpracy z gazogeneratorem. Wybuch II wojny światowej przeszkodził w produkcji tych nowoczesnych pojazdów. Popularny po wojnie samochód ciężarowy Star 20, zaprojektowany przez konstruktorów wozów PZInż. 703/713, był uproszczoną wersją tych przedwojennych pojazdów, dostosowaną do ówczesnych możliwości wytwórczych.

Wojenne dzieje

Losy ciężarówek PZInż. 703/713 w kampanii wrześniowej 1939 r. były interesujące. Kilka tych wozów weszło 6 września w skład improwizowanego konwoju transportującego zagrożone przez Niemców zasoby złota Banku Polskiego z Warszawy do Rumunii (via Lublin i Łuck). Pewna grupa opuściła Warszawę w pierwszych dniach wojny wraz z potężnym kołowym konwojem ewakuacyjnym PZInż., wiozącym pracowników, maszyny, urządzenia, dokumentację i części do montażu samochodów na wyznaczone stanowiska poza linię obronną rzeki Bug i po 17 września wpadła wraz z nim w okolicach Pińska i Kostopola w ręce sowieckie. Kilka, a może kilkanaście pojazdów przekazano polskim oddziałom wojskowym w trakcie odwrotu, lecz o ich działaniach brakuje wiadomości.

Co najmniej kilka nieskarosowanych, lecz gotowych do jazdy podwozi 703 i ciężarówek bez skrzyń ładunkowych, ewakuowano także na wschodnie tereny Rzeczypospolitej dzięki indywidualnej inicjatywie pracowników PZInż. Jeden

mundurów armii niemieckiej) i nazwisko fabrycznego kierowcy – Klujew – brzmiały tak samo jak znanego sowieckiego generała, budziły respekt wschodniego agresora. Wykorzystanie tej przypadkowej zbieżności nazwisk („brat generała”) przy spotkaniach z oddziałami Armii Czerwonej zaoszczędziło pasażerom wielu kłopotów. W drodze do Warszawy, pod Chełmem Lubelskim, posterunek sowiecki przepuścił uciekinierów na podstawie warszawskiego miesięcznego biletu tramwajowego jako przepustki granicznej między strefami rosyjską a niemiecką. Wjazd do stolicy nastąpił już po godzinie policyjnej, więc kierowca porzucił pasażerów do domów.

Po powrocie do Warszawy autobus odprowadzono do ZM „Ursus” – PZInż. w Czechowicach, gdzie widziano go jeszcze w latach okupacji niemieckiej. Podwozie pojazdu, odnalezione w latach pięćdziesiątych XX w. na złomowisku „Ursusa”, niedawno odrestaurowane znajduje się w Narodowym Muzeum Techniki w Warszawie.

POPULARNY PO WOJNIE SAMOCHÓD CIĘŻAROWY STAR 20, ZAPROJEKTOWANY PRZEZ KONSTRUKTORÓW WOZÓW PZINŻ. 703/713, BYŁ UPROSZCZONĄ WERSJĄ PRZEDWOJENNYCH POJAZDÓW.

z konstruktorów tego pojazdu, inż. Mieczysław Skwierczyński, spotkał 7 września pomiędzy Brześciem nad Bugiem a Drohicznym kolumnę siedmiu ciężarówek PZInż. 703 w wojskowym kolorze khaki, podążającą z Zakładów Mechanicznych „Ursus” – PZInż. w Czechowicach (dzisiejszym Ursusie, dzielnicy Warszawy) w kierunku Pińska na Polesiu, gdzie w lasach w okolicy Kostopola – Ludwinopola powstał główny obóz ewakuacyjny Zakładów. Samochody (podwozia z kabinami kierowców, bez skrzyń ładunkowych) wyprowadził z fabryki zagrożonej niemieckim bombardowaniem inż. Stanisław Strzeszewski.

Prototypowy autobus PZInż. 723 z napędem gazogeneratorowym pomalowany w wojskowe barwy ochronne ewakuowany został wraz z fabryką na wschód, gdzie dotarł w okolice Kostopola. Po wkroczeniu do Polski wojsk sowieckich grupa uciekinierów (w tym współkonstruktor pojazdu inż. Stanisław Panczakiewicz i sekretarz techniczny Dyrekcji Naczelnej PZInż. Zdzisław Walentowicz), pozbawiona już przez agresora własnych i fabrycznych samochodów, postanowiła wrócić do stolicy, wykorzystując jedyny pozostawiony pojazd: autobus gazogeneratorowy. Malowanie ochronne typu polskiego, w zielono-brązowo-żółte tony było jednak zbyt charakterystyczne. Pomyślnie upodobniono więc autobus do pojazdów niemieckich, pokrywając go mazią zrobioną z gliny, błota i sadzy. Nowa barwa ochronna, zbliżona do feldgrau (koloru

Inżynier Witold Rychter, wybitny automobilista II RP, stwierdził także w rozmowach z autorem, że w „Ursusie” jeździł w czasie całego okresu niemieckiej niewoli samochód typu 703, przystosowany do napędu gazogeneratorowego – podobno jedyny z tej serii, jaki ocalał z działań wojennych 1939 r.

Możliwe jednak, że więcej tych doskonałych samochodów przetrwało tragiczny wrzesień – jeden z nich znajdował się po wojnie w Skarżysku-Kamiennej u mechanika nazwiskiem Zyberyng. Żywoć swój zakończył w latach pięćdziesiątych w miejscowej złomowni. ■

JAN TARCZYŃSKI działacz polskiej emigracji niepodległościowej w Wielkiej Brytanii, doktor historii, publicysta, dziennikarz, scenarzysta historycznych filmów dokumentalnych TVP S.A. Autor 30 książek i ponad 500 artykułów głównie o historii polskiej motoryzacji i emigracji niepodległościowej. Dyrektor Centralnej Biblioteki Wojskowej im. Marszałka Józefa Piłsudskiego w Warszawie. Członek Zarządu Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego oraz Rady Instytutu Józefa Piłsudskiego w Londynie. Wiceprezes Polskiej Fundacji Kulturalnej w Wielkiej Brytanii, wydawcy „Dziennika Polskiego i Dziennika Żołnierza” oraz „Tygodnia Polskiego”. W 1996–2010 dyrektor Biura b. Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Ryszarda Kaczorowskiego w Londynie; w 2000–2012 w Londynie doradca prezesa Federacji Światowej Stowarzyszenia Polskich Kombatantów, a w Polsce w 2008–2012 doradca szefa Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych. Kawaler Krzyża Oficerskiego Orderu Odrodzenia Polski (2008) i Srebrnego Krzyża Zasługi (1989, Londyn).

¹ Centralne Archiwum Wojskowe Wojskowego Biura Historycznego, Biuro Badań Technicznych Broni Pancernych, Sprawozdanie z prób technicznych ze sprzętem modelowym produkcji PZInż. „Jesień 1938” z 14 grudnia 1938 r., l. 342.4.45.

² CAW WBH, Dowództwo Broni Pancernych MSWojsk. Zagadnienia motoryzacji, Sztab Główny WP, czerwiec 1938 r., l.300.47.5.

PO TRUPIE POLSKI..

Bolesław Kontrym, zanim wstąpił do polskiego wojska, walczył z „Białopolakami”. Tak właśnie mówił o przeciwniku: „Białopolacy” albo „Biali”; musiał przecież jakoś rozróżnić tych Polaków zza rzeki od siebie – Polaka-rewolucjonisty.

WITOLD PASEK

Rewolucyjne życiorysy potrafią być mocno skomplikowane. Bolesław Kontrym urodził się 27 sierpnia 1898 r. w rodzinnym majątku szlacheckim Zaturce na Wołyniu. Z racji rodzinnych tradycji uważał się jednak za Żmudzina, co podkreślał, recytując dwuwiersz: „Kiedy gadzina ukąsi Żmudzina, od jadu Żmudzina zdycha gadzina”¹; miało to podkreślać jego nieustępliwość i podwładni dobrze wiedzieli, że po usłyszeniu sentencji o „gadzinie” nie ma już co dyskutować z dowódcą. Jego ojcem był Władysław Kontrym, matką była Adolfina z Cichockich.

Rodzina Kontrymów wydawała się ostatnim miejscem, w którym mógłby urodzić się „socjał” i rewolucjonista: majątni ziemianie z polskimi (a raczej: litewskimi), narodowymi tradycjami. Tadeusz Kontrym, dziad Bolesława, walczył w Powstaniu Styczniowym i po jego klęsce został przesiedlony w głąb Rosji. Jego syn, Władysław, w armii carskiej dosłużył się stopnia pułkownika jako dowódca 11 Czurgujskiego Pułku Ułanów. Nic więc dziwnego, że młody Bolesław – już jako dziesięcioletni chłopiec – został w roku 1909 oddany przez rodziców do carskiej szkoły kadetów w Jarosławiu nad Wołgą. W Jarosławskim Korpusie Kadetów Bolesław Kontrym ukończył sześć klas, po czym – latem 1915 r., po wybuchu wojny – zgłosił się na ochotnika do armii. Wspomnienia z kadeckiej młodości nie były chyba zbyt traumatyczne, skoro w momentach szczególnie radosnych Bolesław zwykł nucić „żurawiejkę” jarosławskiego korpusu: „Jarosławcy nieźle dali,/ Ale że by tak – przesadzali!/ Niscy, krzepcy niczym byki./ Jarosławcy to łaziki”².

Na froncie

Bolesław został wysłany na przyspieszony kurs sara-towskiej szkoły podchorążych, który ukończył celująco

i mianowany został chorążym. W maju 1916 r. wyruszył na Front Południowo-Zachodni do 32 Dywizji Piechoty. Większość ofensywy Brusilowa Kontrym przesłużył w sztabie 3 batalionu 127 Pułku Piechoty jako adiutant; we wrześniu został przeniesiony do służby wywiadowczej; równocześnie otrzymał awans na podporucznika. W styczniu 1917 r. Kontryma przeniesiono na stanowisko dowódcy zwiadu konnego w 660 Pułku Piechoty 165 Dywizji Piechoty. Z tą jednostką Kontrym odbył „kampanię karpacką”, uczestnicząc w walkach w okolicach Kołomyi–Nadwronej, a następnie na dzikich terenach górskich na zachód od Bystricy.

Z walk w Karpatach Bolesław najbardziej zapamiętał spotkanie z Legionami Polskimi – już po krwawym starciu w rejonie Rudki Miryńskiej nad rzeką Stochód, gdzie wojska rosyjskie najpierw przełamały front broniony przez trzy legionowe brygady, a później zostały wyparte na pozycje wyjściowe – przez cały sierpień i wrzesień szwadron zwiadu konnego dowodzony przez Kontryma starał się uprzykrzać życie okopanym pod Rudką żołnierzom 5 Pułku z I Brygady Legionów; nazwę jednostki Bolesław zapamiętał doskonale, bo wpisywał ją kilkakrotnie w protokołach przesłuchań złapanych jeńców.

W uznaniu postawy bojowej Kontrym otrzymał promocję na porucznika i został odznaczony orderami: Świętego Stanisława, Świętej Anny i Świętego Jerzego. Ale armia carska już się rozpadała zżerana od wewnątrz przez rewolucję; pozbawiony zajęcia Kontrym dołączył do oddziałów II Korpusu Polskiego stacjonującego w Besarabii; przydzielony do 4 szwadronu 5 Pułku Ułanów. Po bitwie kaniowskiej, rozegranej 11 maja 1918 r., Bolesław dostał się do niewoli niemieckiej, z której błyskawicznie uciekł i przedostał się do Wiatki, gdzie mieszkała jego matka. ▶

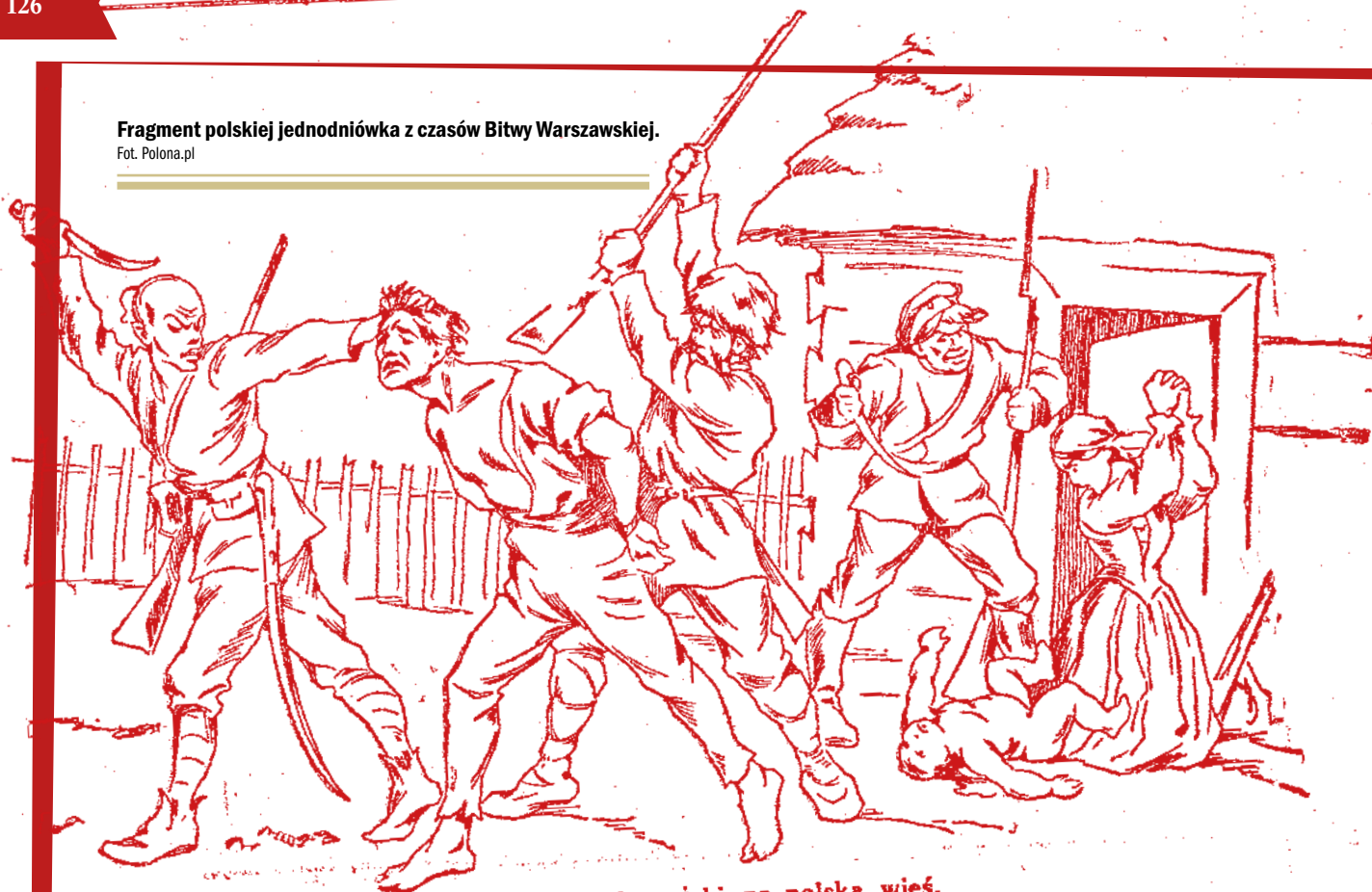


**Bolesław Kontrym
w mundurze oficera
Wojska Polskiego.**

Fot. Domena publiczna

Fragment polskiej jednodniówka z czasów Bitwy Warszawskiej.

Fot. Polona.pl



Najazd bolszewicki na polską wieś.

W Armii Czerwonej

Bolesław Kontrym 18 października 1918 r., jako byłý carski oficer, został przymusowo zmobilizowany do Armii Czerwonej. Tak wspominał ten czas: „Przydzielono mnie do 82 pułku na dowódcę kompanii i wyjechałem z pułkiem do Starej Rusy [Starej Rusy]. Kiedy nasz pułk został przetrzucony do Archangielska w celu tłumienia interwencji państw obcych, które działały przez rodzimą reakcję, wyróżniłem się w poleconych mi do wykonania zadaniach, w wyniku czego mianowano mnie dowódcą batalionu, potem pułku i odznaczono orderem czerwonym i Sztandarem Walecznych”³. W 1919 r. Bolesław Kontrym złożył podanie o przyjęcie do Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii i został jej członkiem.

W rosyjskich archiwach znajdujemy też uzasadnienie przyznania Kontrymowi jego pierwszego Orderu Czerwonego Sztandaru: „Nadaje się order Czerwonego Sztandaru dowódcy 82 pułku strzeleckiego Bolesławowi Władysławowiczowi Kontrymowi – za to, iż w walkach prowadzonych od 25 do 30 stycznia 1919 roku w gminie tarasowskiej, powiecie chołmogorskim guberni archangielskiej, dowodząc 3 batalionem i będąc dowódcą całego zgrupowania atakującego od strony miejscowości Cerkowniczeskaja prowadził błyskawiczne natarcie na umocnione miejscowości nie bacząc na silny opór nieprzyjaciela ostrzeliwującego [nacierające] oddziały

ogniem artyleryjskim i broni ręcznej, ani [nie zważając] na ciężkie straty naszych oddziałów. Tylko dzięki nieustępliwości, energii i głębokiej znajomości sztuki [walki] on wspaniale wypełnił swe zadanie bojowe zajmując południowo-wschodnią część gminy tarasowskiej. Przy tym on jako pierwszy szedł na czele swego oddziału do wielokrotnych ataków na bagnety i pokazywał wahającym się, bywało, czerwonoarmistom przykład odwagi i żołnierskiego męstwa. Przeciwnik był zmuszony rozpocząć odwrót, co dało możliwość, by ostatecznie oczyścić i umocnić w naszym posiadaniu całą gminę tarasowską, przy zdobywaniu której wzięto do niewoli 60 ludzi – Anglików i białogwardzistów, a także zdobyto 10 sprawnych karabinów maszynowych”⁴.

Bolesław Kontrym otrzymał jeden z pierwszych dziesięciu przyznanych orderów; niewykluczone, że znalazł się nawet w pierwszej piątce odznaczonych. Kontrym otrzymał swój pierwszy „sztandar” znacznie wcześniej niż niejaki... Siergiej Siergiejewicz Kamieniew, głównodowodzący wówczas Armią Czerwoną.

Nazwa wioski Niebdino, za zdobycie której Bolesław otrzymał order, stała się symbolem bohaterstwa dla obu walczących stron. W pewnym białogwardyjskim piśmie zamieszczono informację o odznaczeniu Krzyżem Świętego Jerzego II klasy dla „starszego podoficera Iwana Smietanina”⁵ za to, że „w bitwie dnia 8 grud-

nia 1919 roku w pobliżu wioski Niebdino pod celnym i silnym ogniem karabinowym i maszynowym przeciwnika przykładem wyjątkowej odwagi i męstwa zachęcił i pociągnął za sobą naprzód strzelców i zdobył przy tym na nieprzyjacielu nieuszkodzony karabin maszynowy”⁶.

Ironia losu

Zaledwie dwa lata wcześniej Bolesław Kontrym otrzymał – za walki w Karpatach – Krzyż Świętego Jerzego; teraz takie odznaczenia dostawali jego przeciwnicy, a on paradował dumnie z Orderem Czerwonego Sztandaru na kieszeni swego krasnoarmiejskiego munduru. Chociaż nie, to już licentia poetica: swój order przypiął Kontrym dopiero walcząc przeciwko Polakom na Froncie Zachodnim, gdyż pierwszej wersji orderu wykonanej w ilości 150 sztuk pod koniec 1918 r. – z miedzi i posrebrzanej – nie zaakceptowano z powodu niskiej jakości wykonania i trzeba było poczekać z wręczeniem odznaczeń do czasu wyprodukowania nowych.

W oficjalnej historii Republiki Komi także są wzmianki o działalności Kontryma: „Dowództwo czerwonych w krótkim czasie ześrodkowało niemałe siły (na kierunku jareńskim do 1402 bagnatów, trzy działa i 14 karabinów maszynowych pod dowództwem I[wana] A[leksandrowicza] Miakiszewa, a na kierunku ust-sysolskim – do 1830 bagnatów i szabel pod dowództwem B[olesława] W[ładysława] Kontryma) przeciw zajmującym południe republiki Komi białogwardzistom. [...] W końcu listopada 1919 roku w rezultacie zaciętych walk czerwoni zajęli Jareńsk, 2 grudnia – Gam i Aikino, Biali, bez swego dowódcy

Pocztówka propagandowa z 1920 r. Fot. Polona.pl



cy – N.P. Orłowa, który zginął w walkach o Lenę wycofali się [...]. W tym samym czasie nad rzeką Sysołą biali ponieśli porażki pod Ukajbom i Miežadoram i wycofali się z Ust-Sysolska. 2 grudnia czerwoni zajęli Ust-Sysolsk [...] W rejonie miejscowości Niebdino sztab B.W. Kontryma podjął próbę okrążenia wroga. Walki trwały dwa dni, 8–9 grudnia, przy 40-stopniowym mrozie. [...] W walkach pod Niebdino czerwoni ponieśli znaczne straty – do 85 zabitych, rannych lub żołnierzy z odmrożeniami. [...] Jednak straty białych przewyższały te, które poniósł przeciwnik – oceniano je na 40 do 250 w samych zabitych”⁷.

Z Czerwonym Sztandarem

Wspominanie dawnych przewag nic tu jednak nie pomagało: Bolesław Kontrym siedział w okopie z Czerwonym Sztandarem w klapie i zastanawiał się, jak sforsować Bug, nie tracąc jednocześnie zbyt wielu żołnierzy. Bolesław uważał swój pułk za najlepszą jednostkę w Armii Czerwonej i nie zamierzał beznamiętnie gnać swoich ludzi na polskie karabiny maszynowe. Tak, jednostka, którą dowodził Bolesław Kontrym, była jego dumą i chlubą: 82 Pułk Strzelecki wchodził w skład 28 Brygady Strzeleckiej, a ta z kolei należała do 10 Dywizji Strzeleckiej. Jeszcze w listopadzie 1918 r. Kontrym dowodził zaledwie kompanią, w styczniu 1919 r. był już dowódcą 3 batalionu, a w czerwcu 1919 r. otrzymał dowództwo pułku. Przez rok zrobił z 82 Pułku Strzeleckiego sprawną jednostkę, która walcząc na kierunku Archangielskim, dowiodła, że można jej powierzyć najtrudniejsze zadania. Żołnierze walczyli tyleż dla rewolucyjnych idei i rabunku (te motywacje trudno było czasem odróżnić), co dla swojego dowódcy, którego uwielbiali.

„Nasza brygada tocząc nieustanne walki wyszła na rubież położoną pięć kilometrów na południowy wschód od Brześcia Litewskiego. Brześć musi być nasz» – grzmiały hasła na transparentach. Następnego dnia zaczął się szturm miasta-twierdzy. Ja znajdowałem się na wysuniętym punkcie dowodzenia dowódcy 82 pułku towarzysza Kontryma. To był płytki okop przykryty od przodu niewielkim parapetem, ale z boków całkowicie odkryty. Przez lornetkę oglądaliśmy praktycznie wszystkie nasze oddziały szykujące się do ataku. Żołnierze płasko leżeli na ziemi. Nasza bateria otworzyła ogień, z lewa i z prawa odpowiedziały jej inne baterie. Piechota rzuciła się do ataku.

Nocą z 1 na 2 sierpnia nasze wojska zdobyły Brześć Litewski. Przeciwnik wycofał się za Bug i zajął pozycje obronne. Jego ciężka artyleria rozpoczęła systematyczny ostrzał miasta. Trzy razy 28 Brygada próbowała forsować Bug, ale wszystkie nasze ataki były odpierane silnym ogniem artylerii i karabinów maszynowych białych Polaków.

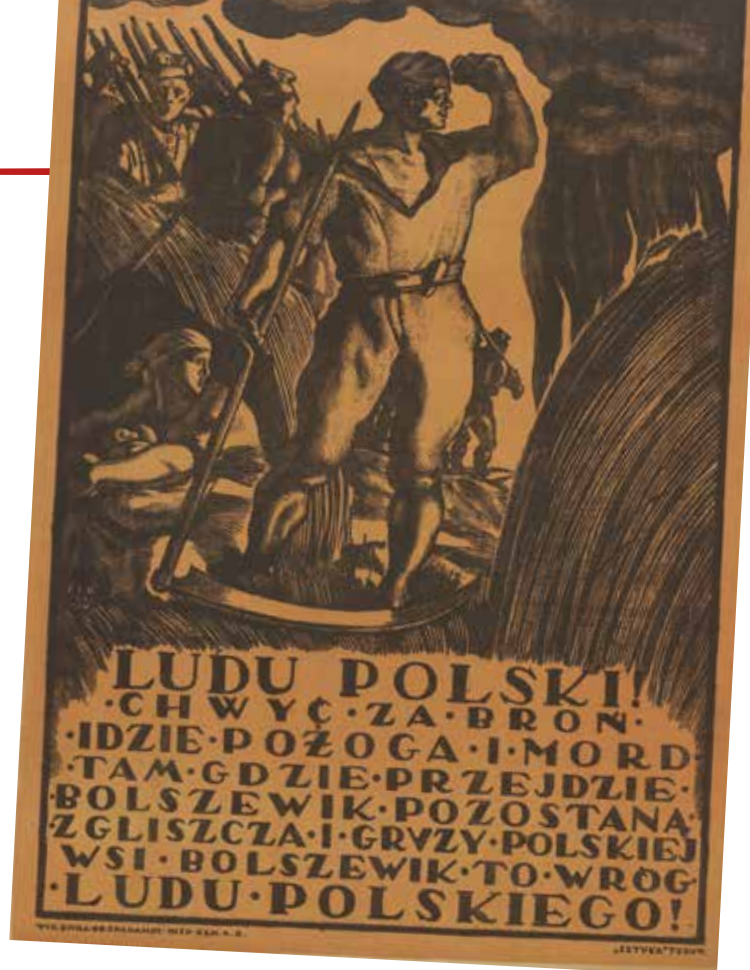
Podczas tych walk pozycję ogniową baterii odwiedził nasz nowy dowódca dywizji N. E. Kakurin, porozmawiał ▶

z żołnierzami, pochwalił ich wyszkolenie. Nasze wojska były mocno wyczerpane, poniosły też niemałe straty – pułki skurczyły się do rozmiarów batalionu a nawet kompanii. [...] Na 4 sierpnia wyznaczone było kolejne natarcie. Rozkaz – nie zważając na nic przeprawić się na przeciwny brzeg rzeki⁸ – czytamy we wspomnieniach niejakiego Nikołaja Woronowa, późniejszego głównego marszałka artylerii ZSRS – Sowietom przyszła z pomocą miejscowa ludność: „Zwiadowcy znaleźli inną możliwość przeprawy – mieszkańcy okolicy wskazali im bród z dobrym zjazdem i wyjazdem, z twardym dnem. Chłopskie wozy spokojnie przejeżdżały tu przez rzekę. Tak więc i my mogliśmy przeprawić się w tym miejscu⁹. Pułk Kontryma przeszedł brodem jako pierwszy, co doprowadziło do popłochu i panicznego odwrotu „Białopolaków”. Z kronikarskiego obowiązku wypada dodać, że autor przytoczonej powyżej relacji – późniejszy marszałek i zastępca ludowego komisarza obrony Związku Sowieckiego Nikołaj Woronow nie za długo cieszył się swoim sukcesem – po walkach pod Józefowem dostał się do polskiej niewoli.

„Po nacjonalności”

Kontryma spotkał natomiast niezасłużony afront: za zdobycie Brześcia i forsowanie Bugu liczył na swój drugi Czerwony Sztandar, tymczasem odznaczenie otrzymał dowódca 2 Dywizji Strzeleckiej Roman Łągwa. Na prentensje Kontryma odpowiedziano, że „po nacjonalności” Polacy mogą otrzymać tylko jeden order i ten należy się Łągwie, który przewidziany jest na dowódcę Polskiej Armii Czerwonej, formacji wojskowej Tymczasowego Komitetu Rewolucyjnego Polski i musi mieć jakieś wysokie odznaczenie na mundurze. Wytargował jedynie uhonorowanie 82 Pułku Strzeleckiego tytułem „Zaszczytnego Rewolucyjnego Sztandaru”; w uzasadnieniu przyznania tytułu napisano, że to za „walkę z białopolakami”. Pułk zdecydowanie zasłużył sobie na takie wyróżnienie; od marca, kiedy to pojawił się na froncie, właściwie cały czas uczestniczył w zaciętych walkach. Brał udział 16 marca w koncentrycznym uderzeniu na pozycje polskiej Grupy Mozyrskiej gen. Władysława Sikorskiego; żołnierze Kontryma wzięli jeńców i zdobyli trochę sprzętu, ale zdecydowanego sukcesu w chrucie bojowym nie odnieśli. W maju 1920 r. 82 Pułk Strzelecki znowu dał o sobie znać, uderzając na jednostki polskie na tzw. linii Rzeczyca – osiągnęli przejściowe powodzenie, lecz potem zostali zmuszeni do wycofania się.

W połowie maja 10 Dywizja uczestniczyła w walkach pod Chlibowem [współcześnie Hlibów]; gdzie bolszewicy ponieśli bolesną porażkę. W „Ilustrowanym Kurjerze Codziennym” ogłoszono tryumfalnie: „Zupełna klęska bolszewików nad Berezyną i Dnieprem¹⁰, dalej nastąpił opis walk: „doniesienia o ostatnich walkach nad Berezyną i Dnieprem to obraz zupełnej klęski nieprzyjaciela.



Polski plakat propagandowy autorstwa Felicjana Szczęsnego Kowarskiego. Fot. Polona.pl

Dotkliwe straty ponieśli bolszewicy zwłaszcza pod Chlibowem, gdzie zdołaliśmy im oddać odwrot. Zniesione zostały doszczętnie pułki II. brygady 10 bolszewickiej dywizji. Dowódca brygady i komisarz poległ, około 400 bolszewików utonęło w Dnieprze. Klęska pod Chlibowem spowodowała taki popłoch, że 10 dywizja sowiecka nie przedstawia już dzisiaj żadnej wartości bojowej. Resztki dywizji, której udało się przedostać na lewy brzeg Dniepru, pod wpływem naszego wypadu porzuciły broń, uciekając w największym popłochu¹¹.

Stwierdzenie, że „10 dywizja sowiecka nie przedstawia żadnej wartości bojowej” mogło być prawdziwe w odniesieniu do większości jednostek, ale z pewnością nie dotyczyło 82 Pułku Strzeleckiego, Bolesław Kontrym zdołał wyprowadzić swoją jednostkę spod polskiego uderzenia bez większych strat i z powodzeniem osłaniał odwrot pobitej dywizji, która musiała zostać wycofana z frontu w celu uzupełnienia – kolejny raz odnotowujemy jej obecność dopiero w początkach lipca podczas walk o Mozyrz.

82 Pułk Strzelecki Bolesława Kontryma 7 lipca 1920 r. znajdował się w rejonie miejscowości Pogoście (k. Mohylewa). Zachowała się relacja ppor. Czesława Przyborowskiego, który w tym właśnie rejonie dostał się do niewoli: „Dnia 7.07.1920 roku po okrążeniu i rozbięciu 7 komp. 16 p[ułku] p[iechoty] bolszewicy szukali między żołnierzami oficerów i podoficerów jako kontrre-

wolucjonistów sprawy robotczej, chcąc dać swej zaciekleści na każdym kogo podejrzewali, że jest oficerem. [...] Po rozbrojeniu mnie przez 9 komp[anię] 88 p[ułku] p[iechoty], strzelano i znęcano się nade mną, wyratowałam mnie z tej sytuacji jeden z byłych oficerów carskich. [...] W dowództwie 88 pp (XVI Armia) bez wyjątku wszystkim rannym nałożono opatrunki. Mnie pod eskortą 4 żołnierzy odstawiono do 28 brygady, po drodze zrzucano mnie z podwoły i musiałem iść piechotą. Przez cały czas wymyślano mi i nie pozwolono zaspokoić pragnienia, pomimo że przechodziłem koło studni. Żołnierze nasi po dostaniu się do niewoli, chcąc się podchlebić, mówili, że sami przyszli do niewoli, ponieważ w wojsku morzono ich głodem i męczono służbą. To też gdy w dowództwie 28 brygady przedstawiłem właściwy stosunek oficera do żołnierza, opiekę i wystarczające pożywienie, to komisarz brygady chciał mnie rozstrzelać zarzucając mi chęć uprawiania agitacji, dopiero po wstawieniu się za mną doktora bolszewickiego swego zamiaru zaniechał¹².

Brat Bolesława

Dowódcą 88 Pułku Strzeleckiego był wówczas Konstanty Kontrym, brat Bolesława, który awansował na dowódcę pułku 26 czerwca 1920 r. Przypuszczalnie to on uratował por. Przyborowskiego, choć według rodzinnej tradycji to Bolesław był „carskim oficerem” broniącym jeńca przed samosądem. Upředzając nieco fakty: Konstante-

mu nie szło tak dobrze jak Bolesławowi, bo zaledwie po trzech miesiącach – 13 września 1920 r. – został przeniesiony na stanowisko dowódcy... batalionu zapasowego 10 Dywizji Strzeleckiej, co było dość oczywistą degradacją. Wracając do opisywanych wydarzeń: po zdobyciu Brześcia 82 Pułk Strzelecki skierował się na Warszawę. Nikołaj Kakurin, dowódca 10 Dywizji Strzeleckiej, stwierdził we wspomnieniach¹³, że dywizja znajdowała się 13 sierpnia w rejonie miejscowości Dębe (Wielkie) – Połęby – Glinianka, wieczorem Mikołaj Sołohub, dowódca sowieckiej 16 Armii, wydał dyrektywę, która nakazywała 10 DS opanować w dniu 14 sierpnia rejon miejscowości Mokra Łąka – Wawer – Jarosław – Okuniew.

Forsowanie Wisły

Następnym zadaniem dowodzonej przez Nikołaja Kakurina 10 Dywizji Strzeleckiej miało być forsowanie Wisły na odcinku od Nowego Bródna do Karczewa.

Bolesław Kontrym miał ze swoim pułkiem nacierać wprost na zachód, minąć Karczew od północy, skrócić następnie na północny zachód, dojść do Wisły i sforsować ją na odcinku bronionym przez polski 62 Pułk Piechoty należący do 15 Dywizji. W tym celu pułk dostał 100 tzw. pływaków Polańskiego, czyli worków z powietrzem, które – przynajmniej w teorii – miały umożliwić sowieckim żołnierzom przepłynięcie Wisły wpraw. Pułk miał także otrzymać uzupełnienia, ale z 80 wysłanych z dywizji rekrutów 78 zdezerterowało po drodze. ▶

Polska jednodniówka z czasów Bitwy Warszawskiej. Fot. Polona.pl



Jeńcy bolszewicki

GAZETA WOJENNA

JEDNODZIŃKA

General Józef Haller.

General Haller wrywa nas pod bróń. Musimy też dobrze wiedzieć, co już general Haller zrobił dla Ojczyzny, bo to nasz obrońca.

General Haller urodził się w Małopolsce pod panowaniem austriackim. Ze go od małego, jako prawdziwego Polaka, do wojska ciągnęło, wstąpił więc do austriackiego, bo własnego, polskiego wojska nie było jeszcze. Myślał też, że jak się wojskowości w cudzej armii nauczy, to się to właśnie Polsce przyda. I na to wyszło.

Doszedł też w tej austriackiej armii do wysokiej rangi, ale przecie z tego wojska wystąpić musiał, bo krzywo się na niego Niemcy patrzyli, że za bardzo po polsku myśli, że żołnierzy Polaków zawsze ma w obronie i tylko o nich dba.

Wyszedłszy z wojska, jał się zaraz roboty kolo tworzenia Legionów polskich na widok wojny europejskiej, żeby z niemi Moskale, najłżejszego naszego wroga, bić. Niedługo na to czekał. Wybuchła wojna europejska i gen. Haller poszedł na front z Legionami. Zbili Moskale na łeb, ale cóż kiedy zamiast niego Niemiec w kraju osiadł i jeszcze gorzej nas gnębił. Widzi gen. Haller, że źle. Włec po pokoju brzeskim w 1918 r., kiedy Niemiec nasze polskie Podlasie i Chełmszczyznę, krwią męczenników-unitów zlane, znowu Ukraincom chciał oddać, zobaczył gen. Haller, że teraz to już pora samych Niemców bić. Przeszedł więc z Legionami na drugą stronę frontu, żeby się połączyć z temi polskimi wojskami, co się w Rosji pod gen. Dowborem sformowały. Ale Niemcy i bolszewicy nie dali tak uroć się polskiej. Po krwawej bitwie pod Kaniowem, musiał gen. Haller uchodzić z kraju i pojechał do Paryża, gdzie właśnie formowały się wojska polskie z amerykańskich Polaków, co to zaa morza przyjechali, żeby też drogiej Ojczyzny bronili.

Tymczasem Niemcy przegrali wojnę i musieli Francuzom i Anglikom buty izać. I u nas w Polsce wyrzucili Niemca i wreszcie, po stu przeszło latach, ujrzeliśmy Ojczyznę naszą wolną i niepodległą. Wielkie to było szczęście, ale od samego początku do utrzymania niełatwe. Bo sąsiedzi nasi kochani, Niemcy i Czesi złem okiem na nas patrzyli a bolszewiki i Ukraińcy odrzuca nas napędzili i Wilno chcieli i Lwów chcieli zabrać jak swoje, choć to odwieczne polskie ziemie.

Wtedy to gen. Haller przyjechał ze swoją armią do Polski (80.000 chłopca na schwał) i zaraz ruszył na Ukraińców. Wyrzuciliśmy ich wtedy z Polski, że się kurzyło za nimi, i zajęliśmy Wołyn i połowę Podola.

Za te zasługi mianował Naczelnik Państwa gen. Hallera, generałem broni, to znaczy najstarszym między generalami.



General Józef Haller.

Dzisiaj, kiedy wojska nasze cofają się pod naciskiem wroga, gen. Haller formuje Armję Ochotniczą, wojsko złożone z samych ochotników, którym do bitwy pilno i na pobór czekać przydługu. Napływają ci ochotnicy w Warszawie, Poznaniu, Krakowie i Lwowie, napływają z małych miast i gmin wiejskich. Ciśnie się tam wszystko, co cięższe i dzielniejsze, żeby jaknajprędzej wroga z kraju wyrzucić.

Pierwsze pułki odeszły już na front i pobili bolszewików pod Zambrowem i Łomżą. Sam gen. Haller tam dowodził. Stało już w gazetach, że jedną kompanję, której dowódca zginał, sam poprowadził. Bo trzeba też wiedzieć, że gen. Haller jest bardzo pobożnym katolikiem i każda

sprawa od wezwania Boskiego zaczyna Dlatego mu i Pan Bóg dopomaga.

Gen. Haller nas prowadzi, zwycięstwo nasze!

Zwycięzimy.

Choć nie jest teraz na froncie najlepiej, choć wojska nasze że, to bardzo zmęczone, cofają się jeszcze, a przecież naostatek my bedziemy góra, nie oni. Zwycięzimy.

A zwycięzimy przedewszystkiem dlatego, że ich wojska bolszewickie są klepskie, licho odziane, licho uzbrojone, a zmęczone tak samo jak i nasze. Tą samą przecie drogą przebyli. Prą się jeszcze na nas, bo czasem im rezerwy podchodzą, ale już stają w miejscu bo i my czasu nie tracimy. Każdy dzień – to dla nich stracony, a przez nas zyskany. Pobijemy ich też i przepędzimy na łeb.

Ochoty do wojaczki te ich wojska nie mają. Po sześciu latach wojny muszą ich dopiero Chłirczyki karabinami maszynowymi popędzać, żeby szli. Jakby się ich nie bał, toby wszyscy na naszą stronę przeszli, bo u nas sto razy lepiej, niż u nich. Strach tylko ich trzyma i nadzieja dobrego rebunku na bogatej polskiej ziemi.

Bo po co miałby się z nami bić? My musimy bronić swojej własnej ziemi, swojej własnej świętej wiary katolickiej, a ni co? Czy swojego bronia? Czy kto na ich wiarę prawosławna nastaje? Na ich Moskwę albo na Piotrogród idzie? Nie. My musimy się bronić, a oni idą ze strachu przed swolmi. Dlatego też ich pobijemy.

Im też już żaden naród nie pomoże, bo ze wszystkimi zadarli. A nam pomagają nasi sprzymierzeńcy. Francuzi i Anglicy. Codzieli przychodzą dla nas podciągi z bronią i amunicją, codzieli przyjeżdżają oficerowie francuscy i angielscy nam pomagać. Bo my żyjemy ze wszystkimi w zgodzie i tak być chcemy.

Już codzieli lepiej się dzieje na froncie, już na północy odpiernamy ataki wroga, a na południu pod Lwowem odniosły duże zwycięstwo.

I codzieli będzie coraz lepiej, bo już wszyscy wstajemy na ratunek Ojczyzny. Tak musi być i tak będzie.

Zwycięzimy!

Polska jednodzińka w czasów Bitwy Warszawskiej. Fot. Polona.pl

Natarcie 10 Dywizji Strzeleckiej nie było zbyt energiczne i polska 15 Dywizja Piechoty bez specjalnych trudności zatrzymała nie tylko tę jednostkę, ale także sąsiednią 8 Dywizję Strzelecką, a częściowo również 17 Dywizję Strzelecką. Polska 14 Dywizja Piechoty 17 sierpnia skierowała się na Mińsk Mazowiecki, rozbijając po drodze pododdziały 10 Dywizji Strzeleckiej. Tego samego dnia 15 Dywizja Piechoty przystąpiła do natarcia od strony Miłosnej o godz. 9.00, uderzając w styk 10 i 17 Dywizji Strzeleckiej i przechodząc następnie do godzin południowych na wysokość linii Brzeziny – Skruda – Długa Kościelna. I znowu – jak to się zdarzało już wcześniej – dowodzony przez Kontryma 82 Pułk Strzelecki uniknął uderzenia głównych sił pol-

skich i wycofał się z niewielkimi w porównaniu do innych jednostek 10 Dywizji stratami.

Tymczasem jednak pozostałe – niezaangażowane w walki o Mińsk Mazowiecki – jednostki polskiej 15 Dywizji Piechoty stoczyły pod wieczór ciężką walkę pod Glinianką; walka skończyła się tam 18 sierpnia zupełną klęską zebranych tam oddziałów 58, 8 i 10 Dywizji Strzeleckiej. Jednocześnie doszło w rejonie Kołbieli do nawiązania łączności między 14 i 15 Dywizją Piechoty. Tym samym znaczne siły rosyjskie znalazły się w okrążeniu – odcięte brygady 8 i 10 Dywizji Strzeleckiej usiłowały przedostać się na wschód. Ich odwrót osłaniał 82 Pułk Strzelecki.

Według danych polskiego wywiadu¹⁴ z końca sierpnia po Bitwie Warszawskiej z 10 Dywizji Strzeleckiej zostały

„resztki prawie rozbitej dywizji” (to już drugi raz w ciągu trzech miesięcy, kiedy polski wywiad tak ocenia sytuację 10 Dywizji Strzeleckiej). Stan „żywniowy” 10 Dywizji Strzeleckiej w dniu 15 maja 1920 r. wynosił 6930 osób (z tego ok. 2730 tzw. bagnatów w pododdziałach frontowych); można ocenić, że ok. 25 sierpnia w 10 Dywizji Strzeleckiej nie pozostało więcej niż ok. 1000 bagnatów.

Późnym wieczorem 21 sierpnia Dywizja stanęła w Brześciu – była najbardziej na południe wysuniętą jednostką XVI Armii – jej lewe skrzydło „wisiało” w powietrzu – IV Armia odeszła już na południowy wschód. Po kilkudniowym odpoczynku w Brześciu 10 Dywizja Strzelecka jeszcze przez czas jakiś kontynuowała odwrót razem z XVI Armią w kierunku północno-wschodnim, docierając do Prużan. Tu jednak zmieniła kierunek odwrotu i odeszła na południe – w kierunku Pińska. Wtedy też podporządkowana została IV Armii.

We wrześniu i październiku 1920 r. pozostałości rzekomo rozbitej 10 Dywizji Strzeleckiej skutecznie osłaniały odwrót 4 Armii z Pińska. Dywizja dostała uzupełnienia, więc miała 6392 żołnierzy w oddziałach liniowych, a jej stan aprowizacji wzrósł do 13 132 porcji, miała też 82 ka-

tralnej między wojskami polskimi a sowieckimi) 6 listopada 1920 r. Bałachowicz proklamował utworzenie niepodległej Republiki Białoruskiej; po dwóch dniach marszu jednostki Bałachowicza natknęły się na pododdziały 10 Dywizji Strzeleckiej. Dzień później Białorusini rozbili pod Romanówką 84 Pułk Strzelecki należący do dowodzonej przez Kontryma 28 Brygady Strzeleckiej. Jednak już 15 listopada Kontrym miał okazję do rewanzu; dowodzone przez niego oddziały otoczyły i rozbiły Huzarski Pułk Kawalerii należący do sił Bałachowicza. A niewiele później, pod Zaspą, 28 Brygada Strzelecka rozproszyła „białoruski” 1 Pułk Konny. Ostatnie jednostki Bałachowicza przekroczyły granicę 5 grudnia 1920 r., prawie 4000 żołnierzy Bałachowicza zginęło lub dostało się do niewoli. Tylko dowodzona przez Kontryma 28 Brygada Strzelecka wzięła 1800 jeńców.

W centralnej Rosji

Po krótkim epizodzie bojowym na Białorusi – już w 1921 r. – Bolesław Kontrym uczestniczył w rozbiu kontrrewolucyjnych oddziałów Aleksandra Antonowa. Gubernia tambowska to zaplecze aprowizacyjne cen-

KONTRYM DOWODZIŁ BRYGADĄ, A ŚWIERCZEWSKI LEDWIE BATALIONEM, KONTRYM MIAŁ TRZY CZERWONE SZTANDARY, ŚWIERCZEWSKI – RAPTEM JEDEN

emy i 24 działa oraz 1979 koni. Niejako przy okazji Bolesław Kontrym awansował, obejmując dowództwo 28 Brygady Strzeleckiej, w skład której wchodziły – oprócz jego macierzystego 82 Pułku także 83 i 84 Pułki Strzeleckie.

Pomiędzy 25 a 30 września 10 Dywizja Strzelecka próbowała osłonić odwrót IV Armii, wykonując kontratak z rejonu Łunińca na prawe skrzydło pododdziałów Stanisława Bułaka-Bałachowicza atakujących Pińsk od południa. Nie przyniosło to sukcesów i wkrótce 10 DS musiała ponownie rozpocząć ucieczkę.

Przez pierwsze dni października 1920 r. 10 Dywizja Strzelecka osłaniała odwrót IV Armii przez Błota Pińskie – zawieszenie broni zastało Dywizję w rejonie Mozyrza. Za udział w kampanii polskiej Bolesław Kontrym został odznaczony (po raz drugi) Orderem Czerwonego Sztandaru; uzasadnienie przyznania odznaczenia było w tym wypadku dość lakoniczne: „dowódcy 82 pułku, towarzyszy Kontrymowi za wyjątkowe opanowanie i męstwo wykazane w okresie natarcia na Warszawę i w późniejszym okresie odwrotu”¹⁵.

Walki na Białorusi

Po podpisaniu traktatu ryskiego 10 Dywizja uczestniczyła jeszcze w walkach na Białorusi przeciwko siłom gen. Stanisława Bułaka-Bałachowicza. Grupa Bałachowicza liczyła ok. 16 tys. ludzi. W Turowie (w strefie neu-

tralnej Rosji. Bunt wybuchł całkowicie spontanicznie – chłopi zabili funkcjonariuszy rekrutujących zboże i rozpoczęli walki partyzanckie. Na ich czele stanął Aleksander Antonow, lewicowy eserowiec, za cara zesłany na Sybir za napady rabunkowe organizowane w celu podreperowania partyjnej kasy, a za rewolucji skazany na śmierć za zamachy na bolszewików. Antonow sformował oddziały partyzanckie, które skutecznie prowadziły wojnę podjazdową. Na początku 1921 r. jego siły liczyły już prawie 50 tys. żołnierzy. Dopiero okrutne pacyfikacje, deportacje, tworzenie obozów koncentracyjnych, branie zakładników, rozstrzeliwania i tortury pozwoliły bolszewikom zdławić powstanie.

Głównodowodzącym sił likwidujących „antonowszczyznę” został 27 kwietnia 1921 Michaił Tuchaczewski, który wydał słynny Rozkaz dzienny nr 171: „1. Rozstrzeliwać na miejscu i bez sądu każdego obywatela, który nie chce podać nazwiska. 2. W wioskach, w których ukrywana jest broń, komisje polityczne powiatu lub gminy mają prawo do decyzji o wzięciu zakładników i rozstrzelaniu ich w przypadku, gdyby broń nie została wydana. 3. W przypadku znalezienia ukrytej broni rozstrzelać na miejscu i bez sądu najstarszego mężczyznę w rodzinie”¹⁶. W każdej wsi brano zakładników i żądano poddania się okolicznych powstańców i wydania broni. Zakładano obozy koncentracyjne, w których zamknięto ponad

50 tysięcy osób. Kolejną zastosowaną przez Tuchaczewskiego innowacją było użycie przeciwko zbuntowanym wieśniakom... gazów bojowych. Okazały się niezwykle skuteczne.

Wtedy właśnie otrzymał Bolesław Kontrym swój trzeci Order Czerwonego Sztandaru. W tym okresie order przyznawany był jeszcze zupełnie wyjątkowo – Kontrym, mając trzy Sztandary, był przez pewien czas w końcu roku 1921 r. w elitarnym gronie zaledwie 14 wyróżnionych w ten sposób – trzykrotnie, tylko jeden oficer miał Sztandar przyznany czterokrotnie.

Uzasadnienie przyznania Kontrymowi trzeciego Sztandaru brzmi następująco: „10 czerwca br. wyszedł w rejonie tambowskim bandy Bogusławskiego i Baranowa liczące około 600 szabel i doścignawszy je w rejonie wsi Sotrouchowka towarzysz Kontrym z jednym tylko szwadronem rozwinął energiczne natarcie i – przybliżywszy się do przeciwnika na 200 kroków – rzucił się na bandy-



Oddział rosyjskich chłopskich buntowników. Fot. Domena publiczna

tów, wbił się w ich szeregi i swoim przykładem pociągnął cały szwadron; w rezultacie [tego natarcia] przeciwnik wycofał się w panice zostawiwszy [na polu walki] 50 zabitych i wielu rannych. W czasie walki zdobyto 2 karabiny maszynowe, 40 koni i inną zdobycz”¹⁷.

Bolesław Kontrym nie był jednak jedynym Polakiem, który odznaczył się w pacyfikacji guberni tambowskiej; w działaniach tych uczestniczył również niejaki... Karol Świerczewski. Wówczas, w 1921 r., to Kontrym był prawdziwym „czerwonym dowódcą” wysokiego szczebla, a Świerczewski zaledwie kandydatem na... wykładowcę walki na bagnety na Kursie Dowódców Czerwonych Ko-

munardów. Kontrym dowodził brygadą, a Świerczewski ledwie batalionem, Kontrym miał trzy Czerwone Sztandary, Świerczewski – raptem jeden, Kontrym miał także dłuższy staż członkowski w partii, a w kieszeni – skierowanie do Akademii Wojskowej, do której Świerczewski dostał się dopiero w cztery lata później.

Obecność jednostki, którą dowodził Bolesław Kontrym na terytorium objętym powstaniem, potwierdza także odnaleziony w archiwach rosyjskich wyrok wydany przez „trójkę polityczną” powołaną przez 28 Brygadę Strzelecką, którą dowodził Kontrym. Dotyczy on publicznego rozstrzelania chłopów ze wsi Zawarzino oskarżonych o przechowywanie broni: „Wyrok »trójki politycznej« 28. Brygady Strzeleckiej 10 Dywizji Strzeleckiej w sprawie rozstrzelania mieszkańców wsi Zawarzino w obwodzie tambowskim. 15 lipca 1921 My, niżej podpisana upoważniona »trójka polityczna« 28. Brygady Strzeleckiej 10. Dywizji Piechoty na podstawie rozkazu Komisji Pełnomocnej Wszechrosyjskiego Centralnego Komitetu Wykonawczego nr 171, poz. 3, posta-

nowiliśmy rozstrzelać publicznie obywateli ze wsi Zawarzino, w powiecie Bogosłowsko-Nowikowskim Obwodu Tambowskiego: Piotra Fiodorowicza Zawarzina oskarżonego o ukrywanie broni: karabinu Berdan numer 115893 i siodło oraz jego syna Wasilija Piotrowicza Zawarzina, dezertera i bandyty. Werdykt zapadł 15 lipca 1921 r. o godz. 16:20. Przewodniczący trójki politycznej: Szechowcow, członek trójki: Kaszirin”¹⁸.

Być może to w tym momencie zaczęła się kruszyć kontrymowska „rewolucyjna niezłomność”; z jego relacji wiemy, że socjalistą Kontrym czuł się jeszcze przed tym, jak został oficerem Armii Czerwonej: „poprzez

swego szwagra Romana Stolarczyka, starego bojowca PPS i zesłańca syberyjskiego, [...] który mnie stawiał na tory socjalistyczne jeszcze w roku 1918 w Wiatce /Rosja/¹⁹, jednak wykładana mu wówczas po polsku pepeesowska wersja socjalizmu musiała się różnić znacznie od tego realnego sowieckiego socjalizmu, który zostawiał za sobą trupy zagazowanych w guberni tambońskiej wieśniaków.

Po rozbiciu „antonowców” towarzysz kombryg Kontrym skierowany został do Sowieckiej Akademii Sztabu Generalnego: „W 1921 roku na jesieni wstąpiłem na młodszy kurs Wojskowej Akademii w Moskwie i zamieszkałem razem z żoną w domu specjalnie zarekwirowanym dla tych słuchaczy w Moskwie”²⁰.

W rewolucji październikowej i późniejszej wojnie domowej w Rosji uczestniczyło ok. 100 tys. Polaków. Kilkanaście tysięcy Polaków biło się po stronie bolszewickiej podczas wojny 1919–1920 r., w tym Bitwy Warszawskiej. Bolesław Kontrym był wówczas jednym z najważniejszych „czerwonych” dowódców wojskowych polskiego pochodzenia. Już jego biografia z tego okresu to materiał na trzymający w napięciu film historycz-

dowódcą 4 kompanii w Zgrupowaniu Armii Krajowej „Bartkiewicz” i dowódcą odcinka taktycznego Królewska – Kredytowa – plac Stanisława Małachowskiego. Podczas walk był czterokrotnie ranny. Z chwilą utworzenia 20 września 1944 r. Warszawskiego Korpusu AK został mianowany dowódcą III batalionu 36 Pułku Piechoty Legii Akademickiej AK. Otrzymał awans do stopnia majora. Po kapitulacji oddziałów powstańczych przebywał w obozach jenieckich Fallingbommel, Gross-Born i Sandbostel, skąd zbiegł w końcu kwietnia 1945 r. przedostał się do Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Od maja 1945 r. był dowódcą 1 kompanii, a od września zastępcą dowódcy 9 Batalionu Strzelców Flandryjskich w składzie 1 Dywizji Panczernej. Do Polski wrócił 17 maja 1947 r. Został szefem działu administracyjno-gospodarczego w Centralnym Zarządzie Państwowego Przemysłu Fermentacyjnego. Aresztowany 13 października 1948 r., był poddawany wyrafinowanym torturom. Po prawie czteroletnim ciężkim śledztwie Bolesław Kontrym wyrokiem sądu został skazany na karę śmierci. Wyrok wykonano. Pośmiertnie uniewinniony i zrehabilitowany w 1957 r. Odznaczony Krzyżem Srebrnym

REWOLUCYJNE ŻYCIORYSY BYWAJĄ SKOMPLIKOWANE. BIOGRAFIA BOLESŁAWA KONTRYMA TO MATERIAŁ NA TRZYMAJĄCY W NAPIĘCIU FILM...

ny. Ciąg dalszy życiorysu Bolesława Kontryma wystarczyłby na kilkuodcinkowy serial...

Po drugiej stronie

Bolesław Kontrym w 1922 r. podjął współpracę z polskim wywiadem i uciekł z bolszewickiej Rosji; po powrocie został zweryfikowany w stopniu porucznika. Służył w Straży Granicznej, a następnie w Policji Państwowej, w której dosłużył się stopnia komisarza i funkcji kierownika Wydziału Śledczego Komendy Wojewódzkiej PP w Wilnie. W czasie II wojny światowej dowodził kompanią w III batalionie Samodzielnej Brygady Strzelców Podhalańskich, z którą uczestniczył w walkach pod Narwikiem i we Francji. Po ewakuacji do Anglii służył w różnych jednostkach; w tym w III batalionie 1 Samodzielnej Brygady Spadochronowej. Zgłosił się do rzutu do Polski i przeszedł przeszkolenie cichociemnych. Zrzucano go do kraju w nocy z 1 na 2 września 1942 r. Oddelegowany do dyspozycji Delegatury Rządu RP na Kraj z przydziałem do Państwowego Korpusu Bezpieczeństwa był szefem Centrali Służby Śledczej i zastępcą inspektora głównego PKB. Jednocześnie pełnił funkcję dowódcy oddziału dyspozycyjnego pod kryptonimami „Podkowa” i „Sztafeta”; na jego czele wykonał 25 akcji likwidacyjnych na agentach i konfidentach. Po wybuchu Powstania Warszawskiego został

Orderu Wojennego Virtuti Militari oraz Krzyżem Walecznych (trzykrotnie).

WITOLD PASEK doktor nauk humanistycznych, historyk, dziennikarz, specjalista do spraw zarządzania kryzysowego. Zajmuje się historią konfliktów zbrojnych XX w. Autor kilkuset artykułów i kilku książek, w tym *Bolesława Kontryma życie zuchwałe. Biografia żołnierza i policjanta 1898–1953*.

¹ W. Pasek, *Bolesława Kontryma życie zuchwałe. Biografia żołnierza i policjanta 1898–1953*, Warszawa 2006. ² Tamże. ³ Zeznanie Bolesława Kontryma w trakcie procesu sądowego 3 czerwca 1952 r., Archiwum Sądu Wojewódzkiego dla m.st. Warszawy; Sprawa B. Kontryma, sygn. 812. ⁴ Rozkaz No. 90 Rewwojensowieta 8 czerwca 1919 r., Rosyjskie Państwowe Wojskowe Archiwum Historyczne w Moskwie. ⁵ „Вестник ВПСО” („Biuletyn rządu tymczasowego obwodu północnego”), 14 lutego 1920 r., tłumaczenie cytowanych fragmentów Witold Pasek. ⁶ Tamże. ⁷ КОМИ КРАЙ НА ПЕРВОНАЧАЛЬНОМ ЭТАПЕ РАЗВИТИЯ СОВЕТСКОГО ОБЩЕСТВА (Раздел II, Глава 8); http://www.karasoft.narod.ru/index.files/geo_komi.files/r12.htm [dostęp 25 sierpnia 2020], tłumaczenie cytowanych fragmentów Witold Pasek. ⁸ Н.Н. Воронов, *На службе военной*, Воениздат, 1963, tłumaczenie cytowanych fragmentów Witold Pasek. ⁹ Tamże. ¹⁰ „Ilustrowany Kurier Codzienny”, 15 maja 1920 r. ¹¹ Tamże. ¹² Centralne Archiwum Wojskowe Wojskowego Biura Historycznego, Kolekcje, 1.400.1029. ¹³ H.E. Kakurin i В.А. Мielnikow, *Война с белополяками 1920 г.*, Moskwa 1925, tłumaczenie cytowanych fragmentów Witold Pasek. ¹⁴ „Wojskowa sytuacja armii bolszewickiej” z 27 sierpnia 1920 r., cytata za „Wojskowy Przegląd Historyczny” nr 1/1992. ¹⁵ Korespondencja Witolda Paska z rosyjską Federalną Agencją Archiwalną – Rosyjskie Państwowe Archiwum Wojenne – Архивная справка No. 1626-и (z 30.08.05). ¹⁶ Б.В. Сенникова, *Тамбовское восстание 1918-1921 гг. и раскрестьянивание России 1929–1933 гг.*, tłumaczenie cytowanych fragmentów Witold Pasek. ¹⁷ Rozkaz Rewwojensowieta No. 351, 27 grudnia 1921, tłumaczenie cytowanych fragmentów Witold Pasek. ¹⁸ Г.А.Т.О. Ф.Р.-4049. Оп. 1. Д.28. Л.253. Подлинник рукописный, cytata za: <http://www.tstu.ru/koi/kultur/other/antonov/raz265.htm> [dostęp 6 listopada 2020], tłumaczenie cytowanych fragmentów Witold Pasek. ¹⁹ Kontrym Bolesław, dnia 2 stycznia 1949 roku – uzupełnienie do zeznania z 2 stycznia 1949 roku, Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej, 0330/8 t. 3; karty 47–50. ²⁰ Protokół przesłuchania Bolesława Kontryma z 8 sierpnia 1949 r., IPN BU 0330/8.

OCHOTNIK

Jan Franciszek Czartoryski uczestniczył w wojnie polsko-ukraińskiej, w wojnie polsko-bolszewickiej, a następnie jako o. Michał był kapelanem Armii Krajowej w Powstaniu Warszawskim. Nie tylko wspierał rannych i chorych posługą duszpasterską, ale tę działalność przypłacił życiem.

MAREK MIŁAWICKI

Wywodził się z arystokratycznej rodziny Czartoryskich, jego ojcem był książę Witold Czartoryski z Pełkiń k. Jarosławia, a matką hrabina Jadwiga z Dzieduszyckich (1867–1941) z Zarzecza k. Jarosławia. Jan Franciszek, bo takie imiona przyszły zakonnik otrzymał na chrzcie świętym, urodził się w 1897 r., a do zakonu dominikanów wstąpił w 1926 r., w wieku prawie 30 lat. Miał już za sobą studia architektoniczne na Politechnice Lwowskiej i działalność w Stowarzyszeniu Akademickiej Młodzieży Katolickiej „Odrodzenie” jako przewodniczący oddziału lwowskiego.

Dominikanin współpracował z o. Jackiem Woroniczkiem, który już wcześniej był przyjacielem domu Czartoryskich, a sami młodzi Czartoryscy właśnie jego wpływowi przypisywali swoje powołanie do kapłaństwa. Oprócz Jana Franciszka za powołaniem tym poszło jeszcze dwóch braci: starszy Jerzy Piotr i młodszy Stanisław Ignacy, jedna ze starszych sióstr, Anna Maria, została wizytką i przyjęła imię Weronika.

Sanitariusz podczas walk o Lwów

Zanim jednak Jan Franciszek został dominikaninem, jako student Politechniki Lwowskiej uczestniczył w walkach o Lwów w 1918 r., a potem w wojnie polsko-bolszewickiej w 1920 r. Udział w obu tych wojnach wzięło pięciu jego braci.

Kazimierza dotknęło nawet internowanie przez Ukraińców w rodzinnym majątku żony, Żurawnie w województwie stanisławowskim (dzisiejsza Ukraina), a w wojnie polsko-bolszewickiej służył w sztabie lwowskiej Armii Ochotniczej pod dowództwem płk. Czesława Mączyńskiego. Wspomniany już Jerzy, jako kleryk Seminarium

Duchownego w Krakowie, do którego wstąpił w 1918 r., zaciągnął się jako kapelan do Małopolskich Oddziałów Armii Ochotniczej, posługę pełnił na froncie koło Zadwórze, na wschód od Lwowa. Włodzimierz w stopniu porucznika służył jako I oficer 3 baterii 6 Dywizjonu Artylerii Konnej im. gen. Romana Sołtyka we Lwowie pod dowództwem por. Antoniego Mokrzyckiego. Roman po służbie w 1 baterii 1 Pułku Artylerii podczas wojny polsko-ukraińskiej został skierowany do baterii zapasowej 1 Dywizjonu Artylerii Konnej im. gen. Józefa Bema w Górze Kalwarii, gdzie zajmował się szkoleniem rekrutów, którzy później byli wysyłani na front. Służbę zakończył w 1921 r. w stopniu porucznika. Stanisław, jako uczeń klasy siódmej gimnazjum, służył w artylerii konnej, biorąc udział w walkach w okolicy Winnicy na Podolu, Starego i Nowego Konstantynowa na Wołyniu, pod Lwowem, Zadwórzem i ponownie nad Zbruczem. Niektórzy z nich w dowód uznania za waleczną i patriotyczną postawę otrzymali liczne medale: Roman został uhonorowany Krzyżem Walecznych oraz odznakami: Pamiątkową „Orleńską”, Pamiątkową 1 Pułku Artylerii Polowej Legionów i Pamiątkową 1 Dywizjonu Artylerii Konnej, a Stanisław – Krzyżem Walecznych i Odznaką Pamiątkową 1 Baterii.

W 1918 r. Rada Regencyjna mianowała ich ojca komisarzem dla Galicji, jednak ostatecznie nie doszło do objęcia tej funkcji; ich ciotka, a siostra ojca, Wanda Czartoryska, działała w lwowskim Komitecie Opieki nad Żołnierzem Polskim, pracowała w szpitalach i organizowała pomoc materialną dla walczących na froncie. Za zasługi otrzymała między innymi Krzyż Obrony Lwowa i Odznakę Pamiątkową „Orleńską”. Zmarła w 1920 r. we Lwowie, jej ciało spoczęło na tamtejszym Cmentarzu Łyczakowskim. Tak postawę patriotyczną całej rodziny Witolda i Jadwigi ►



O. Michał Czartoryski ze swoim ojcem, księciem Włodkiem w Pelkiniach.

Fot. Zbiory prywatne Barbary Caillot-Dubus

Czartoryskich ujęła redakcja poznańskiego „Przewodnika Katolickiego” we wrześniu 1939 r., z okazji ich złotych godów: „Małżeństwo to pobłogosławił Bóg licznym potomstwem. Z jedenaściorga dzieci ks[ięstwa] Witoldostwa jedna z córek, ks[iężna] Anna, poświęciła się służbie Bożej, wstępując do klasztoru PP. Wizytek. Trzech synów zostało kapłanami, mianowicie b[ły] kapelan armii ochotniczej 1920 r., ks[iężę] Jerzy, jest obecnie proboszczem w Milówce Krakowskiej, ks[iężę] Jan, pod imieniem o. Michała, został członkiem zakonu oo. dominikanów, ma Krzyż Walecznych za obronę Lwowa. Wreszcie ks[iężę] Stanisław, dr św. teologii, jest dziś wicedyrektorem Seminarium Duchownego w Krakowie (był ochotnikiem w 1920 r.). Trzej inni synowie ks[ięstwa] Czartoryskich, śp. ks[iężę] Kazimierz i ks[iężę] Włodzimierz, byli podporucznikami artylerii konnej, brali udział w wojnie światowej i w wojnie 1920 r., ks[iężę] Roman zaś odbył nie tylko całą wojnę światową, ale również i całą kampanię polską 1918–1920 r., uzyskując Krzyż Walecznych. Toteż rodzina ks[ięstwa] Witoldostwa Czartoryskich cieszy się zasłużeniem powszechnym szacunkiem w całej Polsce jako wzorowa rodzina polska i katolicka, służąca gorliwie Bogu i Ojczyźnie, wierna najpiękniejszym tradycjom naszego narodu”¹.

Cała rodzina Czartoryskich wzięła więc udział w wojnie polsko-bolszewickiej, broniąc świeżo co odzyskanej niepodległości. Nic dziwnego, że również zaledwie dwudziestotrzyletni Jan Franciszek zaangażował się w walkę: wpiery z Ukraińcami, a następnie z bolszewikami. Wcześniej, w 1916 r., z racji problemów zdrowotnych został zwolniony z wojska austriackiego. I mimo ciągle słabego zdrowia i kłopotów ze słuchem, wraz z rodzeństwem zgłosił się do walki z najeźdźcami. Od listopada 1918 r. brał udział w obronie Lwowa, stając się jednym z Orłąt Lwowskich. Przede wszystkim był sanitariuszem w Szpitalu Wojsk Polskich. Tak na ten temat relacjonował do brata Romana w liście z 24 listopada 1918 r.: „Obrona Lwowa była wspaniała! Początkowo trzeba było zdobywać broń gołymi rękami. Dopiero gdy trochę broni było, wytworzył się front i akcja zaczęła się porządkować [...] Między żołnierzami nie było różnicy — czy oficer, czy profesor uniwersytetu, czy jakiś radca, akademik czy baciara [...] Rozdzielono mnie z oddziałem i posłano w 6 ludzi jako eskorta karabinu maszynowego, który mieliśmy zanieść na Górę Kadecką do szkoły kadetów. Dostaliśmy się w ogień karabinowy, strzelali do nas z krzaków na

niecałe 100 kroków. Nie było czasu się odstrzeliwać, tylko jak najprędzej wjechaliśmy do szkoły. Tu cały dzień waliliśmy z okien [...]. Znajomy lekarz [...] wziął mnie do siebie [...]. Od tej pory miałem wspaniałą frontową służbę sanitarną. Było dwóch znajomych medyków [...], jedna sanitariuszka, później przyszły jeszcze dwie. Chodziliśmy z patrolami i bywaliśmy z nimi w ogniu [...]. Praca była bardzo ciężka, bo z parku [...] wynosić rannych pod górę, do szkoły, daleko i bardzo stromo [...]. Dużo przyjemniejsze wydawało mi się to niż siedzenie w okopach. Daje ogromne zadowolenie moralne. Oprócz tego musiałem grzebać nieboszczyków razem z doktorami, taki był brak ludzi”². Służba go wycieńczała tak, że nieraz padał ze zmęczenia. W końcu zachorował na hiszpankę, wówczas zajęła się nim ciotka Wanda (opiekowała się nim w szpitalu). W styczniu 1919 r. uznano go za niezdolnego do służby wojskowej, otrzymał kategorię D, mimo to prosił o pozostawienie go w wojsku. Pisał do matki 17 kwietnia 1919 r.: „Dziś jestem na pierwszej służbie Ojczyzny. I ta właśnie służba, która w prawie każdym szczególe jest dla mnie święta, trzyma mnie od Was z dala, że ta właśnie służba nas dzieli, czuję się dumnym”³.



**JAN FRANCISZEK
CZARTORYSKI**

W mundurze wojskowym w 1920 r.
Fot. Zbiory prywatne Barbary Caillot-Dubus

Ordynans bojowy na froncie

Jesienią 1919 r. przebywał na froncie jako ordynans bojowy. Rozwoził rozkazy, prawie zawsze w nocy. Często jeździł bez mapy, w ciemności, a przytępiony słuch (wada od urodzenia) zadania zapewne nie ułatwiał. Z tego czasu zachował się list, w którym opisywał wojskowe życie. Do swojego kierownika duchownego, ks. Władysława Korniłowicza, późniejszego kapelana „Lasek”, tak pisał pod datą 3 września 1919 r.: „Do maja 1919 r. pełniłem służbę przy Brygadzie Mączyńskiego. Potem wyszliśmy ze Lwowa z ofensywą i wtedy zaczęła się całkiem inna służba. Zamiast kancelarii, usadzili mnie na konia i zrobili ze mnie ordynansa bojowego. Rozwoziłem ważne rozkazy i to prawie zawsze w nocy. Rzeczy były pilne i ważne, odległości bardzo znaczne, często ponad 60 km, koń za każdym razem inny, a najgorsza noc, bo słuch jedyny wtedy zmysł, a mój słaby. Jazda przeważnie bez mapy, a czasem nie wiadomo dokąd, bo oddział trzeba znaleźć. Wyszedłszy ze Lwowa, idąc do Tarnopola przez 2 tygodnie, spałem tylko 4 noce! Znosiłem to fizycznie doskonale, a orientowałem się też dobrze. Gorsze były rozkazy i meldunki ustne, bo to ogromna odpowiedzialność niepobałamucenia

oddziału i miejscowości. Wobec cienkości i ruchliwości frontu taka służba była niebezpieczna (z moim słuchem), ale na to uwagi się nie zwraca. Raz najechałem na Ukraińców, a wiele razy nie wiadomo na kogo, gdyż usłyszeć i porozumieć się mogłem na bardzo bliską odległość. Raz siedziałem na koniu 26 godz[in]! Kiedyś na chłopskim koniu zrobiłem 24 km na oklep!”⁴.

Nadzorujący plebiscyt na Śląsku i obrońca Lwowa

W czerwcu i lipcu 1920 r. władze wojskowe oddelegowały go na Śląsk, aby jako superarbiter nadzorował plebiscyt. Nie był zadowolony z tego przydziału, wszystko robił, aby wrócić na front. Gdy nastąpiła ofensywa bolszewicka, podobnie jak jego bracia, wstąpił do Małopolskich Oddziałów Armii Ochotniczej. Wraz z Orłętami Lwowskimi bronił grodu nad Pełtwią przed armią gen. Siemiona Budionnego. Niestety, w listopadzie 1920 r. z powodu bardzo słabego słuchu został zwolniony ze służby w stopniu podchorążego. Za odważną i bohaterską postawę oraz waleczność został uhonorowany Medalem Niepodległości za obronę Lwowa i Krzyżem Walecznych (w 1924 r. w uznaniu za bohaterstwo podczas obrony Lwowa i kampanii 1920 r.), Odznaką I Odcinka Obrony Lwowa (w 1919 r.), Odznaką Pamiętkową „Orłęta” (także w 1919 r., „za dzielność i wierną służbę Ojczyźnie ku pamięci przebytych bojów w obronie Lwowa i kresów wschodnich”), Krzyżem Małopolskich Oddziałów Armii Ochotniczej oraz Krzyżem Obrony Lwowa.

Kapelan Armii Krajowej w Powstaniu Warszawskim

Do wydarzeń z 1920 r. zapewne wracał nieraz przy różnych okazjach. Szczególnie wymowne było to podczas Powstania Warszawskiego w 1944 r., kiedy służył jako kapelan III Zgrupowania „Konrad” Oddziału Warszawskiego Armii Krajowej, które działało na Powiślu. W liturgiczną uroczystość Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny 15 sierpnia, a zarazem w Święto Żołnierza i kolejną rocznicę Bitwy Warszawskiej, o. Michał odprawił dla powstańców Mszę św. w bramie domu przy ulicy Smulikowskiej 1/3, w którym była kwatera III Zgrupowania „Konrad”. Wspominająca to wydarzenie Eleonora Kasznica (zm. 2016 r.), córka byłego ministra II RP i rektora Uniwersytetu Poznańskiego Stanisława Kasznicy i siostra ostatniego komendanta Narodowych Sił Zbrojnych – Stanisława Józefa, co prawda nie zapamiętała wygłoszonego wówczas przez kapelana kazania, ale podkreślała, że to była atmosfera bohaterstwa. „Tam byli chłopacy i głęboko religijni, i tacy, których wiara dojrzewała dopiero w dniach powstania. Oni nie patrzyli na formę mówienia, tylko na treść. Dla nich ojciec mógłby nawet stękać, choć nie pamiętam, by tak było. Trafiał w sedno, rozumiał potrzeby tych ludzi. Sam brał udział w wojnie

w 1920 r. Nie chcę używać wielkich słów, ale żyliśmy tym powstaniem, byliśmy zapatrzeni w bohaterów” – opowiadała po 60 latach⁵. Inny uczestnik powstania, Jan Chmielewski, wspominając tę Mszę, zwrócił uwagę, że „Ojciec Michał odprawiał ją w szczególnej scenerii, ze spokojem, a w wygłoszonym kazaniu jego słowa dodawały otuchy, »uskrzydlały [...] i mobilizowały do największych wyrzeczeń«, do walki o »byt i godność«”⁶. Dominikanin Michał Czartoryski stał się symbolem kapelana Armii Krajowej w Powstaniu Warszawskim i jak wielu podobnych kapelanów nie tylko wspierał rannych i chorych posługą duszpasterską, ale tę działalność przyplacił życiem.

Ojciec Michał, wówczas mieszkaniec klasztoru dominikańskiego na warszawskim Stłużewie, 1 sierpnia 1944 r., kiedy rozpoczęło się Powstanie Warszawskie, przypadkowo znalazł się w centrum stolicy. Udał się bowiem do okulisty w Śródmieściu, potem o godz. 16.00, odwiedził rodzinę Kaszniców przy ulicy Juliana Smulikowskiego 4 na Powiślu. I tam zastał ich wybuch powstania. Już nie wrócił do klasztoru, ale postanowił służyć powstańcom jako kapelan III Zgrupowania Okręgu Warszawskiego Armii Krajowej „Konrad”, oddając się do dyspozycji por. rez. Juliana Szawdyna vel Konrada Niewiadomskiego „Konrada”. Porucznik rez. lot. Stanisław Krowacki „Leonowicz” wspominał o zdziwieniu, które wywołał fakt, że 2 sierpnia 1944 r., a więc dzień po wybuchu powstania, „Ojciec Michał” (był to także jego pseudonim) właśnie w habitcie zgłosił się z propozycją pełnienia obowiązków duszpasterskich wśród żołnierzy. Posługę duszpasterską wobec powstańców sprawował z największą prostotą i skromnością. „Nie porywał się na bohaterskie czyny w ludzkim znaczeniu tego słowa, a przecie wszyscy, którzy się z nim wówczas spotykali, traktowali go jak cichego bohatera, choć w taki sposób, że trudno było to bohaterstwo określić”⁷. Jak pisał Krowacki, „Ojciec Michał” jako kapelan „Konrada” przebywał w kącie gmachu ambulatorium Ubezpieczalni Społecznej przy ulicy Smulikowskiego (dziś budynek Związku Nauczycielstwa Polskiego), siedział na krześle, a przy nim klęczał któryś z penitentów.

„Do spowiedzi ustawiała się kolejka młodych zawiadaków, żołnierzy, sanitariuszek, łączniczek, cywilów – dziwnie uciśzonych. Tego uciszenia nikt nie potrafił wytłumaczyć”⁸. Jego spokój wpływał pozytywnie na wszystkich w otoczeniu. Doktor Maria Irena Skowrońska wspominała: „Jego spokój udzielał się nam i chyba rannym. Byliśmy bardzo zadowoleni, że jest z nami. Czuliśmy się z nim mniej osamotnieni i bardziej bezpieczni. [...] Ranni prosili często: siostrzo, proszę poprosić Ojca, aby się do mnie zbliżył”⁹.

Od 3 do 6 września powstańcy bronili się przed Niemcami nacierającymi od strony Skarpy Wiślanej i Uniwersytetu Warszawskiego oraz mostów. W końcu dowództwo podjęło decyzję o wycofaniu się do Śródmieścia, na miejscu pozostało siedmiu powstańców i czworo cywilów (w tym jedna kobieta) niezdolnych do

86



PODPIS WŁAŚCICIELA LEGITYMACJI
Michał Czartoryski

na o. k. p. nina w g. tabeli B

87

N 13048-L.15/10399
BIURO
KOMITETU KRZYŻA I MEDALU
NIEPODLEGŁOŚCI STWIERDZA



IZP. *Jan Franciszek
Michał Czartoryski*
JEST ODZNACZONY MEDALEM
NIEPODLEGŁOŚCI

SEKRETARZ GENERALNY
W. Felmiejewski

Czartoryski Jan 1897


V.) Służba w armjach obcych:
(od—do, rodz. pl. wojsk., specj. wższk., osiągn. stop. wojsk.):
Austr. 7 d. art. kom.

VI.) Rysopis:

Włosy: *e. blond*
Oczy: *brązowe*
Brwi: *ciemne*
Nos: *prop.*
Usta: *niebrzoze*
Broda: *okragla*
Twarz: *owalowa*

Szczególne znaki: _____

Fotografja
lub odcisk wielkiego
palca (kciuk):



VII.) Wynik przeglądu:
Objętość piersi: *84/92* Wzrost: *179* cm.
Bystrość oczu: _____ Ciężar ciała: *69 1/2* kg.
słuch: _____
Ogólny stan zdrowia: *dobry*
Decyzje: _____
Komisji pob. (wzgl. Komis. Rozpoznawczej): *stat. 1920*

- 7 -

VIII.) Wyszkolenie wojskowe:
Przysposobienie wojskowe: *sek. ofic. arm.*
Austr. 1915/16

Wojskowe szkoły i kursy:
(od—do, jakie): _____

Specjalne wyszkolenie wojsk.: _____
(przydatność w razie mobil.): _____

IX.) 1. Udział w wojnach:

		od	do
Przeciw:	<i>Obrona Lwowa</i>	<i>1/XI 1918</i>	<i>31/X 1920</i>
	<i>Bolszewizm</i>	/ 19	/ 19
	_____	/ 19	/ 19
	_____	/ 19	/ 19

2. Pobyt na froncie:

		od	do
Formacja (pułk lub równorz.)	_____	<i>1/XI 1918</i>	<i>31/X 1920</i>
	_____	/ 19	/ 19
	_____	/ 19	/ 19
	_____	/ 19	/ 19

ewakuacji oraz sześć pielęgniarek, które nimi się opiekowały. Z nimi pozostał o. Michał. Ostatnią noc spędził w budynku szwedzkiej firmy Alfa-Laval, mieszczącej się przy ulicy Tamka 3. Niemcy kazali mieszkańcom opuścić piwnice, w których się ukrywali, i przeprowadzili ich do obozu przejściowego w Pruszkowie. W grupie tej nie znalazł się dominikanin, gdyż postanowił pozostać z rannymi, których czekała pewna śmierć. Był świadom, że on również podzieli ich los. Był na to gotowy.

Profesor Stanisław Kasznica wspominał, że gdy Niemcy wkroczyli do budynku Alfa-Laval, o. Michał spokojnie pakował kielich i patenę uratowane parę dni wcześniej z płonącego kościoła św. Teresy od Dzieciątka Jezus na Tamce. Był „jak zawsze opanowany, spokojny, nawet pogodny”¹⁰ – pisał. Jego zdaniem o. Michał „mógł się ratować, gdyby się był przebrał w cywilne ubranie. Odmówił: nie chciał zdjąć szkaplerza zakonnego”¹¹. Ponadto nie chciał pozostawić ciężko rannych, wiedząc, że czeka ich śmierć z ręki okupanta. Wydarzenie to wspomina także córka prof. Kasznicy – Eleonora „Ela”: „Pamiętam, jak łagodnie uśmiechnął się i powiedział, że szkaplerza nie zdejmie i rannych, którzy są zupełnie bezradni i unieruchomieni w łóżkach, nie opuści. Żadne argumenty mego ojca nie skutkowały”¹². Po wyprowadzeniu cywilów i sanitariuszek do niemieckiego lazaretu wojskowego Niemcy dokonali masowej zbrodni – zabili rannych powstańców i zakładników, a wraz z nimi zamordowali także o. Michała. W późniejszym czasie jeden z uczestników tej masakry, którą cudownie przeżył (Andrzej Kopiński przypuszcza, że mógł być nim Tadeusz Parzyszek, członek żywej tarczy), opowiadał, że Niemcy wpięrow rozstrzelali leżących w łóżkach ciężko rannych, a innym, w tym kapelana, wyprowadzili na zewnątrz. Na pytanie oprawcy: „Wer bist du?” („Kto ty jesteś?”) o. Michał nie odpowiedział, tylko podał dokumenty. A wtedy Niemiec zorientowawszy się, że stoi przed nim kapłan, krzyknął: „Der grösste Bandit!” („Największy bandyta!”). A gdy dominikanin odmówił wykonania rozkazu nazisty, by zdjąć habit, został przez niego zastrzelony.

Uderzające jest to, w jaki sposób ludzie z tego kręgu zareagowali na wiadomość o jego męczeńskiej śmierci. Nie znajdujemy w ich reakcjach żadnej rozpacz, żadnego dramatyzowania. Dali temu wyraz w listach kondolencyjnych. Niemał wszyscy, nawet członkowie rodziny o. Michała, przyjęli jego śmierć jako heroiczne ukoronowanie jego życia nacechowanego bohaterstwem w realizowaniu Bożych wymagań. Siostra o. Michała, wizytka Maria Weronika, na wieść o śmierci brata napisała: „Niech żyje Jezus!”. Niezłomny metropolita krakowski arcybiskup Adam Stefan Sapieha napisał do jego ojca: „[P]adł w szeregu bohaterów walczących, a przy tym spełniając święty obowiązek kapłański, prowadząc dusze do Boga”¹³. A jego przyjaciel, lekarz, prof. Stefan Dąbrowski nie dziwił się jego zachowaniu: „Kto znał tę piękną, jednolitą, wszelkich wahań pozbawioną duszę, pełną gotowości ofiary i męstwa, ten nie

mógł mieć żadnych wątpliwości, że rozkazu opuszczenia chorych o. Michał nie wykona. [...] O śmierci zawsze mi mówił spokojnie, z głęboką wiarą i ufnością”¹⁴. Żona profesora, Zofia Dąbrowska, podkreślała natomiast, że bohaterki koniec o. Michała „wydaje się okrzykiem zwycięstwa, potężnym *sursum corda* zwróconym do wszystkich, co go znali. [...] Myślę o nim jako świętym, z którego opieki i pomocy korzystać będziemy mogli w tych strasznych przejściach obecnych, abyśmy na duchu nie upadli”¹⁵. W końcu współpracujący z nim w „Odrodzeniu” jego przyjaciel Stefan Swieżawski, późniejszy wybitny historyk filozofii, napisał: „[W] tym wielkim żalu i smutku bardzo silne są nuty najwyższej radości i triumfu. [...] Śmierć jego to wspaniały akord pozostający w najpełniejszej harmonii z całym jego życiem”¹⁶. Dla wielu z nich był on – jak to ujęła Matylda Sapieha – „męczennikiem miłości Bożej i bliźniego”¹⁷.

Jan Franciszek Czartoryski, a potem również jako o. Michał, był wierny ideałom patriotycznym, które wyniósł z domu rodzinnego. Ale jego postawa zarówno w pierwszych latach niepodległego państwa polskiego, kiedy przyszło mu zmagać się z ukraińskimi, a następnie bolszewickimi najeźdźcami, jak też podczas II wojny światowej, wynikała również z chrześcijańskiego rozumienia umiłowania nie tylko ojczyzny, lecz każdego człowieka, który staje się ofiarą wojen. Patriotyzm i wszystkie wartości i cnoty zawsze traktował bardzo serio i z pełnym zaangażowaniem. Jak podkreślał w liście do swojego brata Romana, pisanego jeszcze z frontu wschodniego podczas wojny z Ukraińcami, walczył o wolność dla Polski, ale bez nienawiści do wrogów¹⁸. Jego postawę najlepiej uwidacznia list do matki pisany ze Lwowa 17 kwietnia 1919 r., w którym wyznał, że swoją służbę dla ojczyzny uważał za „pierwszą” i „świętą”. ■

MAREK MIŁAWICKI dominikanin, teolog i historyk, doktorant, wicedyrektor Dominikańskiego Instytutu Historycznego w Krakowie, mieszka we Wrocławiu. Autor wielu publikacji naukowych, w tym książki *Polscy dominikanie na misjach w Chinach w latach 1837–1952*, współredaktor kilku tomów serii „Studia i Źródła Dominikańskiego Instytutu Historycznego w Krakowie”, z których tom 17 poświęcony został bł. Michałowi Czartoryskiemu.

¹ *Wzór rodzin polskich*, „Przewodnik Katolicki”, 45 (1939), nr 34, s. 398. ² Cyt. za: M. Brzeziński, *Pasja Michała. Życie i męczeńska śmierć bł. Michała Czartoryskiego OP*, Poznań 2015, s. 67–68. ³ Cyt. za: tamże, s. 68. ⁴ Archiwum Polskiej Prowincji Dominikanów w Krakowie, sygn. S 3/6, List Jana Czartoryskiego do ks. Władysława Kornilowicza, 3 września 1919, s. 533–538. ⁵ Cyt. za: J. Grzegorzczak, *O bogatym młodzieńcu, który nie odszedł zasmucony. Bł. Michał Czartoryski (1897–1944)*, Poznań–Jarosław 2004, s. 113–114 (drugie wydanie: Kraków 2007, s. 112).

⁶ APPDKr, Dokumenty Beatyfikacyjne o. Michała Czartoryskiego, teczka 30; J. Chmielewski, *Wspomnienia o. Michale Czartoryskim*, Warszawa, 16 lutego 1992 r. ⁷ APPDKr, Dokumenty Beatyfikacyjne o. Michała Czartoryskiego, teczka 30, S. Krowacki, *Moje wspomnienia o Ojcu Michale Czartoryskim, Dominikaninie, Kapelanie III Zgrupowania „Konrad” AK w Powstaniu Warszawskim* (maszynopis podpisany odręcznie i z odrębnymi poprawkami, 10 lutego 1992). ⁸ Tamże. ⁹ APPDKr, Dokumenty Beatyfikacyjne o. Michała Czartoryskiego, teczka 30, M.I. Skowronka, *Wspomnienia o Ojcu Michale Czartoryskim z czasu powstania warszawskiego*. ¹⁰ S.W. Kasznica, *Długa wojna światowa. Wspomnienia spisane na podstawie codziennych notatek, wstęp i oprac. M. Szczesiak-Ślusarek*, Warszawa–Poznań 2013, s. 151. ¹¹ Tamże. ¹² Cyt. za: Z. Mazur, *Ojciec Michał Czartoryski – nieznanym męczennik, „W Drodze”*, 8 (1992), s. 32. ¹³ APPDKr, Dokumenty Beatyfikacyjne o. Michała Czartoryskiego, teczka 48. ¹⁴ Tamże. ¹⁵ Tamże. ¹⁶ Tamże. ¹⁷ Tamże. ¹⁸ APPDKr, Dokumenty beatyfikacyjne Michała Czartoryskiego, teczka 46, List Jana F. Czartoryskiego do brata Romana Czartoryskiego, Lwów, 24 listopada 1918 r.

ROBOTNICZY KONTRA

Polscy socjaliści nie mieli wątpliwości, jak traktować Armię Czerwoną zbliżającą się do Warszawy latem 1920 r. „Najazd bolszewicki”, „ponowny zabór”, „pijana zwycięstwem soldateska” – to tylko kilka z określeń kierowanych wówczas pod adresem Michaiła Tuchaczewskiego i jego żołnierzy.

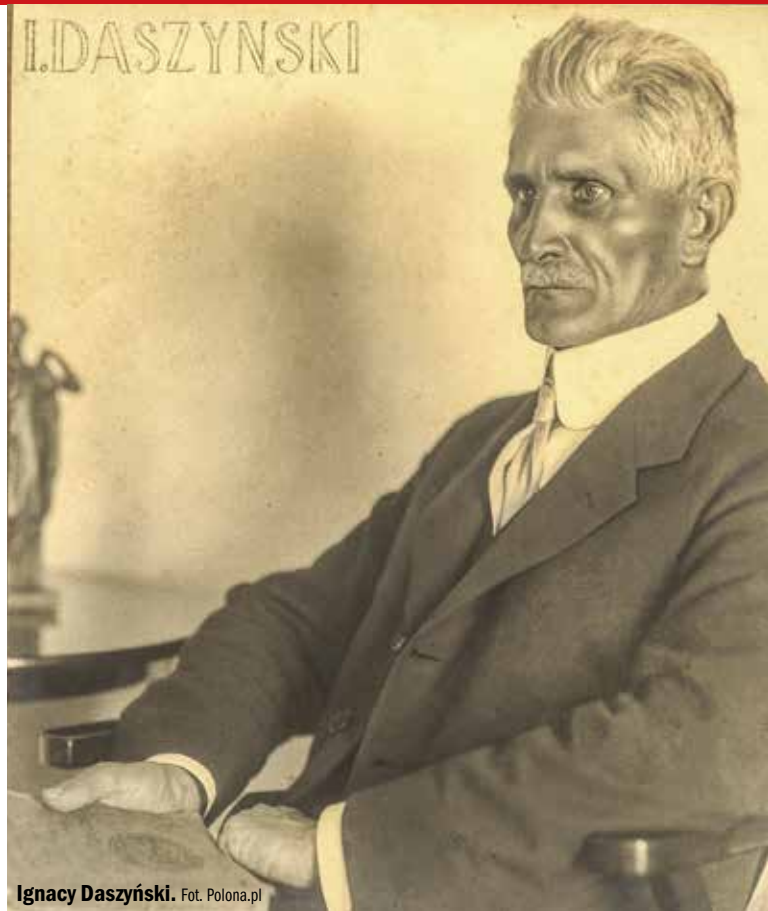
TOMASZ CZAPLA

Przekonanie o walce klas, niechęć do nacjonalizmu, krytyka kleru – bolszewicy i polscy socjaliści z pewnością mogliby wypracować porozumienie na niejednej płaszczyźnie. Różnice? Chociażby wybór drogi do socjalizmu: Polska Partia Socjalistyczna opowiadała się za ewolucyjnym dążeniem do socjalizmu za pomocą kartki wyborczej, Włodzimierz Lenin znał tylko jeden argument – siły. Przede wszystkim jednak dzielił ich stosunek do niepodległości Polski.

Odrodzona Rzeczpospolita była skazana na wojnę z bolszewicką Rosją – nie mogło być inaczej, jeśli Lenin i jego współpracownicy postanowili objąć całą Europę pożarem rewolucji. Jednym z jej pierwszych ognisk na ziemiach polskich stało się Wilno, zajęte przez bolszewików już 5 stycznia 1919 r. Zdobywcy utworzyli nad Wilią stolicę Litewsko-Białoruskiej Republiki Rad i nie kryli, że miasto stanowi dla nich jedynie przystanek przed kolejną ofensywą eksportującą „komunistyczny raj” na zachód. Tam pierwszą przeszkodą było Wojsko Polskie. Niewypowiedziana przez żadną ze stron wojna rozpoczęła się w lutym 1919 r.

Pax Sovietica, Pax Polonica

Stojący na czele polskiej armii Józef Piłsudski nie tylko nie godził się z planami bolszewików, ale w Europie Środkowo-Wschodniej zamierzał zaprowadzić własne porządku. Pax Polonica w wersji minimalnej obejmował Polskę z Wilnem i Lwowem, sprzymierzoną z Ukrainą i krajami nadbałtyckimi. W maksymalnej



Ignacy Daszyński. Fot. Polona.pl

wizji Naczelnego Wodza – przewidywał zaś odtworzenie Wielkiego Księstwa Litewskiego, połączenie go węzłem federacyjnym z Polską i zawiązanie przez to państwo sojuszu z Estonią, Łotwą oraz Ukrainą. W każdej z wersji wspomniane kraje czekała jeszcze wspólna walka o utrwalenie „polskiego ładu” – aż do militarnego pokonania Rosji, zarówno „czerwonej”, jak i „białej”.

Niestety, projekt polsko-litewskiej federacji nie spotkał się nawet z cieniem zainteresowania ze strony polityków litewskich. Wprawdzie przewidziany przez Piłsudskiego na premiera WKL Michał Römer prowadził w kwietniu 1919 r. negocjacje z Litwinami w Kownie, ale zakończyły się one fiaskiem. Polska Organizacja Wojskowa podjęła jeszcze w sierpniu próbę obalenia kowieńskiego rządu i zastąpienia go propolskim gabinetem, ale efekt był więcej niż mizerny. Przewrót się nie powiódł, niedoszli zamachowcy stanęli przed litewskim sądem, a mosty współpracy między Warszawą a Kownem zostały zerwane na dobre. Piłsudskiemu została walka o wolną Ukrainę – podjął ją w kwietniu 1920 r. poprzez wyprawę kijowską.



BOLSZEWICY

Wojna czy pokój

Planów Naczelnika nie aprobowali sympatyzujący z nim na gruncie wewnętrznym politycy PPS. Polscy socjaliści stali na stanowisku, że Polska nie powinna angażować się w „meblowanie” Europy – zadaniem władz jest reformowanie kraju od wewnątrz, budowanie dobrobytu polskich chłopów i robotników. „Wykluczamy jakąś specjalną »misję« dla Polski na Wschodzie. [...] Zasadę interwencji, robienia porządków w Rosji chcemy raz na zawsze z naszej dzisiejszej polityki wykreślić”¹ – przekonywał 26 marca 1919 r. w Sejmie Ustawodawczym Ignacy Daszyński. Aktywności wschodniej Piłsudskiego pepeesowcy przeciwstawili politykę defensywną, zmierzającą do szybkiego zawarcia pokoju z bolszewikami.

Do promowania pacyfistycznej postawy socjaliści wykorzystywali nawet poezję. Przykładem prześmiewczy wiersz Benedykta Hertza *Na Wschód!*, opublikowany w grudniu 1919 r. na łamach tygodnika „Trybuna”. „Ententa kończy wojnę, wszędy pokój szczerpi [...] / Jeden wyjątek z ogólnego święta / Armia polska dalej ma wojować nietknięta. [...] / Nasz żołnierz przejdzie Litwę, i Smoleńsk, i Moskwę, aż Polska / Nie stanie u rogatek samego Tobolska”². Stanowisko PPS było zatem klarowne, ale równocześnie nasuwało liczne wątpliwości. Chociażby kwestia ukraińska – socjaliści opowiadali się za sojuszem Polski z wolną Ukrainą, ale jak należało ją stworzyć bez wojny, gdy ziemie ukraińskie były okupowane przez bolszewików?

Owych dylematów nie miał Piłsudski, tym bardziej że z doniesień wywiadu wiedział o kierowaniu przez bolszewików na front polski nowych oddziałów. Ruszyła więc 25 kwietnia 1920 r. wyprzedzająca ofensywa, spotykając się z chłodnym przyjęciem PPS. Ignacy Daszyński przekonywał kilka dni później w Krakowie, że „czas zakończyć wojnę! Kijowa zdobywać nie potrzebujemy!”³. Na łamach „Robotnika” 11 maja pepeesowcy pytali: „dopóki istotnie bić się będziemy? Zwycięstwa nasze nie przyspieszają pokoju”⁴. Na szczęście PPS ograniczyła się z krytyką do areny krajowej. W artykule opublikowanym 30 maja w piśmie francuskiej lewicy „L’Humanité” Daszyński bronił wyprawy kijowskiej. Uznał ją wówczas za akt polskiego wsparcia dla wolnościowych dążeń Ukraińców.

Socjalistyczna partia wojenna

Sprzeczność? W żadnym razie – lider PPS zdawał sobie sprawę, że każda polska opinia krytyczna wobec własnych władz i skierowana do zachodniej opinii publicznej byłaby wodą na młyn propagandy bolszewickiej. Przedstawiciele Kremla przekonywali bowiem od wielu miesięcy francuską i brytyjską lewicę, że to Polska jest agresorem w wojnie z Rosją sowiecką. Przekaz Moskwy docierał tak-

że do zachodnich robotników i, niestety, okazywał się skuteczny. Już w lutym 1920 r. angielscy dokerzy zablokowali transport sprzętu wojennego przeznaczanego dla Rzeczypospolitej. W Wielkiej Brytanii zostało między innymi 50 tys. karabinów, 80 armat i 30 samolotów – znaczna część tego wyposażenia trafiła nad Wisłę dopiero po zawieszeniu broni z bolszewikami.

Tymczasem pogarszająca się z dnia na dzień sytuacja na froncie sprawiła, że w lipcu PPS przerodziła się w partię popierającą wojnę. Dalekosiężnym celem socjalistów był jednak nadal pokój. Daszyński wszedł do rządu pod warunkiem przesłania noty pokojowej do przeciwnika. Lecz priorytetem stało się odparcie Armii Czerwonej. Odezwy i oświadczenia partii nie pozostawiają wątpliwości: „Nie możemy pozwolić, [...] żeby najezdniczy opanowali ziemie nasze, niosąc cudzoziemskie jarzmo i łamanie godności polskiego ludu pracującego”⁵ – ogłaszano 7 lipca. „Wydział Wojskowy PPS wzywa was dzisiaj do wielkiej ofiarności. [...] kto gotów życie poświęcić w obronie Niepodległości i świętych praw klasy robotniczej, ten stawi się do szeregu, zgłosi się do naszych biur werbunkowych. [...] Do broni!”⁶ – pisano 18 lipca 1920 r.

Podczas gdy członkowie rezydującego w Białymstoku, utworzonego przez bolszewików 23 lipca 1920 r. w Smoleńsku, Tymczasowego Komitetu Rewolucyjnego Polski nawoływali do robotniczego ataku na Belweder, polscy socjaliści organizowali, między innymi w Warszawie, Płocku i Lublinie, ochotnicze bataliony. Uformowali wiele nowych jednostek, wśród których liczebnością wyróżniali się 201 Pułk Piechoty w Jabłonie (pułk Polskiej Organizacji Wojskowej) i 1 Robotniczy Pułk Obrony Warszawy. Bolszewickim nawoływaniom do rewolucji przeciwstawiła się też PPS, zawieszając swoją działalność strajkową i uniemożliwiając komunistom organizację strajków. Na Podlasiu i północnym Mazowszu akcje antybolszewickie prowadziły pepeesowskie grupy dywersyjne, wicepremier Daszyński zaś wziął na swoje barki politykę zagraniczną rządu. W tym celu utworzono Biuro Propagandy Zagranicznej Polskiej, którego przedstawiciele promowali polskość w krajach Europy Zachodniej i Stanach Zjednoczonych.

Gdy decydujące zmagania nad Wisłą i nad Niemnem zakończyły się polskim zwycięstwem, jesienią 1920 r. PPS mogła powrócić do apeli o szybki pokój. Wcześniej partia dała jednak świadectwo patriotyzmu i udowodniła, że duch bolszewickiej rewolucji jest jej całkowicie obcy. ■

TOMASZ CZAPLA absolwent Uniwersytetu Gdańskiego i Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Miłośnik historii, zwłaszcza dwudziestolecia międzywojennego i II wojny światowej. Współpracuje z Telewizją Polską, Telewizją Polsat, „Gościem Niedzielnym” i Klubem Jagiellońskim.

¹ W. Najdus, *Ignacy Daszyński (1866-1936)*, Warszawa 1988, s. 406. ² Tamże, s. 425. ³ Tamże, s. 427. ⁴ Tamże. ⁵ J. Osica, A. Sowa, *Bitwa Warszawska 1920. Rok niezwykły, rok zwyczajny*, Poznań 2011, s. 243. ⁶ Ibidem.com.pl, <http://www.ibidem.com.pl/zrodla/1918-1939/wojny/1920-07-18-odezwa-pps.html> [dostęp: 24 lipca 2020 r.].



Żołnierskie orły z wyprawy na Moskwę



Orzeł szeregowego żołnierza armii Księstwa Warszawskiego wykopany między Smorgoniami a Oszmianą.

Kolekcja Tomasza Zawistowskiego.
Fot. Marzena Józefczyk

Wiedza o historii munduru armii Księstwa Warszawskiego jest z różnych względów niekompletna. Do niedawna nie było wiadomo, z jakimi orłami na czapkach wyruszyła na Moskwę nasza piechota pod napoleońskimi sztandarami.

TOMASZ ZAWISTOWSKI

Większość zachowanych w kolekcjach muzealnych i prywatnych zabytków polskiej wojskowości epoki porozbiorowej stanowią pamiątki po oficerach. Przywożone z wojen i powstań mundury trafiały do szaf, ordery do gablot bądź szuflad, a szable na kobierce zdobiące dawnym obyczajem ściany. Nawet jeśli z czasem mundur zniszczyły mole, to starannie odprute od niego ozdoby i guziki trafiały do pudełka, z biegiem lat stając się coraz cenniejszą pamiątką po ojcu, dziadku, wreszcie prapradziadku. Pieczołowicie przechowywane przez kolejne pokolenia stanowią w dzisiejszych czasach obfite źródło do badania dziejów polskiego munduru.

Inaczej ma się rzecz z pamiątkami po szeregowych żołnierzach. W odróżnieniu od oficerów nie byli oni właścicielami swych mundurów, ozdób i wyposażenia, wobec czego po zakończeniu służby pozostawiali wię-

szczość z nich w magazynach pułkowych. Spodnie, lejbiki i furażerki, w których powracali do domów, najczęściej były przez lata donaszane aż do stanu ostatecznego złachmanienia. Ozdoby i wyposażenie pozostawały w koszarach i wydawane były następnym poborowym. Któregoś dnia wraz z nimi wyruszały na wojnę i spoczywały na którymś z pobojuwisk, nierzadko wraz ze zwłokami swych użytkowników. To, co pozostawało w pułkowych magazynach, też nie miało szansy przetrwać długo na ziemiach zarządzanych przez kolejnych zaborców. Z tego też względu liczba zachowanych do dzisiaj elementów umundurowania szeregowych żołnierzy jest wielokrotnie szczuplejsza od zasobu pamiątek po oficerach.

Prowadzona na przełomie ostatnich dwóch stuleci masowa eksploracja archeologiczna szlaku przemarszu francuskiej Wielkiej Armii przez Rosję ujawniła tysiące obiektów. Możliwe stało się uzupełnienie istotnych braków w wiedzy o tym, jak wyglądał mundur polskiego żołnierza w pamiętnym roku 1812.



Fizyliery Księstwa Warszawskiego z orłami na czapkach według rysunku Bronisława Gembarzewskiego.

Fot. Bronisław Gembarzewski, *Wojsko Polskie. 1807-1814*, Warszawa 1912, s. 43

Z orłem czy bez?

Pierwszy przepis ubiorczy wojsk Księstwa Warszawskiego wydany został w 1807 r. Oryginalny dokument spłonął najprawdopodobniej w czasie Powstania Warszawskiego, dzisiaj można więc korzystać jedynie z wypisów opublikowanych przez płk. Bronisława Gembarzewskiego w pracy *Wojsko Polskie 1807-1814*. Drugi przepis ukazał się w 1810 r., po wojnie z Austrią, i zachował się w całości do dzisiaj. Autorzy obu dokumentów skoncentrowali się na obszernym omówieniu ubiorów oficerskich, ograniczając opis mundurów podoficerów i żołnierzy do podania barw i ogólnikowego kroju. Rolę podstawowej oznaki narodowej pełniła wówczas kokarda zwana narodową, czyli barwy białej, w odróżnieniu od francuskiej – trójkolorowej. Opisane są w przepisach również polskie orły, przeznaczone do noszenia a to na generalskich guzikach, a to na klamrach do pasów oficerów jazdy i ryngrafach oficerów piechoty. Kwestia oznak przeznaczonych do noszenia na czapkach przez szeregowych piechoty nie została formalnie ustalona. Według płk. Gembarzewskiego po 1810 r. na czapkach fizyliarów i wołyżerów znajdował się „orzeł biały, pod nim blacha żółta z numerem pułku”¹. Tę informację płk Gembarzewski zaczerpnął najprawdopodobniej z plansz mundurowych artystów, takich jak Michał Stachowicz, Sylwester Zieliński i Aleksander Sauerwein. Rysunki ich autorstwa są najbardziej

wiarygodnym z dostępnych źródeł ikonograficznym, powstawały bowiem na bieżąco, dokumentując stan rzeczy oglądany na własne oczy przez autorów. Plansze Stachowicza załączone zostały do *Kalendarzyka Krakowskiego* na rok 1812, co pozwala na jednoznaczne określenie wcześniejszej daty ich powstania. Zieliński malował akwarele w 1811 r., a album Sauerweina wydano w 1813 r.

Na rysunkach wspomnianych autorów fizyliery i wołyżerzy, zgodnie z regulaminem, noszą czworograniaste czapki. Prawie wszyscy mają na nich żółtego koloru blachy naczelnie z numerami pułków. Niektórzy noszą na czapkach wyłącznie te blachy, inni – ponad nimi także dodatkowy symbol. U niektórych wołyżerów jest to trąbka, znak kompanii wyborczych. U części fizyliarów, a jak się wydaje i u niektórych wołyżerów, powyżej blachy naczelniej znajduje się Orzeł Biały z uniesionymi ku górze skrzydłami, która to cecha odróżnia go od orłów francuskich. Trudno obecnie oszacować procentowo, jaka liczba szeregowych miała orły na czapkach. Niemniej skoro armia Księstwa Warszawskiego w chwili wymarszu na Rosję liczyła blisko 50 tys. piechoty, musiał istnieć powtarzalny wzór orła na czapki jej szeregowych niezależnie od tego, czy używało go tylko kilka tysięcy czy więcej żołnierzy. Mimo to – z omówionych na wstępie powodów – w zbiorach muzealnych nie zachował się ani jeden oryginalny egzemplarz godła szeregowych żołnierzy piechoty. ▶



Fragment planszy autorstwa Michała Stachowicza. Sylwetki woltżera i fizyliera 12 Pułku Piechoty mają na czapkach rogaczkach blaszki naczelnie z cyfrą pułkową, lecz bez orłów ponad nimi. Orła nosi za to na okrągłym czaku kanonier artylerii pieszej. Załącznik do *Kalendarzyka Krakowskiego na rok 1812*.

Archiwum Marcina Zdrojewskiego

Tropem Wielkiej Armii

Wielonarodowa armia, na czele której cesarz Francuzów wyruszył w czerwcu 1812 r. na wschód, liczyła ponad 600 tys. żołnierzy, z których większość wkroczywszy na ziemię Imperium Rosyjskiego, miała w niej pozostać na zawsze. Przez pierwsze półtora miesiąca, zanim zdążyło dojść do jakiegokolwiek ważniejszej bitwy, niemal wszystkie pułki głównego ugrupowania straciły wskutek głodu, chorób i dezercji połowę swoich stanów etatowych. Zdobycie Smoleńska kosztowało Wielką Armię 10 tys. poległych. Potem nadszedł czas decydującej bitwy, w której naprzeciwko siebie stanęło dwóch ciężko chorych ludzi. Złożony chorobą Napoleon Bonaparte, mistrz manewru, tym razem zdobył się jedynie na krwawe, frontalne uderzenie; półślepy, otyły starzec, książę Michaił Kutuzow, przegrał kolejną bitwę, ale ocalił armię. Rosjanie nazwali tę masakra „bitwą pod Borodino”, Francuzi – „nad rzeką Moskwą”, Polacy – „pod Możajskiem”. Na pobojowisku trojga nazw pozostało 80 tys. trupów, z czego 35 tys. żołnierzy padło po stronie francuskiej. Zająwszy Moskwę, lecz nie doczekawszy się kapitulacji cara, Wielka Armia po miesiącu opuściła spaloną stolicę, w składzie ok. 90 tys. ludzi w szeregach i 50 tys. maruderów. Do Wilna doszło niewiele ponad połowę tego stanu.

W szeregach Wielkiej Armii służyło blisko 100 tys. Polaków, z czego 32 tys. w V Korpusie dowodzonym

przez księcia Józefa Poniatowskiego. Po półrocznej kampanii, po walkach o Smoleńsk, pod Możajskiem, pod Czirikowem i nad Berezyną, do kraju powróciło mniej niż 25% pierwotnej liczby, a i to w większości z dywizji gen. Jana Henryka Dąbrowskiego, która, walcząc co prawda dzielnie nad Berezyną – do Moskwy nie była wysłana i nie musiała przeżywać morderczego spod niej odwrotu. Tysiące polskich żołnierzy dostało się do niewoli; wielu, uznanych za poddanych cara, zostało przymusowo wcielonych w szeregi jego armii. Reszta pozostała w ziemi.

Oprócz zwłok żołnierzy trasę Wielkiej Armii do Moskwy i z powrotem znaczyły sterty porzuconego ekwipunku. Po upływie dwóch stuleci jego szczątki stały się cennym materiałem historycznym. Jest ich mnóstwo, co nie dziwi, wszakże są to pozostałości wyposażenia gigantycznej liczby kilkuset tysięcy żołnierzy. Rosjanie, białoruscy i litewscy poszukiwacze od lat już wyjmują z ziemi mnóstwo metalowych elementów. Są wśród nich guziki, monety, cyfry pułkowe, części broni, emblematy pułkowe i oznaki narodowe – dwugłowe orły rosyjskie i jednogłowe francuskie. Co z naszego punktu widzenia najbardziej interesujące, są też i pamiątki polskie. Obok guzików z sygnaturami warszawskich wytwórców, krzyży kawalerskich i blach naczelnych z numerami pułków wykopywane są też znaki najważniejsze – polskie orły.

Na wschód od obecnego terytorium Rzeczypospolitej ziemia jest wprost usiana pamiątkami polskiej przeszłości. Kłopot z identyfikacją znalezisk stanowią jednak skutki przetaczania się po wielokroć przez tamte okolice wojsk wszelakiego autoramentu. Najdokładniejsze nawet określenie miejsca znalezienia takiego na przykład XVIII-wiecznego orła lub krzyża kawalerskiego nie umożliwi przypisania mu daty i okoliczności, w jakich trafił do ziemi, wobec czego większość pamiątek pozostaje półanonimowa. Inaczej rzecz się ma w przypadku znalezisk wydobytych na szlaku napoleońskiej wyprawy na Rosję, tam bowiem polskie wojsko pojawiło się w danym okresie historycznym jeden jedyny raz, w 1812 r.

Odnalezione po 200 latach

Orły znajdowane podczas poszukiwań w Rosji, na Białorusi i na Litwie reprezentują kilka typów, ale tylko o jednym można powiedzieć, że występuje masowo. Znajdowany jest na całym rosyjskim szlaku Wielkiej Armii, od Smoleńska przez Wiaźmę, Możajsk, Medyń i Berezynę, aż po Oszmianę i Wilno. Autorowi znane są 43 egzemplarze należące do tej serii. Gros z nich jest w większym lub w mniejszym stopniu uszkodzonych, z niektórych ocalały jedynie fragmenty. W tym artykule prezentowane są trzy orły, z których każdy ma konkretne pochodzenie.

Orzeł prezentowany jako drugi na ostatniej stronie artykułu wykopany został w okolicach wioski Utica, leżącej na południe od centrum pola bitwy możajskiej. Właśnie tam V Korpus księcia Poniatowskiego atakował rosyjskie lewe skrzydło od poranka 7 września 1812 r., a natrafiwszy na nieoczekiwanie silny opór, przełamał go dopiero około południa. Miejsce znalezienia obiektu doskonale wpasowuje się zatem w teren działania polskich pułków.

Kolejny orzeł (pierwszy na ostatniej stronie artykułu), choć również pochodzi spod Możajski, to nie ma tak jednoznacznej proveniencji. Wykopyano go w okolicy Wielkiej Reduty, zwanej przez Moskali Redutą Rajewskiego. Było to bodaj najkrwawsze miejsce bitwy, przechodzące kilkakrotnie z rąk do rąk; przemieszane zwłoki obrońców i zdobywców zasłały je na 6 do 8 warstw wysoko. Jedynym polskim oddziałem biorącym udział w zdobyciu reduty był 14 Pułk Kirasjerów płk. Stanisława Małachowskiego, ale kirasjerzy na stalowych hełmach orłów nie nosili. Pytanie o okoliczności znalezienia się

polskiego Orła Białego przy Wielkiej Reducie trzeba by więc zadać żołnierzom VIII Korpusu Westfalskiego, który, ukarany za błędy swego dowódcy popełnione jeszcze pod Smoleńskiem, zobowiązany został do posprzątania możajskiego pobojuwiska z broni i ekwipunku oraz do pochowania poległych. Trzeci orzeł (na pierwszej stronie artykułu) znaleziony został między Smorgoniami a Oszmianą, wobec czego jego historia jest alternatywna. Mógł przejść ze swoim właścicielem całą drogę Wielkiej Armii i trafić do ziemi dopiero w odroczcie spod Moskwy, ale mógł też należeć do żołnierza 17 Dywizji Piechoty gen. Dąbrowskiego, która do Moskwy nie poszła, walczyła natomiast nad Berezyną, a następnie wycofywała się na zachód wraz z pozostałymi oddziałami Wielkiej Armii.

Wspólne cechy charakterystyczne omawianej grupy orłów to: wysokość 70–80 mm, wykonanie techniką odlewania z cyny z domieszką ołowiu (typowa kompozycja to Sn85/Pb15, choć zdarzają się bogatsze w ołów), sposób mocowania na dwie pionowe antabki na rewersie odlewane wraz z orłem oraz płasko wykończona krawędź poniżej nóg i ogona. Ten ostatni detal potwierdza, że orły z tej grupy przeznaczone były do umieszczania na czapkach powyżej mocowanej osobno blachy naczelnej bądź tarczy amazonek. Duża liczebność znalezisk wskazuje, że było ich w użyciu wiele. Wszystkie są wykonane według tego samego projektu ogólnego, ale różnią się szczegółami. Pochodzić muszą zatem z różnych form odlewniczych, a – zapewne – i z różnych warsztatów, najprawdopodobniej funkcjonujących na szczeblu poszczególnych pułków. Reprezentują najliczniejszy znany obecnie typ polskiego orła do czapek szeregowych piechoty Księstwa Warszawskiego. Trudno na razie orzec, czy były noszone i w innych broniach. Warto zwrócić uwagę na ich wspólną, charakterystyczną cechę, a mianowicie na cztery wydłużone, wysunięte z zarysu skrzydła pióra, niespotykane w rysunku polskiego orła wcześniej ani później – aż do odzyskania niepodległości. Identycznie, z czterema lotkami dłuższymi, zaprojektowany został ogólnowojskowy orzeł wz. 1919, noszony przez Wojsko Polskie aż do 1939 r.

TOMASZ ZAWISTOWSKI miłośnik historii polskiego orła wojskowego, urzędniczego i szkolnego. Autor pięciotomowego opracowania *Polskie orły do czapek w latach 1900–1945*.

¹ B. Gembarzewski. *Wojsko Polskie 1807–1814*, Warszawa 1912, s. 108.



Orzeł szeregowego żołnierza armii Księstwa Warszawskiego odnaleziony na pobojuwisku możajskim, w okolicy Wielkiej Reduty.

Kolekcja Tomasza Zawistowskiego.
Fot. Marzena Józefczyk



Orzeł szeregowego żołnierza armii Księstwa Warszawskiego wykopany pod wsią Uticę. Najprawdopodobniej leżał w ziemi od 7 września 1812 r., od ataku V Korpusu księcia Józefa Poniatowskiego.

Kolekcja Tomasza Zawistowskiego.
Fot. Marzena Józefczyk

Broń bizuteryjna z polskim rodowodem

Po zakończeniu I wojny światowej obywatele państw europejskich w trosce o własne bezpieczeństwo zaopatrywali się w broń kieszonkową. Jedną z nich były Lignose 2A i 3A wyposażone w patent polskiego inżyniera Witolda Chylewskiego.

PIOTR KOCYAN

Zdarza się, że tęsknimy za światem rautów, bali, ziemian, oficerów, inteligencji, charlestona i kabaretów. Lata dwudzieste ubiegłego wieku w naszych wyobrażeniach są szalone i urzekające w swej ekstrawagancji. Niestety, piękne chłopczyce z wyniosłymi pilotami lub ułanami powracające letnimi nocami do domów z wystawnych przyjęć to obraz daleki od rzeczywistości tamtych lat. Poruszanie się po ówczesnych miastach, zwłaszcza po zmroku, groziło napadem z rozbojem, który mógł zakończyć się nawet śmiercią. Policja w większości krajów europejskich była wtedy formacją niedoinwestowaną, co czyniło ją nieskuteczną, choć na ogół traktowała swoje zadania niezwykle poważnie i z większym poczuciem misji niż dziś.



Lignose Einhand 3A – pistolet kieszonkowy (kamizelkowy) strzelający nabojem Browning 6,35x15 mm SR (.25 Auto) wyposażony w dźwignię przeładowania wkomponowaną w kabłąk spustowy oparty na patencie inż. Chylewskiego. Odmiana z powiększonym chwytem i dłuższym magazynkiem na 9 naboji.
Fot. B.Z.

Dbanie o bezpieczeństwo własne i osoby towarzyszącej zależało od roztropności i stosowania pewnej taktyki przemieszczania się. Uzupełnieniem owej taktyki była broń palna, dyskretna, ale wystarczająca do odstraszenia ewentualnych amatorów cudzej własności i awanturników wyposażonych na ogół w broń białą. Owe lata to czas broni kieszonkowej, zwanej także kamizelkową.

Dyskrecja przede wszystkim

Pistolety kieszonkowe mają długą historię kojarzoną głównie z amerykańskimi konstrukcjami Henry'ego Deringera. Jego jednolufowe pistolety kapiszonowe stały się z czasem wielolufowe na amunicję scaloną bocznego zapłonu, potem zaś centralnego zapłonu. Rewolucję przyniosła również amerykańska konstrukcja Johna Mosesa Browninga w postaci modelu 1906 opracowanego do amunicji 6,35x15,5 mm SR (.25ACP) tego samego konstruktora. Jak w wielu klasach broni, tak i w tej niszy rodzina Browningów pozostawiła wyraźny ślad. Zarówno pistolet, jak i amunicja wyznaczyły standard nowej klasy broni samoczynnej – pistoletów kieszonkowych. O ile model 1906 był sprzedawany w Stanach Zjednoczonych w sporych ilościach jako broń salonowa, to jego pozbawiona bezpiecznika chwytywego odmiana o nazwie Browning Baby, produkowana przez Fabrique Nationale de Herstal w Belgii, królowała na ulicach Europy. Na tej konstrukcji i amunicji bazowała większość tego typu systemów do wybuchu II wojny światowej. Wersja 6,35x15,5 mm SR, mimo że słabsza od .22LR, była bardziej niezawodna w działaniu, gdyż z powodzeniem zapewniała przeładowanie pistoletu samopowtarzalnego, który działał na zasadzie odrzutu zamku swobodnego. Lepiej też układała się w magazynku, gwarantując równomierne podawanie kolejnych

Filigranowy zamek z moletowaniem w tylnej części, pod spodem widoczna lufa, sprężyna powrotna z żerdzią i centralnie szkielet pistoletu

Iglica ze sprężyną, podatny pazur wyciągu

Sprężyna płaska dźwigni bezpiecznika, wskaźnik napięcia kurka i dźwigni bezpiecznika



Dźwignia przeładowania z wykorzystaniem palca wskazującego. Kluczowy element z patentu inż. Witolda Chylewskiego. Dźwignia pracuje bezpośrednio w prowadnicach naciętych na szkieletce pistoletu. Blokowana jest sprężyną płaską z dwoma bolcami. Jeden nie pozwala na zsuniecie się z prowadnic, drugi stanowi zatrzask ustalający położenie dźwigni niezależnie od pracy zamka

Język spustowy wraz z szyną spustową

Fot. B.Z.

nabojów do komory nabojojowej. Energia pocisku na poziomie 80–90 J, mimo że niewystarczająca do skutecznego rażenia celu żywego, była dostateczna w sytuacji konieczności radykalnego wymuszenia posłuszeństwa. Popularność tych pistoletów rosła z uwagi na niską cenę i poręczność. Nabywaniu sprzyjało również prawodawstwo zakazujące w Niemczech lat trzydziestych posiadania broni o kalibrze powyżej 7 mm, a także rozwój lotnictwa, gdzie wspomniany kaliber zadomowił się jako broń boczna załóg samolotów zarówno wojskowych, jak i cywilnych. Pistolety kieszonkowe miały jednak wadę utrudniającą ich szybkie użycie. Praktyka wymuszała noszenie broni bez naboju w komorze, a więc w konsekwencji konieczność przeładowania przed strzałem. Model 1906 wyposażony został wprawdzie w bezpiecznik chwytowy, którego orędownikiem był sam John Moses Browning (według konstruktora zapewniało to pełne bezpieczeństwo broni załadowanej, jeżeli pistolet noszono w dedykowanej kaburze), niestety, przenosze-

nie w kieszeni M1906 wraz z innymi drobiazgami mogło prowadzić do nieplanowanego wystrzału. Dlatego też broń gotową do strzału noszono rzadko i tylko tam, gdzie spodziewano się problemów. Deringery klasyczne dwu- i czterolufowe w takiej sytuacji były używane nadal przez wielu ludzi.

Polski wążek

Inżynier Witold Chylewski był jednym z wielu Polaków okresu porzobiorowego, którzy funkcjonowali w wielonarodowościowym Cesarstwie Austro-Węgierskim. Wiązało się to ze sposobnością korzystania z dość swobodnego przepływu ludzi, towarów i usług z Niemiec. W 1913 r. Chylewski wystąpił o przyznanie patentu na urządzenie do odwodzenia zamka z wykorzystaniem palca wskazującego i taką ochronę uzyskał 1 czerwca 1914 r. pod nr. 68151 oraz 1 lutego 1915 r. pod nr. 69618. Następnie uzyskał ochronę patentową swojego wynalazku w Niemczech, Wielkiej Brytanii i Polsce



Wersja podstawowa Lignose Einhand 2A z krótkim chwytem i magazynkiem na 6 naboji. Był to typowy pistolet używany do obrony w ciemnych zaułkach warszawskich kamienic. Lata dwudzieste i okres tuż przed 1939 r. to czas niespokojny dla przeludnionej stolicy. Fot. B.Z.

(patent nr 306). Ideą inż. Chylewskiego było zastosowanie w pistolecie samopowtarzalnym dodatkowego niezależnego od zamka suwaka z własną sprężyną, służącego tylko do przeładowania broni. Konstruktor wynalazku trafnie ocenił, że broń o silniejszym naboju niż 6,35x15,5 mm SR Browning i .22LR nie może zostać przeładowana z wykorzystaniem palca wskazującego, ponieważ opór stawiany przez sprężynę powrotną zamka jest zbyt duży. Tym samym patent mógł dotyczyć tylko pistoletów na bazie Browninga M1906 i podobnych. Chylewski, znając wartość swojego wynalazku, sprzedał prawa do niego niemieckiej firmie Theodora Bergmanna. Produkcja ruszyła wraz z końcem I wojny światowej na bazie pistoletu Bergmanna model 2 i 3. Były to pistolety kieszonkowe produkowane według ogólnej koncepcji Browninga Baby, ale o własnych oryginalnych rozwiązaniach konstrukcyjnych ze sprężyną powrotną nawiniętą na lufę i innej konstrukcji urządzenia spustowego. Wykorzystanie urządzenia Chylewskiego pozwalało na wyprzedzenie konkurencji przez stworzenie broni dyskretnej i możliwej do przeładowania w kieszeni jedną ręką. Powstała broń praktyczna, przynajmniej w teorii. Jeden z austriackich patentów Chylewskiego kupiła także szwajcarska firma SIG, ale swoją serię próbną zakończyła na ok. 1000 sztukach, gdyż uznała broń za nieudaną. Tuż po I wojnie światowej zakłady Bergmanna wykupiła niemiecka firma Lignose, która kontynuowała produkcję, w tym wersje 2A i 3A, wyposażone w patent Chylewskiego i reklamowane jako Lignose Einhand, czyli jednoręczne, aż do ok. 1928 r. Zakończenie produkcji wymusiło pojawienie się coraz większej ilości konstrukcji strzelającej amunicją 7,65x17 Browning o znacznie lepszych właściwościach balistycznych. Stało się tak w związku ze

zmianami prawnymi w obrębie dostępu do broni palnej w Europie, zwłaszcza w Niemczech. Do tego momentu wszystkie modele 2, 3 oraz Einhand 2A i 3A, wyprodukowane w ponad 50 tys. egzemplarzy, zachowały się do dziś w sporej ilości i na ogół w dość dobrym stanie. Modele Lignose Einhand 2A (sześć naboji w magazynku) oraz 3A (dziewięć naboji w magazynku) nie zyskały zbyt wielkiej popularności mimo – wydawałoby się – niezaprzeczalnych zalet. Broń z ostro zakończonym kabłąkiem spustowym i wkomponowaną weń dźwignią była niewygodna w noszeniu, gdyż uwierała właściciela przy każdej próbie siadania. Nadrzędnym celem pistoletów kieszonkowych była możliwość ich ukrycia w zakamarkach garderoby i zastosowania w ostateczności. Używane były one zatem rzadko, ale noszone zawsze. Dlatego modele bazowe 2 i 3 stanowiły częstszy wybór nawet kosztem trudniejszego użycia. Kolejnym mankamentem Lignose Einhand była wygórowana cena: 42 RM (Reichsmark – waluta Republiki Weimarskiej) w porównaniu do konkurencji było to średnio o 10–15 RM więcej. Mimo że w cenie tej otrzymywano broń wykonaną bardzo precyzyjnie, co było charakterystyczne dla niemieckich zakładów w Suhl, koszt stanowił poważną barierę w sytuacji hiperinflacji i biedy. Obecnie pistolety Lignose Einhand 2A i 3A, zwłaszcza z początkowego okresu produkcji wyposażone w mosiężny cyngiel przeładowania lub sygnowane okładkami z logo Bergmann, to ozdoby niejednej kolekcji. Ten jednak, kto jest właścicielem SIG z bitym „Brevet Chylewski”, może uważać się za szczęśliwca.

PIOTR KOCYAN magister inżynier, konstruktor mechanik, bronioznawca, członek Security Direct. Specjalizuje się w tematyce uzbrojenia, lotnictwa i energetyki jądrowej. Autor ok. 100 publikacji z dziedziny budowy, eksploatacji oraz produkcji broni w miesięcznikach „Arsenal” i „W Sieci Historii”.



Fot. Domena publiczna

POLSKA-ZBROJNA.PL

PRZEGLĄD SIŁ ZBROJNYCH

ŹRÓDŁO WIEDZY O UZBROJENIU,
TAKTYCE POLA WALKI I SZKOLENIACH



ZAMÓW PRENUMERATĘ
TEL. +48 261 849 494

WOJSKO
POLSKIE

Wasza siła – Nasze bezpieczeństwo

Polecam!

Krzysztof Wilewski, redaktor wydawniczy



CIEŻKI SAMOPAL WZ. 08

W periodykach wojskowych II RP toczyła się dyskusja na temat polskiej nazwy zespołowej broni maszynowej, czyli karabinu maszynowego.

Rozpoczęła się prawie bezpośrednio po zakończeniu walk o granice państwa, po przejściu armii na stopę pokojową i trwała kilka lat.

ANDRZEJ ŁYDKA

Podczas Wielkiej Wojny i w czasie walk o granice Rzeczypospolitej wykorzystywane były różne jej modele i wzory karabinu maszynowego. Maxim wz. 08, wz. 08/15, wz. 10, Schwarzlose wz. 07/12, Hotchkiss wz. 14, Lewis wz. 15, Chauchat wz. 15 to tylko niektórzy z przedstawicieli tego rodzaju broni.

Nosiła ona rozliczne nazwy w różnych oddziałach. W armii carskiej i w polskich formacjach wojskowych tworzonych na Wschodzie oraz w pułkach Wojska Polskiego z kadrą z byłej armii carskiej był to „kulomiot” (pulemiot). W Błękitnej Armii gen. Józefa Hallera była to kartaczownica, jako tłumaczenie obowiązującej w wojsku francuskim nazwy „mitralieza” (mitrailleuse). „Mitrاليةzą” Francuzi nazwali kartaczownice używane podczas wojny francusko-pruskiej w 1870 r., a po kilkudziesięciu latach przenieśli tę nazwę na nowo wprowadzone do użytku karabiny maszynowe konstrukcji Maxima i Hotchkissa. W armii niemieckiej i austro-węgierskiej był to „Maschinengewehr”. W Brygadach Legionów Polskich, formowanych i szkolonych według austriackich regulaminów, a następnie w Polskiej Sile Zbrojnej (Polnische Wehrmacht) szkolonej według regulaminów niemieckich przyjęła się nazwa „karabin maszynowy” jako dosłowny przekład z języka niemieckiego jego nazwy „Maschinengewehr”.



Szwoleżerowie z 1 Pułku z karabinem maszynowym Maxim wz. 08 na stanowisku ogniowym.

Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe/Koncern Ilustrowany Kurier Codzienny/ Archiwum Ilustracji

W „Bellonie”

Dyskusję rozpoczął w 1921 r. w miesięczniku „Bellona” ppłk Józef Kwaciszewski (w 1939 r. dowódca 19 Dywizji Piechoty), proponując zastosowanie jako obowiązującej nazwy „karabin maszynowy”. Odrzucił jednocześnie, przybyłe z Błękitną Armią gen. Józefa Hallera, określenia francuskie „mitralieza” i rosyjskie „kulomiot”, używane przez oficerów z byłej armii rosyjskiej. Warto tu zaznaczyć, że podczas epopei legionowej, jako chorąży był dowódcą oddziału karabinów maszynowych II baonu 3 Pułku Piechoty Legionów Polskich i sam używał nazwy „karabin maszynowy”. Nie można nie docenić jego osobistego stosunku do tej wspaniałej i skutecznej broni, ukształtowanego w młodości, czyli w najpiękniejszym okresie jego oficerskiego życia. Opracował in-

strukcje dotyczące dwóch typów karabinów maszynowych, których używał w walkach: Schwarzlose wz. 07/12 oraz Maxim wz. 08.

W polemicznym artykule ówczesny płk dr Marian Kukiel, późniejszy profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, generał dywizji i minister obrony narodowej, zaproponował staropolską nazwę „samopał”. Jak argumentował: „Wydaje mi się ona tradycyjną, z duchem języka zgodną, w archaizmie [tak w oryginale] swym wesołą i kochaną, zrozumiałą od razu dla każdego rekruta, sprawną, doskonale harmonizującą z ogólniejszą nazwą »broni samoczynnej« i w równym stopniu ścisłą”¹. Jak tłumaczył, zamiast trzywyrazowych nazw „lekki karabin maszynowy”, „ciężki karabin maszynowy” lub „ręczny karabin maszynowy” do użytku wejda nazwy dwuwyrazowe: „lekki samopał”, „ciężki ▶



Gen. Marian Kukiel. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe/Koncern Ilustrowany Kurier Codzienny/ Archiwum Ilustracji



Mjr dypl. rez. Roman Starzyński.

Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe/Koncern Ilustrowany Kurier Codzienny/ Archiwum Ilustracji



Mjr Antoni Ślósarczyk.

Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe/Koncern Ilustrowany Kurier Codzienny/ Archiwum Ilustracji



Obsługa ciężkiego karabinu maszynowego Schwarzlose wz. 07/12 na stanowisku ogniowym.

Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe/Koncern Ilustrowany Kurier Codzienny/ Archiwum Ilustracji

„samopuł” albo „ręczny samopuł”. A dotychczasowa „kompania karabinów maszynowych” będzie nosiła nazwę „kompanii samopułów”. Przypomniat również, że Francuzi nazywali „fizylierami” piechurów uzbrojonych w „ręczne samopuły”. A kilkaset lat wcześniej „fizylier” był to piechur uzbrojony „w precyzyjną, szybkostrzelną, morderczą broń skałkową, czyli w staropolski... samopuł”².

W instrukcji

Podpułkownik Józef Kwaciszewski uznał racje płk. Kukiela i trzecie wydanie (z 1926 r.) swojej instrukcji zatytułował: *Karabin maszynowy Maxim wz. 08 (ciężki samopuł)*. Dwa lata później w „Przeglądzie Piechoty” mjr Szt. Gen. Roman Starzyński, późniejszy dyrektor naczelny Polskiego Radia, zarzucił terminowi „karabin maszynowy”, że „został żywcem przetłumaczony z niemieckiego, przeszedł do polskiego słownictwa wojskowego, dzięki liczebnej przewadze byłych oficerów niemieckich i austriackich, a zwłaszcza legionowych, którzy się do tej nazwy przyzwyczaili i z armij zaborczych oraz formacji ochotniczych wyraz ten wprowadzili do słownictwa naszego”³. Zaznaczył, że nazwa „samopuł”

„nie przyjęła się, gdyż niezbyt była szczęśliwa”⁴. Zaproponował przyjęcie nazwy francuskiej – „mitraliezy” i utworzenie określeń pochodnych: „ręcznej mitraliezy” i „lekkiej mitraliezy”, zamiast „ręcznego karabinu maszynowego” albo „lekkiego karabinu maszynowego”. Zgodnie z jego propozycją kompanie karabinów maszynowych zastąpiono by „kompaniami mitralierów” (analogicznie do przyjętych nazw fizylierów i grenadierów).

W „Przeglądzie Piechoty”

Dwa miesiące później, również na łamach „Przeglądu Piechoty” kpt. Szt. Gen. Antoni Ślósarczyk, późniejszy zastępca attaché w Tokio, a w Polsce Ludowej robotnik niewykwalifikowany, uprzejmie nie zgodził się z postulatami mjr. Starzyńskiego i zaproponował nazwę „samopuły” jako ogólną nazwę karabinów maszynowych. Natomiast „ciężkie karabiny maszynowe” miały zostać nazwane „śmigownicami”, a ręczne karabiny maszynowe – „rusznicami”. Uzasadnił to faktem, że „śmigownicami” nazywano bardzo lekkie działa, przewożone po sześć sztuk na wozie, a obsługiwane każde tylko przez jednego puszkarza względnie jako „długie strzelby na



Gen. Józef Kwaciszewski (po prawej stronie).

Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe/Koncern Ilustrowany Kurier Codzienny/ Archiwum Ilustracji



Obsługa ciężkiego karabinu maszynowego 7,92 mm Hotchkiss wz. 24 z Dywizjonu Artylerii Konnej podczas ćwiczeń. Do łapania łusek używano wiadra kawalerskiego. Zdjęcie wykonane po 1935 r. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe/Koncern Ilustrowany Kurier Codzienny/ Archiwum Ilustracji

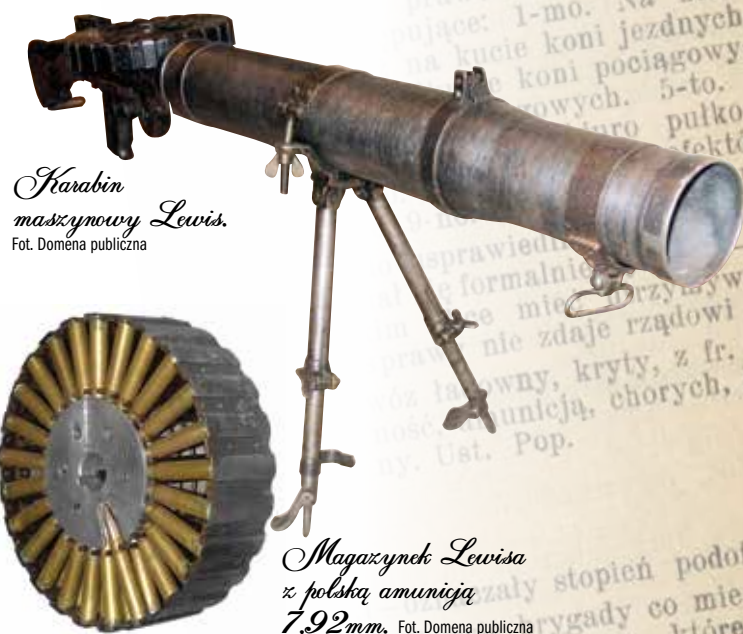
wozach, nabijane z tyłu”⁵. Innymi słowy była to „ciężka broń piechoty”. Charakteryzując rusznice, posłużył się opisem z 1578 r. „Rusznica rzeczona jest od słowiańskiego, jakoby ręcznica, t.j. z ręki ją można strzelać, kto jest umiętny. Czyż więc tej możliwości ręcznego posługiwania się taką bronią nie odda nam doskonale ten krótki wyraz o lackim dźwięku – rusznica?”⁶ W konsekwencji zamiast „kompanii ciężkich karabinów maszynowych”, będzie „kompania śmigownic”, a zamiast kabalistycznego okrzyku „erkaemy naprzód” – powiemy po prostu „rusznice naprzód”⁷.

Ostatni akord w dyskusji wybrzmiał w artykule kpt. dypl. Bronisława Kowalczewskiego (w 1940 r. dowódcy 5 Małopolskiego pułku strzelców pieszych, a w 1943 r. organizatora ucieczki z Oflagu VIB Dössel, za co zapłacił głową). Zaproponował on zrezygnowanie z „samopalców” i „mitraliez” oraz „śmigownic” jako zbyt archaicznych i niezrozumiałych. Zamiast tego uznał, że obecne „karabiny maszynowe” należy nazwać ogólnie „rusznicami” i pozostawić przy tym dotychczasowe określenia: ciężkie, lekkie, ręczne⁸.

Czas pokazał, że w ogólnej dyskusji rację miał mjr Starzyński, który wskazał na przewagę w niej kadry z armii niemieckiej, austriacko-węgierskiej i z Legionów Polskich, preferującej nazwę „karabin maszynowy”. Nazwa ta ugruntowała się zarówno w wojsku II RP, jak i w społeczeństwie i w efekcie tego do dzisiaj w Siłach

Zbrojnych RP używa się „karabinów maszynowych”, a nie „samopalców”, „kartaczownic”, „śmigownic” i „rusznic”, nie wspominając o „mitraliezach”.

¹ M. Kukiel, *Karabiny maszynowe czy samopalców*, „Bellona” 1921, R IV, nr 9, s. 820–821. ² Tamże, s. 821. ³ R. Starzyński, *O nazwę karabina maszynowego*, „Przegląd Piechoty” 1928, nr 2, s. 133. ⁴ Tamże, s. 134. ⁵ A. Ślósarczyk, *O zwięzłe polskie nazwy broni samoczynnej*, „Przegląd Piechoty” 1928, nr 5, s. 105–110. ⁶ Tamże. ⁷ Tamże. ⁸ B. Kowalczewski, *O zwięzłe polskie nazwy broni samoczynnej*, „Przegląd Piechoty” 1929, nr 4, s. 130.



Karabin maszynowy Lewis.
Fot. Domena publiczna

Magazynek Lewisa z polską amunicją 7,92mm.
Fot. Domena publiczna



Zwierzchnik sił zbrojnych

Przyjęcie przez prezydenta zwierzchnictwa nad siłami zbrojnymi oficjalnie określono po raz pierwszy wraz z wprowadzeniem konstytucji marcowej z 1921 r.

MARIUSZ KUBAREK

Gdy pierwszy prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Gabriel Narutowicz w 1922 r. przyjmował swój urząd od Naczelnika Państwa marsz. Józefa Piłsudskiego w Belwederze, nie było żadnego oficjalnego dokumentu, który narzucałby przebieg uroczystości przyjęcia zwierzchnictwa nad siłami zbrojnymi. W młodym polskim państwie tworzył się nowy ceremoniał. Zaledwie kilka dni później, w wyniku tragicznych wydarzeń, kolejny prezydent brał udział w podobnej, lecz trochę zmienionej ceremonii. Nikt pewnie jeszcze wówczas nie przypuszczał, że przez prawie 100 lat każda następna uroczystość będzie również inna od poprzedniej.

Zaprzysiężenie

Przyjęcie zwierzchnictwa przez prezydenta nad siłami zbrojnymi określono po raz pierwszy wraz z wprowadzeniem konstytucji marcowej z 1921 r. Zgodnie z artykułem 46 „Prezydent Rzeczypospolitej jest zarazem najwyższym zwierzchnikiem sił zbrojnych Państwa, nie może jednak sprawować naczelnego dowództwa w czasie wojny”¹. Wybrany na pierwszego prezydenta Rze-

czypospolitej Polskiej Gabriel Narutowicz przysięgę złożył 11 grudnia 1922 r. w Sejmie RP, zaś akt przekazania władzy oraz zwierzchnictwo nad armią przyjął dwa dni później, 13 grudnia. Ceremonia odbyła się w Belwederze o godz. 12.00. Przybyłego prezydenta oczekiwał Naczelnik Państwa marsz. Józef Piłsudski wraz z prezesem Rady Ministrów, marszałkami Sejmu i Senatu RP oraz członkami rządu. Po odczytaniu przez premiera *Aktu przekazania władzy* został on podpisany przez naczelnika państwa oraz prezydenta i opatrzony pieczęcią Rzeczypospolitej Polskiej. Moment ten obwieszczono 25 salwami armatnimi baterii dział ustawionej w parku Łazienkowskim, a orkiestra wojskowa na dziedzińcu odegrała hymn narodowy. Następnie prezydent w towarzystwie ministra spraw wojskowych i świąty udał się na dziedziniec, gdzie pododdziały oddały honory, a orkiestra ponownie odegrała hymn. Adjuwant generalny złożył prezydentowi meldunek, po którym Gabriel Narutowicz dokonał przeglądu wojsk. Całość zakończyła defilada, a żołnierze na cześć prezydenta wznieśli trzykrotnie okrzyk „Niech żyje!”. Po defiladzie adiutant generalny przedstawił prezydentowi oficerów dowództwa kawalerii i oddziałów przybocznych².



2

Zaledwie siedem dni później po tragicznej śmierci prezydenta Gabriela Narutowicza nowo wybrany prezydent Stanisław Wojciechowski przyjęcie prezydentury rozpoczął w Warszawie od złożenia przysięgi w Sejmie RP. Ze względu na okoliczności związane z pogrzebem poprzednika, prosto z siedziby Sejmu prezydent udał się na Zamek Królewski, gdzie wystawiono ciało Gabriela Narutowicza. Dopiero po oddaniu czci zmarłemu przejechał do Belwederu, gdzie odbyło się przyjęcie zwierzchnictwa nad siłami zbrojnymi. Ceremonia od poprzedniej różniła się tylko salwą armatnią, która oddana została nie z chwilą podpisania dokumentów, lecz na zakończenie uroczystości³.

Więcej czasu mieli organizatorzy kolejnego zaprzysiężenia, które odbyło się 4 czerwca 1926 r. o godz. 12.00 na Zamku Królewskim. Prezydent Ignacy Mościcki w Sali Asamblowej złożył przysięgę, po której nastąpił salut 21 salw armatnich. Równocześnie po raz pierwszy podniesiono na wieży zamkowej chorągiew prezydenta Rzeczypospolitej. Po części oficjalnej nastąpiło przyjęcie zwierzchnictwa nad siłami zbrojnymi na dziedzińcu Zamku Królewskiego. Zgromadzone pododdziały honorowe i szwadron przyboczny oddały honory prezydentowi, któremu towarzyszył minister spraw wojskowych, a orkiestra wojskowa odegrała hymn. Po przeglądzie pododdziałów uroczystość zakończyła defilada⁴.

Przepisy w II Rzeczypospolitej

Kiedy w 1933 r. po raz drugi Ignacy Mościcki został wybrany na prezydenta, wydawało się, że wszystkie elementy zaprzysiężenia głowy państwa zostały już dopracowane. W dokumencie pod nazwą *Przepisy protokolarne*, ce-

1. Naczelnik Państwa Józef Piłsudski podczas rozmowy z nowo wybranym prezydentem Gabrielem Narutowiczem w Belwederze; 2. Uroczystości święta 3 Maja na placu Józefa Piłsudskiego w Warszawie. Przybycie prezydenta RP Ignacego Mościckiego. Żołnierze 30 Pułku Strzelców Kaniowskich prezentowali broń i sztandar; 3. Prezydent RP Ignacy Mościcki podczas rozmowy z przedstawicielami armii japońskiej.

Fot. 1-3: Narodowe Archiwum Cyfrowe



3

remonialne i etykietałne Rzeczypospolitej, który powstał w okresie międzywojennym na potrzeby funkcjonowania polskiej dyplomacji, wśród 19 punktów rozdziału X *Akty ceremonialne związane z wyborem i zaprzysiężeniem Prezydenta Rzeczypospolitej oraz przekazaniem mu władzy przez poprzednika w urzędzie*, można przeczytać, że po złożeniu przez nowo obranego prezydenta przysięgi w dniu następnym ustalany jest z nim termin przekazania władzy. Tego dnia ustawione na dziedzińcu rezydencji oddział przyboczny prezydenta RP z orkiestrą i sztandarami oddają honory przy dźwiękach fanfar. Prezydent przechodzi do Sali Audiencjonalnej, gdzie po odczytaniu przez prezesa Rady Ministrów aktu przekazania władzy podpisuje go. W tym momencie ustawiona nieopodal bateria artylerii oddaje „przypisaną ilość strzałów honorowych, zgromadzone oddziały wojsk prezentują broń, muzyki grają hymn narodowy”⁵. Po odebraniu insygniów wielkiego mistrza i kawalera orderów polskich prezydent w towarzystwie adiutanta generalnego „przy dźwiękach hymnu narodowego przechodzi przed frontem oddziałów przybocznych i przyjmuje defiladę”⁶.

Zgodnie z tą formułą 4 czerwca 1933 r. o godz. 12.00 na Zamku Królewskim w Warszawie odbyła się ceremonia ponownego zaprzysiężenia prezydenta Ignacego Mościckiego na kolejną kadencję. Tym razem, po podpisaniu aktu przyjęcia władzy i odgrywania hymnu narodowego, bateria oddziału artylerii konnej ustawiona na ulicy Bugaj oddała 101 salw armatnich. Uroczystość zgodnie z protokołem zakończył przegląd wojsk i odebranie defilady asystujących pododdziałów⁷.



1. Oddziały wojskowe defilowały w Warszawie przed prezydentem RP Ignacym Mościckim (na podium). Po lewej widoczny pomnik księcia Józefa Poniatowskiego.

W tle fasada Pałacu Saskiego. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

2. Prezydent RP Stanisław Wojciechowski wręczył żołnierzom ordery Polonia Restituta.

Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Rząd na Uchodźstwie i Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej

Po wybuchu II wojny światowej i emigracji władz polskich oraz powstaniu Rządu na Uchodźstwie zakończył się uroczysty charakter przyjmowania urzędu przez kolejnych prezydentów wówczas już poza granicami kraju. Rząd z prezydentem Władysławem Raczkiewiczem najpierw we Francji, a następnie w Wielkiej Brytanii nadal wypełniał swoje obowiązki. Po konferencji jałtańskiej w lutym 1945 r., podczas której zdecydowano zarówno o kształcie granicy Polski, jak i trybie tworzenia rządu polskiego, mocarstwa zachodnie zaczęły odwracać się od polskich władz na uchodźstwie. W dniach 17–21 czerwca zdecydowano w Moskwie o powołaniu Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej. Zaledwie kilka dni później, 28 czerwca 1945 r., ówczesny rząd polski wydał odezwę do narodu, w której pisał między innymi: „Rząd Polski oświadcza, że przekaże swą władzę tylko rządowi, który będzie stworzony na wolnej ziemi polskiej i który odzwierciedlać będzie wolę narodu, wyrażoną w wolnych wyborach”⁸. Udało się to dopiero w 1990 r.

Niezależnie od sytuacji na Zachodzie, ustawą z 11 września 1944 r. Krajowa Rada Narodowa, podległa Moskwie, na terytorium byłej Rzeczypospolitej Polskiej wybrała na przewodniczącego Bolesława Bieruta i przyznała mu uprawnienia należne prezydentowi w zakresie ogłaszania ustaw, zwierzchnictwa nad siłami zbrojnymi, zawierania umów z innymi państwami i wykonywania prawa łaski. Rząd Tymczasowy Rzeczypospolitej Polskiej 31 grudnia 1944 r. zmienił tytuł Bieruta z przewodniczącego na prezydenta Krajowej Rady Narodowej, a w czerwcu 1945 r. Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej.

Wybory w Polsce odbyły się 19 stycznia 1947 r. W jednoizbowym Sejmie Ustawodawczym, który ukonstytuował się 4 lutego 1947 r., zwolennicy nowej władzy zajęli 90% miejsc. Tego samego dnia uchwalono wzorowa-

ną na rozwiązaniach konstytucji marcowej z 1921 r. ustawę o wyborze prezydenta, a 6 lutego na urząd ten wybrano Bolesława Bieruta. Prezydent elekt przybył do Sejmu po godz. 13.00 samochodem w asyście szwadronu szwoleżerów. Na dziedzińcu oczekiwała kompania honorowa Wojska Polskiego wraz z orkiestrą, która w momencie wjazdu elekta odegrała hymn narodowy. Kiedy prezydent słowami „Tak mi dopomóż Bóg” kończył składanie przysięgi, zabrzmiała salwa armatnia. Zgodnie z rozkazem ministra obrony narodowej, marsz. Polski Michała Roli-Żymierskiego, o godz. 14.15 w Warszawie oddano 21 salw honorowych z 24 dział, zaś w Białymstoku, Bydgoszczy, Gdańsku, Gdyni, Katowicach, Kielcach, Krakowie, Lublinie, Łodzi, Olsztynie, Poznaniu, Rzeszowie, Szczecinie i we Wrocławiu 21 salw z 4 dział. Wieczorem tego dnia polecono zorganizować w garnizonach wojskowych capstrzyki i pochody przez miasta⁹.

Polska Rzeczpospolita Ludowa

Konstytucja Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej z 22 lipca 1952 r. znosiła urząd prezydenta i zmieniała nazwę państwa na Polską Rzeczpospolitą Ludową. Przez następne 37 lat reprezentantem narodu był przewodniczący Rady Państwa.

Nowy Sejm przyjął 7 kwietnia 1989 r. nowelizację konstytucji z 1952 r. Poprawki zakładały przywrócenie urzędu prezydenta wybieranego przez Zgromadzenie Narodowe na sześcioletnią kadencję. Prezydent ponownie był też zwierzchnikiem sił zbrojnych.

Na pierwszego i jedynego prezydenta Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej 19 lipca 1989 r. został wybrany gen. armii Wojciech Jaruzelski. Zaprzysiężenie nastąpiło w Sejmie o godz. 22.45. Zmiany, które przeprowadzono w ciągu następnych miesięcy, doprowadziły do przywróceniu nazwy państwa na Rzeczpospolitą Polską i 27 września 1990 r. do zmiany konstytucji. Kadencję

ówczesnego prezydenta skrócono i zdecydowano o wyborze nowego – w wyborach powszechnych. Odbyły się one w dwóch turach: 25 listopada i 9 grudnia 1990 r., i przyniosły zwycięstwo Lecha Wałęsy.

Powrót Rzeczypospolitej Polskiej

Uroczystość przyjęcia zwierzchnictwa nad siłami zbrojnymi odbyła się 22 grudnia 1990 r. na dziedzińcu Zamku Królewskiego w Warszawie o godz. 13.00 po złożeniu przysięgi w Sejmie. Nawiązywała do wzorów przedwojennych, jednak wzbogacona została o nowe elementy ceremoniału wojskowego, które dotychczas były wyłącznie domeną najwyższych dowódców, takie jak powitanie z wojskiem słowami „Czołem, żołnierze!” i ucałowanie sztandaru wojskowego. Uczestniczyli w niej najwyżsi dowódcy wojskowi z ministrem obrony narodowej wiceadm. Piotrem Kołodziejczykiem, który asystował prezydentowi podczas ceremonii. Po raz kolejny w historii tworono nową tradycję związaną z objęciem urzędu prezydenta. Dopelnieniem jej było przyjęcie od ostatniego prezydenta na uchodźstwie Ryszarda Kaczorowskiego insygniów prezydenckich II Rzeczypospolitej, którymi były tłoki pieczętnicze i chorągiew prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, wielkie wstęgi Orderu Orła Białego i Krzyża Wielkiego Orderu Odrodzenia Polski oraz oryginał konstytucji z 23 kwietnia 1935 r., która była prawną podstawą kontynuowania działalności władz RP na uchodźstwie.

Kiedy pięć lat później przygotowywano ceremonię przyjęcia prezydentury przez Aleksandra Kwaśniewskiego, w wojsku funkcjonował już znowelizowany *Ceremoniał Wojskowy* z 1995 r., który zawierał rozdział *Przyjmowanie obowiązków zwierzchnictwa nad siłami zbrojnymi przez Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej*. Pomimo sprecyzowanych w nim zapisów dotyczących miejsca uroczystości, gdzie narzucono, że ceremonia „odbywa się przed Grobem Nieznanego Żołnierza w Warszawie – miejscu o szczególnym znaczeniu dla polskiego narodu”¹⁰, 23 grudnia 1995 r. zwierzchnictwo nad siłami zbrojnymi przyjmowane było w 1 Pułku Lotnictwa Myśliwskiego „Warszawa” w Mińsku Mazowieckim. W obecności ministra obrony narodowej, szefa Sztabu Generalnego Wojska Polskiego i dowódców prezydent Aleksander Kwaśniewski zgodnie z ceremoniałem przyjął meldunek i po przeglądzie pododdziałów oraz powitaniu z wojskiem ucałował sztandar kompanii reprezentacyjnej Wojska Polskiego.

Również podczas rozpoczynania drugiej kadencji na stanowisku prezydenta Aleksander Kwaśniewski wybrał inne niż Grób Nieznanego Żołnierza miejsce na przyjęcie zwierzchnictwa. Po złożeniu przysięgi w parlamencie udał się do Gdyni, gdzie 23 grudnia 2000 r. w obecności ministra obrony narodowej, szefa Sztabu Generalnego WP, generałów, ordynariuszy WP i zaproszonych attaché przyjął cywilną kontrolę nad armią na okręcie-muzeum ORP „Błyskawica”.

Proporzec prezydenta

Nowy charakter ceremonii nadano 23 grudnia 2005 r. wraz z inauguracją prezydentury przez Lecha Kaczyńskiego. Tego dnia po raz pierwszy w powojennej historii podczas ceremonii podniesiono proporzec prezydenta RP, wprowadzony zarządzeniem Ministerstwa Obrony Narodowej 14 grudnia 2005 r.¹¹

Dodano również nowe elementy udziału asysty honorowej. Podczas niemal siedmiodzinnych uroczystości wojsko obecne było prawie w każdym ich elemencie. W Sejmie podczas zaprzysiężenia o godz. 10.00 orkiestra wojskowa odegrała hymn narodowy. Po mszy w intencji ojczyzny w bazylice archikatedralnej św. Jana Chrzciciela w Warszawie prezydent w krypcie, w której spoczęli przedwojenni prezydenci RP, złożył kwiaty w asyście posterunków wojskowych. Przejściu prezydenta z archikatedry na Zamek Królewski towarzyszył szpaler żołnierzy wzdłuż drogi, a w ceremonii przekazania insygniów prezydenckich asystowali oficerowie batalionu reprezentacyjnego Wojska Polskiego. Również o godz. 14.45 podczas przybycia do Pałacu Prezydenckiego obecni byli żołnierze w postaci szpaleru reprezentacyjnego żołnierzy w umundurowaniu trzech rodzajów sił zbrojnych i oficerskich posterunków. Uroczystość przyjęcia zwierzchnictwa nad siłami zbrojnymi odbyła się z udziałem władz państwowych, przedstawicieli parlamentu RP, instytucji centralnych, władz wojskowych, administracyjnych i samorządowych, duchowieństwa, korpusu dyplomatycznego, organizacji pozarządowych, środowisk kombatanckich oraz Kapituły Orderu Wojennego *Virtuti Militari* i Kapituły Orderu Krzyża Wojskowego.

Wojskową asystę honorową podczas uroczystości stanowiły: kompania honorowa, poczet proporca prezydenta RP i orkiestra wojskowa. Po przybyciu prezydenta kompania honorowa oddała honory. Prezydent RP przyjął meldunek od szefa Sztabu Generalnego WP, dokonał przeglądu kompanii honorowej i powitał się z żołnierzami. Następnie oddał honory Grobowi Nieznanego Żołnierza, przywitał się z dowódcami, których przedstawił minister obrony narodowej. Po podniesieniu flagi państwowej RP na maszt i odegraniu hymnu RP, minister wygłosił okolicznościowe przemówienie, po którym nastąpiła ceremonia przyjęcia zwierzchnictwa nad siłami zbrojnymi przez prezydenta i podniesienie na maszt proporca prezydenta RP, zaś pluton salutowy oddał pięć salw armatnich w związku z pięcioletnią kadencją prezydenta. Lech Kaczyński złożył wieniec na płycie Grobu Nieznanego Żołnierza i wygłosił okolicznościowe przemówienie. Uroczystość zakończyła defilada.

W 2010 r. w znowelizowanym *Ceremoniale wojskowym* wykorzystano doświadczenia z lat ubiegłych. Uroczystość inauguracji nowo wybranego prezydenta nabrała charakteru państwowego i w dokumencie podzielono ją na dwie części. Pierwszą, zaprzysiężenie w parlamencie z udziałem orkiestry wojskowej, która odgrywa hymn narodowy, ►

i druga, przyjęcie zwierzchnictwa nad siłami zbrojnymi, która ma charakter typowo wojskowy. Odstąpiono od narzucania miejsca uroczystości, podając jedynie, że: „uroczystość ta odbywa się przed GNŻ lub w innym miejscu określonym decyzją Ministra ON”¹². Umieszczono również przykładowy scenariusz, w którym szczegółowo rozpisano takie elementy uroczystości, jak: powitanie z wojskiem, przedstawienie dowódców, ucałowanie sztandaru, salut narodowy i podniesienie proporca prezydenta RP.

Zgodnie z tymi przepisami zorganizowano uroczystości związane z przyjęciem urzędu prezydenta przez Bronisława Komorowskiego. Jednak scenariusz udziału wojska w przedsięwzięciu był podobnie jak w przypadku poprzednika dużo bardziej rozbudowany, niż określa to ceremoniał. Również w 2005 r. żołnierze brali udział we wszystkich elementach inauguracji. Zmianą było przybycie prezydenta do Belwederu, który został wybrany na nową siedzibę głowy państwa. Na dziedzińcu na parę prezydencką oczekiwała kompania honorowa Batalionu Reprezentacyjnego WP i Biura Ochrony Rządu oraz Szwadron Reprezentacyjny WP, a nie szpaler. Także jeszcze przed oficjalnym przyjęciem zwierzchnictwa prezydent po raz pierwszy w Belwederze przyjął meldunek od dowódcy Garnizonu Warszawa i szefa Biura Ochrony Rządu oraz po oddaniu honorów sztandarom i przeglądzie pododdziałów przywitał się z żołnierzami i funkcjonariuszami.

Po uroczystościach związanych z zaprzysiężeniem prezydenta Bronisława Komorowskiego, które odbyło się 6 sierpnia 2010 r., przyjęcie kontroli nad armią zaplanowano na 15 sierpnia 2010 r., w dniu Święta Wojska Polskiego. Uroczystość przed Grobem Nieznanego Żołnierza w związku z połączeniem jej ze świętem miała dużo bogatszą oprawę. Oprócz salutu narodowego (21 salw armatnich), ucałowania sztandaru i złożenia wieńca na Grobie Nieznanego Żołnierza przez prezydenta znalazły się także dodatkowe elementy, jak apel pamięci, nominacje generalskie i uroczysta odprawa wart. Na zakończenie ceremonii po defiladzie pododdziałów prezydent wraz z szefem Biura Bezpieczeństwa Narodowego, ministrem obrony narodowej oraz szefem Sztabu Generalnego WP przeszedł w miejsce łączności satelitarnej z Polskim Kontyngentem w Afganistanie, gdzie zwierzchnik sił zbrojnych przekazał stacjonującym tam żołnierzom życzenia z okazji Święta Wojska Polskiego.

Na łączenie przyjęcia zwierzchnictwa nad armią ze Świętem Wojska Polskiego nie zdecydował się prezydent Andrzej Duda, rozpoczynając prezydenturę 6 sierpnia 2015 r. Niewiele było też odstępstw w ceremoniale w porównaniu z latami 2005 i 2010. Podczas powitania w Pałacu Prezydenckim na dziedzińcu oczekiwała kompania reprezentacyjna Wojska Polskiego, teraz bez kompanii Biura Ochrony Rządu, a jedynie z pododdziałem towarzyszącym i pocztami sztandarowymi. Prezydent po przyjęciu

meldunku od dowódcy Garnizonu Warszawa i szefa BOR dokonał przeglądu pododdziału i oddał honor sztandarom. Po godz. 15.30 przyjął zwierzchnictwo nad siłami zbrojnymi na placu Marszałka Józefa Piłsudskiego. Uroczystość odbyła się zgodnie z obowiązującym *Ceremoniałem wojskowym*. Całej Polsce o fakcie tym zakomunikowało pięć salw armatnich, a prezydent na miejsce uroczystości przybył w asyście szwadronu kawalerii, tak bardzo charakterystycznego elementu dla polskich tradycji wojskowych.

Ponownie na urząd prezydenta zaprzysiężony został 6 sierpnia 2020 r. Andrzej Duda. W przeciwieństwie do Aleksandra Kwaśniewskiego nie zdecydowano się na zmiany ceremoniału podczas rozpoczynania II kadencji, nawet pomimo trudnej sytuacji związanej z epidemią COVID-19 i wynikającymi z tego ograniczeniami. Ceremoniał zaprzysiężenia i przyjęcia zwierzchnictwa nad Siłami Zbrojnymi był prawie taki sam jak przed pięć laty i odbył się w tych samych miejscach. Odstępstwem od uroczystości w 2005 r. był brak pododdziałów honorowych Pułku Reprezentacyjnego Wojska Polskiego i Służby Ochrony Państwa na dziedzińcu Pałacu Prezydenckiego w Warszawie podczas wejścia prezydenta do jego siedziby. Zastosowano podobnie jak w 2000 r. skromniejszy wariant ze szpalerem w umundurowaniu trzech rodzajów sił zbrojnych. Pomimo obostrzeń epidemicznych udało się w sposób godny i zgodnie z utrwaloną tradycją przeprowadzić wszystkie elementy, zapewniając pełny udział wojskowej asysty honorowej, choć tym razem w maseczkach ochronnych. Dodatkowe zmiany wynikały z dodania nowych elementów w postaci złożenia wieńców przez prezydenta przed pomnikiem Ofiar Tragedii Smoleńskiej 2010 roku i przed pomnikiem Prezydenta Lecha Kaczyńskiego na placu Marszałka Józefa Piłsudskiego. Wydaje się, że wypracowano pełny ceremoniał zaprzysiężenia i przyjęcia zwierzchnictwa nad siłami zbrojnymi. Są w nim elementy narodowe, jak podniesienie proporca RP, odegranie hymnu, przyjęcie insygniów prezydenckich, i typowo wojskowe, jak ucałowanie sztandaru WP, salut armatni i złożenie wieńca na Grobie Nieznanego Żołnierza. ■

MARIUSZ KUBAREK pułkownik, naczelnik Wydziału Protokołu Wojskowego Departamentu Wojskowych Spraw Zagranicznych Ministerstwa Obrony Narodowej.

¹ Ustawa z dnia 17 marca 1921 r. Konstytucja Rzeczypospolitej Polskiej, Dz.U. 1921 nr 44 poz. 267. ² *Historia odwraca karty*, „Polska Zbrojna” nr 341 z 15 grudnia 1922 r., s. 2. ³ *Ceremonia objęcia władzy*, „Polska Zbrojna” nr 347 z 21 grudnia 1922 r., s. 2. ⁴ *Zaprzysiężenie Prezydenta Rzplitej*, „Polska Zbrojna” nr 152 z 5 czerwca 1926 r., s. 1. ⁵ J. Sibora, *Protokół dyplomatyczny i ceremoniał państwowy II Rzeczypospolitej*, PISM, Warszawa 2010, s. 382. ⁶ Tamże, s. 382. ⁷ *Uroczysty akt objęcia władzy przez p. Prezydenta prof. I. Mościckiego*, „Polska Zbrojna” nr 154 z 4 czerwca 1933, s. 2. ⁸ *Oświadczenie rządu Polskiego Londyn 28 czerwca 1945*, Kolekcje Archiwalne Online www.archiwa.pilsudskiego.org, teczka 701/9/7. ⁹ *Wojsko składa hołd Najwyższemu Zwierzchnikowi Sił Zbrojnych*, „Dziennik Polski” nr 36 z 6 lutego 1947 r., s. 3. ¹⁰ *Ceremoniał Wojskowy Szt. Gen. 1447/95 z 1995*, s. 31. ¹¹ Zarządzenie MON z dnia 14 grudnia 2005 r. zmieniające zarządzenie w sprawie szczegółowych zasad używania znaków Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej, M.P. 2005 nr 82 poz. 1165. ¹² *Ceremoniał Wojskowy* – załącznik do decyzji nr 392/MON Ministra Obrony Narodowej z dnia 30 września 2014 r. (poz. 317).

PÁL TELEKI

Poczta Polska jest wydawcą kartki pocztowej z nadrukowanym znakiem opłaty pocztowej o wartości A – „Pál Teleki (1879–1941)” – poświęconej dwukrotnemu premierowi Węgier, wielkiemu przyjacielowi Polaków i organizatorowi militarnej pomocy dla Polski w 1920 r.

Projekt kartki, wydawanej w nakładzie 8000 szt., został stworzony przez Jana Konarzewskiego. Znaczek na kartce powstał na podstawie okładki książki Instytutu Pamięci Narodowej, autorstwa Sylwii Szafrąńskiej. Kartka powstała w ścisłej współpracy z IPN. 10 listopada br., dokładnie w dniu emisji kartki, IPN planuje odsłonięcie w Krakowie pomnika poświęconego tej postaci.

Hrabia Pál Teleki – dwukrotny premier Węgier (1920–1921 oraz 1939–1941) – odegrał ważną rolę w budowaniu najnowszych stosunków polsko-węgierskich. Dzięki niemu w 1920 r. Węgry przekazały Polsce całe swoje zapasy broni i amunicji do walki z bolszewikami. W 1939 r. odmówił Hitlerowi pomocy w ataku na Polskę, powołując się na względy moralne i historyczne. Po klęsce wrześniowej 1939 r. rząd Telekiego podjął decyzję o otwarciu granic dla 100 tys. polskich uchodźców. Po wkroczeniu Niemców w 1944 r. władze węgierskie ewakuowały 40 tys. polskich żołnierzy i oficerów do Francji. W 2001 r. decyzją Prezydenta RP został pośmiertnie odznaczony Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej.



Kolekcjonuj znaczki i kartki pocztowe w prosty i wygodny sposób! Zamów abonament filatelistyczny w najbliższej placówce pocztowej bądź za pośrednictwem strony internetowej: www.filatelistyka.poczta-polska.pl



Krzyż Srebrny Orderu
Wojskowego „Virtuti Militari”.
Fot. Zbiory Muzeum Wojska Polskiego

Brawurowy, choć rozważny

Major Marian Bernaciak „Orlik” był jednym z najwybitniejszych dowódców polskiego podziemia antykomunistycznego.

ANNA DĄBROWSKA

„To jeden z najdzielniejszych i najodważniejszych żołnierzy Polski podziemnej i opozycji antykomunistycznej oraz jeden z największych rycerzy niepodległej Polski” – mówił o mjr. Marianie Bernaciaku „Orliku” Jan Kasprzyk, szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych, przekazując w 2018 r. rodzinie oficera Krzyż Srebrny Orderu Wojennego Virtuti Militari. To najwyższe polskie odznaczenie wojskowe zostało przyznane „Orlikowi” 73 lat wcześniej – 1 czerwca 1945 r. rozkazem delegata sił zbrojnych na kraj za zasługi w walce z niemiecką i sowiecką okupacją.

Marian Bernaciak urodził się w 1917 r. w Zalesiu k. Ryk. Odbył służbę wojskową w Mazowieckiej Szkole Podchorążych Rezerwy Artylerii w Zambrowie, a po wybuchu II wojny światowej został zmobilizowany do 2 Pułku Artylerii Ciężkiej Ziemi Chełmskiej. Podczas walk pod Włodzimierzem Wołyńskim dostał się do sowieckiej niewoli. Kilka tygodni później uciekł z transportu wiozącego polskich oficerów do obozów i rozpoczął działalność konspiracyjną, najpierw w ramach Związku Walki Zbrojnej, potem Armii Krajowej. Był między innymi szefem Kedywu Podobodu „A” Dęblin – Ryki należącego do Obwodu Puławy AK. Jesienią 1943 r. utworzył oddział partyzancki, który przeprowadził ponad 20 akcji bojowych przeciwko Niemcom, między innymi 26 lipca 1944 r. zajął Ryki w ramach akcji „Burza”. W sierpniu „Orlik” na czele swoich żołnierzy wyruszył na pomoc walczącej Warszawie, jednak nie udało mu się przedostać do stolicy.

Po wkroczeniu armii sowieckiej Bernaciak pozostał w konspiracji. Od jesieni 1944 r. był dowódcą oddziałów partyzanckich na terenie Inspektoratu Puławskiego Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość, a od wiosny 1945 r. także zastępcą komendanta Inspektoratu do spraw bezpieczeństwa. Potem został dowódcą Zgrupowania Oddziałów Partyzanckich tego inspektoratu i awansował do stopnia majora. Jego zgrupowanie było jednym z największych na Lubelszczyźnie. Partyzanci walczyli z od-

działami Armii Czerwonej, Ludowego Wojska Polskiego, Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego i Milicji Obywatelskiej. Do ich największych akcji zbrojnych należy rozbięcie Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Puławach i uwolnienie ponad 100 więźniów, zwycięska bitwa w Lesie Stockim z liczącą prawie 700 ludzi grupą sił Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego, Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego i NKWD oraz uwolnienie pod Bąkowcem z transportu ok. 120 więźniów.

Komunistyczne władze do walki ze zgrupowaniem „Orlika” zmobilizowały kilkanaście tysięcy żołnierzy i funkcjonariuszy. Bernaciak i kilku żołnierzy 24 czerwca 1946 r. wracali z odprawy w Życzynie. Kiedy zatrzymali się we wsi Piotrówek, tamtejszy sołtys doniósł o ich obecności funkcjonariuszom UBP. Żołnierze 1 Dywizji Piechoty oraz funkcjonariusze UBP i MO otoczyli partyzantów. „Orlik” zginął podczas próby przebicia się przez kordon. Ubecy zabrali jego ciało do Warszawy i pogrzebali je w nieznanym do dzisiaj miejscu. ■



*Marian Bernaciak
„Orlik”, „Dymek”.*

Fot. Domena publiczna

ANNA DĄBROWSKA dziennikarka portalu Polska-zbrojna.pl i miesięcznika „Polska Zbrojna”.



Orlik na czele oddziału wjeżdża do Ryk, lipiec 1944 roku
Fot. Instytut Pamięci Narodowej, koloryzacja Mirosław Szponar

Czy jeńcy są wojowniczy?

TOMASZ ZAWISTOWSKI

SKAZÓWKI!

Do bezarciającego i szybkiego przeprowadzenia regulacji pocztowej z jeńcami wojowniczymi są następujące punkta do zważenia:

1. Się dokładnie do nadmienionego napisu nadawcy trzymać.
2. Krótko wyrażać! Długie listy zostaną w czasie badania aż na koniec zatrzymane.
3. Wyraźnie i czytająco pisać.
4. W pakietach nie zachować, co ze strony niemieckiej kwestionować można.
5. W pakietach żadnych piśmiennych donosień dołączać.

Wrazie powyższe przepisy nie uwzględnione zostaną, zwleka się wydanie poczty, pod okolicznych warunkach przepada rekwesty.

Pozwolona zawartość pakiet:

Odzieżania (ograniczenia pp.), obuwie, bielizna;
żywność spożywcza;
tabaka do palenia i do żucia, cygary, papierosy, fajki i guma do żucia;
śródkki do pielęgnowania ciała (ograniczenia pp.);
rozrywkowe zabawienia, karty do gry, książki (ograniczenia pp.).

Nie pozwolono:

Pieniądze zagraniczne wszelkiego wyrobu;
odzieżanie cywilne, materiał pociałowy, który jako zewnętrzna odzież cywilna potrzebować być mogła;
saniterskie naramienniki dla nie uprawnionych;
bronie i broń podobne narzędzie, większe noże kieszunkowe i nożyce;
munycja i materiał wybuchowy;
narzędzia, które do ucieczki i sabotaży używać można;
okowita i napoje okowitowe;
atrament, pióra stalowe, gęsiove pióra, trzonki i trzonki napelniane, aparaty przedrukowe, węglowy i papier kopiowy;
kompasy, worki tornistrowe, karty geograficzne, aparaty fotograficzne, lunety dalekowiedzące i lupy;
elektryczne lampy, zapalniczki, lunty, sznury zapalowe, świece;
twarda okowita, ogniowe niebezpieczne przedmioty, ogrzewki;
szczegilowe części dla telefoniczne, falowe słuchowiskie i przyjmowane narzędzia;
śródkki lekarskie w wszelkiej formie, waseline w tubach, salmiak (twardy i rozdzielony);
wode dla włosów i do ust, pasta zębowa, parfimy, szernidło do trzewik;
owocowe soki, chemikalje, kwas;
książki, druki wątpliwe albo nieprzyswoitej treści, gazety zagraniczne;
papierowe ustniki do cygarów, papier do papierosów;
nie opisany papier, notatniki, papier listowy i pocztówkiki;
perki z wyrzniętymi kielami.

Nie wiemy i nie dowiemy się zapewne nigdy, kim był poliglota przygotowujący ulotkę rozdawaną wziętym do niewoli przez Wehrmacht żołnierzom Wojska Polskiego. Z pewnością miał pewne pojęcie o polszczyźnie; niektóre sformułowania świadczą o tym, że nabył je raczej w Wielkopolsce niż na Śląsku. Dola jeńca nie jest lekka, miło zatem, że znalazł się w szeregach wroga dobry człowiek, który postanowił zadbać o morale naszych żołnierzy, poprawiając im humor.

Wynik jego pracy najlepiej mówi sam za siebie, dlatego też, opisując go, wypada się „krótko wyrażać” i oczywiście „wyraźnie i czytająco pisać”. Śmiali się bez wątpienia do rozpuku jeńcy, pośmiejmy się i my, znajdując sobie „rozrywkowe zabawienie”. A że nad niektórymi rzeczami trzeba się będzie chwilę zastanowić? Toż to nie „falowe słuchowiskie”, a raczej „druk wątpliwy albo nieprzyzwoitej treści”, mamy zatem czas zatrzymać się nad co celniejszymi stwierdzeniami. „Saniterskie naramienniki” to zapewne opaski naramienne ze znakiem czerwonego krzyża, słowo „ogrzewki” wyjaśnia niemieckojęzyczna strona ulotki (bo i taka istnieje) jako Heizkörper, czyli grzejnik bądź kaloryfer, „twarda okowita” zaś to tzw. suchy spirytus, paliwo w tabletkach. Kto by nie wiedział, czym były „perki z wyrzniętymi kielami”, niech zadzwoni do znajomych z Wielkopolski, tam z pewnością otrzyma wyjaśnienie. Miłej lektury. ■

Świat



ANDRZEJ WITKOWSKI

filokartystyki

Prezentowany dokument pocztówką nie jest, chociaż obrazek z zarysem staromiejskich budowli Warszawy jak najbardziej taką może przypominać. Jako że jest ku temu szczególna okazja, postanowiłem pokazać czytelnikom cenne świadectwo czasu, które dość przypadkowo pozyskałem, poszukując eksponatów do pocztówkowej kolekcji.

Wszystkim rodakom, którym bliski jest temat Bitwy Warszawskiej 1920 r., widoczne na dokumencie odręcznie wpisane nazwisko Mieczysława Rojka nie kojarzy się zapewne z żadną, nawet mniej znaną postacią historyczną tego okresu. I nie ma w tym niczego dziwnego. W ciężkich dla Polski dniach sierpniowych przed 100 laty nasz bohater nie dowodził w pierwszej linii żołnierzami odpierającymi bolszewicką nawałę. Jaką więc rolę miał do odegrania?

Latem 1920 r., w obliczu zagrożenia państwa, wojskowy gubernator Warszawy gen. Franciszek Latinik nakazał likwidację wszystkich posterunków policyjnych i wojskowych, których członkowie zostali przesunięci

na front. Utrzymaniem bezpieczeństwa zajęła się Straż Obywatelska, paramilitarna formacja powołana 9 sierpnia, której liczebność szybko sięgnęła kilkunastu tysięcy osób. Za zadanie miała pełnienie służby wartowniczej, konwojowanie jeńców i patrolowanie miasta.

Postawę mieszkańców miasta, w tym członków straży, docenił marsz. Józef Piłsudski, którego słowa cytował „Kurier Poranny” 23 maja 1921 r.: „Warszawa swoją postawą, spokojem i wiarą ułatwiła żołnierzowi zadanie i pomogła w zwycięstwie. Bowiem walka o miasto – była rzeczą najtrudniejszą, gdyż o zwycięstwie stanowiło tu zachowanie się obywateli. I Warszawa nie zawiodła”.

Po zwycięstwie nad bolszewikami, na przełomie września i października 1920 r. Straż Obywatelską rozwiązano. Najbardziej zasłużeni jej członkowie zostali uhonorowani Krzyżami Walecznych. Wszyscy zaś w dowód uznania od gen. Latinika otrzymali specjalne świadectwa, właśnie takie jak na załączonej fotografii.

Niewiele pamiątek z tego okresu przetrwało do naszych czasów. Wydarzenia II wojny światowej, a później mrocznych lat stalinizmu w wielu polskich domach dokonały spustoszenia. Powodowani strachem przed narażeniem siebie lub bliskich na represje ludzie często sami zacierali ślady po tych członkach rodziny, którzy uczestniczyli w wojnie 1920 r. Dlatego każda rzecz, która przetrwała do naszych czasów, godna jest przypomnienia.

Wracając zaś do osoby Mieczysława Rojka, udało mi się jedynie z dużym prawdopodobieństwem ustalić datę i miejsce jego śmierci. Rojek przeżył II wojnę światową. Zmarł w Warszawie w lipcu 1956 r. Jedno też wiadomo na pewno: nie przeszedł do historii. Dołączył do tysięcy zapomnianych bohaterów, którzy włożyli częśćkę samych siebie do sprawy ocalenia odrodzonej ojczyzny.



Fot. Zbiory Andrzeja Witkowskiego

Niezbędnik historyczny

Współczesna polityka historyczna Rzeczypospolitej coraz wyraźniej akcentuje światowy i polski wymiar Cudu nad Wisłą. Mimo to tak ważne w historii Europy wydarzenie wciąż za mało widoczne jest w muzealnictwie i piśmiennictwie historycznym, co próbują zmienić autorzy nowej publikacji Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie.

PIOTR KOCYAN

W stulecie Bitwy Warszawskiej 1920 r. MWP sięgnęło po oręż słowa i fotografii. Książka *Trofea wojny polsko-bolszewickiej* Jarosława Pycha i Michała Mackiewicza z wprowadzeniem historycznym Romana Matuszewskiego to rzadkie opracowanie z pogranicza dokumentu i faktu. Publikacja powstała na podstawie zachowanych do czasów współczesnych zbiorów MWP z tego okresu. Prezentowana jest również dokumentacja nieobecnych w zbiorach sztandarów i chorągwi, które z różnych przyczyn nie zachowały się do dziś. Książka zapoznaje nas z bronią, elementami wyposażenia bojowego, dokumentacją papierową, pieczęciami, sztandarami i transparentami propagandowymi zdobytymi na wojskach bolszewickich w 1920 r. Jej autorzy omawiają temat uzbrojenia bolszewickiego prezentowanego przy okazji różnych rocznic w okresie przedwojennym jako sprzęt zdobyczny na wrogu, wskazując typy, które WP przejęło do uzbrojenia. Publikacja jest przystępna językowo i klarowna w układzie. Autorzy rozpoczynają od rysu historycznego działań bojowych wojny polsko-bolszewickiej, przechodzą do obyczaju trofealnego, a kończą katalogiem zbiorów MWP. Jest to nic innego jak historia opowiedziana przedmiotami, które niczym kolejne kalki nakładamy na mapę wydarzeń. Konkretne przedmioty są lokowane w czasoprzestrzeni, przedstawiając nam bardzo realistyczny obraz wojsk bolszewickich. Mocną stroną książki są fotografie zarówno te z czasów wojennych, jak i samych eksponatów. Opisy kolejnych pozycji katalogu uwzględniają możliwą do ustalenia historię konkretnych przedmiotów i szczegółowy opis budowy. W tym względzie autorzy zachowali porządek, ale i umiar, wyrzekając się branżowych naleciałości i nadmiernej fak-

tografii. Obraz uzyskany po zapoznaniu się ze zbiorami dziwi, a nawet w kilku miejscach szokuje. Prymitywizm bolszewickich sztandarów, braki w umundurowaniu i wyposażeniu kontrastują z dość nowoczesnym uzbrojeniem pozyskanym z magazynów carskiej armii. Przemierzając tekst i fotografie, trudno nie odnieść wrażenia, że Wojsko Polskie, samo mające w tym czasie często improwizowaną organizację, startło się z oddziałami w najlepszym razie milicyjnymi o charakterze bardzo nieregularnym o dość niskim morale, ale szczytnych hasłach. Widzimy marność ludzi zniszczonych przez wojnę światową oraz wojnę domową, szukających nadziei w zwodniczej ideologii.

Praca muzealników wzbudza we mnie uczucia ambiwalentne. Publikacja jest ciekawa i dla czytającego odkrywczą, dlaczego więc pozostaje niedosyt i rozczarowanie? Rodzi się pytanie, dlaczego tak mało przedmiotów zachowano. Sto lat to nie jest wiele względem tak dużego wydarzenia, którym była wojna z bolszewikami. Aby to zrozumieć, konieczne jest przeczytanie wstępu dyrektora MWP Pawła Żurkowskiego i notki od autorów. To ważne, by nie pominąć tych kilku zdań, które odkrywają drugi – mniej czytelny – aspekt książki. Tego, czego w katalogu nie ma, to świadectwo zacierania w czasach PRL śladów klęski wojsk bolszewickich. Historia opowiedziana absencją.

Niewątpliwie *Trofea wojny polsko-bolszewickiej* to pozycja niezbędna na półce, bo jak żadna inna opowiada zdarzenia sprzed 100 lat. Jarosław Pych i Michał Mackiewicz, pracownicy muzeum, nie stworzyli dzieła monumentalnego, lecz pozycję, dzięki której można ukazać prawdę historyczną będącą znakomitą ilustracją do książki *Orzeł biały, czerwona gwiazda* Normana Daviesa. ■



Michał Mackiewicz, Jarosław Pych, *Trofea wojny polsko-bolszewickiej*, Warszawa 2020.



Unikatowy album

Setna rocznica najważniejszego polskiego zwycięstwa w XX wieku, „bitwy warszawskiej”, uznawanej za lorde D'Abernonem przez część historyków za „osiemnastą decydującą bitwę w dziejach świata”, w sposób oczywisty spowodowała potrzebę przeprowadzenia ponownej kwerendy archiwalnej i przywołania najciekawszych dokumentów. Aby w pełni ukazać drogę do zwycięstwa należało przywołać fakty je poprzedzające i wskazać najważniejsze jego skutki. Te właśnie zagadnienia przedstawia nasza publikacja.

W albumie zaprezentowano zbiór fotografii, dokumentów źródłowych, map, planów i szkiców stanowiących niewielką część zbiorów archiwalnych oraz ikonograficznych zachowanych w archiwach i bibliotekach w Polsce i za granicą. Wybraliśmy te najbardziej interesujące, reprezentatywne i efektowne. Zostały one przedstawione w atrakcyjnej, stylizowanej szacie graficznej, w stylu z epoki, właśnie jakby sięgnąć po stary album, do którego uczestnik tych wydarzeń pracowicie wklejał stare zdjęcia, wycinki gazet, dokumenty.

Tematyczne motto do kolejnych rozdziałów albumu stanowią fragmenty wierszy i piosenek, które powstały ówczesnie, w związku z przebiegiem działań wojennych w latach 1919–1920. By podkreślić, że tytułowy „Rok 1920” to nie tylko rok wojny polsko-bolszewickiej, ale i rok zmagania dyplomatycznych oraz zbrojnych o polską

granice zachodnią, od Rozewia po Cieszyn, jako motto do jednej z części naszego albumu zamieściliśmy fragment wiersza o pogromie bolszewików autorstwa śląskiego „Kocyndera”. Żywe ciało odradzającej się ojczyzny zraszało się w jedną, niepodzielną całość.

Większość przedstawionych w albumie dokumentów pochodzi z kilkunastu zespołów archiwalnych znajdujących się w zasobie Archiwum Akt Nowych w Warszawie, jak Kancelaria Cywilna Naczelnika Państwa, Prezydium Rady Ministrów, Ministerstwo Spraw Zagranicznych, Towarzystwo Straży Kresowej, Armia Czerwona, Akta Jana Dąbskiego, Akta Józefa Hallera, Akta Franciszka Studzińskiego, Akta Jana Kucharzewskiego, Poselstwo RP w Bernie, Związek Harcerstwa Polskiego, Instytucje Wojskowe. Szata fotograficzna albumu pochodzi z kolei w głównej mierze ze zbiorów Wojskowego Biura Historycznego im. gen. broni Kazimierza Sosnkowskiego – jego częścią jest, niegdyś stanowiące odrębną jednostkę, Centralne Archiwum Wojskowe. Zbiory te uzupełniają fotografie z Centralnej Biblioteki Wojskowej im. Marszałka Józefa Piłsudskiego oraz dokumenty z Instytutu Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku. W ten symboliczny sposób ukazano rolę krajowych bibliotek oraz placówek naukowo-kulturalnych Polonii.

fragment Postowia

wiw
WOJSKOWY INSTYTUT
WYDAWNICZY

Rok 1920 w obrazie i dokumencie. Wojna z bolszewikami w zbiorach archiwów polskich, wybór i opracowanie Mariusz Olczak i Jarosław Stryjek, opracowanie graficzne Marcin Dmowski i Monika Siemaszko, Archiwum Akt Nowych – Wojskowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2020, ss. 543. Zdjęcia: Archiwum Akt Nowych, Wojskowe Biuro Historyczne im. gen. broni Kazimierza Sosnkowskiego, Centralna Biblioteka Wojskowa im. Marszałka Józefa Piłsudskiego, Instytut Józefa Piłsudskiego w Ameryce.

Archiwum
Akt
Nowych

ARCHIWA
PAŃSTWOWE



Centralna Biblioteka Wojskowa
im. Marszałka Józefa Piłsudskiego



Między chwałą a zagładą

Młośnicy wydawnictw ikonograficznych oraz historycznych otrzymali z okazji setnej rocznicy zwycięstwa nad bolszewikami w 1920 roku, określanego zwykle Bitwą Warszawską, interesujący album. Opracowanie to, związane z dziejami wojny polsko-bolszewickiej lat 1919–1920, wykorzystuje zasób ikonograficzny zgromadzony w Muzeum Katyńskim w Warszawie. Poprzez dziesięć sylwetek uczestników tej wojny, a zarazem ofiar zbrodni katyńskiej w 1940 roku, ukazana została nić łącząca zwycięstwo Wojska Polskiego nad Armią Czerwoną z późniejszą o dwie dekady sowiecką zbrodnią na polskich oficerach.

W 1920 roku nad Wisłą i Niemnem żołnierze polscy rozgromili siły zbrojne Rosji Sowieckiej i powstrzymali napór komunizmu na Europę. W 1940 roku przywódcy Związku Sowieckiego zdecydowali o dokonaniu masowego mordu na obywatelach Rzeczypospolitej Polskiej.

Za sprawą tego albumu powracają do nas – poprzez słowa i doskonale dobrane fotografie bohaterów, ich rodzin, bliskich oraz wydobytych z grobów osobistych przedmiotów – współtwórcy zwycięstwa z 1920 roku, którzy dwadzieścia lat później za wierność Polsce zapłacili życiem i spoczęli w przepastnych mogiłach Lasu Katyńskiego, Charkowa-Piatichatok, Miednoje koło Kalinina (Tweru). Tymczasem przed oczami czytelnika rozwijają się ich niezwykle losy, począwszy od dzieciństwa, przez lata nauki, pracy społecznej i zawodowej, służby wojskowej, w najróżniejszych życiowych rolach – męża, ojca rodziny, duchownego, sportowca, harcerza, urzędnika... aż po grób.

dr hab. Witold Wasilewski, redaktor naczelny „Studiów i Materiałów Centralnej Biblioteki Wojskowej im. Marszałka Józefa Piłsudskiego”

Katyń. Zapomniani żołnierze 1920–1940. Między chwałą a zagładą. Żołnierze 1920 roku ofiary zbrodni katyńskiej. Katyń – Charków – Miednoje 1940, przygotowanie materiałów ikonograficznych i opracowanie tekstów Bartłomiej Bydoń, Kacper Ciesielski i Sławomir Frątczak, wybór zdjęć i opracowanie graficzne Paweł Kępka, Muzeum Katyńskie Oddział Martyrologiczny Muzeum Wojska Polskiego – Wojskowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2020, ss. 168.

Zdjęcia: Muzeum Katyńskie Oddział Martyrologiczny Muzeum Wojska Polskiego, zbiory rodziny Ciesielskich, kolekcja Artura Bilewskiego, Michał Niwicz.





FOT. STUDIO MTJ

MAŁGORZATA ŁĘTOWSKA
ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO

ROCZNICA AGRESJI NIEMIECKIEJ I SOWIECKIEJ NA POLSKĘ W 1939 R. PRZYWOŁUJE SKRAWKI ROZMÓW, TWARZE OPOWIADAJĄCYCH LUDZI.

Większość z nas w dzieciństwie i młodości miało swoich bohaterów. Najczęściej były to postaci z powieści lub filmów. A prawdziwi herosi byli obok nas, towarzysząc w codziennym życiu.

Mój ojciec, Bolesław Łętowski podczas II wojny światowej uratował wspólnie ze swoją rodziną żydowską dziewczynkę. Po wojnie wyjechała do Stanów Zjednoczonych. Nigdy o tym nie mówił, dowiedziałam się o tej historii po jego śmierci, od mamy.

Przyjaciół taty, Mieczysław Buszkowski jako niepełnoletni uciekł z domu do Legionów i w polskim wojsku pozostał do końca II wojny. Żołnierz Armii Krajowej. Zbiegł z transportu do KL Auschwitz. Oficerską charyzmę zachował do końca życia. Jego późniejszą żonę, młodszą Marię, osobę o niespotykanej dobroci, Niemcy wywieźli na roboty do III Rzeszy. Cioci Marysi po niemieckich torturach pozostały zniszczone paznokcie. Wspominała, że gestapowcy szczuli ją tresowanymi do rozszarpywania ludzi psami. I te psy nie zrobiły jej krzywdy, zaczęły się łączyć, wprawiając Niemców w konsternację.

Hrabia Stefan Orłowski, przyjaciel taty, też walczył w obronie ojczyzny. Jako dziecko z chęcią przychodziłam z rodzicami do pana Stefana i jego żony, Marii. Mieszkali w małej kawalerce na warszawskiej Ochocie.

Ojca mojej mamy, Grzegorza Katruka, tarnopolskiego policjanta aresztowało NKWD po 17 września 1939 r. Pamiętam, jak dziadek opowiadał mi, małej dziewczynce, że uciekł z więzienia i ukrywał się na cmentarzu. Sowieci wywieźli go potem w okolice Ałma-Aty. Później zrozumiałam, że tym sposobem nie trafił do Katynia.

Mamę, Zdzisławę Łętowską z domu Katruk i babcię Michalinę Katruk Rosjanie zabrali w 1940 r. do Kazachstanu po aresztowaniu dziadka. Tam nadzorca kołchozu krzychał do mamy: „Ty tu podochniosz!” A ona na to: „Ja nie, to ty tu podochniosz!” Przeżyła pracę w nieludzkich warunkach, atak stada wilków, głód, tyfus, paratyfus, malarię i gruźlicę. Gdy dowiedziała się o tworzeniu w Związku Sowieckim polskiej armii, poszła do NKWD, by powiedzieć, że chce z matką wyjechać do najbliższego miasta, do Pawłodaru. Tam na dworcu czekała z babcią na pociąg około miesiąca. Dotarli do Armii gen. Władysława Andersa, wyszły z nieludzkiej ziemi. W 2 Korpusie Polskim mama była saperem, babcia pracowała w kantynie i opiekowała się osieroconymi dziećmi.

Wujek, Zbigniew Katruk uniknął wywózki z Tarnopola w 1940 r., w tym czasie ukrywał się w związku z konspiracyjną działalnością. Nigdy po wojnie nie ujawnił się jako żołnierz niepodległościowego podziemia. Nie opowiadał o akcjach, w których uczestniczył, bo tajemnica to tajemnica. Wszystko, co wtedy przeżył, zawarł w jednym zdaniu podczas naszej ostatniej rozmowy...

Władysław Garbaszewski, kolega wujka Zbyszka z Armii Krajowej, skazany przez Sowietów na 25 lat łagrów, był więziony w Workucie i okolicach Karagandy. Przyjeżdżał do Warszawy, poznałam jego rodzinę w Sanoku.

Jan Garbaszewski, brat pana Władka, żołnierz Armii Krajowej, wyszedł z Sybiru z Armią gen. Andersa. Służył w brytyjskim lotnictwie. Po wojnie zamieszkał w Wielkiej Brytanii. W latach siedemdziesiątych gościliśmy go w mieszkaniu na warszawskiej Ochocie. Bardzo tęsknił za Polską.

Hrabina Elżbieta Sianożęcka, pielęgniarka, w Powstaniu Warszawskim ratowała chorych i rannych, gdy niemieckie bombowce pikowały szpital. Jako pediatra asystowała przy moich narodzinach i później w dorosłym życiu wyciągała ze zdrowotnych opresji. Odwiedzałam panią doktor w Pałacu Karnickich przy Alejach Ujazdowskich w Warszawie. Komuniści odebrali Sianożęckim ich własność, pozostawiając pół mieszkania w oficynie pałacu.

Koleżanka mamy z pracy, Barbara Kawecka i jej siostra Irena jako dziewczynki przeżyły pobyt w niemieckim obozie koncentracyjnym. Łączyła mamę z panią Basią przyjaźń i doświadczenie okrucieństwa totalitaryzmów.

Wymienione tu osoby odeszły na wieczną wartę. Nie spisały wojennych historii. Bliskim opowiadały pojedyncze zdarzenia, nie zawsze umiejscowione w miejscu i czasie. Niektóre w obawie przed represjami zniszczyły dokumenty świadczące o kombatantkiej przeszłości. Wszystkie kochały Polskę, nie wszystkie doczekały prawdziwej niepodległości. ■

Bohaterom 1920 roku

W o j s k o w y I n s t y t u t
W y d a w n i c z y



Katyń 1920-1940

HISTORIA TYCH, CO POKONALI
BOLSZEVIKÓW W 1920, A POLEGLI
W 1940 ROKU W KATYNIU

47 złotych. Taniej o 22%



Rok 1920

ROK 1920 W OBRAZIE I DOKUMENCIE.
WOJNA Z BOLSZEVIKAMI W ZBIORACH
ARCHIWÓW POLSKICH

120 złotych. Taniej o 25%



Bellona

POLSKIE ZWYCIĘSTWO DLA
WOLNOŚCI EUROPY. BITWA
WARSZAWSKA 1920 O CZAMI
ŚWIADKÓW TAMTYCH WYDARZEŃ

40 złotych. Taniej o 33%



Arcybiskup Stanisław Gall

ŻYCIORYS PIERWSZEGO BISKUPA
POLOWEGO WOJSKA
POLSKIEGO

39,90 złotych

2020
Darmowa
dostawa

DOSTĘPNE NA WWW.SKLEP.POLSKA-ZBROJNA.PL





Fundacja
Dorastaj z Nami
10 lat!

Jestem Iga. Dopiero uczę się mówić, bo urodziłam się głucha. Mój tata został ranny na wojnie w Iraku i dzielnie walczy z przeciwnościami losu tak jak ja. Uwielbiam powtarzać „mama” i „tata”, bo widzę jak rodzice się wtedy cieszą. Dziś już lepiej słyszę, a w rehabilitacji pomaga mi fundacja.

Zdjęcie Igi pochodzi z wystawy pt „Dorastam z Wami”, której patronem medialnym jest Polska Zbrojna.

phot. Justyna Radzymińska



Dorastam z Wami



Pod opieką Fundacji Dorastaj z Nami jest obecnie 135 dzieci zmarłych i poszkodowanych żołnierzy, policjantów, strażaków, a także medyków walczących z covid-19. Fundacja współfinansuje rozwój i edukację dzieci oraz zapewnia im pomoc psychologiczną.

Iga z bratem i tatą
- Łukaszem Wojciechowskim,
żołnierzem, który został
ciężko ranny na misji w Iraku.
Iga urodziła się po wypadku.

Pomóż dzieciom Bohaterów bezpiecznie dorastać!

Wpłać darowiznę na konto: **29 1030 1508 0000 0008 1545 4006**
w tytule przelewu wpisz: Polska Zbrojna.

Więcej o wystawie i podopiecznych Fundacji Dorastaj z Nami na: dorastajz nami.org